

MAGIA TO JEJ DAR I PRZEKLEŃSTWO.
KTO JEST W WIĘKSZYM NIEBEZPIECZEŃSTWIE – ONA CZY ŚWIAT?



AUTORKA PAPIEROWEGO MAGA
CHARLIE N. HOLMBERG

Spellmaker

CHARLIE N. HOLMBERG

Tłumaczenie: Marta Piątkowska



Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Podziękowania

Copyright © by Charlie N. Holmberg, 2021

Projekt okładki i ilustracje: Micaela Alcaino

Przygotowanie okładki: Olga Böldok-Banasikowska Redaktor prowadząca dział young adult: Marta Orzechowska; morzechowska@grupazpr.pl

Redaktor nadzorująca: Anna Sperling

Tłumaczenie: Marta Piątkowska

Redakcja: Mortensja de Lux

Korekta: Ewa Mościcka, Mariola Niedbał

Copyright © for the Polish edition by TIME SA, 2023

ISBN: 978-83-8343-007-2

Wydawca:

TIME SA, ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa

facebook.com/hardewydawnictwo

instagram.com/hardewydawnictwo

tiktok.com/@harde.wydawnictwo

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Dla Marlene Stringer, mojej Mistrzyni

Rozdział 1

Brookley, Anglia, czerwiec 1895

Elsie Camden siedziała na swoim łóżku, zaczytana w coś, czego z całą pewnością nie powinna była posiadać. Przecinały to wijące się linie, jedna wzdłuż i trzy w poprzek, a brzegi kartki robiły się coraz cieńsze od częstego otwierania i zamykania. Rysunek był czerwony – czyli w kolorze umysłowych aspektorów – i wykonany odręcznie przez kogoś, kto zmarł, żeby go stworzyć. Być może nigdy nie pozna jego bądź jej imienia i być może to nawet lepiej.

Na wszelkie sposoby usiłowała właśnie przetłumaczyć fragment martwego ciała twórcy zaklęcia.

Słownik łacińsko-angielski, który pożyczyła od pastora, był zniszczony od częstego używania. Z łuszczącym się grzbietem. Elsie potwierdziła swoje podejrzenia już kilka linijek wcześniej, ale czuła potrzebę sprawdzenia wszystkiego jeszcze raz. Przystudiowała zaklęcia od początku aż do samego końca.

Bez wątpienia było to mistrzowskie zaklęcie. Mistrzowskie zaklęcie zapomnienia, kradzieży pamięci. Długoterminowe. Ale dokładnie jak długo, tego Elsie nie była pewna, nawet kiedy dotarła do ostatnich słów na stronie opusu, chociaż jedno z tych słów oznaczało „lata”. To było podchwytliwe – zaklęcie mogło nie być tak przydatne, jak wcześniej myślała Elsie, zwłaszcza że wyglądało na to, iż Ogden doszedł już do siebie po przeprawie w dokach i po tym, jak odkryła jego tajemnice. Od dekady znajdował się pod duchową kontrolą innego aspektora, przez co był zmuszony do udziału w zbrodniach, na które normalnie nigdy by się nie zgodził. Elsie także była wykorzystywana, ale jej ich wspólny przeciwnik pomieszał w głowie, powodując, że myślała, że spożytkowała swoje zdolności w zakresie łamania zaklęć w dobrej sprawie. W rzeczywistości realizowała tylko perwersyjny plan. Dobrze przynajmniej, że żadne z nich nie zostało zmuszone bezpośrednio do zabicia kogoś. Ale mimo to świadomość, że bezwiednie uczestniczyli w zgładzeniu tylu istnień, ciążyła obojgu na sumieniu.

Ich przeciwnik zaplanował morderstwa kilku aspektorów, aby ukrącić ich opusy, a to zaklęcie pochodziło z jednej z tych ksiąg. Dlatego powiedzieć, że posiadanie jej było niebezpieczne, to jak nic nie powiedzieć. A mimo to Elsie nie potrafiła się jej pozbyć. Była zbyt cenna. Jednak Elsie nie mogła jej sprzedać ani użyć...

Wzdychając, włożyła zaklęcie z powrotem w bezpieczne miejsce pod własnym gorsetem i wzięła głęboki oddech, żeby pozbyć się resztek niepokoju.

Elsie nadal miała problem z przetrawieniem wiedzy, że Mistrzynie Lily Merton, ta radosna, stara duchowa aspektorka, która mówiła, jakby śpiewała, i przyjaźniła się z całym światem, robiła tak okropne rzeczy. Czy ona współpracowała z innymi? Z tymi, którzy wiedzieli, co robią, jak Abel Nash? Nie było takiej możliwości, żeby Mistrzynie Merton była zdolna do kon-

trulowania wielu ludzi naraz. Czy teraz, kiedy Ogden został uwolniony, upatrzyła sobie już następnego pionka? Czy może spróbuje odzyskać Ogdena?

Minął tydzień, od kiedy Elsie zdjęła kontrolujące zakłęcie Merton ze swojego pracodawcy, uwalniając go z duchowego niewolnictwa. A teraz... oczekiwała, że coś się stanie. Że Merton sama się zgłosi na policję. Albo że policja zapuka do jej drzwi. Że Bachus... co zrobi? Odgoniła od siebie to pytanie jak natrętną muchę. Miała i tak wystarczająco dużo niepokojących myśli, nawet bez infiltrującego je dużego i serdecznego mężczyzny.

Jednak nic się nie działo. Lily Merton się nie ujawniła, a poza tym nikt więcej nie umarł ani nie było żadnych kradzieży. To oczywiście jej nie martwiło, oznaczało jedynie, że prawo samo jej nie znajdzie. Pięć dni temu Ogden wysłał do władz anonimowy list, wskazując w nim na Merton. Ale gazety nic na ten temat nie napisały. Nawet siostry Wright o tym nie plotkowały. Dlatego Elsie wywnioskowała, że anonim Ogdena został najpewniej wysmiany. Mistrzynie Merton była przecież słodką staruszką, skaczącą z jednej proszzonej kolacji na drugą, aby rekrutować miłe młode panny do swojego Ateneum. Przecież to niemożliwe, żeby w skrytości była manipulatorką i morderczynią. A to z kolei oznaczało, że Ogden i Elsie będą musieli się sami tym zająć.

Z tym, że... żadne z nich nie wiedziało jak.

Nie było możliwości, żeby wydać Mistrzynie Merton bez jednoczesnego ujawnienia samych siebie. Elsie była łamaczką zakłęć, a Ogden mistrzem umyślowego aspektu, oboje byli niezarejestrowani. Elsie być może zdołałaby się z tego wykręcić na tyle, że skończyłaby w więzieniu albo w obozie pracy. Ale Ogden... on na pewno nie mógł liczyć na pobłażliwość sądu.

Elsie wstała, podeszła do okna i wyjrzała na Brookley, dostrzegając kilku przechodniów. Ale nie widziała nic i nikogo ważnego, żadnych czających się sług, zabójców, żadnych oficerów ani policjantów. Wzięła kolejny głęboki wdech, aby przywołać spokój, po czym wygładziła gorset i włosy, a następnie wyszła z pokoju i zeszła po schodach w dół, skąd rozchodził się zapach lanczu.

Emmeline właśnie stawiała zapiekankę z kuropatwy i marchewki na stole przed Ogdennem, który podparty pięścią, z łokciami na stole i okularami do czytania na nosie, przeglądał księgi. Kiedy Elsie podeszła, podniósł wzrok i po prostu pokręcił głową. Z jego strony też w takim razie nic. Elsie nie była pewna, czy będzie w stanie cokolwiek zjeść, pomimo że Emmeline tak się napracowała. Trzeba przyznać, że jej wypieki w ciągu ostatniego roku znacznie się poprawiły.

Emmeline odwróciła się w jej stronę i rozpromieniła.

– Ach, Elsie. Przyszedł do ciebie telegram.

Kiedy Emmeline przeszukiwała kieszenie fartucha i wyciągnęła z nich w końcu małą kopertę, puls Elsie przyspieszył. Koperta była szarawa. Elsie poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Listy Kapturew miały ten sam kolor. Ich rozkazy – rozkazy Merton, ponieważ pochodziły od niej – zawsze przychodziły w niepodpisanych kopertach, które ktoś wsuwał w rzeczy Elsie. Każdy list informował, jak wykonane przez nią zadanie ulży w niedoli mieszkańcom jej kraju, co przeważnie odbiegało od prawdy.

Ale nie... nie dostałaby już kolejnego takiego listu. Wszystkie wyszły spod ręki Ogdena, a on został uwolniony od zakłęcia. Mistrzynie Merton z pewnością nie spróbowałyby kontakto-

wać się z nią bezpośrednio. Nie, żeby Elsie mogła użyć tego dowodu, żeby ją oskarżyć. Nawet gdyby Elsie nie zniszczyła wszystkich listów od Kapturów, obciążały one Elsie jako uczestniczkę przestępczej działalności, a odręczne pismo Ogdena mogłoby zostać wykorzystane przeciwko niemu.

Prezentując najlepszy uśmiech, na jaki było ją stać, Elsie podziękowała Emmeline, wzięła kopertę i usiadła przy stole, otwierając ją, kiedy Emmeline krajała zapiekankę. Czuła na sobie wzrok Ogdena, ale liścik nie miał nic wspólnego z Mistrzynią Merton. Pismo pochodziło od naczelnika poczty, a wiadomość od Bachusa Kelseya. Dostrzegła jego imię przed wszystkim innym i poczuła ucisk w piersi.

Chciałbym się z Tobą zobaczyć. Moglibyśmy umówić się na spotkanie?

Oblizując usta, zwinęła ciasno kartkę i wetknęła ją pod nogę. Nie widziała Bachusa – to znaczy Mistrza Kelseya – od kiedy zjawił się w sali szpitalnej, w której leżał Ogden po tym, jak został uwolniony z kopca cementu powstałego z zakłęcia opusu. Policja nadal nie rozumie, jak to się stało, ale dzięki umiejętności Ogdena do opierania się i uchylania przed podchwytliwymi pytaniami dociekliwych śledczych nie podejrzewano ani jego, ani Elsie czy Mistrza Kelseya o jakiegokolwiek niecne uczynki.

Elsie bardzo chciała zobaczyć Bachusa, porozmawiać z nim, pospacerować z nim... ale także obawiała się o niego. Merton musiała podejrzewać, że Elsie poznała prawdę, a Bachus był najświeższym celem Mistrzyni. Gdyby zaangażował się w tropienie duchowego aspektora, żeby wsadzić go za kratki, najprawdopodobniej znów stałby się jej celem. Lepiej by było, żeby aspektor z Algarve pozostał niezaangażowany. W rzeczy samej byłoby lepiej, gdyby popłynął do domu, na Barbados, tak szybko, jak to możliwe, nieważne jak nieszczęśliwa byłaby Elsie, gdyby dzielił ich ocean.

– Elsie? – zapytał Ogden, nieświadomy tego, że właśnie podawano mu pieczeń.

Emmeline uśmiechnęła się.

– A to czasem nie od pana Kelseya, co?

Elsie poczuła, że pieką ją uszy.

– Mistrza Kelseya, Emmeline.

– Ach. Tak – oczywiście przyjaciółka absolutnie nie poczuła się urażona przypomnieniem, że pozycja Bachusa była teraz o wiele szczebli wyższa od Elsie. – Ale od niego?

Na środku języka Elsie formowało się już kłamstwo, ale wystarczyło jedno spojrzenie na Ogdena, żeby zmusiła się do jego przeknięcia. Pomiędzy nimi było za dużo nieszczerości, zamierzonej bądź nie. Musiała mu powiedzieć.

– Tak – odrzekła, a Ogden opuścił ramiona. – Chce tylko odwiedzić mnie przed wyjazdem.

Emmeline wyglądała na przygnębioną.

– Więc on jednak wyjeżdża?

Prostując się i przyjmując porcję parującej zapiekanki, Elsie odpowiedziała:

– Oczywiście, że tak. Przyjechał do Anglii jedynie po to, żeby awansować na mistrza, a to już się stało. Po co miałby zostawać?

Nie odrywała wzroku od małej kałuży sosu, który wypłynął na jej talerzu, ale wyczuła, jak Ogden pokręcił głową w kierunku Emmeline. Czy znał ją aż tak dobrze, czy może czytał jej

w myślach? Tak właśnie działała magia umysłu – wpływała na świadomość. Czytanie w myślach, telepatia, tłumienie lub piętrzenie emocji... Ale zorientowałyby się, gdyby Ogden potraktował ją swoją magią, prawdą? Jedną z jej umiejętności jako łamaczki zaklęć było wyczuwanie magii. Zaklęcia fizyczne można było dojrzeć, te umysłu – dało się wyczuć, duchowe miały dźwięk, a tymczasowe – zapach. Od tygodnia siedziała jak na szpilkach, czekając, aż odczuje, że Ogden traktuje ją magią. Ale dotąd się to nie wydarzyło. Albo Ogden powstrzymywał się od węszenia, albo miał dużą wprawę w ukrywaniu swojego czarowania, jak miało to miejsce przez niemal dekadę, odkąd go znała.

Tak czy siak, Elsie nie mogła pozbyć się uczucia lepkiego jak smoła, które bulgotało jej w czaszce. Rzeczywiście lepiej dla Bachusa, żeby wyjechał, nie tylko dlatego, że tak byłoby bezpieczniej, ale także dlatego, że trzymał jej dłoń. Ponieważ mówiła do niego po imieniu.

Ponieważ pocałowała go w policzek i nadal czuła go na ustach.

Elsie pozwoliła mu za bardzo się do siebie zbliżyć. Jeszcze trochę i mógłby odkryć to, co sprawiło, że ludzie się od niej odwracali, co piętnowało ją jako zapomnianą, niechcianą i niekochaną. Alfred to odkrył, a także jej matka i ojciec, jej rodzeństwo. A teraz, kiedy zdjęto już z niego kłatwę, także Ogden najprawdopodobniej wkrótce to dostrzeże.

– Och, Elsie – odezwała się Emmeline, wyciągając do niej dłoń. – Nie miałam nic na myśli. Byłam tylko ciekawa.

Koncentrując na powrót uwagę, Elsie zebrała się w sobie i uśmiechnęła delikatnie.

– Ależ nie, Emmeline. Wcale nie jest mi smutno. Po prostu rozmyślałam o ostatniej książce, którą miałyśmy przeczytać, i o tym, jak beznadziejna wydawała się sytuacja barona.

Emmeline kiwnęła głową. Wyglądała na to, że jej uwierzyła, ale Elsie nie była pewna.

– Pozostała mi do przeczytania jeszcze tylko jedna pozycja. I powinna tu dotrzeć lada dzień!

Emmeline chwyciła filiżankę i napełniła ją, podając Ogdenowi, który jak zwykle dodał do niej zdecydowanie za dużo cukru i śmietanki.

Tak naprawdę Elsie całkowicie zapomniała o czytanej ostatnio powieści.

Wbiła widelec w zapiekankę. Naprawdę ładnie pachniała, co sprawiło, że rozwiązał się węzeł, który był zaciśnięty na jej żołądku. Widelec wszedł gładko przez skórę – Emmeline upiekła ją perfekcyjnie. Elsie nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz sama piekła zapiekankę... w zeszłe lato, być może? Emmeline skręciła wtedy kostkę. Zapiekanka była co prawda jadalna, ale nie pachniała ani nie wyglądała nawet w połowie tak dobrze jak ta.

Elsie wsunęła kęs do ust. Mięso było tak gorące, że ledwo dało się je jeść, ale maślany smak złagodził to odczucie. Przeżuła, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Bóg zapłać, Emmeline, to jest...

Ktoś załomotał w drzwi frontowe.

Elsie niemal upuściła widelec. Telegram, który wsunęła pod nogę, palił ją jak żarzący się węgielek. Czy Bachusowi chodziło o spotkanie dzisiaj? Być może telegram przyszedł wczoraj, a Emmeline o nim zapomniała? Jej ciało znów się spięło, mięśnie naprężyły, a napięcie niemal miażdżyło kości. Dotknęła włosów. Mógłby zjeść z nami lancz. To dałoby jej chwilę, żeby zebrać myśli...

Emmeline, która już właśnie miała usiąść, powiedziała:

– Otworzę – i pośpiesznie wyszła z jadalni do warsztatu, który zajmował front domu. Elsie nie mogła jej dojrzeć, ale przerwała posiłek, nasłuchując – a potem zeszywniała.

Jak muśnięcie pióra, na skórze poczuła narodziny zakłęcia rozumu. Ale runa nie była skierowana w jej stronę. Nie, Ogden odchylił się na krzesło, skupiony na frontowej części domu. Czy rzeczywiście potrafił czytać w myślach na taką odległość? Czy może rzucał coś innego? Elsie miała najmniej doświadczenia w zakłęciach rozumu, więc nie mogłaby tego rozpoznać bez dodatkowych ćwiczeń.

– Co mówią? – wyszeptwała, ale Ogden się koncentrował, więc Elsie wstała, cisnęła serwetkę na stół i poszła sama zobaczyć. To na pewno tylko zamówienie na coś rzeźbionego; Elsie wczoraj dostarczyła wszystkie ukończone przez Ogdena prace, więc to nie jest ktoś po odbiór zamówienia.

Ale kiedy Elsie weszła do pracowni, Emmeline zerknęła na nią z przerażeniem w oczach. W drzwiach stało dwóch policjantów w ciemnogrnatowych mundurach zapiętych na guziki sięgające aż po same brody.

– Czy to ona? – zapytał Emmeline wyższy z nich, ale dziewczyna nie odpowiedziała.

Serce Elsie podeszło do gardła tak bardzo, że ledwo mogła mówić.

– Czy to kto? Mogę wiedzieć, co tak przestraszyło naszą służącą?

– Elsie Camden? – zapytał ten drugi.

Po plecach przeszedł ją dreszcz, ale stała wyprostowana.

– To ja.

Policjanci spojrzeli na siebie, a potem weszli do środka. Dopiero wtedy Elsie zauważyła, że za progiem było ich więcej. Wyższy mężczyzna podniósł kajdanki.

– Jest pani aresztowana za praktykowanie niezarejestrowanego łamania zaklęć. Proszę pójść z nami po dobroci, jeśli chce pani uniknąć nieprzyjemności.

Rozdział 2

Bachus Kelsey podniósł wzrok i zdał sobie sprawę, że wszyscy się w niego wpatrują.

Na lanczu nie zebrało się dużo gości, tylko członkowie rodziny – Izajasz Scott, księżę Kentu; jego żona, Abigail; i ich córki, Ida oraz Josie. Ale wszyscy bacznie mu się przyglądali, przez co Bachus potarł brodę z jednej strony, żeby sprawdzić, czy nie ma może w niej jedzenia.

Na szczęście księżna Scott wyjaśniła powód ich zainteresowania, więc nie musiał pytać.

– Mój drogi, nie zjadłeś nawet połowy.

Spojrzał na talerz, na zjedzoną do połowy porcję baraniny z warzywami, które też wpatrywały się w niego. Reszta talerzy została już zabrana przez służbę.

Uśmiechając się niewyraźnie, powiedział:

– Chyba jestem dzisiaj pochłonięty myślami.

Josie uśmiechnęła się.

– Czyżby o panie Camden?

Księżna Scott zmarszczyła brwi – Josie.

Bachus nie odpowiedział, ale dziewczyna miała rację. Rzeczywiście myślał o Elsie. Tego ranka wysłał do Brookley telegram. Krótki, ale rzeczowy. Skontaktowałby się z nią wcześniej, ale pomyślał, że lepiej będzie poczekać. Niestety nie istniały żadne jednoznaczne zasady postępowania mające na celu pocieszenie damy, która niemal została zamordowana przez swojego opętanego pracodawcę. Kiedy Bachus opuszczał szpital w Londynie, Cuthbert Ogden nadal nie wyglądał zdrowo, a Elsie niewiele lepiej. Wyznała wszystko Bachusowi i chociaż jej uwierzył, nadal nie potrafił objąć tego rozumem.

Cuthbert Ogden stał za wszystkimi morderstwami i kradzieżami opusów. Jednak tak naprawdę to nie był on.

Więc kto?

Bachus wbił nóż w baraninę i zamyślony odkroił kawałek.

– O nieodległych planach – odparł wreszcie.

– Oczywiście miło nam będzie, jeśli zostaniesz – księżę oparł łokcie o stół.

– Jest pan bardzo hojny, dziękuję – Bachus przeżuł baraninę, przełknął. Pomyślał.

– W tym tygodniu powinienem wszystko zaplanować.

Przywoływał go Barbados – miał tam obowiązki, przyjaciół, pracowników, którzy na nim polegali – ale był zbyt zakotwiczony w Anglii, żeby chcieć ją opuścić. Zakotwiczony pytaniami pozostawionymi bez odpowiedzi i niepewną przyszłością. Nie było tutaj tych samych ograniczeń, które doskwierały mu przez całe życie, chociaż tyle. A to zmieniało postać rzeczy. No i pozostała także kwestia tego, jak zbliżyć się do pewnej kobiety...

Baxter, kamerdyner, właśnie w tym momencie wszedł do drugiej jadalni, a dźwięk otwieranych drzwi odbił się echem od sufitu. Była ona tak duża jak jadalnia używana na co dzień, ale

tamtą nadal remontowano po ataku Abla Nasha na Bachusa. Ataku, którego powstrzymanie niemal kosztowało Elsie życie. A Bachus był znacznie sprawniejszy w robieniu dziur w podłogach niż w ich naprawianiu. Nawet fizyczny mistrz aspektor – twórca zakłęb, który mógł wpływać na właściwości materii – potrafił tylko tyle.

Kamerdyner skłonił się.

– Przepraszam, że przeszkadzam, Wasza Miłość, ale w bawialni jest gość do Mistrza Kelseya.

Nieważny posiłek, Bachus wstał od stołu, usiłując nie dostrzegać podeksycytowania Josie.

Jego puls przyspieszył:

– Kto?

– Pan Ogden, z Brookley.

Bachus usiłował ukryć zaskoczenie:

– Sam?

– Tak, panie.

Bachus spojrział na księcia, ale to księżna machnęła na niego dłonią:

– No idź. Zobaczymy się podczas herbatki, czy tak?

Bachus kiwnął głową i podążył za kamerdynerem, niemal przewracając go w drodze do salonu. Kiedy Baxter otworzył drzwi, Cuthbert Ogden odwrócił się od okna. Był ubrany skromnie, lecz z finezją, włosy miał zaczesane do tyłu. Był to tęgi mężczyzna, potężnej postury, a jego oblicze odzyskało już zdrowy wygląd. Był zaledwie kilka centymetrów niższy od Bachusa, dłonie miał złożone za plecami.

Uśmiechnął się.

– Ach, Mistrz Kelsey. Miałem nadzieję, że omówimy zdobienia, zanim powróci pan do domu.

Bachus zmarszczył brwi.

– Zdob...

Raczy pan podchwycić grę.

Bachus niemal się zakrztusił, wypowiadając pytanie, kiedy głos Ogdena wkradł się do jego myśli. Poczł gęsią skórkę na ramionach. Więc to była prawda. Ten mężczyzna był aspektorem umysłowym. Elsie odkryła to podczas pościgu przez doki Świętej Katarzyny.

– Tak, dziękuję za spotkanie – skinął głową na kamerdynera, który rzucił okiem na gościa, po czym w milczeniu opuścił pomieszczenie. – Miałem nadzieję, że będzie pan mógł przyspieszyć tempo prac.

Ogden kiwnął głową:

– Oczywiście. *Nie tutaj.*

Bachus wskazał na drzwi:

– Czy moglibyśmy o tym porozmawiać na zewnątrz? Moje nogi domagają się ruchu.

– Z przyjemnością – znowu uśmiech, a potem Ogden podążył za Bachusem. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem, kiedy przechodzili korytarzem na pierwsze piętro, które prowadziło na zewnątrz. Ogden odczekał, aż oddalą się dostatecznie od domu, po czym zaczął mówić:

- Rozumiem, że jest pan świadomy pewnych rzeczy – powiedział, trzymając nadal dłonie złożone za plecami, kiedy tak spacerowali.

Bachus przyjął podobną pozę i przyspieszył:

- Jeśli ma pan na myśli wydarzenia sprzed tygodnia, to tak, jestem świadomy.

- Wspaniale – nagle się zatrzymał, spoglądając przelotnie na dom. – Proszę wybaczyć to wtargnięcie, ale potrzebuję pana pomocy, Mistrzu Kelsey. Nie mam ani pieniędzy, ani pozycji, żeby jej pomóc, a potrzeba nam wszystkich sojuszników, jakich tylko możemy zdobyć.

- Pomóc jej? – powtórzył za nim Bachus, a jego żołądek się zacisnął. Zniżył głos: – Czy coś się stało Elsie?

Ogden zacisnął szczękę:

- Została aresztowana.

Opuszczając ręce, Bachus zrobił krok w tył.

- Pod jakim zarzutem?

- Nielegalnego łamania czarów, a niby pod jakim?

Ogden znów zaczął iść, a Bachusowi zajęło chwilę, zanim jego umysł połączył się z nogami, żeby za nim nadążyć.

Zrobił to wreszcie, w połowie sycząc:

- Jest pan nad wyraz spokojny.

- Jestem spokojny, bo muszę taki być – jego słowa były twarde jak kute żelazo. – Ponieważ nawet ja nie mogę dostać się do umysłów wszystkich policjantów i sędziów i przekonać ich, że Elsie jest niewinna. Powinniśmy już ruszać; nie jestem pewien, jak postępować ani jak szybko mogą ją skazać. Pan wie o sposobach działania Ateneum znacznie więcej niż ja.

Serce Bachusa łomotało w klatce piersiowej, a kręgosłup zrobił mu się sztywny jak marmur.

- Od razu wezwę powóz.

- Nie trzeba. Już jeden na nas czeka. Przekonałem jednego z waszych służących, że to najwyższa potrzeba, kiedy tu szedłem.

Myśl, że ten człowiek wdzierał się do umysłów służących, do jego własnego umysłu, powinna go zaniepokoić, ale Bachus nie potrafił oderwać myśli od Elsie.

- Kiedy ją zabrali?

- Dziś rano. Wyjaśnię wszystko po drodze.

I oczywiście, kiedy zbliżyli się do alei, pojawił się jeden z woźniców hrabiego z powozem. Tym najszybszym, jeśli Bachus się nie mylił. I dobrze. Nie mieli czasu do stracenia. Nie, kiedy zagrożone było życie Elsie.

I pomyśleć, że zaledwie przed dwoma tygodniami Bachus sam był gotów wtrącić ją do celi. A teraz oddałby prawą rękę, żeby ją z niej wyciągnąć. Dwukrotnie uratowała mu życie: pierwszy raz, kiedy wykryła i usunęła zakłęcie wysysające, które wyciągało z niego siły i energię, odkąd był chłopcem, a drugi raz, udaremniając plan Abła Nasha, który chciał trafić go błyskawicą. Jednak pomijając te wszystkie akty odwagi, zaskakiwała go temperamentem, nieustępliwością i swoim miękким sercem, które skrywała. Rozśmieszała go, zmuszała do myślenia,

sprawiała, że czuł, że żyje, a wyobrażenie sobie stryczka owiniętego wokół jej szyi przeszywało go bólem.

Przyspieszył kroku, a Ogden razem z nim. Jednak zanim dotarli do alei, Ogden zapytał:

– Nie widział pan przez przypadek Mistrzyni Merton w tym tygodniu, co?

Bachus zwolnił.

– Nie, a dlaczego?

Ogden wpatrywał się przed siebie martwym wzrokiem.

– Bo to jedyna osoba, która mogła oskarżyć Elsie.

Elsie nie wiedziała, co ma myśleć. Co robić. Czy mieć jakieś nadzieje. Po prostu gapiła się więc na przecinające się pręty w drzwiach jej małej celi, nasłuchując pojawiających się od czasu do czasu kroków. Obojętna, wystraszona i zmarznięta.

Podróż do tego miejsca była długa i uciążliwa, ponieważ w wozie, do którego ją wsadzono, nie było nawet jednej ławki, na której można by usiąść. Myślała, że zabrano ją prosto do Londyńskiego Ateneum Fizycznego, ale najwyraźniej Zgromadzenie nie chciało, aby przestępcy jej pokroju zbliżali się do ich cennych ksiąg. Nie, została przewieziona do Więzienia Jej Królewskiej Mości w Oxfordzie, placówki stworzonej przez londyńskie atenea, aby trzymać w nich aspektorów – mężczyzn i kobiety, którzy mogli potencjalnie stopić kraty lub przekonać strażników, aby pozwolili im uciec. Dostrzegła, że wśród patrolujących funkcjonariuszy też znajdowali się łamacze zakłéc – wyposażeni w fioletowe odznaki, odróżniające ich od twórców zakłéc, których odznaki były niebieskie, gdy byli fizyczni, czerwone, gdy byli umysłowi, żółte, gdy byli duchowi, podczas gdy zielone przydzielano tymczasowym.

Umieścili ją w celi wielkości szafy, chronionej jedynie przez kraty i mur z kamieni. W przypadku Elsie takie zabezpieczenia były wystarczające. Wprawdzie potrafiła rozplątać każde zakłęcie, którym można by ją uwięzić, to nie potrafiła rzucić żadnego, żeby się stąd uwolnić. Cella miała około półtora metra wysokości, półtora metra długości i niecały metr szerokości. Za mała, by można się było położyć bez zginania kolan albo stać bez schylania głowy. Być może o to właśnie chodziło. Stuletnie kamienie były nakrapiane bielą i szarością, a w rogach na suficie łuszczył się tynk. Nie było materaca ani słomy, ale za to przydzielono jej szorstki koc i nocnik na odchody. Nikt nie stał przed drzwiami tej klatki, ale mimo to Elsie nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, że zadziera suknię i korzysta z niego, kiedy ktoś mógłby w każdej chwili przejść obok. Jeszcze tego nie zrobiła, chociaż pęcherz dawał jej się coraz bardziej we znaki.

W końcu zapadnie noc. Wtedy skorzysta. Da radę poczekać.

Przyniesiono jej już brudną tacę z jedzeniem na kolację. Niedługo zrobi się ciemno.

Nie była pewna, że chce nadejścia ciemności.

Może byłoby lepiej, gdyby nie była sama – gdyby była w jednej z tych większych cel z innymi osadzonymi. Miałaby przynajmniej z kim porozmawiać. Z drugiej strony to towarzystwo mogłoby się składać z bandytów, morderców i innych oprychów.

Wreszcie zrobiło się na tyle chłodno, że Elsie wzięła koc. Nie pachniał za dobrze, ale był czysty, więc owinięła nim ramiona, opierając się bokiem o ścianę, żeby zmniejszyć nieco ból, który rósł jej w krzyżu. Przynajmniej nie zakuli jej w dyby. Widziała dwie kule po drodze tutaj, w tym jedną w użyciu. Zakuty mężczyzna miał założone na dłoniach wielkie żelazne kule, żeby nie używał magii. Chwała Bogu, że jej jeszcze nie odebrano dłoni. Jeszcze.

Wyobrażnia Elsie najeżyła się, kiedy słońce wpadające przez okno w korytarzu – w jej celi nie było okien – zmieniło odcień na pomarańczowy.

Czy jej też odetną dłonie? Ześlą ją do przytułku? Czy po prostu założą jej pętlę na szyję i zakończą to szybko?

Szloch utkwił jej w gardle. Elsie zaczęła się mocować z sukienką, aż zdołała poluzować gorset i odetchnąć. Potem przeciągnęła kolana do klatki piersiowej i oparła o nie czoło, chowając twarz pod kocem. *Boże dopomóż*, jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała. Nawet kiedy opuściła ją jej własna rodzina i Hallowie zawieźli ją do przytułku. Wtedy przynajmniej nie obawiała się śmierci.

Drżąc, mocniej owinięła się kocem. Żałowała, że nie może po prostu zasnąć i obudzić się już po wszystkim, ale jej obezwładnione strachem ciało odmawiało odpoczynku. Elsie była pewna, że już nigdy nie zaśnie.

Zaciskając zęby, usiłowała zebrać myśli.

Panie, wiem, że nie jestem zbyt pobożna, ale proszę, pomóż mi...

– Cóż to za ponure miejsce.

Na dźwięk znajomego głosu kończyny Elsie przebiegł prąd i zerwała się na nogi, koc spadł na podłogę, a ona czubkiem głowy uderzyła o sufit. Wpatrywała się dziko w drzwi, które nadal były porządnie zamknięte. Kobieta, która wypowiedziała te słowa, była w środku, pod lewą ścianą.

Chłód przeniknął kości Elsie, kiedy wpatrywała się w Mistrzynię Lily Merton.

Kobieta w sile wieku założyła krótki kręcony pukiel włosów za ucho.

– Ale dla nas jest odpowiednie, prawda, moja droga? Nie chciałbyśmy, żeby nam przeszkadzano.

Elsie cofnęła się, aż dotknęła plecami ściany za sobą.

– To pani sprawka.

Mistrzyni Merton machnęła lekceważąco dłonią.

– Przecież nie mogłam z tobą rozmawiać w pracowni kamieniarza, prawda? Nie, kiedy ten głupek czai się za rogiem – cmoknęła. – Cóż za strata. Naprawdę powinnam być na ciebie zła, Elsie.

Ścisnął jej się żołądek.

– Zła? Po tym, co pani zrobiła...

Słowa uwieźły jej w gardle, kiedy wpatrywała się w niższą od siebie rozmówczynię.

Poprzez jej twarz i ramiona mogła dojrzeć, jak kamienna ściana za jej plecami zmieniała się z ciemnej w jasną; fioletowa suknia, którą miała na sobie, wydawała się utkana z powietrza, jej krawędzie były rozmyte.

Projekcja. Oczywiście. Większość najbardziej zaawansowanych duchowych aspektorów miała zdolność do ich tworzenia. Projekcja była na tyle mocna, że Merton musiała być gdzieś blisko. Być może nie na terenie posesji, ale w lesie, który ją otaczał?

Elsie przełknęła ślinę.

– Gdzie pani jest?

Mistrzynie zachichotała.

– Tego ci nie powiem. – Spojrzała za siebie, ale Elsie nie potrafiła rozpoznać, czy przyglądała się więzieniu od wewnątrz, czy być może spoglądała na coś w miejscu, w którym naprawdę się znajdowała. Może coś usłyszała?

Wstrzymała oddech – jeśli zdołałaby zagadać Mistrzynie Merton, to może zobaczyłby ją jakiś strażnik! Wtedy Elsie powiedziała by wszystko władzom i doprowadziła do aresztowania Mistrzynie. Elsie nie miała nic do stracenia, jeśli tylko mogłaby ochronić Ogdęna przed składaniem zeznań.

Rozważając tę myśl, powiedziała:

– Tamtej nocy, w domu hrabiego...

– Nie przyszedłam tutaj na pogaduszki, moja droga – odpowiedziała projekcja głosem nieco podniesionym ponad szept. Na górze nie było słychać żadnych kroków, na korytarzach również. Czy Mistrzynie Merton znała grafiki strażników, czy może w jakiś sposób ich zmyliła? – Ale mam dla ciebie propozycję. Oczyszczę twoje imię, jeśli przyłączysz się do mnie.

Elsie gapiała się na nią.

– Ale dlaczego?

Projekcja złożyła dłonie.

– Jesteś naprawdę cenna, Elsie, zwłaszcza po tym, co się stało z Nashem.

Elsie odepchnęła się od ściany.

– To, co stało się z Nashem, było pani sprawką...

– I naprawdę nie chciałam cię stracić – kontynuowała Mistrzynie. – Szczerze, jesteś dla mnie jak córka.

Poczuła ukłucie żalu. Kiedyś postrzegając Kaptury jak swój najcenniejszy sekret – anonimowych dobroczyńców, którzy wyrwali ją z mroku i dali jej coś ważnego do zrobienia... a potem poznała prawdę. Potrząsnęła głową. Poczuła nacisk zakłęcia z opusu, które ukryła pod gorsetem, przypominało jej o swojej obecności, ale tutaj by się jej nie przydało.

– Jesteś morderczynią i złodziejką. Od samego początku mnie wykorzystywałaś!

– Niezbyt – odwróciła wzrok, wyglądała na przygnębioną. – Nie zaangażowałam cię w to, na początku. Chciałam, żebyś poznała swoje zdolności i używała ich do dobrych celów. A reszta... wszystko dzieje się znacznie później, niż się spodziewałam.

Elsie wpatrywała się w nią. *Na początku*. Czy miała na myśli zadania, które przydzielała Elsie w dzieciństwie? Odczarowanie muru, który stał na środku pola, i dostarczenie do sierocińca koszyków z chlebem? Czy ona naprawdę sądzi, że takie małe rzeczy mogły zrównoważyć morderstwo?

– O co pani chodzi z tym, że wszystko dzieje się znacznie później, niż się pani spodziewała? – zapytała ostrożnie.

Merton spojrziała na nią, a ich oczy się spotkały.

- Chciałam cię zaadoptować, drogie dziecko, kiedy uratowałam cię z tamtego przytułku. Ale wiedziałam, że jeśli miałam wykorzystać twoje talenty, powiązanie byłoby zbyt oczywiste. Więc zamiast tego umieściłam cię w Brookley.

- A-adoptować? - Merton na pewno żartowała. Chociaż wyglądała i brzmiała szczerze. Tak szczerze, jak mogła, zważywszy na to, jaka była.

Strzepnęła z serca wszelkie ciepłe uczucia.

- Umieściła mnie pani w miejscu, w którym musiałam pracować dla okropnego człowieka - Squire Hughes był jej pierwszym pracodawcą w Brookley, a był nie lepszy niż król Jan z opowieści o Robin Hoodzie.

- Pracowałaś dla bogatego człowieka. Niczego ci nie brakowało - odparła Merton - i na własne oczy mogłaś oglądać niegodziwość, którą musieliśmy zwalczać.

Na wspomnienie niegodziwości Elsie aż ugryzła się w język z powodu hipokryzji. Przysunęła się o kilka centymetrów.

- Odebrała pani wolę Ogdenowi...

- To była twoja sprawka, moja droga - jej twarz znów nabrała ostrego wyglądu. - Nigdy bym się o nim nie dowiedziała, gdyby nie ty.

Elsie zachwiała się do tyłu, jakby ją ktoś uderzył. Przecież to nie była jej wina. W głębi duszy o tym wiedziała. To nie ona nałożyła zakłęcie na Ogdena. Nie wykorzystwała jego ukrytych zdolności, żeby planować morderstwa aspektorów i kradzieże ich opusów.

A mimo to właśnie ona naprowadziła Merton na niego, choć nieświadomie.

Jednak to nie umniejszało jej bólu.

Mistrzynie Merton otrzepała spódnice.

- Być może potrzebujesz więcej czasu, żeby to przemyśleć - przerwała. - Mam szczerą nadzieję, że sędzia będzie łagodny - dodała nonszalanckim tonem.

I tak szybko, jak się pojawiła, projekcja Mistrzynie Merton zniknęła, jakby jej tam nigdy nie było. A Elsie została całkowicie i beznadziejnie sama.

Znowu.

Rozdział 3

Elsie śniła o dybach, kiedy nagle uderzenie w kraty wyrwało ją ze snu. Wcisnęła się w odległy róg, oparła głowę o chłodne kamienie i zdołała zasnąć. Chwilę minęło, zanim doszła do siebie, przypomniała sobie, gdzie jest i w jakim kłopotliwym położeniu, i zanim rozpoznała osoby znajdujące się po drugiej stronie krat. Nie znała strażnika, który uderzał pałką o pręty, ale widok dwóch pozostałych osób spowodował, że jej puls ruszył jak szalony, zupełnie ją wybudzając.

- To nie było potrzebne - warknął Bachus, ale nie odrywał oczu od Elsie. Obok niego stał Ogden, ze skrzywionymi ustami i ramionami założonymi na piersi w geście niezadowolenia.

Jeden Bóg wie, że powinna być zawstydzona, że widzą ją w takim położeniu, rozczochraną, w pognicionej sukni, skuloną jak zbity pies, ale czuła tylko i wyłącznie ulgę. Podniosła się za szybko, przez co zakręciło jej się w głowie i o mały włos nie rąbnęła czubkiem głowy o sufit. Opierając się o ścianę, żeby się uspokoić, wymamrotała:

- Ja... myślałam, że nikt nie może mnie odwiedzać.

- W każdym razie nikt biedny - odparł strażnik, zerkając na Bachusa. - Pięć minut - dodał, a potem oddalił się korytarzem i zniknął z pola widzenia Elsie.

Ogden sięgnął ręką przez kraty; Elsie, cały czas pochylona, pokonała tę maleńką przestrzeń i chwyciła jego dłoń.

- Nie jest tak strasznie - skłamała, a potem dodała do Bachusa:

- Nie sądzę, że takie spotkanie miałeś na myśli.

Bachus zakpił:

- Przynajmniej nie przytępili ci poczucia humoru.

Elsie uśmiechnęła się na te słowa... a potem dostrzegła swój nocnik raptem kilkadziesiąt centymetrów dalej. Całe jej ciało przybrało kolor szkarłatu.

- Powiedziałem mu - odezwał się Ogden, odnosząc się do Bachusa. - Teraz wie wszystko.

Elsie przełknęła ślinę.

- Była tutaj, w nocy.

Bachus zbladł.

- Merton? Tutaj?

- Przez projekcję. Praktycznie przyznała się do wszystkiego - że mnie znalazła w przytułku, że kontrolowała Ogdena, że mnie wydała. Zaproponowała, że mnie stąd wydostanie, jeśli z własnej woli z nią pójdę.

Ogden zmarszczył brwi.

- Czyli nadal cię chce.

Przynajmniej ktoś mnie chce, pomyślała, ale zaraz od tej myśli zrobiło jej się niedobrze. Bo czyż Bachus i Ogden nie natrudzili się, żeby się tu dostać?

Bachus, który prawie kucał, żeby ją dostrzec przez kraty, wyszeptał:

- Nikt jej nie widział?

Elsie potrząsnęła głową.

Przez chwilę się zastanawiał.

- Jako jedyny świadek nikogo nie przekonasz. Ale umówiłem się na spotkanie z sędzią, żeby omówić twoją sprawę. Musi istnieć jakiś sposób, żeby cię z tego jakoś wykręcić.

Serce Elsie na moment się zatrzymało.

- Szczerze?

- Dla łamaczy zakłęb przewidziano okres łaski, ponieważ ich zdolności są wrodzone - wyjaśnił ciepłym głosem i pośpiesznie. - Przyjrzałem się temu.

Elsie poczuła gorycz w ustach. Wiedziała, że jest łamaczką zakłęb, od kiedy skończyła dzie sięć lat.

- Jak długi jest ten okres?

- Rok.

Objęła się ramionami.

- Bachus...

- Pozwól mi z nim pomówić - nalegał.

Ogden zapytał:

- Przyznałaś się do czegoś?

- Nie - przynajmniej tyle - nic im nie powiedziałam.

Ogden wypuścił długi oddech.

- Dobrze - potarł szczecinę porastającą jego brodę, zastanawiając się nad czymś. - Mogę to sobie niemal wyobrazić, to miejsce, do którego poszedłem, kiedy Merton zmusiła mnie do biegu. Gdzie ukryta była reszta zakłęb z opusu. Gdybyś mogła znów je znaleźć... może byłyby tam jakieś dowody łączące z tym Merton. Ostatecznie zyskalibyśmy chociaż zakłęcia do obrony, kiedy znów zaatakuje.

Elsie wyjrzała przez kraty, czy nie zbliżają się jacyś strażnicy, ale Ogden mówił tak cicho, że wątpiła, aby ktoś mógł go usłyszeć.

- Elsie - przez chwilę wydawało jej się, że Bachus wyciągnął do niej rękę, i jej serce przyspieszyło w oczekiwaniu, jednak jego duża dłoń owinęła się tylko wokół jednego z żelaznych prętów - wydostaniemy cię stąd, w taki czy inny sposób.

Zagryzając wargę, spojrziała na osaczającą ją skąpą przestrzeń.

- Być może, Bachusie. Ale nawet mistrz aspektor nie potrafi wymazać prawa.

- Elsie, spójrz na mnie.

Spojrziała w zieleń jego oczu, tak żywą, pomimo cieni w celi. Tym razem to ona była uwięziona, nie on. Przez króciutką chwilę pozwoliła sobie na wspomnienie dotyku jego skóry na jej ustach. Ale nie mogła od niego uciec - czy od tego, jak przez niego się czuła - tym razem. Nic nie mogła zrobić.

Jego spojrzenie było krótkie i stanowcze.

- Wydostanę cię stąd, nawet jeśli będę musiał samodzielnie stopić ten zamek, rozumiesz?

Wpatrywała się w niego, tak bardzo pragnąc mu uwierzyć. Chcąc zignorować strach i niepokój jątrzące się pod żebrami i pozwolić sobie na nadzieję, ale nadzieja zawsze ją raniła.

A mimo to, bezwiednie kiwnęła głową. Nie był to wyraz nadziei. Chodziło raczej o marzenie.

- Działalność związana z magią jest często nietrwała - mruknął Ogden. - Będę musiał wytropić opusy najszybciej, jak się da. Znaleźć sposób, żeby je powiązać z Merton.

Elsie kiwnęła głową.

- Jedź. Emmeline sobie poradzi.

Ich naradę zakończył odgłos zbliżających się kroków.

- Czas minął! - warknął strażnik.

Ogden go zignorował.

- Zostawiam to panu, Mistrzu Kelsey.

Zanim Bachus zdążył cokolwiek powiedzieć, zbliżył się do nich strażnik i mężczyźni odsunęli się od krat. Elsie poczuła tysiąc nici, które ją z nimi łączyło niczym zaklęcie, i ruszyła za nimi na tyle, na ile pozwoliły jej ciężkie drzwi, obejmując obiema dłońmi nieustępliwe żelazo.

Bachus okrył jej dłonie swoimi, ciepłymi, które na chwilę odpędziły od niej chłód.

- Bądź ostrożny - szepnęła.

- No już - strażnik machnął pałką.

Obydwaj, Bachus i Ogden, oszczędzili jej ostatniego spojrzenia. Odeszli, a Elsie przycisnęła twarz do krat, obserwując ich, aż zniknęli jej z pola widzenia, potem nasłuchując ich kroków, aż i one ucichły. W więzieniu znowu zapadła cisza, z wyjątkiem nagłego, krótkiego lamentu więźnia gdzieś w sąsiedniej celi.

Elsie padła na kolana i ku swojemu zdziwieniu znów zaczęła się modlić z nadzieją, że Bóg poradzi sobie z jej ciernistymi myślami lepiej niż ona sama.

Bachus czekał niecierpliwie w salonie u sędziego, we wschodniej części Oxfordu. Był umeblowany na bogato, w kolorach czerwieni i kremu, i okrutnie kusiło go, żeby zmienić kolorystykę tego pomieszczenia, żeby móc się czymś zająć. Z pewnością nie zadziałałoby to jednak na jego korzyść. Chciał, żeby ten człowiek go polubił, a Anglicy odczuwali chyba wrodzoną niechęć do jego osoby. Wyglądał jak cudzoziemiec i tak był traktowany.

Starał się usiedzieć spokojnie, najpierw na eleganckiej sofie, a potem na bogato zdobionym mahoniowym krześle, ale czas płynął wolno, a jego myśli szalały, więc wstał i zaczął przemierzać salon. Najpierw znalazł się przed nierozpalonym kominkiem, a potem przy oknach, które wychodziły na skromne, ale starannie wypielegnowane ogrody. To było coś, co z pewnością by docenił, gdyby nie był tak bardzo skupiony na tym, co ma powiedzieć i w jaki sposób. Tak zdenewrowany nie był, nawet kiedy starał się o stopień mistrza w Londyńskim Ateneum Fizycznym. Jednak wtedy wiedział dokładnie, co robi, a teraz będzie musiał improwizować.

Pojawiła się służąca z herbatą na tacy. Postawiła ją na stoliku i podniosła filiżankę, ale Bachus ją zbył, więc obsłużyła tylko sędziego i wyszła. Kiedy ten wreszcie się pojawił, napój musiał już całkowicie ostygnąć.

Bachus pokłonił się niżej, niż to było konieczne.

- Lordzie Astley, dziękuję, że zgodził się pan na spotkanie.

Astley był mniej więcej wzrostu Elsie, czyli dość średniego jak na mężczyznę, i wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat lub coś koło tego. Miał obwisłą skórę na policzkach i szyi, która zdradzała, że mocno stracił na wadze, chociaż pod satynowym odzieniem odznaczał się nadal okrągły brzuch. Jego włosy były kręcone i zaczynały się już przerzedzać; kilka kosmyków utrzymywało jeszcze brązowy kolor, a reszta była w różnych odcieniach szarości. Na nosie miał okulary.

– Mistrz Kelsey – kiwnął w jego stronę. – Kamerdyner poinformował mnie, że przybył pan tutaj w sprawie Camden. Proszę mi wybaczyć spóźnienie, ale nie zapoznałem się jeszcze z dokumentacją, a do tego córka nalegała, abym wziął udział w pikniku w Parku Południowym – przewrócił oczami i wskazał na sofę. – Proszę usiąść.

Sędzia zajął miejsce na krześle ustawionym najbliżej herbaty i wziął do ręki filiżankę, którą zostawiła dla niego służąca. Kiedy upił łyk, skrzywił się, po czym odstawił naczynie na tacę.

– Czyli są panu znane zarzuty, jakie postawiono pannie Camden? – Bachus nie miał cierpliwości na pogaduszki, nie, kiedy wszystkie jego myśli wypełniał obraz Elsie w tej okropnej celi. Jeszcze nigdy nie widział jej tak bezbronnej, tak pokonanej. Te kraty całkowicie pozbawiły ją wywiczzonej arogancji.

Sędzia przytaknął.

– Rzeczywiście paskudna sprawa. I srogie kary, nawet dla kobiet.

– Sądzę, że to nieporozumienie. Panna Camden odkryła swoje zdolności całkiem niedawno. I obejmuje ją okres łaski przewidziany w celu zarejestrowania.

Lord Astley przyglądał się Bachusowi w sposób, który podważał jego pewność siebie.

– Ile lat ma panna Camden?

– Dwadzieścia i jeden rok.

Brwi mężczyzny zmarszczyły się w zdziwieniu.

– Łamacze zakłęcz zazwyczaj odkrywają swoje zdolności w okresie dojrzewania.

– Lecz nie zawsze – odparł Bachus. – Elsie zaczęła coś podejrzewać raptem przed miesiącem.

Lord Astley nalał sobie herbaty do kolejnej filiżanki, dodając dużo cukru.

– Dlaczego w takim razie nie zgłosiła się przed miesiącem?

Bachus zmusił się do utrzymania rozluźnionej postawy; czuł, jak jego mięśnie napinają się z każdym pytaniem.

– Bo tylko podejrzewała i oczywiście nie miała czasu ani odpowiedniego przeszkolenia, żeby to sprawdzić. Panna Camden to kobieta pracująca, pan rozumie. Jej pracodawca zasypuje ją zadaniami. A poza tym takim rzeczom zawsze towarzyszy strach.

Sędzia spojrzał Bachusowi w oczy.

– A czego niby miałyby się bać, skoro dopiero co dokonała tego odkrycia?

Bachus postawił na brawurę:

– Być może tego, że ludzie, do których się zgłosi, pomyślą, że na pewno odkryła swoje zdolności w okresie dojrzewania, i będą podejrzewali, że kłamie – poczuł ulgę, kiedy zauważył, że usta sędziego drgnęły.

– *Touché*. Ale według doniesień jest świadoma swoich zdolności już od jakiegoś czasu, a nawet ich używała.

Bachus nie dał się zbić z tropu.

– Wydaje mi się, że wiem, kto na nią doniósł, a ci dwoje spotkali się całkiem niedawno.

Sędzia rozważał przez chwilę jego słowa, ale sceptycyzm nadal znaczył jego czoło. Mistrzynie Merton najprawdopodobniej doniosła o łamaniu zaklęć anonimowo, bo jakżeby inaczej? Oskarżyciel zostałby poproszony o wyjawienie, skąd posiadał tę wiedzę, a Merton zbyt zachłannie chroniła swoje własne sekrety, żeby ryzykować składanie zeznań. Lecz dzięki temu anonimowemu zgłoszeniu twierdzenia Bachusa mogły zyskać na wiarygodności. Modlił się, aby tak się stało.

Lord Astley wziął łyk herbaty, by zyskać na czasie i zebrać myśli.

– Zarzuty nie są wcale błahe. Są dość poważne, rozumie pan.

– Kto ją oskarża?

Lord Astley się uśmiechnął.

– Powiedział pan przecież, że wie.

– A pan wmawia mi, że jednak nie – złożył dłonie. – Ja jestem świadkiem. Byłem z Elsie podczas tych wydarzeń. Dlatego właśnie jestem zszokowany domniemaniem, że wiedziała o swoich zdolnościach i celowo je zataiła. Wiem, że to nieprawda.

Lord Astley uniósł brew.

– Jak rozumiem, przybył pan do Anglii zaledwie przed sześcioma tygodniami.

Bachus musiał zebrać wszystkie siły, żeby nie pokazać zaskoczenia. Czy sędzia sprawdził też jego pochodzenie? A może przeczytał raport policji z wydarzeń w dokach?

– Poznałem pannę Camden na rynku w Londynie krótko po przybyciu – powiedział, dostosowując do sytuacji opowieść, którą przedstawił księciu i księżnie. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach, kiedy usiłował ułożyć wiarygodną historyjkę, która nie spowoduje złamania karku Elsie. – Zabiegałem o jej względy, księżę i jego rodzina mogliby to potwierdzić, bo i tak ich zdaniem to prawda. Sami mnie do tego zachęcali.

– Doprawdy? – sędzia znowu odstawił filiżankę na tacę. – Mistrz aspektor i pracownica kamieniarza?

– Kiedy się poznaliśmy, nie miałem tytułu mistrza – podkreślił. – W zasadzie to byłem z nią, kiedy pierwszy raz wykryła zaklęcie. Obydwoje byliśmy zaskoczeni. Dopiero później zasugerowałem, że to mogła być runa. A ona oczywiście mi nie uwierzyła.

Lord Astley odchylił się na krześle, przyglądając się Bachusowi przez chwilę.

– I sądzi pan, że zna ją na tyle dobrze oraz że przebywał pan w jej towarzystwie na tyle długo, żeby ręczyć za jej niewinność? Trudno mi w to uwierzyć, Mistrzu Kelsey, proszę wybaczyć szczerość. Pana zeznanie jest jasne i, jak rozumiem, ma pan poparcie księcia Kentu, jednak moim zadaniem jest dopilnowanie, żeby przestępcy zapłacili za swoje czyny, a niewinni uzyskali łaskę. Trudno jest wymierzać sprawiedliwość, kiedy mamy tylko: „On powiedział to, a ona tamto”..., ale musimy wytrwale dążyć do pozyskania wiarygodnych zeznań.

Bachusowi zaczęły się pocić dłonie.

- Musi pan zrozumieć, że jestem doskonałym świadkiem. I nie mam żadnego powodu, żeby pana okłamywać.

Miał ich wiele.

- Jej oskarżyciel może mieć taką samą siłę przebicia, jak pan, Mistrzu Kelsey, jeśli nie większą. Wydaje mi się mało prawdopodobne, że tak się pan przywiązał do panny Camden, żeby świadczyć...

- Jesteśmy zaręczeni, rozumie pan? - puls przyspieszył mu tak bardzo, że aż zakręciło mu się w głowie, ale zachował kamienną twarz. Na wypadek gdyby poważne zamiary wobec niej nie były wystarczającym argumentem, Bachus poszedł o krok dalej. - Oczywiście, że spędzałem z nią mnóstwo czasu. Ślub przecież raptem za kilka tygodni.

Lord Astley zamilkł. Potarł brodę. Wpatrywał się w Bachusa, jakby próbował obrać go ze skóry i zajrzeć do środka, głęboko w jego duszę. Bachus zmusił się, żeby wytrzymać jego wzrok. Mówił prawdę, kiedy zapewniał Elsie, że jeśli będzie trzeba, to zburzy nawet i cały zamek. A kłamstwo o ślubie... Czyż istniało coś bardziej zuchwałego?

Lord Astley zachichotał.

Bachus zeszywniał.

- Czy kwestia życia lub śmierci pewnej kobiety wydaje się panu zabawna?

Sędzia pokręcił głową.

- Nie, nie, wcale nie. Nie podoba mi się wydawanie wyroków o winie. Gdyby tak było, to byłby ze mnie okropny sędzia. Ale podoba mi się pan, Mistrzu Kelsey. I o dziwo, mam ochotę panu uwierzyć.

Uzucie ulgi przebiegło mu wzdłuż kręgosłupa, ale nie miał odwagi opuścić gardy.

- Jeśli spíše pan swoje zeznanie i zaświadczy pan za nią, a także dostarczy zeznania przynajmniej trzech osób, które potwierdzą pana słowa, uwolnię ją - powiedział. - Oczywiście będzie musiała się zarejestrować i przejść niezbędne szkolenie.

Bachus westchnął głęboko. Z łatwością znajdzie trzech świadków. Rodzina księcia to już cztery, Ogden jest piąty i być może zechce zeznawać także służąca, panna Pratt.

- Dziękuję, lordzie Astley. Szczerze dziękuję.

- Nie jestem nierozsądny - powiedział, wstając, a Bachus, tak jak on, także podniósł się z sofy. - Zmęczony i zapracowany, ale nie nierozsądny. Jeden ze służących czeka w holu i odprowadzi pana do drzwi.

Bachus skłonił się.

- Oczywiście. Dziękuję - zaczął oddalać się do wyjścia.

- I, Mistrzu Kelsey! - zawołał za nim lord Astley, podnosząc raz jeszcze swoją filiżankę.

Bachus się zatrzymał.

- Proszę mnie zaprosić na ślub - powiedział, spoglądając zmrużonymi oczami znad filiżanki. - Zaślubiny osób, które tak szybko się w sobie zakochały, będzie ciekawym doświadczeniem.

Bachus dostrzegł zawołaną groźbę, sugestię, że jego historia nie była aż tak wiarygodna, jak sądził.

Elsie nie była jeszcze całkowicie bezpieczna. Na razie.

Bachus kiwnął głową i wyszedł na korytarz.

Sam trafił do drzwi.

Rozdział 4

Cuthbert wiedział, że nie musi oddalać się nadto od Londynu, żeby znaleźć skradzione opusy Merton; przemierzył drogę od tego miejsca do doków Świętej Katarzyny za ledwie w jedną noc. Problem polegał na tym, że jego wspomnienia utknęły gdzieś pomiędzy porcjowaniem w pracowni gliny na przyszłe projekty a znalezieniem się wraz z Elsie w dokach. Pomiedzy tymi zdarzeniami była przerwa; pojawiały się tylko nieliczne przebłyski: bieg w ciemności, dotykanie dłońmi kamienia, doświadczenie zamknięcia w zimnym i bezgwiezdnym miejscu. Duchowa aspektorka nie mogła wymazać mu wspomnień – potrafili to tylko magicy umysłowi. Ale zdecydowanie mogła utrudnić mu przypomnienie tego, co robił, zwłaszcza w mrokach nocy.

Cały tydzień niemal bez przerwy próbował poskładać tę układankę. Cały szkicownik wypełnił niewykończonymi rysunkami węglem. Nawet śnił o swojej ucieczce i chociaż jak nikt inny wiedział, że nie wolno wierzyć snom, zaraz po przebudzeniu szkicował to, co mu się śniło, nawet jeszcze przed toaletą. I tak nabrał niemal pewności, że Merton zawiodła go na cmentarz, do Grobu Pańskiego albo do krypty, chociaż to wcale nie zawężyło poszukiwań, bo takich miejsc było w Londynie całe mnóstwo.

Gdyby miał Merton tuż obok, mógłby sam wyrwać te informacje z jej umysłu. Nie mogła już nim manipulować bez dotykania go, a on stale miał się na baczności. Jedną z jego części, ukrytą głęboko, chciała przechwycić każdą jej myśl, zmienić ją w kukiełkę, podeptać jej sekrety i smutki i zanurzyć ją w nich. Sprawić, by cierpiała, tak jak on cierpiał. Kiedy jednak myślał o Merton, myślał też o Elsie, a to zmuszało go do poskromienia gniewu i nienawiści i skupienia się na zadaniu, które miał do wykonania. Ważne było nie tylko to, że ona była w więzieniu, chodziło o coś więcej. Mimo że od samego początku była powiązana z Merton, to jednak jej obecność sprawiała, że chciał być lepszy, postępować lepiej. Elsie była dla niego bliższa jak córka. Była z nim już od dziecka, dłużej niż Emmeline. Nieświadomie sprowadziła na niego zniewolenie, jednak koniec końców to ona także go z niego wybawiła.

Ona także stała się pionkiem. A on nie mógł rozmyślać o zemście, dopóki ona także nie zostanie wybawiona.

Po spotkaniu z Elsie najpierw poszedł do londyńskiego domu Merton, ale ten był pusty, nie było w nim nawet jednego służącego. Nie znalazł Merton także w Duchowym Ateneum. Cuthbert nie chciał się ujawnić, pytając o nią, więc złamał swoją zasadę i nurkował w umyśle każdego, kto mógł coś wiedzieć, omijał tam cele i pragnienia, utrapienia i okrucieństwa, poszukiwał jakiegokolwiek śladu wroga. Ale nikt nie widział jej od czasu kolacji w Kent, tuż przed jego wyzwoleniem.

Cuthbert mógł tylko mieć nadzieję, iż to oznaczało, że Merton widziała w nim zagrożenie i starała się ocalić własną skórę, a nie że zaczęła realizować kolejną część jakiegoś szalonego planu. Ile zakłęb potrzeba jednej osobie? I co zamierzała z nimi wszystkimi zrobić?

Pocierając twarz dłonią, Cuthbert opadł na ławkę w parku Burgess i rozmyślał. Dzięki temu, że od dekady kursował po kościołach, wiedział, które katedry i tym podobne budowle

miały krypty. I przy których były cmentarze na tyle duże, żeby mogły ukryć sekrety Merton. Gdyby chodziło o niego, to nie chowałby swoich skarbów w dużym i często uczęszczanym miejscu, nie tam, gdzie ktoś mógłby je odkryć. To musiałyby być coś na uboczu, ale nie aż tak bardzo, żeby mógł je bez problemu odzyskać.

Zamknął oczy i ponownie odtworzył w pamięci noc swojej ucieczki. Był pewien, że nie poszedł na północ, przynajmniej nie od razu. Czy poszłoby mu lepiej, gdyby odtworzył warunki tamtej nocy? Gdyby szukał w ciemności, a nie za dnia?

Światło, posuwał się w jego kierunku, prawda? Księżyc pojawił się na wschodzie...

Musiał znaleźć to miejsce teraz. Zanim Merton zorientuje się, że ją tropią, i sama splądruje to miejsce.

Wstając, skierował się do wyjścia z parku i kupił bilet na omnibus. Rozpytywał ludzi o najstarsze kościoły i cmentarze w okolicy Wschodniego Londynu. Jadąc, prześwietlał wzrokiem ulice, jakby był w stanie wypatrzyć ją pośród tłumów.

Opuścił kapelusz na twarz, kiedy dotarł do pierwszej wsi na swojej mapie, na tyle małej, że mógłby zostać odebrany jako obcy. Nie miał w zanadru dużego repertuaru zakłęb, zwłaszcza że te, które znał, zostały zebrane i przejęte przez niego nielegalnie. Jednak te, którymi dysponował, były skuteczne.

Przeskakiwał pomiędzy umysłami, wyczytując z nich, gdzie ma się kierować. Z łatwością znalazł więc cmentarz i kościół. I chociaż z jakiegoś powodu wiedział, że to nie te, to jednak i tak dla pewności sprawdził. A potem ruszył dalej. Musiał iść dalej, jeśli nie chciał oszaleć.

Dopiero w trzeciej z kolei parafii, którą odwiedził, na jego ramionach pojawiła się gęsia skórka. Zatrzymał się, rozglądając dookoła. Otoczenie było jednocześnie obce i znajome. Przepłynęła przez niego fala frustracji. Gdyby tylko mógł potraktować zakłębem własny umysł, zahipnotyzować go i wydobyć odpowiedzi. Jednak zdecydowanie coś wyczuwał.

Wiedział iglicę miejscowej kaplicy i zaczął iść w jej stronę, ale z jakiegoś powodu poczuł, że błądzi. Zawrócił więc i znowu stanął w tym samym miejscu, na brukowanej drodze na wzgórzu, w najwyższym punkcie miasteczka. Byłby stąd dobry widok, gdyby nie pobliskie drzewa.

Obracając się wolno, zauważył wąskie schody prowadzące na wschód, bardzo stare i kamienne. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Był już kiedyś na tych schodach. Przedostatni schodek był obluźwany. W pośpiechu się na nim potknął...

Pośpiech...

Zaciskając szczękę, Cuthbert pobiegł w kierunku stopni, choć nie dlatego, że mu się śpieszyło, ale po to, żeby sobie przypomnieć. Merton wtedy mocno go przegoniła; kiedy dotarł do doków, był wykończony, i to dlatego zażądała, żeby użył zakłęb z opusów w celu spowolnienia przeciwników. Popędził schodami w dół i pomimo świadomości, że jeden z kamieni jest obluźwany, i tak potknął się i upadł na kolana, dłonie, a także pupę.

Prawym kolanem uderzył mocno, a kamień trafił dokładnie w starego siniaka. Siniaka, którego musiał sobie nabić właśnie tutaj.

Podnosząc się powoli, zamknął oczy, wyobrażając sobie nocny wiatr we włosach, chociaż teraz było dopiero popołudnie. Wyczuł pytające spojrzenie, które na niego skierował przechoździeń, ale je zignorował.

Bieg w dół wzgórza, w kierunku latarni. Za róg. Kolejne potknięcie na końcu brukowanej drogi.

Otworzył oczy i pobiegł tą właśnie ulicą, znajdując na skrzyżowaniu dróg niezapalona latarnię. Jeśli skręciłby w lewo, poszedłby dalej w głąb miasta, dlatego skierował się w prawo... na końcu ulicy drzewa były przerośnięte, a dróżka stopniowo się zwężała, zmieniając w końcu w ścieżkę.

Cuthbert biegł we właściwym kierunku.

Zwolnił, kiedy dotarł do drzew, uchylając się przed ich gałęziami. Rozglądał się za jakimś złamanym konarem, jakimkolwiek wyłomem w zieleni. Ale nie znalazł go. Podążył zatem dalej ścieżką, która skończyła się jakieś dwieście metrów dalej, na starym kamiennym murze, który porastały kwitnące chwasty.

Niemal przeoczył głęboki spadek po prawej stronie. Dlatego usiadł i zsunął się około półtora metra w dół, a potem poszedł wzdłuż muru. Gałęzie drzew znajdowały się teraz nieco wyżej, na tyle, że mógł dostrzec trzy komory grobowe. Nad każdą z nich znajdował się kamienny krzyż, wyblakły i niemal niemożliwy do odróżnienia od reszty kamienia.

To było to.

Wstrzymując oddech, podszedł do pierwszego grobowca, rozejrzał się, czy nikogo nie ma w pobliżu, i popchnął ramieniem ciężkie drzwi. Otoczył go zaraz zapach wilgoci i pleśni. Sprawdził groby. W pierwszym znajdowały się tylko kości i pozostałości ubrań. W drugim dokładnie to samo. Ale trzeci... ten był większy. Na jego tyłach stała kamienna trumna, a tuż za nią mniejsza, taka dla dziecka. W chwili, w której jej dotknął, był już pewien. Szorstki, stary kamień, ciężar wieka. To było to. Chwycił wieko oburącz, podniósł je i zrzucił. Potem stanął z boku, żeby wpuścić światło.

Trumna, znacznie głębsza od innych, miała z pewnością więcej niż metr i była zupełnie pusta. Nie widział w niej nawet kości.

Merton już tu była, a żaden z tutejszych umarłych nie mógł mu powiedzieć, dokąd się udała.

Elsie znowu zapadła w sen. Obudziła się wystraszona, głodna i obolała od skurczów. Strażnicy co prawda ją karmili, ale nie była przyzwyczajona do więziennego jedzenia, o czym mogło zaświadczyć wiadro stojące w rogu. Nie była pewna, czy z powodu szczęśliwego dla niej zbiegu okoliczności, czy może przez litość jednego ze strażników, ale poprzedniego wieczora pozwolono jej się wykapać. Woda nie była zbyt czysta, ale co kąpiel, to kąpiel. Ubrała się potem w tę samą suknię, w której ją aresztowano, a włosy w jej prostym warkoczu nadal były wilgotne.

Już trzeci dzień przebywała w więzieniu. Od półtora dnia nie widziała ani Ogdena, ani Bachusa, natomiast mogła przysiąc, że w nocy znowu odwiedziła ją Merton. Nic nie pamiętała z tego spotkania – miała jedynie ulotne wrażenie – więc mógł to być równie dobrze sen. Tutaj śniła często. Urywki różnych rzeczy, nie do końca realnych, pojawiały się czasami w ciemności, a czasami za dnia. Zastanawiała się, czy tak właśnie zaczyna się szaleństwo. Pomyślała, że byłaby z tego niezła historia na powieść. Być może, jeśli kiedykolwiek wydostanie się z tego okropnego miejsca, mogłaby ją komuś sprzedać.

Jeśli kiedykolwiek stąd wyjdzie.

Wyglądając z tęsknotą przez kraty, Elsie dotknęła szyi, zastanawiając się, jakie to uczucie, kiedy ma się skręcony kark. Czy zmarłaby od razu, czy może wisiłaby tak długo, złamana i cierpiąca, aż krew przestałaby docierać do jej mózgu?

Usłyszała kroki i chociaż tęskniła za towarzystwem, na ten dźwięk serce podeszło jej do gardła, a palce zamieniły się w lód. Powoli się podniosła, nie chcąc wzburzyć żołądka, kiedy do jej drzwi podszedł jeden ze strażników. Odczepił od paska kółko z kluczami i spojrzał na nią spod ciemnych brwi.

– Panna Camden – przekręcił klucz w zamku. Wypowiedział jej nazwisko w taki ostateczny sposób, jakby to była jedyna uprzejma rzecz, jaka przyszła mu do głowy. Otworzył drzwi i wskazał, żeby za nim poszła.

Boże dopomóż, nadszedł czas na proces. Co ma im powiedzieć? Czy powinna kłamać w nadziei, czy może wyznać prawdę i modlić się o wyrok w postaci ciężkich robót, a nie kary śmierci? Choć cała prawda nie mogła ujawnić. Nie wolno jej było wspomnieć o współpracy z Kapturami. Za to z pewnością trafiłaby na stryczek.

Splatając drżące palce przed sobą, Elsie pozwoliła strażnikowi zakuć się w kajdanki przed wyjściem z celi. Pomyślała, że powinna się postarać wyglądać dostojnie, ale nie miała na to siły. Kroki mężczyzny odbijały się od kamiennych ścian korytarza, a jej były ciche. Jakby była już duchem.

Na ramionach i plecach miała gęsią skórę. Zeszli po wąskich schodach, na których było jeszcze chłodniej niż wyżej. Potem mijali masywne, antyczne, kamienne kolumny. Dalej skręcili za róg i potem szli wzdłuż kolejnego korytarza. Elsie zgubiła już drogę. Przez otwarte okno zauważyła mały drewniany podest i stojący na nim pal. Nie było liny, ale rozpoznała w tym miejscu śmierć.

Próbowała przełknąć ślinę i zorientowała się, że nie może.

Wreszcie strażnik poprowadził ją w górę po kolejnych schodach, ominął dwóch innych mężczyzn w mundurach, a potem popychając ramieniem, otworzył przed nią ciężkie drzwi. Światło słoneczne ukłuło ją w oczy i przez moment kroczyła, chwiejąc się na oślep, usiłując odzyskać orientację. Niemal potknęła się o jakieś schody.

Mrugnęła kilka razy, zwiłżając oczy, zanim jej wzrok dojrzał widok starego podzamcza. Przemierzało go kilku strażników. A u podnóża schodów stał...

– Bachus? – wypowiedziała jego imię tak cicho, jakby wydychała powietrze.

Strażnik chwycił ją za ręce i zaczął zdejmować kajdanki.

Jej puls szalał jak dziki koń.

– Nie rozumiem.

Bachus zbliżył się o krok.

– Rozmawiałem z sędzią o twojej sprawie i dostarczyłem mu zeznania świadków. I uwolnił cię.

Elsie wpatrywała się w niego, zbyt długo rejestrując w głowie to, co właśnie usłyszała. Rozumiała to dopiero, kiedy drugi z jej nadgarstków został uwolniony.

– Jestem wolna? – pisnęła.

Bachus przytaknął.

Odwróciła się do strażnika i w nagłym przypiływie złości krzyknęła.

– Na litość boską, mógł mi pan przecież powiedzieć!

Mężczyzna wzruszył tylko obojętnie ramionami i wrócił do środka.

Nagle poczuła ogromne znużenie, aż ugięły się pod nią kolana. Ciężko opadła na schody. Bachus, chwala mu za to, usiłował ją złapać, ale nie był wystarczająco szybki. Więc tylko usiadł obok niej.

– Ja nie – nie wierzę w to – potarła nadgarstki, przyglądając się swoim dłoniom.

Odczuwała bardzo bliskość Bachusa, ponieważ ta strona jej ciała zrobiła się niemal nieprzyjemnie ciepła.

– C-co mu powiedziałaś? To znaczy, dziękuję – odetchnęła ciężko. – Dziękuję. Ale co mu powiedziałaś? Czy Ogden...?

– Nie miałem od niego żadnej wiadomości – powiedział to niskim głosem, ważąc ostrożnie słowa. – Po pierwsze, chciałem cię zapewnić, że możesz teraz łatwo się ze mną skontaktować, jeśli znów zdarzy się coś podobnego – sięgnął do kieszeni w podszewce marynarki i wyciągnął dwa ołówki. Kiedy przekręcił w palcach jeden z nich, drewno zamigotało i zmieniło kolor na ciepły odcień zieleni. Na chwilę skoncentrował się na ołówkach, a potem podał Elsie zielony.

Dziewczyna z wahaniem przyjęła ten dziwny podarunek. Czy wiedział, że zielony to jej ulubiony kolor? Przekręciła ołówek w dłoń i zauważyła, że ten drugi, który trzymał Bachus, poruszył się sam, dokładnie w ten sam sposób.

– Są połączone zaklęciem – wyjaśnił, ostrożnie wkładając swój ołówek z powrotem do kieszeni. Elsie lekko się odchyliła, dokładnie tak, jak on. – Zostaw go w domu, niech leży na kartce papieru. Jeśli będziesz musiała się ze mną skontaktować, cokolwiek napiszesz, przeniesie się natychmiast na mój ołówek.

Mrugnęła oczami.

– Sprytnie. I znacznie taniej niż wysyłanie telegramu.

Będzie musiała z tym uważać, aby niechcący nie dźgnąć Bachusa albo nie pobrudzić grafitem jego ubrań. W tym podarunku było coś uspokajającego, wynikającego z połączenia, jakie teraz z nim miała. Przeciągnęła kciukiem po małej niebieskiej runie, którą mógł dojrzeć tylko łamacz zaklęć, i na jej ustach pojawił się uśmiech.

– A po drugie... co do twojego uwolnienia, były pewne zastrzeżenia.

Wyprostowała plecy.

– Zamieniam się w słuch.

– Masz obowiązek się zarejestrować.

Kiwnęła głową.

– Oczywiście.

– I odbyć szkolenie u innego łamacza zaklęć.

Elsie zamilkła. Otworzyła usta, aby za chwilę je zamknąć. Była łamaczką zaklęć od dziesięciu lat. Łamała zaklęcia nawet w chwili ich przywoływania! Poddać się szkoleniu...

Dostrzegła napięcie w oczach Bachusa i jej opór natychmiast wyparował.

– Tak, to ma sens.

Bachus dodał, tym razem już łagodniej:

- Przekonałem sędziego, że odkryłaś swoje zdolności dopiero przed miesiącem. Musisz poudawać.

Dopiero przed miesiącem.

- Mogę udawać – po kręgosłupie przebiegł jej dreszcz i połaskotał ją we włosy. Zgarbiła się.
- Och, Bachusie, dziękuję. – Złapała go za dłoń i uściśnęła ją. – Nie wiem... tak się bałam.

Jego usta wykrzywiły się w coś na kształt uśmiechu, ale w tym wyrazie twarzy było coś, co sprawiło, że poczuła się nieswojo.

- Co? – zapytała, a potem zbladła. – Bachus, coś ty zrobił? Zapłaciłeś jakąś nieziemską grzywnę? – jeśli będzie trzeba, poszuka sobie drugiej pracy, żeby go spłacić. Sprzeda wszystko, co posiada...

Ale on pokręcił głową i wstał, biorąc ją pod łokieć, żeby pomóc jej się podnieść. Nawet przyjemność, jaką poczuła, kiedy przełożył jej ramię przez swoje, nie odpędziła jej lęku. Nadal nie odpowiedział. Kiedy zaczął iść przez podzamcze, w kierunku wyjścia, spróbowała jeszcze raz, tym razem ciszej.

- Bachus?

- Jest... jeszcze jedna sprawa – kiwnął głową do mijającego ich strażnika.

Elsie zacisnęła usta, czekając na wyjaśnienie. A kiedy znów nic nie powiedziała, zapytała:

- Co?

Dotarli do drzwi zewnętrznych i czekali, aż otworzy je dwóch strażników. Wyszli na zewnątrz i Elsie poczuła, jak z ramion spada jej wielki ciężar. Miała wrażenie, że wszystko jest czystsze, bardziej zielone i bardziej otwarte. Ale Bachus nadal nie odpowiadał. Prowadził ją ścieżką, a pod stopami mieli koniczynę i żwir. Na ulicy czekał znajomy powóz księcia Kentu, zaprzężony w cztery czarne konie.

Czarne jak smoła przerażenie ogarnęło Elsie. Czego Bachus musiał się wyrzec, żeby ją uwolnić? Pieniędzy? Ziemi? Tytułu mistrza? Co to mogło być?

Na pewno o to chodziło. Z pewnością przyczyną jego milczenia była złość albo niechęć. Być może stało się to, co najgorsze, i Bachus odkrył jej defekt – wadę, która sprawiała, że ludzie jej nie znosili – albo znalazł ją za niego system. To może być pożegnanie. Co prawda była wolna, ale Bachus...

Łzy napłynęły jej do oczu, ale siłą woli nie pozwoliła im wypłynąć. *Nie myśl o tym. Po prostu uśmiechaj się i przytakuj, rozumiesz. Wytrzymaj, aż dotrzesz do domu. A potem Ogden to wszystko usunie z twojej pamięci. Nie będziesz musiała nic czuć. Wytrzymaj tylko jeszcze troszeczkę...*

Ugryzła się w wewnętrzną stronę policzka.

Bachus spowolnił krok. Zatrzymał się i puścił jej rękę. Odwrócił się w jej stronę. Elsie starała się z całych sił, żeby wyglądać na pogodną i spokojną, ale jej umiejętności aktorskie poważnie ucierpiały podczas pobytu w więzieniu.

Westchnął. Chwycił ją za ramiona, poczuła jego ciepło przenikające przez rękawy, a potem nagle ją puścił. Owładnęło nią uczucie straty. Czy to ostatni raz, kiedy ją dotknął?

Głosem zbyt słabym, jak na jej gust, powiedziała:

- Bachus, przerażasz mnie.

Parsknął śmiechem.

- Tego właśnie się obawiałem.

Czekała zdezorientowana.

Przeciągnął dłoń po twarzy.

- Przekonałem sędziego, że byłem osobiście świadkiem twojego odkrycia swoich zdolności. Ponieważ spędzaliśmy dużo czasu razem.

Elsie mrugnęła oczami.

- Nic w tym złego - powiedziała. Przecież to była prawda.

- Oczywiście nie mogłem ujawnić, nad czym pracowaliśmy - kontynuował. - Zeznania świadków, które mu przekazałem, zapewniają o naszych... zalotach. Są od księcia i księżny Kentu oraz panny Emmeline Pratt.

Czuła, jak fala ciepła zalewa jej szyję i policzki. Desperacko pragnęła przycisnąć do twarzy zimne palce, jednak wtedy Bachus zwróciłby uwagę na ten kolor. Odchrząknęła.

- Nie jest to aż tak dalekie od prawdy.

Bachus spojrział w kierunku powozu. Przecież to nie było dalekie od kłamstwa... prawda? A może myśl o zalecaniu się mistrza aspektora do pomocnicy kamieniarza była dla niego niewygodna? Jej serce uderzyło raz mocniej, w nieprzyjemny sposób, a potem ich oczy spotkały się jeszcze raz.

- Elsie - wyglądał tak niepewnie - musiałem to sprzedać, rozumiesz? Przekonać go, że miałem motyw, aby z tobą spędzać czas. Wierzy, że jesteśmy zaręczeni.

Elsie otworzyła usta.

- I - zawahał się - oczekuje, że zostanie zaproszony na ślub.

Wpatrywała się w niego, ponownie mając trudności z przyswojeniem tego, co słyszy. Zaręczenia? Ale oni nie... ale ma być ślub?

Nie zemdleje. Mdleją tylko panny o teatralnych gestach.

Bachus mówił dalej.

- Zasugerował, że nadal mi nie ufa. Musimy to ciągnąć, Elsie. To jedyny sposób, aby rozwiązać jego wątpliwości.

Elsie zdawała sobie sprawę, że się w niego wgapia, ale nie potrafiła się powstrzymać.

Zaręczeni.

Zaręczeni?

Zaręczona z Bachusem Kelseyem. Mistrzem Bachusem Kelseyem.

Zesztywniałymi ustami wymamrotała:

- Nie musiałeś... - i przerwała. *Nie musiałeś tego robić*, chciała powiedzieć, ale prawda była taka, że musiał, jeśli chciała opuścić tamto straszne miejsce. No i już to zrobił. Dla niej.

Marnował dla niej swoje życie.

O Boże, na pewno jej nienawidzi.

Jej twarz musiała stanowić niezły widok, bo Bachus wyraźnie zamknął się w sobie.

- Nie będzie tak strasznie. Już rozważałem... Możemy zostać w Anglii oczywiście.

- Ja... nie. Chodzi mi o to... - załamała dłonie, poszukując właściwych słów - ja... ja tylko jestem zaskoczona, to wszystko. Nie spodziewałam się...

- Ja też nie.

Z ust wyrwał jej się śmiech, który zrodził się z podenerwowania i niepewności. Próbowła go powstrzymać, ale coś takiego jest niemożliwe. Zaburczało jej w brzuchu i przycisnęła do niego dłonie.

- Zrobisz to - próbowała bez powodzenia spojrzeć mu w oczy. - Powiedziałeś, że mnie stamtąd wyciągniesz, i udało ci się - skrzyło ją w brzuchu. - Ale, Bachusie...

- Porozmawiamy w powozie - powiedział delikatnym głosem, podając jej ramię.

Odzyskując równowagę, Elsie wsparła się na nim i pozwoliła poprowadzić do drogi.

Mimo sugestii Bachusa podróż powozem do Brookley przebiegała w ciszy.

Rozdział 5

Elsie wróciła do pustego domu, niepewna, czy Ogden nadal szukał skradzionych opusów, czy może zajmował się czymś innym. Na początku założyła, że Emmeline po prostu załatwia sprawy, ale kiedy nie wróciła przed zmrokiem, stało się jasne, że pewnie zatrzymała się u rodziny lub przyjaciół. Elsie zamknęła więc ciemną pracownię kamieniarską i poszła do łóżka, udając, że śpi, co niezbyt dobrze jej wychodziło.

Była zaręczona. Z Bachusem Kelseyem. *Wychodzi za mąż.*

A on nawet się jej nie oświadczył.

Poradzimy sobie z tym, Elsie, powiedział, kiedy wysiadała z powozu, z tym jego miękkim barbadoskim akcentem. *Obiecuję.*

Ale wydawał się spięty i zatopiony w myślach, które go dusiły. Elsie sama nie wiedziała, jak chciałaby, żeby się czuł, co chciałaby, żeby powiedział. Że poczuł ulgę? Że tak naprawdę był w niej zakochany do szaleństwa? To ją rozsmieszyło.

Zabawne, że miała mężczyznę, który kiedyś niemal wtrącił ją do więzienia, a teraz poświęcił swoje szczęście, żeby ją z niego wyciągnąć.

Łzy przesłoniły jej wzrok, ale przegoniła je mruganiem. *Jego szczęście.* Ach, jak chciała, żeby Bachus był szczęśliwy. Tak bardzo chciała. Przypomniła sobie radość, która go opanowała po tym, jak zdjęła z niego tamto zakłęcie wyciągające. Jak pławiła się w tej jego radości. Jak czuła się dzięki niej chciana i ważna. Pragnęła, żeby był taki zawsze.

Ale to nowe rozwiązanie praktycznie na powrót nałożyło na niego tamto zakłęcie, czyż nie? Elsie będzie pochłaniała jego czas, energię i pieniądze, jak każda niechciana żona.

Przewróciła się na brzuch, wcisnęła twarz w poduszkę i jęknęła. Jak rajskie mogłyby być te zaręczyny, gdyby przebiegły inaczej. Gdyby nie została aresztowana, a on został w Anglii dlatego, że chce z nią być, i zalecaliby się do siebie tak, jak należy, bez tajemnic i morderców czających się gdzieś w cieniu. Tak, Elsie gotowa była przyznać, że w takim – idealnym – przypadku cieszyłaby się, że nie może spać. Byłaby podekscytowana.

– Musisz się postarać, sprawić, aby żałował najmniej, jak tylko się da. Być najlepszą żoną na niby, jaką potrafisz – powiedziała do poduszki.

A sędzia może w końcu straci zainteresowanie. I zanim się obejrza, Bachus będzie wolny.

Martwiło ją to tak bardzo, ta myśl paliła ją do żywego, jakby połknęła gorący pogrzebacz.

Boże dopomóż, będzie cierpiała, jeśli on zostanie, a także jeśli wyjedzie. Najsensowniejszą rzeczą było teraz przygotowanie się na ten ból. Najgorsze w tragedii jest zaskoczenie. Tym razem nie da się wziąć z zaskoczenia. Nie tak, jak było z jej rodziną, z Alfredem albo z tajemniczym Amerykaninem, który, jak myślała, choć jedynie przez chwilę, był jej zaginionym ojcem.

W jej gardle uformowała się gula, a uparte łzy pchały się na poduszkę. Starła się, jak mogła, aby nie rozmyślać o tych ostatnich dwóch tygodniach. Najgorsze było to, jaką poczuła ekscytację, kiedy otrzymała telegram od Hallów, rodziny, u której została porzucona. Informo-

wali ją, że ktoś wreszcie jej poszukiwał. Wypłaciła wszystkie pieniądze z konta i popędziła natychmiast do Juniper Down, ale okazało się, że tamten mężczyzna nie był jej krewnym. Nie był nawet Anglikiem. A do tego sądził, że pisała do niego, aby bawić się jego kosztem, z powodu, którego absolutnie nie potrafiła się domyślić.

Po takim gorzkim rozczarowaniu następane było odkrycie, że Kaptury – czy raczej Mistrzynie Merton – wykorzystywały ją od lat. Ta świadomość napełniła ją mrokiem tak trującym, że niemożliwym do zniesienia.

Usłyszała trzask zasuw w tylnych drzwiach i usiadła, szybko ocierając łzy. Drzwi otworzyły się i zamknęły, a po nich usłyszała znany odgłos kroków. Zbyt ciężkich, by należały do Emmeline.

Chwytnąjąc podomkę, Elsie wsunęła ramiona w rękawy i pośpieszyła na korytarz.

– Ogden?! – zawołała.

Na dole schodów zapłonęła świeca, oświetlając postać Ogdena. Na jego twarzy rysowało się poczucie ulgi.

– Udało mu się. Wróciłaś.

Przytaknęła.

– Tak jak pan. Musimy porozmawiać.

Wszedł po schodach.

– Gdziekolwiek. Emmeline wróci dopiero rano.

Elsie zeszła mu z drogi, a potem poszła za nim do jego sypialni, gdzie przysiadła na skrzyni stojącej u szczytu łóżka.

– Co pan znalazł?

– Miejsce, w którym ukryła opusy – odparł.

Elsie zerwała się, ale on ją powstrzymał, wyciągając rękę.

– Nic tam niestety nie było. Uprzedziła mnie. Nie znalazłem jej, ale w drodze powrotnej wróciłem do Londyńskiego Ateneum Duchowego. Zasięgnąłem wiedzy. Wygląda na to, że Merton przeszła na emeryturę i wyprowadziła się z miasta, ale nikt nie wie gdzie.

Płuca Elsie skrzyły się w nieoczekiwany sposób. Lilly Merton najwyraźniej stwierdziła, że Elsie nie jest już niezbędna. Nie powinno jej to zaniepokoić – nie chciała mieć przecież nic wspólnego z tą morderczynią – a mimo to była zaniepokojona.

– Wkrótce tam wrócę i spróbuję ją zlokalizować, wysledzić. Ktoś musi coś wiedzieć – powiedział Ogden, po czym odstawił świecę i opadł na łóżko tak ciężko, że aż zatrzęsło skrzynią. – Jest sprytna; wie, że mógłbym zawładnąć jej umysłem, gdybym jej dotknął.

Elsie zeszywniała.

– A mógłby pan?

Zawahał się, spoglądając na nią swoimi poważnymi, turkusowymi oczami.

– Tak, mógłbym.

Elsie oblizła usta, zastanawiając się nad tym.

– Czy to cię niepokoi?

– Co?

– Kim jestem – wyjaśnił – i co potrafię zrobić.

Potrząsnęła głową, a potem na chwilę zamilkła.

– Nie niepokoń mnie to. Tylko... nie przywykłam do tego. *Po prostu nie wiem, czy kiedykolwiek wykorzystywałeś swoje zdolności na mnie.*

Wiedziała, że to robił, kiedy służył Merton, ale musiała wierzyć, że nie zrobiłby tego świadomie. Twierdził, że ich relacja była autentyczna, że Merton kontrolowała go tylko od czasu do czasu. Musiała w to wierzyć. Musiała w coś wierzyć.

– Zastanawiam się – Ogden mówił dalej – czy zatrudniła nowych bandziorów albo czy zdecydowała się nie wychylać. Może już po wszystkim. Być może naprawdę przeszła na emeryturę.

Elsie spojrzała na niego z powątpiewaniem, na które on tylko pokiwał głową. Ludzie zostali zamordowani, a ich opusy skradzione. Kobieta nie podejmuje takiego wysiłku, żeby potem na koniec odpuścić.

– Pytanie tylko – powiedziała Elsie na głos – jaki jest ten koniec?

– Nie wiem – potarł dłońmi o siebie. – Jeśli posiada wszystkie te opusy... to jest najpotężniejszą osobą w całej Anglii, jeśli nie na świecie.

Elsie objęła się, czując wewnątrz siebie zimno, podobnie jak w więzieniu.

Jakby wyczuwając jej myśl, Ogden zapytał:

– Jak cię wy dostał? Czym musiał zapłacić?

Gula znów pojawiła jej się w gardle, więc ją przełknęła.

– Nie pieniędzmi – wymamrotała.

A potem wyznała mu wszystko, od momentu, w którym strażnik otworzył jej celę, do chwili, w której Bachus podwiózł ją do domu, obiecując, że się z nią wkrótce skontaktuje. Powiedziała mu wszystko, oprócz zmartwień i uczucia, że jest nic niewarta, które paliło ją od środka.

Ogden odchylił się do tyłu.

– Ciekawe.

– Można tak to ująć.

Wzruszył ramionami.

– To niezła partia, Elsie. Ma tytuł, jest bogaty i jurny.

Policzki Elsie zapłonęły.

– Czy powiedział pan: jurny?

Ogden się uśmiechnął.

– Trudno tego nie zauważyć.

Zakryła twarz dłońmi, ukrywając zawstydzenie.

W końcu uświadomiła sobie kolejną rzecz, przez którą skreśliło jej żołądek.

– O, nie – wyszeptwała.

Ogden się spiął.

– Co? Co się stało?

Powoli odsunęła dłonie od twarzy i podniosła wzrok.

– Jeśli za niego wyjdę...

Ogden przysunął się w jej stronę.

– To będę się nazywała Elsie Kelsey – dokończyła, śmiertelnie przerażona.

O, jakże podobałoby się to sioström Wright.

– Wiedziałam, że ci się podoba! – Emmeline dzwoniła talerzami zbieranymi po śniadaniu. Tego poranka to Elsie z samego rana przygotowała posiłek, z powodu bezsenności, chociaż Emmeline wróciła w odpowiedniej chwili, żeby pomóc jej w kuchni przy porannych czynnościach. – Ale to ekscytujące, Elsie! Historia jak z powieści. Zaręczona z mistrzem aspektoem, a sama jesteś łamaczką zakłęb! Idealna para. Och, podnosisz swoją pozycję, i to tak elegancko!

Elsie zebrała w dłön okrucy ze stołu.

– Nie sędę, żeby areosztowanie było eleganckie, Em. A więzienie z pewnością takie nie jest.

– Wyjrzała przez okno. Tego ranka użyla zaczarowanego ołówka, żeby skontaktować się z Bachusem, jeszcze przed świtem, po tym jak całą noc rozważała wszystkie możliwe rozwiązania. Musiała się dowiedzieć, co zamierzała Mistrzynie Merton, czego chciała i dlaczego tego chciała. Do tego Bachus znał trzy osoby, które mogły znać odpowiedzi – księcia i księżnę Kentu, a także księżnę Morris, znajomą aspektorkę duchową, która wydawała się być całkiem blisko z Merton, kiedy Elsie obserwowała je podczas wycieczki na zakupy. Księżna Morris była co prawda niegodziwą kobietą, która rzuciła klätwę na uprawy księcia Kentu, a ponadto zatrudniała aspektorów fizycznych i czasowych, żeby podnieść swoją atrakcyjność. Elsie to wiedziała – bo rozplątała zarówno klätwę, jak i zakłęcie upiękuszające nos tej kobiety. I chociaż istniała możliwość, że ta dama może ją rozpoznać, Elsie uważała, że szanse na to są nikłe. Księżna Morris nie była bowiem osobą, która zwracałaby uwagę na ludzi, których status postrzegala jako niższy.

Oczywiście zamierzała zacząć w Kencie. Bachus był blisko ze Scottami, a nawet mieszkał z nimi pod wspólnym dachem. A ona wymyśliła idealny pretekst, żeby porozmawiać z księżną Morris. Jako nowa łamaczka zakłęb będzie musiała przeprowadzić rozmowy z aspektorami we wszystkich czterech dziedzinach. Jeśli zdołałaby namówić do tego księżną, to być może mogłaby ją zagadnąć o jej przyjaźń z Merton.

Ten plan był dobry, jak każdy inny. Ale nie chciała go realizować sama. Bachus znał tę kobietę lepiej niż ona i jeśli pomógłby jej, łatwiej byłoby jej umówić się na takie spotkanie. A poza tym po prostu chciała, żeby z nią tam był.

Kiedy wysprzątały już kuchnię, Elsie otrzepała dłönie i pośpieszyła na górę, tam gdzie na kawałku pergaminu leżał zielony ołówek. Na górze kartki było jej pismo. *Ta, której nazwisko nie będzie wymieniane, prawdopodobnie odeszła na emeryturę i opuściła Londyn, bez śladu. Muszę ją odnaleźć, Bachusie. Potrzebuję Twojej pomocy. Wiem, że nie powinnam Cię o nic prosić po tym, co i tak już dla mnie zrobiłeś, ale jeśli ona przyjaźni się z księciem, to być może on i księżna mogliby odpowiedzieć na kilka pytań.*

Nie podpisała się. Wątpiła, żeby Bachus dzielił się magicznymi ołówkami z większą liczbą zdesperowanych kobiet. A przynajmniej taką miała nadzieję.

Z ulgą zauważyła, że pod jej słowami pojawił się nowy napis. Pismo odręczne wyróżniały duże litery ozdobione małymi zawijasami, przez które wyglądały niezwykle elegancko. Oczy-

wiecie, że Ci pomogę. Wszystko przebiega świetnie. Księżna chce, żebyś przysłała na herbatę.

To było to. Zagryzając wargę, Elsie odpiła: *Dlaczego?*

Po kilku sekundach ołówek szarpnął jej się w dłoni, aż zaśmiała się z zaskoczenia. Przechylił się i napisał: *Ponieważ chce pomóc w planowaniu wesela.*

Jej żołądek się zacisnął. Oczywiście, że Scottowie wiedzą o zaręczynach. Patrząc na słowo „wesela”, poczuła, że to zdarzenie jest tak wyraziście prawdziwe.

Kiedy nie odpowiedziała od razu, Bachus dodał: *Wydała za mąż aż sześć córek. I powtarza to raz za razem. Cały czas.*

Elsie się uśmiechnęła i wzięła od niego ołówek. *Postaram się uratować Cię od tego.*

Bachus nie czekał z odpowiedzią: *Wysyłam powóz, będzie w ciągu godziny.*

Pani Abrams była ciężką kobietą z misternie upiętymi kasztanowymi lokami, które rozdzielał na środku głowy przedziałek tak prosty, jakiego Elsie nie widziała jeszcze nigdy na oczy. Dziwnym sposobem fryzura pasowała do porannej bawialni księżnej, w której krzesła i pianino były wykonane z barwionego drzewa wiśniowego. Ściany były tam białe z prostymi zdobieniami wokół rogów. Nad białym kominkiem wisiał obraz jej posiadłości widzianej z pewnej odległości, a na podłodze leżał różowy dywan we wzór przypominający rybią łuskę. Elsie przysiadła sztywno na różowej sofie, obok Bachusa, a pani Abrams oraz księżna zajęły miejsca na jasnozielonej sofie na lewo od Elsie. Na stoliku pomiędzy nimi stała taca z herbatą, już nalaną do filiżanek. Elsie trzymała swoją w dłoni. Wypiła tylko troszkę, żeby przez nerwy nie wylać zawartości filiżanki. Jej żołądek nie pomieściłby więcej.

– Rozumiem, że ma pani zatrudnienie? – zapytała pani Abrams.

Miała wyjątkowo duże oczy, które wyglądały, jakby miały jej wyskoczyć z oczodołów. Obserwowała Elsie, nie mrugając nawet. Słowo „zatrudnienie” wypowiedziała tak, jakby było kwaśne.

– Tak, pracuję dla kamieniarza – marzyła, żeby odwrócić wzrok, ale wyczuła, że wówczas byłoby to odebrane jako nieuprzejmość.

Księżna uśmiechnęła się.

– Dobrze, jeśli kobieta jest odpowiedzialna, zwłaszcza przed ślubem – przeniosła wzrok na Bachusa. – Naprawdę bardzo się cieszę. Muszę przyznać, że mój mąż to jasnovidz. Przewidział taką możliwość tego wieczora, kiedy była pani u nas na kolacji, panno Camden.

Elsie poczuła drapanie w gardle. Upiła łyk herbaty, żeby je złagodzić, a potem pochyliła się i odstawiła bezpiecznie filiżankę i spodek na stole przed sobą.

– Tak, cóż, księżę jest bardzo, yyy, spostrzegawczy.

Księżna oczywiście mówiła o wieczorze, kiedy Elsie została zaproszona na kolację, a nie o tamtym popołudniu, kiedy wdarła się, wykrzykując ostrzeżenia, po których Abel Nash wyłośnił się z ukrycia i usiłował zabić Bachusa. Ale nie było potrzeby o tym wspominać.

– To prawda – zgodził się Bachus. Otworzył usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, kiedy wparowała pani Abrams.

- A jeśli chodzi o wesele... Dobrze, że mam mamy już za sobą. To bardzo pechowy miesiąc dla ślubów.

- Ależ Alison - zbeształa ją delikatnie księżna.

- To prawda! - odparła i odstawiła spodek. - Moja córka, a wydałam za mąż wszystkie sześć, wiecie, i to za dobre partie... - Elsie i Bachus delikatnie wymienili rozbawione spojrzenia, od których zaróżowiły się policzki Elsie - wyszła za mąż 27 maja, choć mówiłam jej, żeby tego nie robiła, a potem straciła pierwsze dziecko!

Elsie szybko oprzytomniała.

- O matko, to straszne.

- Powinna była mnie posłuchać - loki pani Abrams podskakiwały, kiedy kręciła głową, a Elsie uznała, że niespecjalnie lubi tę kobietę, nie mówiąc już o tym, że nie miała ochoty dopuszczać jej do planowania ślubu. Ale nie miała śmiałości, aby o tym wspominać. Zamierzała skierować rozmowę na Merton.

Pani Abrams nie dała jej jednak takiej możliwości.

- Czyż to nie urocza para? Twórca zakłęć i ich łamaczka, ha! I poznaliście się, zanim Kelsey uzyskał tytuł Mistrza?

Bachus udzielił odpowiedzi.

- Tak.

- Dobrze, dobrze. Dzięki temu unikniecie pytań od parostwa - pokiwała głową i upiła łyk herbaty.

Elsie powstrzymała się, żeby nie zmarszczyć brwi. Czy ta kobieta właśnie wytknęła im różnicę klasową, tak prosto w twarz?

- A jeśli chodzi o wesele... - kontynuowała, całkowicie ignorując przepaszający wyraz twarzy księżnej - ...ilu spodziewamy się gości? W Londynie jest kilka dużych kaplic, ale podróżowanie kosztuje i odbierze wam część prezentów. A jak mi nie mam, będą wam one potrzebne - spojrzała znacząco na Elsie, przez co dziewczyna poczuła przyływ gorąca na szyi. - Czy pani rodzice mieszkają blisko, panno Camden? Jak mi nie mam, oni także mają zatrudnienie.

Elsie poczuła, jak ciepło wpełza już na okolicę jej szczęki.

- N-nie, pani Abrams.

Zastanawiała się, czy nie powiedzieć, że umarli, co w końcu mogło być prawdą, tylko po to, żeby skończyć już tę rozmowę.

- Nie? Ach - pokiwała głową - w takim razie dlaczego pani pracuje? Czyżby długi?

Niski głos Bachusa był twardy, kiedy odpowiedział:

- Elsie nie wiążą żadne tego typu zobowiązania, pani Abrams. Rodzice nie są już częścią jej życia.

- Nie są już częścią...? - pani Abrams spojrzała zdumiona na księżną.

- Ależ szczegóły nie są aż tak ważne, prawda? - odezwała się księżna, próbując załagodzić sytuację.

- Jak to? - zaprotestowała pani Abrams. - Czyżby została pani wydziedziczona, panno Camden?

Rumieniec dotarł do policzków Elsie.

- Przede wszystkim nie bardzo mam kogoś, kto miałby to zrobić. Jeśli już musi pani wiedzieć, zostałam odseparowana od rodziców w młodym wieku. I dlatego pracuję. Potrafię sama zadbać o siebie.

- Cóż - oparła się na krzesło - to niezły szok. Odkrycie w sobie magii to jedyna rzecz, jaka może panią uchronić przed najgorszymi plotkami.

Tym razem to księżna się zacerwieniła.

- Nie będzie żadnych plotek...

- Zawsze są, Abigail.

- Pani Abrams - Bachus odezwał się tym razem gwałtownie; zaskoczył Elsie, chwytając jej dłoń. Ciepło jego palców wywołało dreszcz, który wspiał się po jej ramieniu i spowodował, że zarumieniła się tym razem z całkiem innego powodu - jestem wdzięczny za chęć pomocy, ale sędzę, że nasze wesele nie będzie należało do hucznych, a jego zorganizowanie nie będzie aż tak skomplikowane. Moi rodzice już nie żyją i nie mam rodzeństwa, więc załatwimy tę sprawę bez zbędnych komplikacji. Jestem przekonany, że pani umiejętności można by z pożytkiem wykorzystać do czegoś innego.

Ach, Elsie mogłaby go teraz pocałować.

Pani Abrams cmoknęła.

- „Sprawą” to jest sam ślub, panie Kelsey. Ale wesele już nie. Moja przedostatnia córka - z sześcioletnim, uwierzycie? - miała skromne wesele, a i tak opowiadało o nim całe miasto. Trzeba pomyśleć o chórze, kwiatach, a ubiór gości musi pasować do...

- Nie sędzę, aby to, co założą na siebie goście, miało znaczenie - wtrąciła Elsie.

Pani Abrams spojrzała na nią groźnie.

- Ma ogromne znaczenie. Ja na przykład nie chciałabym założyć sukni w takim samym kolorze co panna młoda.

Bachus odstawił spodek.

- No to całe szczęście, że nie będzie pani zaproszona.

Wydawało się, że cały pokój zamarł. Elsie wstrzymała oddech, aby nie wybuchnąć płaczem i śmiechem jednocześnie. Zdała sobie sprawę, że ścisła dłoń Bachusa, ale nie była w stanie przekonać swoich palców, żeby się rozluźniły. Bachus przyglądał się pani Abrams ze zmarszczonymi brwiami i ostrym wzrokiem. Oczy pani Abrams wybałuszyły się jeszcze bardziej. A księżna miała otwarte usta, ale to ona jako pierwsza odzyskała rezon.

- Alison - odezwała się drżącym głosem - pamiętasz, że chciałam usłyszeć, co sądzisz o geranium? Mam je we wschodniej części domu. Mogłybyśmy się tam spotkać?

- Zdecydowanie tak - pani Abrams wstała gwałtownie, unosząc nos w górę. Jeszcze raz zmroziła wzrokiem Elsie i Bachusa, po czym wyszła. Biorąc pod uwagę jej wyniosłość, pewnie myślała, że została poproszona o opuszczenie pomieszczenia, żeby księżna mogła złączyć swoich gości.

Kilka sekund po jej wyjściu księżna zachichotała.

- Rzeczywiście potrafisz być ostry, Bachusie.

Elsie wypuściła wstrzymywany oddech.

- Dziękuję - wyszeptła. Kiedy Bachus spojrział jej w oczy, poczuła ciepło i odwróciła wzrok.

- Nie sądziłam, że się tak zachowa - kontynuowała księżna. - Szczerze przepraszam was oboje.

- Nieważne - odparł Bachus. Jego dłoń pozostawała spleciona z dłonią Elsie. Pewnie o niej zapomniał. Czy byłoby dziwacznie, gdyby Elsie zabrała swoją? Nie chciała, ale Bachus trzymał ją tylko na pokaz, a teraz... połowa widowni zniknęła.

Pozwalając sobie na cieszenie się dotykiem jego dłoni jeszcze przez chwilę, Elsie zdecydowała przejść do sedna.

- Księżno Scott, rozmyślałam ostatnio o naszej wspólnej znajomej. Ja, yyy, przeczytałam o jej emeryturze i zrobiło mi się przykro, że wyjechała.

- Ach tak? - księżna wygładziła suknię. - Ach! Pewnie ma pani na myśli Mistrznię Merton. Elsie przytaknęła.

- Była dla mnie bardzo miła, kiedy się poznałyśmy. Miałam nadzieję, że dowiem się o niej czegoś więcej.

Hrabina pokręciła głową.

- Szczerze, niewiele o niej wiem. Znał się z nią mój mąż, ale tak naprawdę bliżej poznałyśmy się dopiero po obiecującej próbie Idy z kroplami.

Elsie wypuściła powietrze. To był ślepy trop.

- Zaskoczył mnie jej wyjazd. Tak bardzo interesowała się edukacją Idy... chociaż nie sądzę, by Ida chciała wybrać ścieżkę twórczyni zaklęć, ale była nieco zawiedziona, kiedy przestała być obiektem zainteresowania - uśmiechnęła się. - Dałabym pani jej adres do korespondencji, ale słyszałam, że wyprowadziła się z Londynu i wyjechała na wieś.

- A czy może wie pani, na którą wieś? - zapytał Bachus.

Ale księżna pokręciła głową.

- Kompletnie nie - spojrzła na filizanki. - Pozwólcie, że się tym zajmę i będziemy mogli poważnie porozmawiać o ślubie - podniosła się i podeszła do dzwonka umieszczonego na sąsiedniej ścianie.

Bachus pochylił się w stronę Elsie.

- Jeszcze dzisiaj skontaktuję się z księżną Morris i umówię nas.

Elsie przytaknęła, opierając się chęci odwrócenia głowy w jego stronę. Był tak blisko, że ich nosy mogłyby się zetknąć, ale nie chciała, aby czuł się przez to niekomfortowo.

Na tę myśl ostrożnie zabrała dłoń i położyła sobie na kolanach.

- Dziękuję.

Więcej nie rozmawiali na ten temat.

Wieczorem Bachus użył zaczarowanego ołówka, żeby poinformować Elsie, że przyjedzie po nią rano i zabierze na spotkanie z księżną Morris. Obudziła się więc wcześniej i czekała przy oknie całe czterdzieści pięć minut, żeby nie przeoczyć czarnego powozu typu Victoria, który wreszcie zatrzymał się przed pracownią kamieniarza. Zakładając torebkę na nadgarstek, Elsie

upewniła się, że kapelusz jest porządnie przypięty, a potem wygładziła spódnicę i wyszła frontowymi drzwiami. Bachus znajdował się zaledwie kilka kroków dalej, wyszedł po nią. *Jaki džentelmen.*

Uśmiechnął się do niej delikatnie.

– Panno Camden – podał jej ramię.

Zaskoczył ją ten formalny ton, ale podała mu rękę, pozwalając, aby poprowadził ją do powozu. Dopiero kiedy weszła do środka, dostrzegła pannę Aleksandrę Wright, jedną z wścibskich córek lokalnego bankiera, która zmierzała w ich kierunku. Miała otwarte szeroko oczy i była zaciekawiona, a uwagę skupiała na Bachusie.

Elsie westchnęła i weszła do powozu, żałując, że nie jest zamknięty. Wtedy mogłaby się schować przed największą plotkarą w mieście. Bachus wsiadł za nią i wziął wodze. Elsie zignorowała młodszą pannę Wright, kiedy przejeżdżali obok niej, ale czuła na sobie jej wzrok. Do wieczora będzie o tym rozprawiało całe Brookley.

Prawdę mówiąc, plotkowanie wcale by jej nie przeszkadzało, gdyby ich zaloty odbywały się w konwencjonalny sposób. Wcale nie wstydziła się, że widzą ją z olbrzymim, przystojnym mistrzem, twórcą zaklęć. Nie miało dla niej żadnego znaczenia, że jego skóra była mocno opalona, a włosy długie. Przeciwnie, podobał jej się sposób, w jaki esencja jego jestestwa łamała konwenanse, jeśli można tak powiedzieć. Uwielbiała patrzeć, jak drażnił pruderyjne plotkary, jak Aleksandra Wright. Jedyny szkopał w tym, że kiedy Bachus znajdzie wreszcie sposób, żeby się wyplątać z tego bałaganu i popłynie do siebie, zostawiając ją w Anglii, wszyscy będą o tym plotkowali. Ich uśmieszki i szeptki będą raniły jej złamane serce, a tego się obawiała.

Kiedy wyjechali za miasto, kierując się na zachód, Elsie odsunęła od siebie nieprzyjemne myśli i skoncentrowała się na tu i teraz.

– Nie wiedziałam, że umiesz powozić.

Bachus uśmiechnął się szyderczo.

– Myślałaś, że jestem opóźniony i nie byłbym w stanie posiąść takiej umiejętności, czy może zbyt wytworny, żeby wziąć wodze w dłoń? – zapytał z barbadoskim akcentem.

Elsie uśmiechnęła się, nieco się rozluźniając.

– Czy to możliwe, żeby myśleć o tobie to i to?

Zwolnił powóz i zjechał na bok, ponieważ mijał ich wóz, a potem powrócił na środek drogi.

– Możesz sama powozić, proszę.

– Doprawdy?

Zerknął na nią.

– Jeśli chcesz.

Elsie uśmiechnęła się i patrząc przed siebie, odparła:

– Może w drodze powrotnej. Byłaby to dla mnie lekcja jazdy. Ogden nie ma żadnego powozu.

– Książę ma ich mnóstwo.

Powróciła myślami do powozowni w Londynie, do której się włamała. Odczarowała jeden z powozów i posłała go w kierunku Kapturów, czy raczej Merton. Chciała w ten sposób przekazać, że zamierza ratować życie ubogich kłusowników; jednak odczarowany powóz posłużył do

uprowadzenia Mistrzyni Almy Digby. Najprawdopodobniej jej opus znajdował się teraz u Merton, gdziekolwiek była.

Opuścił ją radosny nastrój.

Po chwili Bachus to zauważył.

– Elsie? Denerwujesz się? Wysłałem wiadomość do księżnej Morris. Bardziej stosownie byłoby poczekać na odpowiedź, ale ona i tak się ucieszy, poczuje się ważna.

– O tak, z pewnością – naciągnęła mocniej rękawiczki. – Zastanawiałam się, jak najlepiej byłoby ją podejść. Oczywiście na początek musimy zachować się oficjalnie...

– Zapytaj ją o aspekt duchowy przed łamaniem zaklęć – zasugerował. – Spraw, żeby pomyślała, że jest w centrum uwagi. Dzięki temu będzie bardziej zycziwa.

Elsie przytaknęła.

– Rzeczywiście ona wygląda na kogoś, komu wydaje się, że jest centrum wszechświata.

Bachus uśmiechnął się. Pogawędki z nim wydawały się Elsie tak naturalne i wspaniałe. Oczywiście tak długo, jak trzymali się z dala od kwestii ślubu. Gdyby tylko mogła ten temat wyciąć z ich historii, mogłaby rozmawiać z nim bez końca.

– Zacznę od pytania: dlaczego wybrała pani aspekt duchowy, skoro oczywiście jest, że woli pani zaklęcia natury fizycznej? – zażartowała.

Bachus zachichotał.

– Chętnie zobaczyłbym jej reakcję.

– Niestety bardzo chciałabym pozostać w jej salonie dłużej niż dwie minuty – westchnęła, a humor zaczął ją opuszczać. – Po prawdzie, stale rozmyślam o Mistrzyni Merton.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Elsie, jej błędy nie są twoimi.

Jego słowa dodały jej otuchy, a jeśli to nie one, to z pewnością było to uczucie do niego.

– Mówiłeś już.

– A ty nie słuchałaś.

– Byłam pionkiem – poprawiła go. – Bardzo dobrze rozgrywanym. Ale to nie naprawi moich czynów.

– Elsie...

– Teraz to już nie ma znaczenia – próbowała się uśmiechnąć i patrzyła przed siebie. – Co się stało, to się nie odstanie, a my musimy dać z siebie wszystko, żeby naprawić, ile się da. Wątpię, czy księżna Morris wie, gdzie ukrywa się Merton, ale może pomoże nam ją zrozumieć. Ogden nadal prowadzi poszukiwania, ale dotąd nie znalazł nic przydatnego.

Bachus kiwnął głową.

– Przekazał mi, co się stało w Juniper Down.

Poczuła ucisk w żołądku, a krawędź zaklęcia z opusu ukrytego w gorsecie kujnęła ją, kiedy powóz najechał na kamień.

– Z tym Amerykaninem?

– Tak, pokazał mi nawet swój szkic.

Rysunek węglem tamtego mężczyzny, który mierzył w jej głowę z broni. Przez krótką chwilę przyglądała mu się, szukając jakiejś znajomej cechy. Czegokolwiek, co pozwoliłoby jej

sądzić, że to jej ojciec, a potem prawda wyszła na jaw.

Tak naprawdę to z nikim o tym nie rozmawiała. Nie pisała o tym w dzienniku, nie wykrzyczała niebiosom. Wszystko, co było związane z Kapturami, Ogdenem, Merton i Nashem, rozwinęło się tak szybko. Jej życie zostało skierowane w inną stronę, a ona nawet nie miała szansy odbyć po nim żałoby.

– Myślałam, że to mój ojciec. Wspominałam już o tym, prawda? I dlaczego poszłam... czy Ogden ci mówił? Dostałam wiadomość od pewnej rodziny w Juniper Down, że ktoś mnie szukał. Myślałam, że to ojciec wrócił po mnie po tylu latach. Ale to nie był on.

Bachus poluzował uścisk na wodzach.

– Elsie, tak mi przykro. Nie wyobrażam sobie...

Wzruszyła ramionami i zdołała wydusić z siebie śmiech.

– Cóż, takie życie cię teraz czeka, prawda? Myślę, że byłaby z tego dobra powieść.

Zapadła między nimi niezręczna cisza. Pochmurne niebo upuściło kilka kropel na dach powozu, ale być może dostrzegło, że Elsie była już i tak wystarczająco nieszczęśliwa, i wstrzymało się od dalszych opadów.

Elsie wzięła głęboki oddech.

– Przepraszam, nie chciałam...

A Bachus odezwał się jednocześnie:

– Księżna jest wniebowzięta.

Oboje zamilkli. Wsluchiwali się w uspokajający tętent końskich kopyt.

Bachus pierwszy odzyskał rezon.

– Chodziło mi o to, że powiedziałem księciu i księżnej o... zaręczynach, oczywiście. Ich zeznania pomogły... u sędziego.

Elsie kiwnęła głową.

– To miło z ich strony.

– Księżna jest podekscytowana – westchnął. – Kiedy wychodziłem dziś rano, pouczała mnie, jak prawdziwa nauczycielka.

Elsie usiłowała wyobrazić sobie wytworną księżną Kentu w czarnej sukni z linijką w dłoni. Rozśmieszyło ją to.

– Tak?

– Rzecz w tym... – przerwał. – Elsie, nie chcę, żeby to zabrzmiało, jakbym był nieczuły...

– Wiem, że masz dobre intencje, Bachusie. Zawsze tak jest – kusilo ją, żeby dotknąć jego kolana albo dłoni, ale tego nie zrobiła, a brak odwagi sprawił, że zabolalo ją serce.

– Przypomniała mi, że tradycyjnie rodzina panny młodej wyprawia kolację zaręczynową – tym razem to Bachus patrzył prosto przed siebie, chociaż droga była całkiem prosta. – Musiałem ją poinformować, że w twoim przypadku to niemożliwe.

Elsie milczała.

– Więc ona nalega, że sama ją wyprawi.

– To... bardzo uprzejme z jej strony. Chociaż nie sądzę, by było potrzebne.

Bachus odchylił się na siedzeniu.

- Być może, ale taka jest tradycja. A do tego nie zdziwiłbym się, gdyby obserwował nas sędzia – nagle przerwał i skrzywił się, ale Elsie nie była pewna, czy to była reakcja na jego słowa, czy może na kołowanie powozu.

Ale to było przypomnienie. Ich historia nie była całkiem wiarygodna i znajdowali się pod obserwacją wymiaru sprawiedliwości. Bachus musiał się z nią ożenić albo posłać ją na szubienicę.

- Jeśli nie masz nic przeciwko – powiedział po chwili – chciałbym też dać ogłoszenie do gazety.

Przytaknęła.

- Oczywiście.

A potem wybuchnęła śmiechem.

To był wymuszony, głupi śmiech, więc zaraz zamknęła usta. Ale przynajmniej zmniejszył trochę wewnętrzne napięcie, które odczuwała, więc mniejsza o to, że zabrzmiał głupio.

Bachus spojrział na nią, a na tle pochmurnego nieba jego oczy wyglądały jak morze.

- Musisz mi wytłumaczyć ten dowcip.

Potrząsnęła głową. Żałowała, że nie wzięła ze sobą wachlarza.

- Nie wiem. Po prostu... ogłoszenie w gazecie. To takie oficjalne, nieprawda? Całkowicie rozbieżne z moim wyobrażeniem.

Widziała, że zastanawiał się nad tym. Widziała już, że kiedy rozmyślał, miał w oczach szczególnie stoicki spokój.

- A jak sobie to wyobrażałaś?

Elsie ugryzła się w wewnętrzną stronę policzka. Chwyliła dłońmi ławkę po obu stronach nóg.

- Nie wiem. Nie sądziłam, że kiedykolwiek wyjdę za mąż... poza tym jednym razem, kiedy prawie to zrobiłam.

- Prawie?

Skurczyła się w sobie ze wstydu.

- Znaczący... kiedyś myślałam, że wyjdę za mąż. Za innego mężczyznę.

Bachus ożywił się.

- Tak? Za kogo?

- Za nikogo – odparła, a twarz Alfreda stanęła jej przed oczami; uśmiechnięta szeroko, a potem szyderczo. Znów się zaśmiała, ale tym razem z bólu. – Zabawne. W dniu, w którym myślałam, że się oświadczy, on mnie porzucił. Znalazł miłą zamożną wdowę. Teraz są małżeństwem. Widziałam ich kiedyś w mieście.

- Elsie...

- Ale ze mnie kupka nieszczęścia, co? – wyprostowała się, wygładziła suknię i poprawiła kapelusz. – Musisz mi wybaczyć, Bachusie. Trzy dni w kamiennej celi oznacza, że człowiek ma za dużo czasu do myślenia, a ja nie doszłam jeszcze całkiem do siebie – odchrząknęła. – Wiem, że twoi rodzice nie żyją, ale rodzina twojej matki... pojawi się?

Bachus wyznał jej, że jego rodzice nie mieli ślubu, że był bękartem, ale nie była pewna, jak wyglądała jego relacja z matką.

- Nie. Matkę ledwo znałem. Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy w ogóle jeszcze mam krewnych w Algarve.

- Ach - zacisnęła usta - naprawdę potrafię namieszać, prawda?

- Nie, Elsie - wyciągnął rękę i przesunął kciukiem po jej kolanie - to nieprawda.

Nie uwierzyła mu, ale uśmiechnęła się lekko, zadowolona, że powóz był na tyle zaciemniony, że ukrywał rumieniec, który pojawił się na jej skórze po jego dotyku. Wiedziała, że chciał ją tylko pocieszyć, ale kiedy się odsunął, natychmiast poczuła chłód. A potem się rozpadło i z zadowoleniem wsłuchiwała się w bębnienie deszczu, aż dotarli do posiadłości księżnej Matildy Morris.

Rozdział 6

– Jestem nieco zaskoczona – powiedziała księżna Morris, kiedy służąca podawała jej filiżankę herbaty. – Ale tak, oczywiście przeszłam oficjalne szkolenie. Wiem, że atenea słabo radzą sobie z propagowaniem zasad przyzwoitości.

Salon księżnej Morris był jasny i przestronny, przez wielkie okna wpadało szare, przytłumione deszczem światło. Na jednej ze ścian wisiał olbrzymi portret samej księżnej, a po przeciwnej – znacznie mniejszy, przedstawiający starszego mężczyznę, jak zakładała Elsie, jej męża. Marmurowa podłoga oraz kominek kontrastowały z granatem zasłon i dywanów, sufit zaś zdobiły symbole kwiatu lili, *fleur-de-lis*. Księżna Morris rozsiadła się w ozdobnym fotelu, podczas gdy Elsie i Bachus zajęli miejsca na twardej, welurowej sofie. Chociaż Elsie miała na sobie swoją najlepszą sukienkę, w tym dystyngowanym domu wydawała się i tak mało odpowiednia.

Wraz ze wzmianką o zasadach przyzwoitości oczy księżnej Morris przeskakiwały z Elsie na Bachusa i z powrotem, zahaczając nawet o dłoń Elsie. Wszystkie tymczasowe i fizyczne runy zwiększające piękno, z których część Elsie poluzowała kilka dni wcześniej, znajdowały się teraz z powrotem na miejscu.

– Czy nadzoruje pan jej szkolenie, Mistrzu Kelsey? Czy to oznacza, że jest pan w tajemnicy łamaczem zaklęć?

Wzmianka o łamaniu zaklęć w tajemnicy podsyciła związane z tą sprawą zdenerwowanie Elsie.

Bachus z gracją podziękował za filiżankę herbaty – Elsie odmówiła, obawiając się, że mogłaby ją przez przypadek wylać – i odpowiedział:

– Niezupełnie. Panna Camden jest moją narzeczoną.

„Moją narzeczoną”. Te słowa oblały Elsie jak jesienna bryza.

– Doprawdy? – księżna Morris ożywiła się, znów bacznie przyglądając się Elsie. – Cóż za interesująca para.

Elsie chciała domagać się wyjaśnienia, co księżna miała na myśli, ale uznała, że lepiej będzie ugryźć się w język. Dotąd nie wyglądało na to, aby księżna Morris myślała o niej źle, więc jeśli Elsie chciała od niej wyciągnąć cokolwiek o mistrzyni Merton, musiała zaprezentować się z jak najlepszej strony.

– Poszczęściło mi się – odezwała się, czując na języku smak kłamstwa – że w momencie odkrycia swojego daru miałam blisko siebie aspektora.

Prawda była taka, że wówczas pracowała dla aspektora, ale księżna Morris tego nie wiedziała.

– Wyobrażam sobie. To niesamowite, obudzić się tak pewnego dnia i... magia! – zarechotała. – Nie trzeba pracować nad tym każdego dnia od młodych lat. Jest pani naprawdę w czepku urodzona, panno Camden.

Elsie zmusiła się, żeby nie zgrzytnąć zębami.

– Rzeczywiście, to duże szczęście.

– Ale mistrzu Kelsey – skierowała uwagę na Bachusa – nie wiem, jak pan znosi Kent. Słyszałam, że posiadłość popada w ruinę.

Elsie dosłownie czuła napięcie Bachusa. W końcu to prawdopodobnie sama księżna Morris rzucała klątwy nieurodzenia na pola księcia Kentu – klątwy, które rozplątywała Elsie. Położyła dłoń na przedramieniu Bachusa i odpowiedziała za niego:

– Och, to z pewnością urocze miejsce. Bardzo przytulne. Za to jestem zachwycona pani posiadłością, księżno Morris. Jest taka... modna. Z chęcią bym ją obejrzała, gdyby tylko zechciała pani znaleźć na to czas.

Księżna Morris uśmiechnęła się.

– Powinam być w stanie to zorganizować. Ma pani dobry gust, panno Camden, lecz – odstawiła swoją filiżankę – o co chciała mnie pani zapytać?

Elsie zrealizowała więc scenariusz, który przeciwzyła tego poranka, zadała księżnej pytania, które jej zdaniem brzmiały możliwie profesjonalnie i dotyczyły oczywiście łamania zaklęć. Zaczęła od tych prostych, związanych z dyscypliną duchową i jej efektami, potem przeszła do aspektów osobistych. Dlaczego księżna Morris wybrała tę dziedzinę? Jak magia wpłynęła na jej życie? Potem spytała, kiedy księżna potrzebowała łamacza zaklęć oraz czy okazał się on skuteczny.

– Nieczęsto ich zatrudniam. W zasadzie nie używam już magii. Kobieta o mojej pozycji nie pracuje – owinęła ciemny pukiel wokół palca wskazującego, a po chwili puściła go.

Bachus kiedyś powiedział, że księżna Morris się wypaliła, co oznacza, że osiągnęła szczyt swoich możliwości w nauce zaklęć i nie była w stanie osiągnąć większych postępów, ale Elsie wiedziała, że nie powinna o tym wspominać. – Ale zdarza się, że podczas rzucania jakiegoś zaklęcia człowiek się pomyli. To normalne.

I wtedy potrzebujesz poprawić kształt nosa, pomyślała Elsie. Wyczuwając, że księżna Morris się rozluźniła, Elsie podjęła próbę:

– Proszę wybaczyć księżno, Morris, ale wydaje mi się pani znajoma. A nie jest pani osobą, którą można z kimkolwiek pomylić.

Księżnej chyba spodobała się ta uwaga.

– Doprawdy?

– Tak – spojrzała na Bachusa. – Czy... czy nie przyjaźni się pani czasem z mistrzynią Merton?

Twarz jej się rozpromieniła.

– Tak! Skąd pani wiedziała?

Odpowiedział jej Bachus:

– Mistrzynie Merton wielokrotnie gościła u księcia i księżnej Kentu.

Księżna Morris przewróciła oczami.

– O, wcale mnie to nie dziwi. Ona z jakiegoś powodu bardzo angażuje się w rekrutację, zwłaszcza kobiet. W tym celu poszłaby na koniec świata. Nie ma majątku ani rodziny, którą trzeba się zajmować, więc ma na to czas.

Elsie ścisnęła ramię Bachusa, jakby chciała powiedzieć: *Wiem, że jest okropna. Ale wytrzymaj jeszcze trochę.*

Pośród słów księżnej Elsie znalazła coś, co wydało się sensowym tropem.

– Nie ma posiadłości? Czyż nie zdobyła statusu mistrzyni już dawno temu?

– O, tak. Krótko przede mną – znów zaczęła bawić się kosmykiem włosów. – I nie ma majątku. Nawet nie jest Angielką.

– Naprawdę? Przecież wygląda i mówi jak Angielka.

– O, tak – machnęła dłonią ze zdumienia, jakby straciła zainteresowanie tą rozmową, która przestała dotyczyć jej osoby – w czasie wojny uciekła z Rosji z rodzicami. Oni potem zmarli, a ona wylądowała w jakimś sierocińcu, gdzieś tu w okolicy. Wspomniła o tym tylko raz, dawno temu, jeszcze w szkole.

Myśli Elsie pędziły tak, że aż się za nimi kurzyło. Rosja? Czy księżna Morris miała na myśli wojnę krymską? Merton mogłaby być w tym wieku, z pewnością dobiegała do sześćdziesiątki. Więc kiedy to się stało, byłaby... mniej więcej w wieku Emmeline?

– Przykro mi to słyszeć – odezwał się Bachus, odwracając uwagę od milczącego osłupienia Elsie.

– O, tak – przytaknęła Elsie – to tragedia.

Księżna Morris wzruszyła ramionami – to było dawno temu. Ona nie pielęgnuje tych wspomnień, nie tak jak niektórzy, którzy wiecznie napawają się swoimi nieszczęściami. Nie Lily.

Licząc na kolejny łut szczęścia, Elsie kontynuowała:

– A pamięta pani, jak udało jej się dostać do Ateneum? Przytułki... to miejsca, z których trudno się wydostać – wiedziała to z doświadczenia. – Poza tym rzucanie zaklęć to raczej kosztowna profesja.

Księżna westchnęła.

– Zrobiła jedyną rzecz, jaka pozostała takiej biednej myszce, panno Camden. Wygrała los na loterii. Promotor wybrał ją spośród tłumu.

– A pani przyjęła ją pod swoje skrzydła. Jak to miło z pani strony, że wyciągnęła pani rękę do kogoś tak bardzo odbiegającego od pani pozycji – wtrącił Bachus.

Na twarzy księżnej Morris pojawił się niespodziewanie wyraz smutku.

– O, oczywiście. Bywało, że... – wyprostowała się. – Ale teraz to nie ma już znaczenia. Chcę mnie jeszcze o coś zapytać?

– Och, proszę, księżno Morris – Elsie ścisnęła dłonie ułożone w fałdach spódnicy. – Marzę o tym, by usłyszeć pani opowieść o dobroczynności.

Powiedz nam wszystko, co wiesz, proszę.

Księżna zacisnęła usta i przyjrzała się Elsie. Przez chwilę dziewczyna obawiała się, że przesadziła. Ale jej uprzejme słowa musiały wyrzucić zamierzony efekt, ponieważ ramiona księżnej Morris nieco się rozluźniły.

– To było tak dawno temu. Powiedzmy, że mój naiwny ojciec wpadł na pomysł, żeby upokorzyć całą swoją rodzinę – pociągnęła nosem – więc po prostu wzięłyśmy się razem z Lily wzajemnie pod skrzydła, aż ja poznałam odpowiednią partię – wskazała na portret wiszący po drugiej stronie pokoju. – Lily to dobra osoba. Prawdziwa chrześcijanka, nie skąpi grosza na

cele pokojowe czy na strawę dla biednych i inne takie tam nonsensy. Zawsze była oddana swojemu promotorowi bardziej niż ktokolwiek inny. Wspierała go nawet finansowo, kiedy był stary. Bardzo przeżyła jego śmierć. Nie widziałam Lily od...

Księżna Morris postukała się w brodę. Jeśli wracała pamięcią do przeszłości, to mogła rozmyślać o sklepie z kapeluszami i tym, co się tam wydarzyło...

Elsie trąciła swoim pantofelkiem but Bachusa.

- Dziękujemy, że zechciała nam pani poświęcić czas, księżno Morris - powiedział bez zastanowienia. Wstał i podał Elsie ramię. Z jakiegoś powodu w tym pomieszczeniu wyglądał na wyjątkowo dużego mężczyznę, a może wydawał się taki przy księżnej Morris, mierzącej jakieś metr pięćdziesiąt. Nosiła się jednak w taki sposób, jakby nie miała świadomości swojej drobnej postury.

- O, cała przyjemność po mojej stronie. Zawsze cieszę się, jeżeli mogę jakoś pomóc - uśmiechnęła się. Elsie nie wspomniała o oprowadzaniu po posiadłości i księżna chyba o tym zapomniała, bo nie zaproponowała kolejnych odwiedzin. Odprowadziła ich do holu, z którego elegancko ubrany lokaj poprowadził ich do wyjścia.

Elsie ledwo odnotowała drogę od domu do powozu. Wojna krymska. Utrata matki. Hojne datki na potrzebujących. Teraz Mistrzynie Merton jeszcze mniej pasowała do stereotypu seryjnej morderczynie.

Dopiero kiedy Bachus zawrócił powóz, Elsie zapytała:

- Myślisz, że miała z tym problem, z zaprzysiężeniem się Wielkiej Brytanii? Nigdy bym nie pomyślała, że to Rosjanka. Wysławia się tak wytwornie, nosi tylko angielskie stroje...

- Elsie - odparł, kiwając głową, kiedy inny służący otwierał im bramę - kiedy jesteś obca, robisz to, co trzeba, żeby się dopasować, inaczej czeka cię ostracyzm. Czasami nawet nieświadomy. Jeśli Mistrzynie Merton chciała specjalizować się w magii duchowej w Londynie, to musiała wtopić się w tutejszą społeczność tak mocno, żeby wszyscy zapomnieli, że się od nich różni. Dla takich jak my to konieczność.

Usłyszawszy to, Elsie zamilkła. Pomyślała o Bachusie. O jego ciemnej skórze, długich włosach, słusznym wroście i szerokich barach. Trzymał się angielskiego akcentu, nie przeskakując na swój naturalny, jak to zdarzało mu się wcześniej. Jego ojciec był Anglikiem, ale matka pochodziła z Algarve, a on wychował się na Barbadosie. Ubierał się jak Anglik, mówił jak Anglik, ale nie wyglądał na Anglika.

Elsie zapomniała o jego inności.

Nic dziwnego, że Aleksandra Wright się na niego gapiła.

- Czy nie uraziłam cię? - zorientowała się, że wstrzymuje oddech w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Nie - przełożył wodze do lewej dłoni, a prawą przykrył jej palce. - Nie, nie uraziłaś.

Zastanawiała się, czy barbadoskie brzmienie wymknęło mu się niechcący, czy może pozwolił sobie na nie celowo, żeby ją uspokoić.

- Ale tylko kiedy dobrze się wpasujesz, możesz z łatwością unikać bólu bycia obcym.

Przytaknęła. Odważyła się przykryć drugą dłoń jego dłoń.

- Pewnie masz rację - pomyślała o Ogdenie, o jego wyznaniach. On także był inny i ukrywał się z tym nadzwyczaj dobrze. - Ciekawe, z jakimi bólaczkami zmagala się w życiu Mistrzynie Merton. I dlaczego przez nie zachowuje się tak, jak się zachowuje.

Jeśli Lily Merton pragnęła pokoju, jak twierdziła księżna Morris, to dlaczego zabiła tylu ludzi? Dlaczego była tak żądna władzy?

I czy tamten Amerykanin miał z tym cokolwiek wspólnego?

Elsie czuła, że jest coraz bliżej znalezienia odpowiedzi. Jedyny problem polegał na tym, że za każdym rogiem pojawiały się kolejne pytania.

Po powrocie z więzienia dziwnie trudno było jej powrócić do codziennych zajęć.

Elsie poradziła sobie jednak, zamawiając materiały dla Ogdena, który na szczęście dostał dwa kolejne zlecenia. Jedno od okropnego dziedzica, który zażyczył sobie własnego popiersia, jakby jego goście nie wiedzieli, jak wygląda. A drugie złożył ktoś spoza miasta. Ogden potrzebował czegoś, czym mógłby zająć myśli, podobnie jak Elsie. W przeciwnym razie krążył po okolicach Londynu, przeczesując myśli obcych ludzi, był niespotykaniem milczący, szkicował i mruczał pod nosem.

Elsie bardzo się ucieszyła z porannej wędrowki do posiadłości dziedzica, bo chociaż nie przepadała za nim - *naprawdę szkoda, że to nie on był mordercą* - to bardzo lubiła jego zarządę, pana Parkera. Był to miły i rzeczowy człowiek, z godną podziwu dokładnością podał jej wymiary oraz inne informacje, których potrzebowała. Elsie zastanawiała się, czy Ogden domyśliłby się, gdyby dokonała zmian w rzeźbie - dodając dziedzicowi niestosowny pieprz czy albo krzywy ząb. Ale gdyby Ogden przez to stracił pracę, to i ona by ją straciła.

Na szczęście będzie miała męża, który ją utrzyma, jeśli oczywiście do czegoś takiego dojdzie.

Kiedy wracała z powrotem przez miasto, potknęła się na zupełnie prostej drodze i jakąś chwilę łapała równowagę, usiłując nie upuścić teczek z dokumentami swojego pracodawcy. *Mąż. To wszystko przypomina bardzo dziwny sen, prawda?* Najgorsze, że nadal nie omówili planów. Jak Bachus zamierzał pogodzić Barbados i Anglię? A może w ogóle nie zamierzał ich godzić? Z tego, co wiedziała, chciał pozwolić jej mieszkać w Londynie, a sam wyjechać na Barbados i utrzymywać tam kochankę lub dwie. To byłby uczciwy kompromis, prawda?

A jednak na myśl o tym poczuła ucisk w żołądku. Miło byłoby być zaręczoną po pełnych czułości zalotach. Być pewną, że jest się chcianą.

- O, panna Camden!

Elsie skrzywiła się na dźwięk znanego głosu tuż za plecami i szła dalej, jakby nic nie usłyszała. Przyspieszyła nawet.

- Panno Camden!

Zazgrzytała zębami, a potem rozluźniła szczękę. Odwróciła się, osłaniając oczy od słońca, chociaż i tak wyręczał ją w tym czepek.

- Ach, panny Wright. Jak się dzisiaj macie?

Rose i Aleksandra Wright przyspieszyły kroku, żeby ją dogonić, unosząc przy tym kurz na drodze.

- Nie posiadamy się z radości - powiedziała ta druga, podskakując na palcach.

Elsie poprawiła teczkę.

- A to z jakiego powodu?

- Z jakiego powodu? - powtórzyła po niej Rose Wright, przyciskając dłoń do piersi. - No jak to... pani zaręczyn.

Gazety chyba jeszcze o tym nie pisały. Ale Elsie nie musiała o to pytać, ponieważ Aleksandra Wright kontynuowała:

- Rozmawialiśmy z Emmeline wczoraj, po pani wyjeździe! Wspaniałym powozem, jeśli wolno mi zauważyć.

- Oczywiście rozmawiały panie z Emmeline.

- Naprawdę wspaniały - zgodziła się druga siostra. - A jaki mężczyzna!

- Obcokrajowiec - dorzuciła Aleksandra piskliwym głosem, jakby Elsie tego nie zauważyła.

- Tak - dodała Rose. - Proszę powiedzieć, czy to Turek?

Elsie zdusiła w sobie chęć wytłumaczenia tym pannom, że nie miały prawa do jakichkolwiek informacji dotyczących jej życia osobistego, zwłaszcza że kompletnie nie interesowały się nią, zanim stała się obiektem plotek.

- Jest z Barbadosu.

- Z Barbadosu! - powtórzyła za nią Rose, a jej siostra zapytała: - A gdzie to jest?

- Niedaleko Turcji - wyjaśniła Elsie.

Aleksandra zwróciła się do Rose.

- No, to ma sens, prawda? Znowu miałaś rację.

- Czy jest oficerem? - zapytała Rose.

Elsie rozejrzała się wokół, mając nadzieję, że pojawi się ktoś, kto przerwie tę rozmowę.

- Oficerem? W armii?

- Nie, chodzi mi o policję - dodała Aleksandra.

- Widzieliśmy policjantów w pracowni kamieniarza w zeszłym tygodniu - wyjaśniła Rose.

A Elsie pobladła:

- K-kimś w tym rodzaju.

- Ale - odezwała się Aleksandra, bardziej do siostry niż do Elsie - oficer nie posiadałby takiego wspaniałego powozu, prawda?

Elsie odchrząknęła.

- Wybaczcie mi, muszę iść do pracy.

- O tak! - krzyknęła Rose. - Kobieta pracująca. Czasami zapominam. Czy nie będzie miło, kiedy ktoś inny zadba o pani utrzymanie?

Elsie zmarszczyła brwi.

- W rzeczy samej.

- Proszę zaprosić nas na herbatę - nalegała Aleksandra. - Wspaniale byłoby nadrobić zaległości.

Przyklewszy uśmiech do twarzy, Elsie odpowiedziała:

– Będę musiała to zrobić.

Siostry zachichotały zachwycone i pomachały jej na pożegnanie, a Elsie przyspieszyła kroku, aby znaleźć się jak najdalej od nich. Wolałyby już dać się wypchać trocinami, niż marnować herbatę na te dwie głupie panny. Westchnęła.

Wszystko się ułoży, nie martw się.

Gdyby tylko potrafiła w to uwierzyć.

Ruszyła do domu skrótem, tym za pocztą, kiedy zobaczyła damę stojącą za karyklem, która zasłaniała twarz kawałkiem papieru i przyglądała się okolicy pobliskiego banku. Wyglądała na około trzydziestoletnią, miała jasnobrązowe włosy upięte do góry i elegancki kapelusz. Słońce odbijało się od delikatnych, srebrnych okularów, które miała na nosie. Elsie jej nie rozpoznała. Czyli nie mieszkała w Clunwood, sąsiadującym z Brookley od południa. Była zbyt wytworna, a w pojeździe tuż za nią nie było woźnicy, co mogło wskazywać, że należał do niej.

Rozglądając się, czy na drodze nie ma jakichś przechodniów, Elsie przeszła na drugą stronę i znalazła się obok damy.

– Przepraszam – zagadnęła – czy pani się zgubiła?

Widać było, że kobieta poczuła ulgę.

– W rzeczy samej, dziękuję. Już dwukrotnie pytałam o drogę i mogłabym przysiąc, że obaj mężczyźni podali mi całkiem inne wskazówki.

Elsie się uśmiechnęła.

– Tak, to podobne do mężczyzn. Dokąd pani zmierza?

Dama pokazała jej kartkę, którą trzymała w dłoni, na której był zapisany znany Elsie adres.

– Do pracowni kamieniarza. Jest tutaj kamieniarz, prawda? W przeciwnym razie będę musiała zawrócić do Londynu i spróbować jeszcze raz.

Elsie się roześmiała.

– W rzeczy samej, jest. Właśnie tam idę.

– Bóg mi panią zesłał – schowała kartkę i poszła za Elsie. – Słyszałam, że jest aspektorem.

W uszach Elsie zadźwięczały ostrzegawcze dzwonki. Aż przypomniała sobie fortel związany z aspektorstwem Ogdena.

– Jest, fizycznym. To nowicjusz, ale zaklęcia, które zna, pomagają mu w pracy, która jest jedyne w swoim rodzaju.

– Miło mi to słyszeć. Och, proszę spojrzeć – wskazała na wąską drogę, wychodzącą z głównej ulicy. – Wydaje mi się, że tędy przechodziłam, ale nie zauważyłam jej.

Minęły bruk i szły dalej tą drogą. Niebo tego dnia nie było mocno zachmurzone i promienie słońca bardzo przygrzewały. Elsie ulżyło, kiedy wreszcie mogła z niego zejść, wpuszczając jednocześnie nieznaną do środka.

Emmeline podniosła wzrok znad miotły, którą zamiatała drugi koniec pracowni. Zauważyła kobietę.

– O, witam.

– Dzień dobry! – odpowiedziała, a ominąwszy stół, weszła do studia i zaproponowała dziewczynie pomoc. – Nazywam się Irene Prescott. A pani to pewnie Elsie Camden?

Emmeline pokręciła głową.

– Właśnie pani z nią weszła, proszę pani.

Panna Prescott odwróciła się.

– O rany, powinnam była się przedstawić.

Elsie poczuła swędzenie w nadgarstkach, jakby właśnie złamała z tysiąc zakłęb.

– Sama powinnam była to zrobić. W czym mogę pomóc?

Czego ty chcesz?

Panna Prescott raz jeszcze przeszła przez pracownię, wyciągając dłoń do Elsie, którą ta ostrożnie potrząsnęła.

– Dostała pani mój list?

– Poczta się opóźnia – odezwała się Emmeline.

– Ach, cóż – kontynuowała panna Prescott, puszczać dłoń Elsie – przysłała mnie Rada. Przyjechałam panią zarejestrować i rozpocząć pani szkolenie jako łamaczki zakłęb.

Elsie otworzyła usta, po czym zorientowała się, co robi, i natychmiast je zamknęła, szcękając zębami.

– A-ach, rozumiem.

Panna Prescott otworzyła torbę i wyjęła z niej plik kartek, po czym położyła go na komo-dzie. Odwracając się w stronę Emmeline, zapytała:

– Moja droga, masz gdzieś pod ręką pióro?

Emmeline przytaknęła i odstawiła miotłę, śpiesząc do szuflad pod biurkiem, żeby znaleźć i pióro, i kałamarz.

– Musi to pani wypełnić – panna Prescott przesunęła kartki w kierunku Elsie, która szybko przejrawszy ich zawartość, zauważyła, że znajdują się na nich pytania natury osobistej, dotyczące wieku, wyglądu, wzrostu i tak dalej, a także historii rodzinnej. Cóż, nie mogła poinformować Rady o tym, czego sama nie wiedziała.

Oblizując usta, Elsie wzięła pióro, upominając sama siebie, że nie ma się czym denerwować, to przecież tylko część ich planu. Ma się zarejestrować, trochę poszkolić, a potem będzie wolna. Miło byłoby móc jawnie korzystać ze swoich zdolności. Z pewnością więcej by zarabiała. I nie byłaby aż takim obciążeniem dla Bachusa.

Bachus.

Elsie przyłapała się na tym, że w jednej z linijek napisała jego imię, więc pośpiesznie je wymazała, zastępując je swoim wiekiem.

Panna Prescott uśmiechnęła się.

– Ja też często zapominam, ile mam lat.

Elsie kiwnęła głową i przeszła do następnej strony.

– Historia pani rodziny pomoże nam przesledzić powiązania magiczne – podkreśliła panna Prescott.

– Jestem sierotą – odparła Elsie, niepewna, czy to rzeczywiście prawda. Zaczęła wypełniać drugą stronę.

Panna Prescott była na tyle uprzejma, żeby przynajmniej udać zawstydzoną.

– Bardzo mi przykro.

Elsie dokończyła wypełnianie dokumentów i podpisała się na samym końcu. Obok niej złożyła swój podpis panna Prescott. Chwilę potem uporządkowała kartki i ułożyła je w stosik.

– Mogłam panią wezwać do nas, ale wiem, że to wszystko jest dla pani nowe, więc pomyślałam, że zrobię sobie wycieczkę.

Elsie wyprostowała się, ścierając plamę atramentu z dłoni.

– Dziękuję. To miłe.

– Chociaż w ramach szkolenia i tak będziemy musiały trochę pojeździć – kontynuowała panna Prescott. – Musimy odwiedzić różne atenea, oczywiście żeby pani mogła zgromadzić zaklęcia, aby potem na nich ćwiczyć łamanie. Od czasu do czasu odwiedzi nas twórca zaklęć, ale oni zazwyczaj są bardzo zajęci.

– Ale panno Prescott, ja mam pracę...

Panna Prescott cmoknęła współczująco.

– Rozumiem, chociaż niestety to jest traktowane priorytetowo. Magia, nawet proste łamanie zaklęć, może być niebezpieczne, jeśli się nie będzie umiało nad nią zapanować.

Proste łamanie zaklęć. Elsie prawie parsknęła. Jej zdaniem rozplątywanie zaklęć było bardziej skomplikowane niż ich tworzenie. Twórcy zaklęć nie wiedzą nawet, jak wyglądają ich runy. Nie widzą ich, nie czują ich zapachu, zupełnie nic. Ale panna Prescott przynajmniej w jednym miała rację – takie zdolności mogły być niebezpieczne, jeśli ich posiadacz nie zostanie przeszkolony. Brak wiedzy w dziedzinie łamania zaklęć, kiedy miała dziesięć lat, sprawił, że niechcący doprowadziła do spalenia sierocińca.

Jej myśli pobiegły w kierunku Mistrzynie Merton.

– Oczywiście – powiedziała, próbując się na powrót skoncentrować. – Chodzi tylko o to, że, cóż... za niecały miesiąc wychodzę za mąż – poczuła ucisk w żołądku. W zasadzie to jeszcze nie ustalili z Bachusem daty. Więc czy właśnie nie wepchnęła go do jeszcze ciasniejszej klatki?

– O, gratulacje! Cóż, jakoś sobie z tym poradzimy.

– On jest twórcą zaklęć. Mistrzem aspektem fizycznym – wtrąciła Emmeline.

W tym momencie panna Prescott zrobiła wielkie oczy.

– Doprawdy?

– Niedawno został promowany – bardziej wiarygodne było, że zdobyła serce zaawansowanego aspektora niż mistrza aspektora. Różnica pozycji nie wydawała się wtedy aż tak uderzająca. Chociaż już niedługo, kiedy sama będzie zarejestrowaną czarodziejką, jej status także będzie wyższy. Łamaczka zaklęć nigdy nie zasłuży na tytuł, niemniej jednak już sama taka funkcja łączyła się z prestiżem. Łamacze zaklęć byli bardzo rozchwytywani. Jednak bycie twórcą zaklęć... cóż, już sama nazwa wskazywała, że ktoś taki ma pieniądze.

– Być może mogłybyśmy skorzystać z jego usług – zasugerowała, wkładając dokumenty do torby. – Wkrótce skontaktuję się z panią. Widziałam tutaj pocztę, więc zakładam, że mogę wysłać telegram.

Elsie przytaknęła.

Panna Prescott wyciągnęła jeszcze raz dłoni i Elsie ją uściśnęła.

– Wspaniale było panią poznać, panno Camden. I proszę się nie martwić. Za kilka lat będzie pani gotowa, żeby podbijać świat.

Elsie uśmiechnęła się, starając się z całych sił nie ścisnąć jej dłoni zbyt mocno. *Za kilka lat?*
Boże dopomóż, to będzie najdłużej trwający fortel w jej życiu.
Boże dopomóż.

Rozdział 7

Tego samego dnia, wieczorem, kiedy Emmeline udała się już do łóżka, Elsie zastukała do drzwi Ogdena.

Czekała przez dłuższą chwilę, zanim jej otworzył. Miał potargane włosy.

- Przepraszam, że cię obudziłam - powiedziała - ale mam pewien pomysł.

Ogden westchnął.

- Nie obudziłaś mnie. Nie sypiam już tak, jak kiedyś - wyrzwał na korytarz, w kierunku drzwi Emmeline. - Chodźmy na dół.

Ostaniając płomień świecy, Elsie poprowadziła ich do kuchni. Rozumiała trudne położenie Ogdena, ona także pracowała do późna w nocy i wcześniej rano, dręczona nieustannymi myślami: *a co, jeśli... i co teraz...* A mimo to było jej go szkoda. Po dziewięciu latach odzyskał wolność, a wyglądało na to, że z tego powodu tylko cierpi.

W kuchni zapaliła dwie dodatkowe świece, a potem usiadła, okrywając się ciasno szalem. Ogden usiadł naprzeciwko niej, pocierając gęsty zarost na policzkach.

- Odtwarzam to raz za razem. Znaczący Juniper Down - powiedziała, nasłuchując, czy ze schodów nie dochodzi skrzypienie, które sygnalizowałoby, że Emmeline wstała i zmierza w ich stronę. Jednak w całym domu panowała cisza. - Tamten Amerykanin powiedział, że zna moje imię z gazet i czasopism. Z opublikowanych przeze mnie artykułów. Ale ja nigdy w życiu nic nie opublikowałam.

Ogden pokiwał głową.

- Pamiętam to.

Pochylając się w jego stronę, zapytała:

- Czy istnieje sposób, by wyszukać artykuły w gazecie po nazwisku autora?

Ogden się wyprostował.

- Mówił, że było to w Europie i w Stanach. Część z nich na pewno była opublikowana w Anglii.

Ku jej uldze Ogden przytaknął.

- Tak, w Colindale. Tam jest archiwum z gazetami nawet sprzed kilkudziesięciu lat. Jeśli zostały dobrze zachowane, powinniśmy być w stanie wyszukać w nich twoje nazwisko.

Podekscytowanie kłuło ją jak igły. Być może uda się im rozwiązać kolejną część tej zagadki.

- To niedaleko stąd - jeśli się nie myliła, było to w północnej części Londynu.

Ogden przytaknął.

- Możemy pojechać rano.

Przygryzła wargę.

- Ja mogę. Ty musisz skończyć zlecenie dla dziedzica...

- Pojadę z tobą - podkreślił - a jeśli dziedzic będzie się skarżył, to sprawię, że pomyśli, iż przedłużył termin.

Elsie zaniemówiła.

– Potrafisz tak?

Ogden po prostu na nią spojrział.

– Dobrze – wstała, pilnując, aby krzesło nie zaszurało nogami o podłogę. – To będzie dobre miejsce, żeby zacząć. Jutro z samego rana – odwróciła się od stołu, ale zatrzymała się i wróciła do niego. – Ogden?

Ogden zdmuchnął jedną ze świec.

– Mmm?

Przez chwilę biła się z myślami, ale uznała, że lepiej zaryzykować zniewagę, niż ciągle zastanawiać się i obawiać. Tę jedną obawę mogła pokonać tu i teraz.

– Chcę, żebyś mi obiecał, że nigdy nie sprawisz, żebym myślała inaczej niż w rzeczywistości. Nie bez pytania – to było śmiałe postawienie sprawy, szczególnie wobec pracodawcy, ale po prawdzie Cuthbert Ogden był dla niej teraz kimś znacznie ważniejszym.

Jego usta drgnęły.

– Chybabym nawet nie mógł, zauważyłabyś.

– Ale mógłbyś sprawić, żebym nie zauważyła, prawda? Tak jak wtedy.

Zacisnął usta i oparł brodę na dłoniach.

– Być może. Ale ty nabrałaś mocy, Elsie. Twoje umiejętności są... imponujące.

– Ale mimo to – naciskała, starając się nie wpaść w pychę od tego komplementu – chcę, żebyś mi obiecał.

– Obiecuję – nieco podniósł głos – obiecuję ci, Elsie, na groby moich rodziców i na mój własny. Nigdy nie wpłynę na ciebie przy użyciu magii.

Ukryte pod jej szarfą zakłęcie z opusu stało się jakby cięższe. Pomyślała o tych strasznych rzeczach, w zrobienie których wmanipulowała ją Merton, a także o Bachusie, którego wyrozumiałość i cierpliwość z pewnością miały granice; granice, które ona przesuwiała. A nie miała pojęcia, jak dużą część z jej życia wymazałoby takie zakłęcie...

– Chyba że cię poproszę – dodała łagodniejszym głosem.

Ogden uniósł brew.

– Chyba że mnie poprosisz.

Zadowolona, Elsie podniosła swoją świecę i poszła na górę, pozostawiając Ogdена rozmyślającego w świetle pojedynczego płomienia.

Archiwum czasopism w Muzeum Brytyjskim mieściło się w nierzucającym się w oczy, bezpretensjonalnym budynku, bez wyszukanych ozdób architektonicznych czy kolorystyki. Elsie nie zwróciła jednak uwagi na wygląd budowli. Ogden przytrzymał przed nią drzwi, przez które wsunęła się do środka, gdzie niemal natychmiast przywitały ją rzędy ksiąg, szuflad i półek, które sprawiały wrażenie ładu i porządku.

Po chwili Ogden wskazał.

– Tędy.

Elsie podążyła za nim.

- Czy wyszperałaś tę informację w umyśle kustosa?

Ogden rzucił jej zdruzzone spojrzenie i wskazał na tablicę z gazetami i datami ich wydania. Elsie, zawstydzona, podążyła za nim.

Problem w tym, że nie wiedziała, jakiego dokładnie zakresu dat powinni szukać. Ile czasu zajęło tamtemu Amerykaninowi, żeby ją wywęszyc? A jeśli artykuły nie były indeksowane po nazwisku, to przeszukanie dzienników z chociażby jednego roku będzie niemal niemożliwe. Zwłaszcza że powątpiewała, że kustosze pozwolą jej zabrać ot, tak całe stopy gazet, żeby je mogła przejrzeć w domu.

Starszy dżentelmen przeszedł obok, spoglądając na nią i Ogdena.

- Tutaj - Ogden wskazał w kierunku, z którego szedł ten mężczyzna. Była tam ściana pełna maleńkich drewnianych szufladek.

Elsie musiała się powstrzymywać, żeby tam nie biec. Szufladki były pogrupowane według dat, regionów i...

- Autorów - wyszeptwała, dotykając napisanych odręcznie nazwisk na jednej z nich. Szybko przebiegła wzrokiem po frontach, klękając, żeby dotrzeć do litery C. Wyciągnęła szufladkę, na której było napisane „Calladine - Cook”.

Ogden kucnął obok niej. Szuflada była znacznie dłuższa, niż się tego spodziewała. Mieściło się w niej kilkadziesiąt ściśniętych karteczek, wszystkie były zapisane odręcznie, różniły się charakterem pisma albo kolorem atramentu. Na ich widok pomyślała o aspektorstwie, ale nie było tu żadnych zakłęb. Delikatnie oddzielała karteczki od siebie, jedna po drugiej, posługując się przy tym samymi paznokciami. Zorientowała się, że całkiem łatwo było ją odnaleźć dzięki magii alfabetu.

Jej nazwisko, Elsie Camden, było nabazgrane na górze jednej z kartek. Wyciągnęła ją. Nie było tam zbyt wiele, zaledwie trzy artykuły. Ale obok nich umieszczono informację, gdzie można je znaleźć, więc rozdzielili się z Ogdenem i rozpoczęli poszukiwania. Elsie wylądowała w sekcji gazet irlandzkich, a w tym czasie, kiedy szukała tej właściwej, Ogden zdążył natknąć się na pozostałe, obie angielskie. Zamiast przenieść się z dziennikami na jeden ze stołów niedaleko wejścia, rozłożyli je na szafkach z karteczkami.

- Mam - powiedział Ogden, wskazując na artykuł - jest na pierwszej stronie.

Elsie przysunęła się do niego, czytając tytuł: *Cenne przedmioty skradzione z amerykańskiej posiadłości*.

- Hmm - mruknęła.

Ogden spojrział na nią.

- Dlaczego coś takiego miałyby się znaleźć na pierwszej stronie londyńskiej gazety? - wskazała na nazwę „Manchester Guardian”.

Gazeta była z 5 kwietnia 1887 roku. Sprzed ośmiu lat.

Oboje zamilkli, skupiając się na treści artykułu. A ten był krótki i nie miał kontynuacji na następnej stronie. A do tego był niesamowicie ogólnikowy, ani razu nie padło w nim, co dokładnie skradziono ani z której posiadłości. Jednak jedno ze zdań było ciekawe: *Reporter z radością zapłaciłby wysoką cenę za czarne ptaszki*. Odnosiło się wrażenie, że to coś znaczy. W całym artykule nie było ani słowa więcej o ptakach.

Ogden wyciągnął drugą gazetę, „The Daily Telegraph”, w której nazwisko Elsie znajdowało się na drugiej stronie pod następującym tytułem: *Aspektorstwo duchowe po drugiej stronie stawu*. Ten artykuł także był krótki i nic nieznaczący. Został opublikowany w ubiegłym roku i zawierał błędy w druku: *Szkoda by było, gdyby nie znalazł się odpowiedni Terner, bo wówczas szkolenia nie będą mogły być kontynuowane*.

- Potrafiłabym napisać coś lepszego niż to – skomentowała Elsie, przekładając kartkę z powrotem na pierwszą stronę.

- Jak na tak słabe artykuły, które nie zostały napisane przez kogoś znanego, bez obrazy – stwierdził Ogden – to autor, najprawdopodobniej Lily Merton, musiał zapłacić niezłą sumę, żeby je wydrukowano na pierwszej stronie. Żeby były bardziej widoczne.

Elsie wzięła do ręki „The News Letter”, irlandzką gazetę, i oczywiście na pierwszej stronie znajdował się jej artykuł. *Niebezpieczeństwa podróży międzykontynentalnych* – taki nosił tytuł. Obok niego umieszczono zdjęcie domu kogoś bogatego, chociaż nie opatrzone go podpisem. Ten artykuł był najkrótszy ze wszystkich. Opowiadał o niebezpiecznych podróżach z Bostonu, ale treści było w nim niewiele. Wydrukowano go cztery lata temu.

Elsie postukała palcami o szafki.

- To zupełnie nic nam nie daje.

Ogden wyciągnął szkicownik z torby, którą miał na biodrze.

- Przepiszmy je – wyrwał kartkę dla niej, a potem wziął się za irlandzki artykuł, łącznie z przerysowaniem wyblakłej fotografii domu. Elsie przepisała ołówkiem artykuł o aspektorstwie, czytając go potem trzykrotnie, żeby mieć pewność, że o niczym nie zapomniła, a następnie pod spodem spisała treść artykułu o amerykańskiej posiadłości.

- Muszą być jeszcze jakieś – ostrożnie zwinęła kartkę, aby nie rozmazać grafitu. – Musi być coś, co sprawiło, że mnie odnalazł. Jakiegoś rodzaju kod. Coś, czego nie dostrzegamy.

- Trzeba szukać dalej. Może w amerykańskich gazetach.

Elsie pokręciła głową.

- Zanim list dotrze do tamtejszego archiwum, minie jakiś miesiąc.

- Użyję linii duchowej – powiedział Ogden, zamykając szkicownik.

Linia duchowa to system łączności opracowany przez aspektorów duchowych w siedemnastym wieku, krótko przed amerykańską rewolucją. Aspektorzy po różnych stronach mórz – na Islandii, Grenlandii, w Kanadzie – mogli łączyć się ze sobą, tworząc duchowe projekcje, które mogły przekazywać wiadomości szybciej niż statek albo nawet telegraf.

- To bardzo drogie, Ogdenie – wyszeptła.

Ale Ogden pokręcił głową.

- To koszt, który z przyjemnością poniosę. Możesz jedynie nie dostać w tym miesiącu zbyt dużego kieszonkowego.

Elsie wypuściła długi oddech.

- Będzie mi bardziej niż miło dołożyć się do tego wydatku. Dziękuję.

Wrócili do domu później niż planowali, ponieważ musieli się zatrzymać w Londynie, żeby zrealizować połączenie linią duchową. Ogden wysłał wiadomości do Biblioteki Kongresu w Stanach Zjednoczonych, a także bibliotek w kilku innych wybranych państwach. Elsie aż się skrzywiła na widok kwoty, którą musiał za to uiścić; być może przez następnych kilka tygodni będą musieli jeść kapustę na obiad. *Im prędzej zacznę zarabiać pieniądze na łamaniu zaklęć, tym lepiej*, pomyślała.

I wyglądało na to, że Irene Prescott się z tym zgadzała, ponieważ kiedy Elsie wróciła do domu, znalazła na łóżku telegram od niej. Panna Prescott chciała spotkać się z nią następnego dnia w Londynie (naprawdę nie brała pod uwagę faktu, że Elsie miała pracę), aby rozpocząć szkolenie. Na szafce nocnej czekała na nią jeszcze jedna wiadomość z zaczarowanego ołówka. Na widok znajomego charakteru pisma poczuła motyle w brzuchu.

Mam nadzieję, że dasz się zaprosić na kolację jutro w Siedmiu Dębach. Należy się spodziewać kolejnych pytań od księcia i księżnej, ale gwarantuję, że pani Abrams będzie dostrzegalnie nieobecna.

Elsie uśmiechnęła się.

– Emmeline, zrobisz coś dla mnie? – zapytała. Ciężyły jej artykuły z gazet i chciała znów im się przyjrzeć, tym razem dokładnie.

– Jasne, a o co chodzi?

– Biegnij na pocztę i wyślij odpowiedź do panny Prescott – podała jej telegram. – Zapytaj, czy zechciałaby spotkać się ze mną na szkolenie w Siedmiu Dębach w Kencie. Poinformuj ją, że mogę zapewnić obecność aspektora.

Emmeline uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Z radością. A co z tym?

Wskazała na najnowszą powieść leżącą na jej poduszce. Elsie całkowicie o niej zapomniała. Zastanawiała się chwilę, przywołując w pamięci opowieść o baronie i jego rubinach.

– Ty ją weź, Em – zaproponowała, a oczy dziewczyny rozbliły z radości. – Ja muszę teraz zająć się kilkoma sprawami osobistymi.

Rozdział 8

Bachus, jak na dżentelmena przystało, przysłał po nią powóz tuż po obiedzie. Elsie założyła swoją drugą w kolejności najlepszą sukienkę, ponieważ Bachus ostatnio widział ją w tej najszykowniejszej, a nie zamierzała pokazać się w tej samej kreacji dwa razy z rzędu. Wypolerowała guziki z przodu sukni i założyła elegancki kapelusz z nadzieją, że wygląda odpowiednio dobrze na kolację z księciem i księżną. Mimo że miała przed sobą perspektywę awansu społecznego, szczególnie gdy uda jej się zakończyć szkolenie na łamaczkę zakłęb, jednak ta pozycja nadal zdawała się żałosna w obliczu towarzystwa prawdziwego parostwa. Ponadto nadal martwiła się, czy nie zdradzi szczegółów zaręczyn. A jeśli powie coś niezgodnego z wersją Bachusa? A jeśli książę i księżna odkryli, że Elsie wychodzi za ich drogiego Mistrza Kelseya tylko po to, żeby uniknąć stryczka?

Kiedy jechała do Siedmiu Dębów, gryzło ją poczucie winy i robiła, co mogła, żeby je odsunąć od siebie. Służąca zaprowadziła ją do salonu, w którym czekali już na nią panna Prescott i Bachus. Kiedy weszła do pomieszczenia, przerwali grzecznościową pogawędkę. Oczywiście Elsie najpierw powędrowały w kierunku Bachusa, który podniósł się z fotela, uprzejmy jak zawsze. Miał na sobie tę samą niebieską kamizelkę, którą zdjął z siebie w Ipswich, aby mogła usunąć z jego piersi zakłęcia czasowe i fizyczne. Na to wspomnienie jej policzki oblały się czerwienią. Słońce znajdowało się wysoko i nie świeciło bezpośrednio w okna, a w takim świetle jego skóra wyglądała na jeszcze ciemniejszą. Włosy miał zaczesane do tyłu i ściągnięte w podwinięty kucyk, tuż nad karkiem.

Panna Prescott miała na sobie elegancką fioletową suknię wizytową, która była zauważalnie lepszej jakości niż ta Elsie, a jej jasne włosy zostały starannie zakręcone i upięte.

– Mam nadzieję, że nie jestem spóźniona – Elsie jeszcze raz spojrzała na Bachusa.

– Ależ nie – odparła panna Prescott – to ja przyjechałam zbyt wcześnie. Jak zwykle zresztą – klasnęła w dłonie i zwróciła się do Bachusa: – Mistrzu Kelsey, gdzie chciałby pan zacząć?

Bachus wskazał po prostu na niski stolik stojący pomiędzy nimi.

– Tutaj jest w porządku.

– Wspaniale – panna Prescott zaczęła przeszukiwać dużą torbę stojącą na podłodze, a Elsie, czując się niezręcznie, przeszła przez pokój i zatrzymała obok Bachusa.

– Dziękuję – wyszeptała.

– Ciekaw jestem, co potrafisz – odparł i chociaż nie roześmiał się, Elsie wyczuła żart w jego słowach.

– Elsie przewróciła oczami.

– Wypraszam sobie, ale to wcale nie jest śmieszne...

– Proszę – panna Prescott postawiła na stoliku małe blaszane naczynie i butelkę wody, a potem klękła obok niego. Bachus przysunął krzesło dla Elsie, która z wdzięcznością usiadła, a potem klękła naprzeciwko panny Prescott.

- Omówiłam z Mistrzem Kelseyem jego repertuar i sędzę, że jesteśmy gotowi – panna Prescott naalała jedną trzecią butelki wody do naczynia. – Teraz, Elsie, chcę z tobą omówić runy. Wiesz, każde zaklęcie posiada runę – sięgnęła do torby i wyjęła z niej cienką książkę, a potem podała ją Elsie. Ta otworzyła ją i zobaczyła cały asortyment run, które zerkały na nią. Były poukładane według koloru: niebieskie dla fizycznych, czerwone dla umysłowych, żółte dla duchowych i zielone dla tymczasowych. Elsie rozpoznała niemal każdą z nich – zaklęcia utwardzające, zmiękcżające, manipulujące emocjami, te na szczęście i na dojrzewanie roślin, i tak dalej...

A potem przypomniała sobie, że musi udawać, że to wszystko jest dla niej nowe.

- Aspektorzy nie widzą run – panna Prescott wskazała na Bachusa – i technicznie rzecz biorąc, my także, poza runami fizycznymi. Każda dyscyplina magii ma swój własny smak, że tak powiem. Fizyczne runy możemy zobaczyć dlatego o tyle lepiej, że na naszej pierwszej lekcji mamy aspektora fizycznego. Runy duchowe są słyszalne, te tymczasowe – wyczuwalne węchem, a umysłowe w pewnym sensie namacalne. Zrozumiesz, co mam na myśli, kiedy do nich dotrzemy.

Elsie spojrzała na Bachusa, który wydawał się zainteresowany wykładem, ale być może był po prostu lepszy w udawaniu. *Wiem*, chciała powiedzieć Elsie, a mimo to zdusiła w sobie tę odpowiedź i teraz czuła, że ta gotuje jej się wewnątrz jej ciała. Panna Prescott zamierzała opowiadać o każdym najmniejszym nawet zagadnieniu związanym z łamaniem zaklęć, a Elsie będzie musiała znieść to bez marudzenia. Ponieważ jeśli będzie narzekała, to wyda się, że jej historia jest nieprawdziwa i pójdzie do więzienia.

- Panno Camden?

Elsie spojrzała gwałtownie na pannę Prescott.

- O, tak, to niesamowicie interesujące!

Panna Prescott uśmiechnęła się.

- Teraz pokażę, o czym mówiłam. Mistrz Kelsey, mógłby pan to zamrozić?

Bachus pochylił się i dotknął dłonią naczynia. Magia połaskotała zmysły Elsie, kiedy woda zamarzała i pulsowała migoczącą niebieską runą. Zmiana stanu wody to zaklęcie na poziomie nowicjusza. Bachus mógł nałożyć na nią mocniejsze zaklęcie – bardziej skomplikowaną runę, którą trudniej byłoby rozwikłać – ale zdecydował się na najprostszą opcję, wiedząc, że panna Prescott oczekuje, że zacznie od czegoś podstawowego.

Elsie mogłaby rozwiązać tę runę kichnięciem. Ale zamiast tego powiedziała:

- Ale to wspaniałe.

- Nieprawdaż? Zawsze tak myślałam – panna Prescott przesunęła naczynie do Elsie, a potem zaczęła jej wyjaśniać, w jaki sposób trzyma się runa i jak zastosować do niej działanie łamacza zaklęć. Mówiła także, że zaklęcia są jak równania matematyczne...

Matematyczne... co? Co za nonsens. Elsie zawsze postrzegała runy jak węzły do rozplątania, a nie cyferki do liczenia. Panna Prescott komplikowała to znacznie bardziej, niż to było potrzebne. Suma tego i dzielenie tamtego, żeby ustalić, gdzie należy zacząć... Elsie po prostu pociągała, aż znalazła luźny koniec. Szczerze wątpiła, że liczenie i tworzenie równań może w jakikolwiek sposób przyspieszyć ten proces.

Ona nadal mówi, pomyślała z niepokojem. Za dużo wyjaśniała. Nawet Bachus na tym etapie wiedziałby już, jak rozerwać zaklęcie.

– A teraz znajdź tę samą runę w książce – powiedziała panna Prescott.

Usiłując nie zgrzytać zębami, Elsie otworzyła książkę. Od razu znalazła prostą runę zamazania, ale udawała chwilę, że się zastanawia.

– Jest tutaj.

– Bardzo dobrze. Teraz przyjrzyj się tej runie, dokonaj obliczenia i powiedz mi, gdzie twoim zdaniem należy zacząć.

Elsie oparła się chęci narzekania. *U góry, po prawej stronie*, wiedziała. Ale pohamowała się, resztką cierpliwości powoli rozwiązała zadanie i udawała dalej.

Kolejne piętnaście minut minęło, zanim panna Prescott pozwoliła jej spróbować złamać runę. A potem znowu, ponieważ Elsie celowo popełniła błąd i zaczęła ponownie od początku, zanim w końcu udało jej się zmienić lód na powrót w wodę.

A potem musiała zrobić to znowu. I znowu. I znowu.

Elsie czuła, że oszaleje.

Lekcja trwała dwie godziny, w trakcie których Bachus spowodował, że świeże ciasto podane do herbaty stało się czerstwe, a potem sprawił, że moneta zrobiła się zupełnie przezroczysta. Oba zaklęcia na poziomie nowicjusza. Za każdym razem panna Prescott wyjaśniała, jak to działa, i za każdym razem Elsie udawała niewiedzące, ale zafascynowane dziecko, na tyle dobrze, że doczekała się pochwały od swojej nauczycielki, kiedy ta wreszcie pakowała swoją torbę. Pożegnały się, a Elsie odczekała kilka minut po tym, jak kroki łamaczki zaklęć ucichły, po czym przeszła na drugi koniec pokoju, przyozdobiony tapetą, na której widniały pasące się owce.

Bachus poszedł za nią.

– Brawo – powiedział.

– To była najbardziej denerwująca rzecz, jaką kiedykolwiek musiałam zrobić... – syknęła. – Nawet jako dziecko pomyślałabym, że to idiotyczne.

Jego usta drgnęły w uśmiechu.

– Ale spisałaś się wspaniale.

Elsie założyła ramiona, rozgniewana, aż zaczęły ją swędzieć nadgarstki. Nie złamały co prawda żadnego dużego zaklęcia, ale za to rozplątały tyle małych, że Elsie nie potrafiła nawet zliczyć.

– Mówiła o latach, Bachusie. Że będę się szkoliła przez lata. Nie dam rady tak długo.

– Być może będziesz się uczyła szybciej niż inni.

– Ale nie wolno mi – opuściła ramiona – nie mogę uczyć się szybciej, Bachusie, ponieważ nie mogę dawać im żadnych powodów do podejrzeń.

Jego uśmiech zbladł.

– To prawda.

Wzdychając, Elsie wyjrzała przez okno. Tuż pod nim była ładna ścieżka do spacerowania oraz ogród z pomarańczowymi i różowymi kwiatami. Elsie wiedziała, że za tym wszystkim znajdował się las, przez który skradała się w tamtą noc, w którą Bachus przyłapał ją na niele-

galnym łamaniu zaklęć. Jej zadanie polegało wówczas na złamaniu zaklęcia na progu wejścia dla służby. Była przekonana, że uwalnia służących od opresyjnego pana, ale prawda była taka, że Merton wysłała ją tam, żeby zdjęć z tego domu zaklęcia osłaniające prawdopodobnie po to, żeby potem zabić Bachusa. Dzięki Bogu, że wtedy ją powstrzymał. Dzięki Bogu, że dał jej szansę odkupienia win, zamiast od razu wydać ją władzom.

– Ale dlaczego chciała ciebie? – pomyślała na głos.

– Słucham?

– Kiedy Kaptury, znaczy Merton, wysłała mnie, żeby zdjęć zaklęcie z drzwi dla służby – poddała się i podrapała wreszcie nadgarstki – byłeś tylko doświadczonym aspektorem i do tego nieznanym. Nie widziałeś jej wcześniej. Więc dlaczego chciała dostać twój opus?

Pochylając się do przodu, Bachus oparł łokcie o kolana.

– Być może nie chodziło o mnie. Książę też ma opus. Otrzymał go w spadku od... wuja, jak sądzę. Taki tymczasowy, jest zamknięty na klucz w szklanym pudełku w bibliotece. Jeśli Merton kradła opusy, żeby zwiększyć swoją moc, to on mógł być jej celem.

Elsie kiwnęła głową.

– Pewnie zobaczyła go, kiedy składała wizytę wraz z panną Idą.

– Być może. Wszystkie opusy są spisywane przez atenea; mogła przejrzeć ich rejestry. Możemy się tego nigdy nie dowiedzieć.

Elsie zacisnęła usta, usiłując wyobrazić sobie historię alternatywną do tej, która już się wydarzyła. Czy nadal byłaby pionkiem Merton, gdyby Bachus nie powstrzymał jej tamtego dnia? Zadrżała na tę myśl.

– Cieszę się, że mnie przyłapałeś – przyglądała się wazonowi stojącemu na pobliskim stole, więc nie widziała jego reakcji. – A jeszcze bardziej, że pozwoliłeś mi odkupić winy pracą.

Bachus parsknął, przyciągając na powrót wzrok Elsie.

– Zdecydowanie byłaś nieoczekiwaną niespodzianką. I do tego przebiegłą.

Uśmiechnęła się do niego.

Bachus odczekał chwilę, a potem ostrożnie zaproponował:

– Inną możliwością rozwiązania twojego kłopotliwego położenia związanej z nauką łamania zaklęć jest wyjazd.

Elsie spojrzała na niego.

– Co masz na myśli?

– To, że moglibyśmy zatrudnić nauczyciela łamania zaklęć na Barbadosie. Zmienić chronologię szkolenia. Oczekać parę lat, aż otrzymasz certyfikat. Przeskoczyć szkolenie podstawowe.

Elsie mrugnęła. Barbados. Nigdy nie była w żadnym tropikalnym kraju. *Jak by to było tam zamieszkać?*

Jak czułby się Bachus, gdyby ona tam zamieszkała? Z nim? Po prawdzie to nigdy się nad tym nie zastanawiała. Nigdy nie pozwalała sobie na fanaberię w postaci marzeń o poślubieniu Bachusa, nie przed pojawieniem się tej całej sytuacji z więzieniem; była przekonana, że pewnego dnia po prostu odpłynie w dal i tyle. A teraz... teraz była tak przejęta ich wspólnym forte-

lem oraz możliwością, że on w końcu może ją za to znienawidzić, że ani razu nie pomyślała o tym, co nastąpi po ceremonii zaślubin.

– Nie możemy tego zrobić – odwróciła się od niego. – Nie, kiedy Merton jest nadal na wolności.

Bachus kiwnął głową.

Elsie potarła grzbiet nosa, czując nadchodzący ból głowy. Teraz jeszcze powstrzymywała go także przed powrotem do domu.

– Bachus. Bardzo cię przepraszam. Nie chodziło mi o...

Jednak dokładnie w tym momencie otworzyły się drzwi, ukazując kamerdynera.

– Jeśli Panna Camden jest gotowa, księżna chciałaby się z nią spotkać.

Elsie rzuciła Bachusowi przeproszające spojrzenie. Takie, które, jak miała nadzieję, powiedziało: *Strasznie mi przykro, że cię w to wszystko wciągnęłam. Strasznie mi przykro, że jestem dla ciebie ciężarem. Strasznie mi przykro, że ze mną utknąłeś.*

Ale Bachus powiedział:

– Tak, jest – i ujął w dłoń rękę Elsie. Motylki w jej brzuchu się poruszyły. – Zobaczymy się, jak skończycie.

Pocałował grzbiet jej dłoni, a od dotyku jego ust poczuła iskiereki, jak przy zakłęciu ognia, które powędrowały w górę do ramienia. Zgubiła głos gdzieś pomiędzy gardłem i językiem, więc po prostu skinęła głową i podążyła za kamerdynerem, czując, jak Bachus ociąga się z puszczeniem jej dłoni.

Kiedy znalazła się na korytarzu, sprawdziła, czy na grzbiecie dłoni nie ma jakiegoś zakłęcia; mogłaby przysiąc, że poczuła, jak coś potężnego pulsuje jej pod skórą, jednak nic tam nie było. Potarła dłoń z nadzieją, że rozproszy ból, który pojawił się tuż nad mostkiem, lecz nie zdało się to na nic.

Księżna przywitała ją uprzejmie i wskazała jej miejsce na pluszowej sofie. Na stoliku przed nimi leżało całe mnóstwo różnego rodzaju jadłospisów.

– Chciałam wszystko ustalić i zaraz potem zasiąść do kolacji, ponieważ, jak rozumiem, śpieszy wam się – mrugnęła. – Tym razem żadnych kuzynek.

Elsie znów tylko skinęła głową, ponieważ jej głos jeszcze nie powrócił.

– Och, moja droga – księżna sięgnęła po jej dłoń – coś ci się stało w rękę?

Zdając sobie sprawę, że nadal ją ściska, puściła obie dłonie i położyła je na kolanach.

– Nie, nic – zarumieniła się. – Całkowicie nic.

Księżna wcale nie zmyślała, kiedy mówiła, że chce wszystko przygotować, ponieważ w następny weekend po szkoleniu Elsie z łamaczką zakłęk odbyła się kolacja zaręczynowa.

To znaczy, odbędzie się lada chwila.

Bachus zorientował się, że spaceruje po posiadłości, okrążając ją już któryś kolejny raz. Co chwila składał dłonie za plecami albo dłuubał coś przy kamizelce czy przeczesywał włosy, żeby je potem z powrotem związać w kucyk. Ostatnich kilka tygodni przeciekło mu przez palce

i nadal usiłował się w tym wszystkim połapać. *Plan. Isć przed siebie, jak najmniej komplikując sprawy.*

Złożył Elsie propozycję dotyczącą wyjazdu na Barbados, ale ona nie będzie mogła udzielić mu odpowiedzi, dopóki nie załatwią sprawy Merton. Wiedział, że kobiety wychowane w Anglii czasem nie są w stanie przywyknąć do słonecznego, wilgotnego klimatu, zwłaszcza jeśli noszą angielskie stroje. Ale miał nadzieję, że Elsie uzeknie piękno Barbadosu, tak jak jego. Czy wyspa wrośnie w jej serce, tak jak w jego? Czy będzie chciała zdjąć buty i chodzić boso po plaży albo obserwować zachody słońca nad ciągnącym się po horyzont morzem?

Mimo wszystko istniało duże prawdopodobieństwo, że pozostaną w Anglii. Być może nie na zawsze, ale na jakiś czas. Profesja mistrza aspektora była znacznie lepiej opłacana tutaj niż na wyspie, chyba że chciałby dojeżdżać do pracy w Stanach Zjednoczonych, a tego wołał unikać. Po prawdzie to mistrzowskie zakłęcie poruszania było mu potrzebne tylko i wyłącznie do tego, żeby móc dbać o swoją plantację i pracowników, lecz jego przyszłość zmieniła się w sposób nieoczekiwany. Będzie miał żonę, a potem zapewne i całą rodzinę pod opieką. Mylił się co do choroby polio. Miał teraz nowe możliwości i nowe powinności.

A to, razem z całym życiem Elsie, znajdowało się w Anglii. Nie jej rodzina, nie, ale przyjaciele, znajomi. Bliscy byli jej pan Ogden i panna Pratt; pytała nawet, czy mogłaby zaprosić ich na dzisiejszą kolację. Jednak z tymi rzeczami wiązały się określone konwenanse i ostatecznie wycofała się z tego pomysłu, obawiając się, że przekroczy pewne granice.

Wejrzał w ciemną stronę jej serca. Zobaczył tam strach i smutek po tym, jak porzuciła ją rodzina, a także po tym, jak została potraktowana przez adoratora. Bachus nie chciał powiększać tego mroku. Nie, on chciał, żeby ten mrok całkiem zniknął. Chciał patrzeć na jej radość, słyszeć jej śmiech. Ten szczerzy, jakiego nie słyszał od tamtej dramatycznej kolacji, kiedy Abel Nash próbował odebrać Bachusowi życie, a ta podstępna oszustka, Merton, zbiegła.

Kiedy wychodził zza zachodniej strony domu, jego uszu dobiegł dźwięk powozu księcia. Z miejsca, w którym stał, mógł dostrzec, jak nadjeżdża drogą, i poczuł uścisk w żołądku. Wyprostowawszy się, ruszył w stronę bramy, jednak powóz dotarł tam przed nim. Konie, stukając kopytami o nawierzchnię, dociągnęły powóz przed główne wejście do domu. Dwóch służących zamierzało pomóc przy wysiadaniu, ale zauważyli Bachusa, który machnął dłonią, żeby samemu otworzyć drzwi powozu.

Elsie uśmiechnęła się do niego nerwowo, a potem podała mu swoją dłoń w rękawiczce. Miała na sobie jego ulubioną suknię, tę jasnoniebieską, której kolor był niemal identyczny jak jej oczu. Pomyślał, że założyła do niej chyba nowy kapelusz, i zastanawiał się, czy tego nie skomentować. Jednak zamiast tego zapytał:

- Jak upłynęła ci podróż, czy była przyjemna? - ujął jej ramię, prowadząc ją do wejścia.
- Była cudownie spokojna - strzepnęła spódnicę.

Bachus jednak wyczuł przez jej ramię puls i ten bynajmniej nie wskazywał na spokój.

- Przecież zasiadałaś już z nimi do kolacji, Elsie.

Zaśmiała się nienaturalnie, a potem nabrała dużo powietrza i zaraz je wypuściła.

- Wiem - zadarła nos w ten swój zadziorny sposób, jakby dzięki temu potrafiła przekonać samą siebie i cały świat, że niczym, ale to niczym się nie przejmuję ani nie martwi.

Poprowadził ją po schodach, gdzie jeden ze służących otworzył przed nimi drzwi. Elsie skierowała się do sali jadalnej – tej mniejszej, ponieważ pierwsza nadal była remontowana – ale Bachus poprowadził ją na prawo, gdzie korytarz skręcał. Zatrzymał się nieopodal obrazu, repliki ogrodów królowej, na którym tańczyły cienie od świec migoczących w kinkietach.

Elsie spojrzała na niego okrągłymi z zaciekawienia oczami.

Odchrząknął, bo nagle sam zaczął się denerwować.

– Nie wiedziałem, kiedy powinienem ci go dać, ale pomyślałem, że może właśnie teraz, zważywszy na dzisiejszą uroczystość. – Wyłowił z kieszeni zieloną wstążkę, zawiązaną wokół pierścionka. Kiedy zaczął go odwiązywać, Elsie zamarła.

– Bachusie, ja nie potrzebuję pierścionka – powiedziała niemal szeptem.

Zsunął biżuterię ze wstążki – to była złota obrączka, a na niej duży, okrągły szafir, opleciony złotem w taki sposób, że wyglądał niemal jak kwiat – i trzymał go w dłoni zawieszonej pomiędzy nimi.

– Każda panna młoda musi mieć pierścionek, Elsie.

Podniosła rękę, jakby chciała go dotknąć, ale w ostatniej chwili jej palce stchórzyły, podwijając się, jak odnóża umierającego owada.

– Wygląda na drogi – teraz to już całkiem szeptem. Nie daj Boże, żeby przechodząca nieopodal służąca odkryła, że Bachus nie był sknerą.

– Dałbym ci pierścionek mojej matki – powiedział, sięgając po jej lewą dłoń – ale ona żadnego nie miała.

Elsie nie opierała się, kiedy wziął ją za rękę. Wsunął mały pierścionek na swój mały palec, aż do pierwszej kostki. A potem zaczął zdejmować jej rękawiczkę, pociągał palec za palcem, poluzowując koronkę, aż całkiem opadła. To była tylko rękawiczka, wiedział o tym, ale było w tym coś bardzo intymnego. Jej dłoń była miękka w porównaniu z jego, jej paznokcie równo przycięte, a palce drżały tak delikatnie, że ledwo to dostrzegł. Ale dostrzegł.

Wsunął pierścionek na jej czwarty palec. Był trochę za duży.

Wyrwał jej się miękki chichot.

– Będę brała dokładki przy każdym posiłku, aż będzie pasował.

Uśmiechnął się. Delikatnie ucisnął pierścionek i pozwolił, żeby zakłęcie nowicjusza przepłynęło przez niego z mistrzowską kontrolą. Zakłęcie, które powolutku kurczyło obrączkę pierścionka, aż dopasowała się do palca. Potem odwrócił jej dłoń tak, aby szafir zabłyszczał w świetle świec.

– Pasuje do ciebie.

Elsie zarumieniła się w dziwnie prowokujący sposób, a Bachus zmusił się, żeby zrobić krok w tył i skierować myśli na coś innego.

– Czekają na nas, jak sędzę.

Elsie przytaknęła, nadal wpatrując się w pierścionek. Wyglądała na tak pełną poczucia winy, że Bachus niemal czuł, jakby zrobił coś złego.

A nie zrobił. Owszem, okoliczności były nietypowe, ale zamierzał się z nią ożenić. Chciał się z nią ożenić. Sędzia po prostu... to skomplikował.

I z pewnością nie mylił się, sądząc, że ona czuła do niego to samo. Gdyby nie była gotowa dać za niego więcej niż złamanego pensa, nie stanęłaby na drodze błyskawicy skierowanej w jego stronę. Nie odmówiłaby opuszczenia go w tamtym magazynie w dokach. I z pewnością tamten pocałunek w policzek nie był z jej strony tylko pożegnaniem.

Lecz mimo to stała się w jego obecności ostatnio taka sztywna, tak pełna poczucia winy, że Bachus zaczął kwestionować, czy to rzeczywiście prawda. Być może nie był tym, którego oczekiwała – miał świadomość, że nie pasował do wzorca typowego angielskiego dżentelmena. Ale mógłby zapewnić jej wygodne życie. Chronić ją. Śmiać się z nią.

Miał po prostu nadzieję, że ona też zdawała sobie z tego sprawę.

Poprowadził Elsie do salonu, w którym czekali na nich pozostali goście – księżę i księżna Kentu oraz ich córki, Ida oraz Josie. Księżna zaprosiła także brata księcia, hrabiego Kentu z rodziną, żeby wyrównać liczbę gości. Bachus przedstawił Elsie im wszystkim: hrabiemu, lady Lenie Scott, panu Allenowi Scottowi i panu Freddowi Scottowi, przy czym ci dwaj byli kuzynami Idy i Josie, mniej więcej w tym samym wieku co Elsie.

Elsie cicho i uprzejmie przywitała się ze wszystkimi, a potem przeszli do jadalni. Bachus zajął miejsce po prawej stronie księcia, a Elsie obok niego.

Kiedy podawano zupę z cynaderek, Bachus zorientował się, że opowiada rodzinie księcia fałszywą historię o tym, jak poznali się z Elsie. Kiedy ten temat już ich znużył, Elsie zapytała o ambicje panny Idy dotyczące uzyskania tytułu aspektora. Biorąc pod uwagę, że księżna mówiła wcześniej o małym prawdopodobieństwie, że do tego dojdzie, Bachus podejrzewał, że Elsie spytała o to tylko dlatego, że nie miała nic innego do powiedzenia.

– Myślę, że poczekam jeszcze jakiś rok z podjęciem decyzji, choć wiem, że to nie najlepsze rozwiązanie – odpowiedziała Ida. – Już jestem trochę za stara na szkolenia. Ale Elsie, słyszałam, że jesteś łamaczką zaklęć! Opowiedz o tym, proszę.

Elsie zawahała się tylko przez chwilę, a potem opowiedziała im na wpół prawdziwą historię o tym, jak zauważyła zaklęcia na kamiennych murach księcia, a potem jeszcze ze szczegółami o lekcjach z panną Prescott. Kiedy towarzystwo skierowało wreszcie uwagę na ostatnią wyprawę księcia na polowanie, Bachus pochylił się w jej stronę i powiedział:

– Panna Prescott okazała się przynajmniej dobrym tematem do rozmów.

Elsie uśmiechnęła się do swojego talerza, obracając na palcu szafirowy pierścionek.

Służba wniosła pieczoną ćwierćtuszę jagnięciny, kunsztownie opatuloną w cieście. Elsie nie potrafiła ukryć zaskoczenia, chociaż według wiedzy Bachusa brała udział w wyborze dań.

Kiedy skończyli jeść, księżę ogłosił:

– Myślę, że czas na porto i sherry.

Księżna cmoknęła.

– Ale nie na długo, dzisiejszy wieczór jest także świętem panny Camden.

Panna Josie nagle zakrzusiła się winem. Nie zdążyła nawet zasłonić serwetką ust i opryskała winem stół.

– Josie! – zbesztła ją księżna. – Co w ciebie wstąpiło?

Biedna dziewczyna wycierała wino z twarzy.

– Przepraszam. Nic się nie stało, naprawdę.

Księżna zmierzyła ją srogim wzrokiem.

– Tylko... – wyglądała na zawstydzoną i spojrzała na kuzynów – tylko... cóż. Pani Elsie Kelsey.

Elsie dotknęła dłonią do czoła i westchnęła.

Bachus zaniemówił, podczas gdy kuzyni chichotali.

– Nie pomyślałem o tym.

Odzyskując rezon, Elsie przykleiła do twarzy uśmiech i wstała, a mężczyźni wraz z nią, jak nakazywała etykieta.

– Nic nie szkodzi. Po prostu będę używała drugiego imienia.

Panna Ida zapytała:

– A jakie to imię?

Elsie zwinęła usta i tak cicho, że Bachus był pewien, że usłyszał to tylko on, odpowiedziała:

– Nie pamiętam.

Na szczęście księżna obeszła stół i wzięła Elsie pod łokieć.

– A ja sądzę, że to wspaniale. Chodźcie, drogie panie. Zostawimy panów na krótką kolejkę porto, dobrze?

Bachus wypuścił powietrze, wdzięczny księżnej za ratunek.

Jednak kiedy Elsie obchodziła stół, kierując się do wyjścia, zamarła nagle tuż za krzesłem księcia, pociągając księżną tak, że ta musiała aż zrobić krok w tył. Wzrok Elsie padł natychmiast na tył głowy księcia.

– Coś się stało? – zapytała księżna.

Elsie spojrzała niespokojnie na Bachusa, przez co ten się spiął.

– Co? – zapytał ją bezgłośnie, ale ona nie odpowiedziała. Pokręciła tylko głową i odpowiedziała księżnej:

– Proszę wybaczyć. Nowe buty.

Księżna się zaśmiała.

– Zawsze dają się we znaki, nieprawdaż? – a potem poszły dalej do salonu.

Kiedy Elsie opuściła jadalnię, Bachus musiał się zmusić, żeby usiąść, ale jego myśli twardo trwały przy niej i przy tym czymś, co wyczuła.

– Nie martw się, chłopcze – odezwał się hrabia Kentu, nalewając sobie drinka – daleko nie odeszła.

Bachus nie pił z nimi, a piętnaście minut później poczuł głęboką ulgę, kiedy księżę postanowił uhonorować prośbę żony, aby drinki nie trwały długo.

– Chodźmy je zabawić, dobrze? – powiedział i skierował się do salonu.

Bachus od razu odnalazł Elsie. Stała przy kominku, rozmawiając z lady Leną Scott i jednym z jej synów. Lecz dojrzawszy go, powiedziała:

– Proszę mi wybaczyć, właśnie zdecydowałam, jakie kwiaty chciałabym mieć na ślubie, i muszę poinformować o tym Bachusa, kiedy znajduję go w dobrym nastroju.

Była to oczywiście wyćwiczona wymówka, ale jej rozmówcy zachichotali i pozwolili jej odejść. Elsie spotkała się z Bachusem w rogu pomieszczenia, w miejscu, w którym nikt nie mógł ich usłyszeć.

- Co się dzieje? – zapytał, pochylając głowę.

Elsie przygryzła wargę, spojrzała za siebie.

- Jakie zakłęcie nosi księżę?

Bachus podniósł głowę, marszcząc brwi.

- Słucham?

- Zakłęcie na księciu. Co to jest?

Bachus pokręcił głową.

- Księżę nie ma... – ale zamilkł. Przecież Elsie wie takie rzeczy. – Co wyczułaś?

- Coś silnego – wyszeptała. – Nie zapach ani dźwięk, więc to musi być coś umysłowego lub fizycznego. To znaczy, zakłęcia fizyczne można dostrzec, ale ja i tak czasami je wyczuwam, jak wtedy z tobą, jednak oczywiście nie w taki sposób, jak zakłęcia umysłowe, wyczuwam wtedy coś innego, tak głęboko wewnątrz...

Położył jej dłoń na ramieniu, aby dalej się nie nakręcała. Sam pogryzł się w myślach, rozważając możliwości.

- Jesteś pewna, że to nie jest zakłęcie tymczasowe? Niedawno gościł u niego aspektor tymczasowy, pamiętasz?

Aspektorzy tymczasowi potrafili zmieniać efekty upływu czasu; mogli na przykład usunąć rdzę z żelaza albo zmarszczki ze skóry. Ale Elsie zaprzeczyła.

- Tymczasowe zakłęcia mają specyficzny... smak, jak mówi panna Prescott. To nie to.

- W takim razie co...

Bachusowi nagle zrobiło się niedobrze. Na tyle, że oparł się ręką o ścianę, żeby się nie zachwiać.

Na twarzy Elsie pojawił się strach.

- Bachus?

Dostrzegła to księżna.

- Wszystko w porządku?

Opanowawszy się, Bachus wyprostował plecy i poprawił kamizelkę.

- Oczywiście. Proszę nam na chwilę wybaczyć.

Żona hrabiego spojrzała na nich znacząco, ale Bachus to zignorował, wyprowadzając Elsie z salonu. Szedł prosto korytarzem, a potem skręcił za róg, idąc przed siebie tak szybko, że Elsie ledwie mogła mu dotrzymać kroku.

- Bachus! – zawołała, tracąc dech.

Zatrzymał się nagle, stając w srebrnym cieniu pomiędzy dwoma kinkietami.

- Księżę niedawno chorował.

Przyglądała się jego twarzy.

- Tak, wspomniałeś o tym.

- Niedawno, czyli natychmiast po naszym wyjeździe do Ipswich. Chorował bardzo. Cudem wyzdrowiał.

Tylko chwilę zajęło Elsie połapanie się, o czym on mówi; a on wiedział, kiedy zrozumiała, ponieważ na jej twarzy pojawiło się przerażenie.

- Elsie - chwycił ją za ramiona - czy to możliwe, że pobierał energię z zakłęcia wysysającego?

Poruszyła ustami.

- Ja... nie wiem. M-musiałabym je zobaczyć, żeby mieć pewność.

Uwalniając ją z uścisku, Bachus zrobił krok w tył i potarł dłonią twarz.

- Bachusie, on jest dla ciebie jak ojciec. Czy naprawdę podejrzewasz, że to on mógłby za tym stać? Za... „polio”?

Oczywiście to nie było polio. Bachus przez prawie dziesięć lat myślał, że choruje na tę chorobę. A tak naprawdę ktoś bez jego wiedzy nałożył na niego zakłęcie wysysające ukryte pod tymczasową kłatwą, o której Bachus błędnie myślał, że go chroni.

- Zbieżność czasu jest podejrzana, a nie mam wiedzy o żadnym innym, nietymczasowym zakleciu, które mogłoby być na niego nałożone - złożył dłoń w pięść i z trudem oparł się chęci uderzenia nią w ścianę. - Muszę się tego dowiedzieć.

- Mogę spróbować się do niego zbliżyć - zasugerowała - ale jeśli nie dam rady go dojrzeć...

Bachus wypuścił długi oddech. Co zrobi, jeśli jego podejrzenia okażą się prawdziwe? Jeśli mężczyzna, który od tak dawna był dla niego jak najbliższa rodzina, okradał go ze zdrowia i sił, od kiedy był nastolatkiem?

- Bachus - odezwała się miękim głosem, przykładając dłonie do jego twarzy, łagodnie, ale pewnie, tuląc jego szczękę. Spojrzał w dół, prosto w jej oczy.

- Bądź cierpliwy - poprosiła. - Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Może się pomyliłam.

- Naprawdę sądzisz, że możesz się mylić?

Nie odpowiedziała.

- Zajmę się tym. Zbliży się do niego, jeśli mi się uda. Tylko... w międzyczasie zajmij czymś myśli, dobrze?

Zajmij czymś myśli.

Nadal trzymała dłonie na jego twarzy. Stali blisko siebie, zaledwie o pół kroku, na korytarzu było cicho i pusto.

Spojrzał na jej usta. Zdecydowanie przychodził mu na myśl jeden sposób, żeby zająć czymś myśli.

Elsie znowu się zaczerwieniła i natychmiast zabrała dłonie, podświadomie dotykając swoich warg, jakby miała tam jakieś okruszki po posiłku. Prawdopodobnie źle zinterpretowała jego gest. Często tak robiła od czasu aresztowania. Jakby jej pewność siebie nadal przebywała w oksfordzkim więzieniu. Niech diabli wezmą tę Merton. Tak bardzo utrudniła mu leczenie złamanych skrzydeł Elsie. Wzdychając, Bachus wyprostował się.

- Zrób co w twojej mocy, ale nie ryzykuj dla mnie.

Spojrzała na niego przepaszająco, bawiąc się pierścionkiem.

Podał jej ramię.

- Lepiej wracajmy, zanim pomyślą, że okradam cię z dziewictwa.

Elsie zrobiła się czerwieńsza niż dywan.

Był to piękny widok, a mimo to Bachus nie potrafił się uśmiechnąć.

Rozdział 9

Dwa dni po tej nieco dziwnej kolacji zaręczynowej w Siedmiu Dębach Elsie nadal zastanawiała się, jak by to było pocałować Bachusa Kelseya. Wiele razy besztala samą siebie i nawet próbowała powrócić do czytania swojej powieści, ale jakoś nie sprawiała jej ona już tyle przyjemności – nie była w stanie martwić się o fikcyjnego barona tak, jak o żywego mistrza aspektora, i była przygnębiona.

Przez króciutką chwilę myślała wtedy, w korytarzu u księcia i księżnej, że Bachus może jednak spróbuje ją pocałować. Ale chodziło mu tylko o okruszki chleba na jej brodzie. Na myśl o tym zwijała się ze wstydu, a tęsknota za nim podsycala tylko jej depresję. Wcześniej całowała tylko Alfreda, chyba że liczył się tamten chłopak z sierocińca, kiedy miała dziewięć lat. Miał na imię... Mateusz, jeśli pamięć jej nie myliła.

No, ale przynajmniej Bachus nadal ją tolerował. Nie odkrył jeszcze, że jest osobą, której łatwo można się pozbyć. A jeśli w ogóle cokolwiek o nim wiedziała, to to, że nawet gdyby się o tym dowiedział, mógłby być na tyle szlachetny, żeby zatrzymać ją przy sobie.

– Panno Camden?

Elsie, wyrwana z zamyślenia, skupiła na powrót uwagę. Siedziała przy kuchennym stole Ogdena, który był wielkości jednej szóstej tego w Siedmiu Dębach, a panna Irene Prescott zajmowała miejsce naprzeciwko niej. *Do diaska, nie usłyszałam, co mówiła.*

– Hmmm? – zapytała, robiąc słodką minę.

Panna Prescott uśmiechnęła się cierpliwie. Trzymała w dłoni mały żelazny pręt.

– Wyczuwasz punkty w tej runie?

Panna Prescott przyniosła tego dnia ze sobą tymczasowo zaczarowane przedmioty. Ponieważ Ateneum Tymczasowe znajdowało się daleko, w Newcastle Upon Tyne, łatwiej było poprosić lokalnego aspektora o rzucenie zaklęć na przedmioty, niż jechać tam osobiście. Zaklęcie, o którym była mowa, to zaklęcie odwracające wiek – takie, które usuwa rdzę. Pręt w dłoni łamaczki zaklęć wyglądał na nowy, ale miał charakterystyczny zapach grzybów.

Elsie go dotknęła, wyczuwając punkty, w których znajdowały się węzły.

– Tak mi się wydaje – skłamała. Wiedziała dokładnie, gdzie były. Umiałaby je odplątać, stojąc do góry nogami. Zakładając, że nadal potrafiła zrobić to drugie. Nie próbowała, od kiedy była dzieckiem.

Panna Prescott zaczęła dalej omawiać tę runę, co trwało jakieś piętnaście minut, a potem zapewniała ją, że chociaż Elsie nie widzi runy, i tak mogłaby ją rozplątać.

Elsie zaczynały boleć policzki od wymuszonych uśmiechów, a kiedy wreszcie mogła spróbować rozwiązać tę nieszczęsną runę, zrobiła to z radością, nie usiłując nawet popełniać błędów.

– Wspaniale! – panna Prescott odłożyła zardzewiały już teraz pręt na stół. – Ale się pani szybko uczy, panno Camden! Mnie nauka wyczuwania tymczasowych zaklęć zajęła cały mie-

siąc.

Miesiąc? Elsie próbowała przypomnieć sobie pierwszą tymczasową runę, z którą się spotkała, ale nie była w stanie.

– Szczęście początkującego ucznia – zasugerowała. Następnym razem będzie musiała spowolnić naukę. Ostatnie, czego by chciała, to aby panna Prescott poinformowała kogo trzeba, że Elsie jest utalentowana, i żeby sędzia zaczął podejrzewać ją o posiadanie większego doświadczenia, niż poinformował go Bachus.

Na myśl o Bachusie zaczęła bawić się pierścionkiem. Będzie musiała kupić też coś dla niego. Jaką ładną obrączkę... Ale co mogłoby mu się spodobać? Najprawdopodobniej coś prostego. Nie miałyby zbyt wiele czasu na poszukiwania. Nie była pewna dokładnie ile... najpewniej do dnia ślubu.

Ślub. Miał być prosty, a mimo to Elsie miała w pokoju dwa arkusze papieru z notatkami z rozmów na ten temat, głównie były to zapytania księżnej, chociaż te Bachus spisywał własnoręcznie. Goszczenie księżnej na weselu było dla Elsie niemal tak stresujące, jak oglądanie Bachusa w roli pana młodego.

– Moim zdaniem zaklęcia umysłowe są najbardziej podstępne. Za nie zabierzemy się na samym końcu – powiedziała panna Prescott, a Elsie po raz kolejny uświadomiła sobie, że pod sukienką nosi zaklęcie z opusu. – Umówię dla nas spotkanie w Ateneum Duchowym, żebyś mogła poczuć ten typ magii, zanim zaczniemy się koncentrować na poszczególnych dyscyplinach. To nie powinno być trudne – ateneom nigdy za wiele łamaczy zaklęć. Z przyjemnością nas przyjmą.

Elsie uśmiechnęła się na te słowa. Być może w Ateneum Duchowym dowie się czegoś o Mistrzyni Lily Merton? Czy mogła zostawić po sobie jakieś niezatuszowane ślady? Dotąd Ogdenowi nie udało się jej wysledzić, ale może szukał w złych miejscach.

– Bardzo bym tego chciała.

Rozmawiały jeszcze przez piętnaście minut, dzięki Bogu nie o łamaniu zaklęć, a potem panna Prescott odjechała. Elsie od razu poszła na górę – ostrożnie omijając pranie rozwieszone przez Emmeline – i wśliznęła się do salonu, gdzie zostawiła kopie artykułów z gazet podpisanych jej nazwiskiem. Siedząc na sofie, rozłożyła je przed sobą, czytając jeden po drugim. Gazety z linii duchowej jeszcze nie dotarły. A te tutaj znała już niemal na pamięć. Jedyne, co w nich znalazła interesującego, to dwa zdania, z których pierwsze brzmiało: *Reporter z radością zapłaciłby wysoką cenę za czarne ptaszki z gazety „Manchester Guardian”*. To wyglądało jak propozycja łapówki, przynajmniej dla Elsie, która naczytała się powieści. Kolejne zdanie pochodziło z nowszego artykułu, który był nieco mniej radosny: *Szkoda by było, gdyby nie znalazł się odpowiedni Ternar, bo wówczas szkolenia nie będą mogły być kontynuowane*. To z kolei zapachniało groźbą.

Emmeline odłożyła dzisiejszą gazetę z tego dnia na stoliku obok sofy. Elsie westchnęła i otworzyła ją, chcąc przeczytać coś bardziej sensownego.

Ale to, co znalazła w środku, zmroziło jej krew.

– Znowu? – szepnęła, kładąc sobie gazetę na kolanach. Główny artykuł miał tytuł: *Mistrz umysłowego aspektoratu zaginiony od trzech dni. Prawdopodobnie stał się ofiarą złodzieja opusów*.

Od razu pomyślała o Ogdenie, ale widziała go ubiegłego wieczora. Nie, żeby miała go nazwać mistrzem aspektorem, gdyby miał kiedykolwiek zaginać, a ona miała zgłosić to zagnięcie.

Przeczytała artykuł, w którym wyjaśniono, że chodzi o pana Kyle'a Landona Murraya, który miał czterdzieści osiem lat i był znanym aspektorem w Oxfordzie.

On ma bardzo ścisły plan dnia – poinformowała jego córka. – Jest bardzo skrupulatny. Nie uciekłyby ot tak.

Policja kontynuuje śledztwo.

– Merton – Elsie wypowiedziała jej imię jak klątwę. Czy byłaby aż tak bezczelna, żeby kontynuować swój plan, jednocześnie pozostając w ukryciu? Czy może to tylko niepowiązane zagnięcie?

Nie, to za duży zbieg okoliczności. A to oznaczało, że ona, Ogden i Bachus naprawdę muszą znaleźć jakieś wskazówki, inaczej więcej ludzi zostanie skrzywdzonych, a Merton... Merton zrobi to, co planuje – cokolwiek to jest.

Merton. Merton.

Elsie poczuła ukłucie w piersi.

Przesunąwszy się na brzeg sofy, spojrzała znowu na ostatni artykuł:

Szkoda by było, gdyby nie znalazł się odpowiedni Terner, bo wówczas szkolenia nie będą mogły być kontynuowane. To nie był zwykły błąd wydruku; słowo „terner”, czyli trener, miało nie tylko przestawione litery, lecz także zostało napisane wielką literą.

A jedno z morderstw wydarzyło się w domu pana Turnera w Londynie.

Elsie wstrzymała oddech. To nie mógł być zbieg okoliczności. To zdanie miało być groźbą. Dla kogoś, do kogo ten artykuł był skierowany... Merton informowała go, co robi, jeśli ten ktoś przestanie współpracować. Czy traciła cierpliwość, skoro od wymuszenia przeszła do groźby, a potem otwarcie do morderstwa? Ale czego chciała?

Elsie przysunęła artykuł z gazety „The News Letter” i dokładnie mu się przyjrzała, poszukując czegoś podobnego. Nudny tekst opowiadał bez końca o podróżowaniu statkami i pociągami...

Lecz nagle zauważyła coś, co nie pasowało. Nie nazwisko czy groźbę, ale coś innego. Łapiąc głęboki oddech, przeczytała ponownie:

Trudno jest sterować statkami, kiedy sąsiad w domu czeka na rozmowę. Musimy przeanalizować sytuację i spotkać się.

Elsie położyła palec pod ostatnim zdaniem i przyjrzała się reszcie artykułu. Tak, to się wyróżniało.

Z jakiegoś powodu autor zastosował w tych dwóch zdaniach pisownię amerykańską w słowach: „sterować”, „sąsiad” i „przeanalizować”. Wydawało się, że słowa te nie pasowały do całości, sprawiając, że zdania były przeciętne i niezgrabne. Jakby Merton rzeczywiście chciała te dwa zdania wyróżnić z całego artykułu.

Elsie wzięła ołówek i podkreśliła ten fragment, po czym powróciła do artykułu z „Manchester Guardian”, także dokładnie się w niego wczytując. Ku swojej uciechu, znalazła podobny fragment:

Właściciel wyjechał w podróż, chociaż jest potrzebny w Londynie. »Nie mamy pretensji« – powiedziały sąsiad. »My tylko chcemy podjąć rozmowę o zakłęciu«.

Słowa: „wyjechał”, „pretensji” i „sąsiad”, zostały napisane po amerykańsku. O jakim zakłęciu jest mowa, autor nie wyjaśnił. Elsie podkreśliła ten fragment i wzięła się za gazetę „Daily Telegraph”, w której znalazła następujące zdanie: *Takie zachowanie jest niepotrzebne: pracujmy razem dla lepszego zakończenia.*

W słowach: „zachowanie” i „praca” zastosowano pisownię amerykańską, podczas gdy reszta artykułu była napisana w brytyjskim angielskim.

Elsie wzięła nową kartkę papieru i zapisała na niej wszystkie niepasujące zdania. Sąsiad – czy Merton? – usiłował skontaktować się z kimś, kto wyjechał z Ameryki. W jednym z tytułów była mowa o aspektorze duchowym – to z pewnością ten Amerykanin, którego Elsie poznała w Juniper Down. Czyli Mistrzynie Merton chciała z nim porozmawiać... o zakłęciu? I usiłowała mu przekazać, że jego zachowanie, podróżowanie, było niepotrzebne.

Czy on się ukrywał przed Merton? Czy ona płaciła za publikowanie tych artykułów w różnych przypadkowych gazetach, mając nadzieję, że on je zauważy? Czy to dlatego postugiwała się amerykańską pisownią?

Wydawało się jej to zaskakujące, ale ta metoda podziałała, ponieważ Amerykanin rzeczywiście przyjechał do Anglii. Odnalazł autorkę artykułów – Elsie Camden – i spotkał się z nią w Juniper Down, gdzie niegdyś mieszkała.

To wszystko stało się w czasie, kiedy Ogden znajdował się jeszcze pod kontrolą zakłęcia Merton, ale ponieważ sam nie był świadkiem tego spotkania, Merton nie mogła wydobyć od niego tej informacji.

Co oznacza, że najprawdopodobniej w ogóle nie wiedziała, że Amerykanin jednak przyjechał.

Elsie postukała się ołówkiem w usta. Miała tak wiele pytań, ale i tak dokonała postępu. Przy odrobinie szczęścia Ogden powróci wieczorem do domu z wieściami z linii duchowej. Znalazienie więcej takich artykułów mogłoby dać im kolejne informacje o Merton i tym nieznanym z Juniper Down.

– Elsie? – Emmeline zajrzała do salonu.

Odsuwając ołówek od ust, Elsie odezwała się:

– Mmm?

– Pomóc ci się przygotować?

Elsie podniosła wzrok, zdezorientowana, lecz zaraz zrozumiała, o czym mówi Emmeline, i zeskoczyła z sofy.

– Emmeline, dziękuję ci. Niemal zapomniałam.

Miała tego wieczora zjeść kolację w Siedmiu Dębach. Zaaranżował to Bachus. W powieści zrobiliby to, aby spędzić z nią czas, ponieważ byłiby w sobie tak rozkosznie zakochani. A w rzeczywistości potrzebował po prostu, aby znowu zbliżyła się do księcia, żeby mógł odkryć prawdę tajemniczego zakłęcia, które zostało na niego nałożone. Elsie miała nadzieję, że się nie wygłupi, ale co ważniejsze, chciała, żeby się pomyliła. Że tak naprawdę nie wyczuła wtedy zakłęcia albo że jest to całkiem inne zakłęcie. Bachus był tak blisko z księciem... Elsie nie pra-

gnęła, żeby cokolwiek ich poróżniło. Ani żeby Bachus posmakował zdrady. Nadal czuła na języku jej cierpki smak i nie życzyła tego nikomu, a już najmniej mężczyźnie, którego koch...

Odchrząknęła, poskramiając swoje myśli. Przynajmniej zdołała przekonać księcia i księżnę, że jest z niej dobra partia.

– Chcesz założyć moje perły? – zapytała Emmeline, kiedy Elsie przechodziła przez próg. – Wyglądają jak prawdziwe.

Już chciała odmówić, ale powstrzymała się. To była kolacja u księcia, a jej sukienkom wiele brakowało, żeby sprawić wrażenie, że ona, Elsie, tam pasuje.

– Tak, Emmeline – odparła, pocierając kciukiem szafir w pierścionku. – Byłoby wspaniale.

Tym razem, jadąc do Siedmiu Dębów, Elsie była wyjątkowo zdenerwowana. I to nie dlatego, że nadchodzący deszcz zagrażał jej misternie ułożonej fryzurze. Problem polegał na tym, że chociaż książę wydawał się zadowolony, że przyjmuje ją pod swoim dachem – zawsze był miły i gościnny, nawet przed tymi wymuszonymi zaręczynami – to jednak nie łączyła ich relacja przyjacielska. Zbliżenie się do księżnej na tyle, żeby odkryć zakłęcie, byłoby proste, ale z jej mężem to już całkiem coś innego. Elsie musiała znaleźć sposób, żeby to zrobić, nie wzbudzając jednocześnie podejrzeń, że postradała zmysły. A nawet jeśli jej się to uda, to kolejnym problemem było to, że jeśli to zakłęcie jest fizyczne, to nie będzie miała pewności, dopóki go, do licha, nie zobaczy na własne oczy. Może powinna się potknąć, idąc z nożem w rękę... może udałoby się jej zrobić dziurę w koszuli księcia, nie raniąc go jednocześnie...

Robisz to dla Bachusa, upomniała samą siebie. Nie chciała, żeby zwątpił w ludzi, tak jak ona.

Obracała pierścionek na palcu, aż zaczęła ją szczypać pod nim skóra.

Kiedy pojazd przejechał przez bramę i objeżdżał podjazd, Elsie rozglądała się za Bachusem, ale nie wyszedł jej na powitanie. Coś w niej zamarło.

Drzwi powozu otworzył lokaj, a Elsie ukryła swój dyskomfort gdzieś w okolicy przepony, gdzie co prawda gotował się i jęczał, ale na tyle cicho, że była w stanie go ignorować.

– Panno Camden – odezwał się młody służący – pozwoli pani, że zaprowadzę ją do salonu.

– Dziękuję – Elsie starała się z całych sił brzmieć wytwornie. Służący szedł dwa kroki przed nią, prowadząc ją wzdłuż coraz bardziej znajomej ścieżki do eleganckiego salonu. W środku znajdował się książę i cała jego rodzina; przyniesiono tam też harfę i Ida grała na niej jakąś cudowną melodię. Bachusa z nimi nie było.

Jej niepokój wzrósł. Czy zachorował? A może ma jakiś kłopot? Czy powinna go poszukać?

– Panna Camden! – przywitała ją księżna, wstała z fotela i podeszła do niej, biorąc ją delikatnie za dłonie. – Jak cudownie, że znów nas pani odwiedziła.

Elsie przykleiła uśmiech do twarzy.

– Zawsze wspaniale jest tutaj gościć, Wasza Miłość.

Księżna zachichotała.

– Proszę, mów mi Abigail. Chodź, usiądź. Przepraszam za Bachusa; on zwykle się nie spóźnia.

Elsie obejrzała się za siebie na wejście.

– To prawda.

Księżna wskazała jej sofę. Elsie już miała usiąść, ale zauważyła, że księżę stoi oparty o kominek i przysłuchuje się, jak gra jego córka. Wyczuwając szansę, powiedziała coś o chęci rozprostowania nóg i podeszła do niego, opierając się o kominek nieco zbyt blisko niego, dla rzekomej wygody.

Czuła ją, tę klątwę, czymś, co wykraczało poza jej pięć zmysłów. Może gdyby przysunęła się bardzo blisko księcia, byłaby w stanie poznać, czy to zaklęcie wysysające.

Chrząknęła.

– Są tutaj piękne lasy – to był jeden z przeciwiczonych przez nią tematów. – Wasza Miłość często poluje?

Księżę zachichotał.

– Od pewnego czasu wcale. Być może tego nie zauważyłaś, Elsie, ale zaczynam się starzeć. Za plecami Elsie zachichotała panna Josie.

Elsie uśmiechnęła się.

– Nie, nie zauważyłam – chociaż w zasadzie księżę Kentu był najstarszym mężczyzną, jakiego znała, poza Podwójnym Tomem z Clunwood. – Ostatnio wyzdrowiałeś, panie, z ciężkiej choroby, jeśli wolno mi zauważyć.

Uśmiechnął się.

– Staram się, jak mogę.

Ta rozmowa nie zmierzała do niczego. Elsie główkowała, o co mogłaby go jeszcze zagadnąć.

– A jak przebiega panny szkolenie? – zapytał księżę.

– O, dobrze. Wspaniale. Całkiem dobrze. Mam czym wypełnić czas. – Przyglądała się jego twarzy, ale klątwa nadal była poza jej zasięgiem. Nagle do głowy wpadł jej pomysł. – Proszę mi wybaczyć, ale chyba ma księżę przekrzywiony krawat – nie miała pojęcia o poprawianiu krawatów, ale gdyby mogła do niego tylko sięgnąć ręką...

Ale księżę ją uprzedził i dotknął krawata pierwszy, śledząc smukłymi palcami węzeł. Poprawił go sprawnie.

– To nowy wzór, pokazał mi go pokojowy. Nie jestem jeszcze pewien, czy mi się podoba.

Do diabła.

Księżę spojrzał na nią wyczekująco, więc powiedziała pierwszą rzecz, jaka przyszła jej na myśl.

– Nie miał księżę przypadkiem wieści od Mistrzynie Merton?

Mrugnął.

– Nie, ona nie...

Otworzyły się drzwi, odwracając uwagę Elsie. Przekleła swoje serce za to, jak bardzo przyspieszyło na widok Bachusa, taki był elegancki, taki wypielegnowany i... zmęczony.

Księżę się wyprostował.

– Rozumiem, że możemy już ruszać. Abigail? – podał księżnej ramię.

Bachus znalazł wzrokiem Elsie i ruszył w jej stronę długimi krokami.

Elsie przełknęła ślinę.

– Gdzie byłeś?

– Straciłem poczucie czasu.

Zmiękla. Dotknęła jego łokcia.

– To zrozumiałe.

On nagroził ją łagodnym uśmiechem, a potem potarł oczy.

– Wybacz, nie spałem zbyt dobrze.

– To też widzę. I nie dziwię się – dodała cicho – ale wybaczę ci wszystko, jeśli ty puścisz w niepamięć absurdalne rzeczy, które zrobię w tej jadalni.

Ponieważ w taki czy inny sposób będzie musiała się tam ośmieszyć. Jeśli to miało oznaczać szczęście Bachusa.

– Wszystko, tak? – jego oczy zaiskrzyły, na co Elsie poczuła motylki w brzuchu. Nie potrafiła sformułować sensownej odpowiedzi.

Reszta ruszyła w kierunku jadalni, więc Bachus podał jej swoje ramię. Elsie przyjęła je, rozkoszując się dotykiem umięśnionego ramienia, marząc o... wszystkim. Ale nie było sensu użalać się nad sobą. Miała zadanie do wykonania.

Prawie dotarli do jadalni, kiedy Bachus wyszeptał:

– Wydajesz się niespokojna.

– Zaraz będę zaczepiała księcia. Oczywiście, że jestem niespokojna – zażartowała.

Bachus zacisnął usta i nie powiedział ani słowa do chwili, kiedy zajęli miejsca przy stole i podano pierwsze danie. Elsie siedziała tym razem po innej stronie stołu niż książę, nie na tyle blisko, aby wyczuwać tę jego osobliwą kłutwę.

Kiedy panna Josie opowiadała, jak spędziła dzień na zakupach w mieście, Elsie zastanawiała się, co powinna zrobić. Rozmyślając, przetykała łyżkę za łyżką białej zupy i była zaskoczona, kiedy łyżka uderzyła o dno pustego talerza.

– Na jakie kwiaty się pani zdecydowała, panno Camden? – zapytała księżna, kiedy służąca zebrała ze stołu puste naczynia.

– Kwiaty? – jej mózg zbyt wolno przywołał wymówkę, której użyła, żeby odciągnąć Bachusa od towarzystwa podczas przyjęcia zaręczynowego. – Ach! Cóż, róże oczywiście.

Księżna się uśmiechnęła.

– To dobry, tradycyjny wybór.

Po prawdzie Elsie nic a nic nie obchodziło, jakimi kwiatami udekorowana będzie kaplica podczas jej ślubu. Wydawało jej się to tak nieistotne i abstrakcyjne w porównaniu z jej zmartwieniami.

– Szkoda, że nie rośnie tutaj anturium – zauważył Bachus. Elsie wyczuła delikatne napięcie w jego głosie, coś, czego nie zauważyłaby, gdyby to było ich pierwsze spotkanie. Jego angielski akcent był wyjątkowo twardy. – Jest całkiem ładne, zwłaszcza czerwona odmiana.

– Czy ten kwiat rośnie na Barbadosie? – zapytała Elsie.

Przytaknęła i wzięła łyk wody.

Elsie skupiła uwagę na jego szklance i w jej głowie pojawił się idealny, upokarzający plan.

– Cóż za piękna nazwa – odezwała się panna Ida. – Anturium. Opowiedz, jak wygląda.

Bachus odstawił szklanę.

– To odmiana lilii – pojawiła się służba z drugim daniem, usługując w pierwszej kolejności oczywiście księciu. Elsie odczekała, aż odsunęli się od niego, tak żeby w pobliżu nie było innej osoby chętnej do pomocy, poza nią. – Cały kwiat tworzy pojedynczy płatek, owinięty wokół czubka łodygi oraz kolby...

Elsie machnęła ręką i przewróciła swoją szklanę z wodą, która rozlała się po stole, a następnie zmoczyła księciu kolana.

Nie można jej było zarzucić, że nie podjęła próby.

– Och, nie! – wstała natychmiast, chwytając serwetkę i pobiegła księciu na pomoc. Wołało ją zakłęcie, którym był obłożony, ale nadal nie była wystarczająco blisko, żeby je odczytać – jestem taka niezadarna. Ach, proszę mi wybaczyć – wcale nie musiała udawać zażenowania.

Księżę odchylił się w tył, strzepując sobie wodę z ręki. Elsie przysunęła się bliżej. Jej pierwotne wrażenia się potwierdziły – nie czuła zapachu, nie słyszała dźwięku, a teraz, kiedy była bliżej, nie wyczuwała też laskotania zakłęcia umysłowego. Czyli to musi być coś fizycznego...

– Nic się nie stało. To nie pierwszy raz – księżę wstał.

Teraz, gdyby jeszcze tylko był tak miły i przebrał się tutaj w jadalni, pozwalając Elsie dobrze się przyjrzeć jego nagiemu torsowi.

– Elsie – Bachus podniósł się z krzesła i wpił jej palce w łokieć.

– Prawie mi się udało – odparła. Inni pomyśleli na pewno, że chodziło jej o bałagan, który teraz w pośpiechu sprzątały służące. Ośmieliła się sięgnąć swoją na wpół przemoczoną serwetką do klatki piersiowej księcia...

Bachus jednak wzmocnił uścisk i powstrzymał ją. Sfrustrowana odwróciła się do niego, ale zamilkła na widok jego idealnej linii szczęki oraz brwi, które wyglądały jak wykute przez kowala.

– Może się przebierzesz – zasugerowała księżna – zaczekamy na ciebie...

Jednak jej słowa zagłuszył głos Bachusa.

– Jaką klątwą jesteś obłożony?

W pokoju zapadła cisza. Nawet służący zamilkli. Elsie otworzyła usta.

Można i tak...

Księżę zamarł.

– Słucham?

– Zakłęcie na twoim torsie – wyjaśnił Bachus – to jest czy nie jest klątwą biorcy zakłęcia wysysającego?

Księżę poblądł.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Bądź ze mną szczery, Izajaszu – naciskał Bachus – ona jest łapaczką zakłęcia.

Elsie, pełna poczucia winy, odłożyła serwetkę.

Księżę spojrział na żonę, a potem oparł się o stół.

– To nie tak, jak myślisz, Bachusie.

Bachus się spał.

– W takim razie mi to wytłumacz. Wytłumacz, dlaczego od dzieciństwa żyłem z nałożoną na mnie klątwą i dlaczego zachorowałeś natychmiast po jej zdjęciu.

Księżna wyglądała na zszokowaną. Czyżby nie wiedziała?

– Izajaszu?

Jedna ze służących wskazała na drugą i po cichu opuściły pokój.

Panna Josie spoglądała to na Bachusa, to na ojca.

– Co się dzieje?

Bachus czekał.

Księżę westchnął.

– Robiłem się coraz słabszy, a ty byłeś takim silnym, zdrowym chłopcem.

Uścisk na łokciu Elsie wzmocnił się jeszcze.

– Proszę – księżę Kentu podniósł rękę. – Nie chciałem ci tego odebrać. Twój ojciec...

– Mój ojciec wiedział?

Księżę przełknął ślinę, aż podskoczyło mu jabłko Adama.

– Twój ojciec wyraził zgodę.

Bachus warknął:

– Nie do niego należała ta decyzja.

– Ściśle mówiąc...

– Myślałem, że choruję na polio – Bachus pochylił się nad stołem, puszczając wreszcie łokieć Elsie, żeby oprzeć obie dłonie o blat. – Przez całe lata myślałem, że choruję na polio. Myślałem, że tracę władzę w nogach. Byłem u nieskończonej liczby lekarzy.

– Dziewczęta – odezwała się cicho księżna – poczekajmy na ojca w saloniku, hmm? – w pośpiechu poprowadziła je do wyjścia. Puls Elsie szalał, ale nie poszła z nimi. Musiała zostać tutaj. U boku Bachusa. Jej dłoń powędrowała do jego ramienia. Dotknęła go delikatnie, jak piórkiem.

Ze zmartwieniem w głosie księżę powtórzył:

– Twój ojciec wiedział.

– I ty także – odparł Bachus mrocznym tonem. Wyprostował się, przez co wyglądał na prawie dwa razy większego. – Kto to zrobił? Ojciec nie był twórcą zaklęć.

Księżę odwrócił się.

– Przysiągłem, że nie...

– Kto?! – nalegał Bachus. – Przynajmniej tyle jesteś mi winien.

Księżę zwiesił ramiona tak bardzo, że Elsie pomyślała, iż zaraz dotknie czubkami palców dywanu.

– Zrobił to Mistrz Enoch Phillips, kiedy spałeś.

Elsie zatkało. Czy Mistrz Phillips nie kierował czasem Londyńskim Ateneum Fizycznym?

– Zakładam, że nie ujawnisz, z kogo teraz spijasz siły.

Księżę wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać.

Elsie podskoczyła, kiedy Bachus chwycił ją za rękę, i nagle okazało się, że jest odciągana od stołu w kierunku drzwi; ledwo nadążyła przebierać nogami. Na korytarzu natknęli się na słu-

żącą i Bachus warknął do niej:

– Dopilnuj, żeby zaraz podstawiono przed wejście powóz oraz żeby zaopiekowano się panną Camden.

Z całej jego osoby oraz jego barytonu emanowała taka siła i wściekłość, że służka bez zawahania odpowiedziała:

– O-oczywiście. Panno Camden – dygnęła i, natychmiast porzucając wykonywane właśnie zadanie, jakiegokolwiek by ono było, szybko poprowadziła Elsie na wyscielaną ławkę w westybulu przy drzwiach frontowych. Tymczasem Bachus popędził na górę, wskakując po trzy stopnie naraz.

Służąca pobiegła w innym kierunku.

Siadając na ławce, Elsie wypuściła długi oddech. Nie takiego przebiegu tego wieczoru się spodziewała. Wyrzała na schody, chciała pójść za Bachusem, żeby zobaczyć, czy wszystko u niego w porządku. To było oczywiście głupie. Przecież nie było w porządku. Bo dlaczego niby miałoby być? Wyznanie księcia pogorszyło wszystko po tysiącokroć. Bachusa zdradził jego własny ojciec.

Kręciła kciukami wokół siebie, zdenerwowana. Co, jeśli podejdzie do niej ktoś z rodziny? To oczywiste, że właśnie ona powiedziała Bachusowi o zakłęciu. Z pewnością nie będą chcieli jej więcej widzieć. Może powinna ruszyć pieszo do domu, a powóz mógłby zabrać ją z drogi. Mogła też sprawdzić, czy gdzieś bliżej miasta ktoś nie mógłby jej podwieźć do domu. Padał deszcz, w zasadzie lał, ale przeziębienie raczej by jej nie zabiło, prawda?

A zażenowanie owszem.

Już miała podnieść się z ławki, kiedy do jej uszu dobiegł z zewnątrz ciężki stukot kopyt. Chwilę później do środka wszedł mężczyzna w bardzo zmokniętym stroju woźnicy.

– Panna Camden? Jestem gotowy.

Przytaknęła i wyszła za nim na zewnątrz. Czekał na nią duży czarny powóz, zaprzęgnięty w cztery konie. To strasznie dużo jak dla jednej osoby, ale nie zamierzała narzekać, miał przecież dach. Trzymając dłonie nad głową, jakby mogły ją ochronić przed ulewą, Elsie popędziła do powozu, wdzięczna za pomoc woźnicy, który otworzył jej drzwi. Tak się śpieszył, że prawie zamknął je na jej spódnicy.

Sadowiąc się wygodnie, zdmuchnęła z twarzy zmoczony kosmyk. Co teraz będzie? Z pewnością Bachus nie będzie dalej mieszkał u księcia i księżnej. Czy zechce wrócić na Barbados? A jeśli tak, to co to będzie oznaczało dla ich planów? Nie sądziła, że zostawi ją na pastwę sędziego – i strażników więziennych – ale na myśl o szubienicy odruchowo dotknęła dłonią szyi. Napotkała tam perły Emmeline, których dotyk nieco ją uspokoił.

Powóz zatrząsł się, kiedy woźnica zajął swoje miejsce, ale zanim konie ruszyły, drzwi otwały się z impetem, wpuszczając zimno i wilgoć. Ku jej zaskoczeniu do środka wskoczył Bachus i usiadł naprzeciwko niej, zamykając za sobą drzwi. Powozem zatrząsło jeszcze raz, kiedy ktoś przymocował kufer do tylnej części powozu.

– Jadę z tobą – poinformował ją i rąbnął pięścią o sufit.

Rozdział 10

– Pojedziemy naokoło – dodał, kiedy powóz ruszył. Elsie wyjrzała przez okno na oddalającą się w mroku posiadłość, ale nie dojrzała nikogo z rodziny.

– Objazd? – zapytała.

– Mistrzini Hill zaproponowała mi kiedyś pokój u siebie – wyjaśnił, rozwiązał włosy i oparł się o ścianę, którą miał za plecami. – Zamierzam skorzystać z tej propozycji.

– O tej godzinie?

Bachus nie odpowiedział.

Elsie spojrzała na swoje dłonie. Czy nie miała dziś rękawiczek? Może zostawiła je w środku...

– Czy... czy księciu nie będzie przeszkadzało, że wzięłeś jego powóz?

Krzyżując ramiona, odpowiedział:

– Nie powstrzyma mnie.

Elsie przełknęła ślinę.

– A... twoi ludzie? John i... Rainer, prawda?

– Zostali poinstruowani, aby podążać za mną.

Obróciła pierścionek wokół palca.

– Przykro mi, Bachusie. Miałam nadzieję, że to coś innego.

Bachus usiadł wygodniej.

– Ja także. Ale byłem przygotowany na przeciwną ewentualność – sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął dwie koronkowe rękawiczki, po czym zwinął je w pół i podał Elsie. – To chyba twoje.

Kiedy brała je do ręki, aż otworzyła usta, bo ich palce się zetknęły. Taka prosta, banalna rzecz, a potrafiła przyspieszyć jej puls do galopu.

– Dziękuję, to miło z twojej strony – odłożyła rękawiczki na kolana.

Przez pewien czas jechali w milczeniu, zmierzając do Londynu. Elsie wyglądała przez okno, przez które nic nie było widać przez ulewę.

– Jaką część tego kufra udało ci się zapakować?

– Około połowy.

– Pozwól mężczyźnie, a po prostu wrzuci rzeczy do kufra i wyjedzie w podróż dla zachcianki – złożyła dłonie na kolanach. – Kobiety mają znacznie trudniej, wiesz?

Cień uśmiechu zagościł na jego twarzy.

– Jestem przekonany, że rano moje ubrania będą całe pogniecione – przeskoczył na barba-doski akcent, co sprawiło jej radość.

– Dobrze wypełniasz swoje ubrania, więc nie sądzę, że to będzie problem – uszy ją zapiekły na te słowa. Złapała za rączkę torebki. – I co teraz?

Potań brodę.

- Będę polegał na gościnności Mistrzyni Hill, dopóki nie znajdę odpowiedniego domu w mieście. Zamierzam wstąpić do Ateneum jako wolny strzelec.

Poczuła ucisk w żołądku.

- Mimo to... czego dowiedziałeś się o Mistrzu Phillipsie?

- To on będzie miał w tej sprawie ostateczne słowo, niezależnie od tego, co robił w przeszłości.

Zatliła się w niej iskierka nadziei.

- Czyli zostajesz w Londynie?

- Dopóki nie zdecydujemy się wypłynąć na Barbados. Mam tam ziemię, Elsie, a przesyłanie zysków będzie skomplikowane. Ale rozsądniej dla nas będzie, jeśli będziemy mieli stałe zarobki tutaj.

My. Boże dopomóż.

- Uwieźłam cię tutaj – szepnęła – w mieście, którego nie znosisz, z księciem, który cię wykorzystał, w miejscu, w którym nie rośnie anturium.

- To nieprawda, że nie znoszę Anglii. Spędziłem tu spory kawałek życia. A anturium to była tylko sugestia.

- Ale wolisz Barbados – naciskała.

Krzywiąc się, przytaknął.

Elsie oparła łokcie o kolana i zatopiła twarz w dłoniach.

- Tak mi przykro, Bachusie. To wszystko moja wina. Zrujnowałam twój związek z księciem. Wplątałam cię w to małżeństwo. Odciągam cię od domu.

- Elsie...

- Pewnie moglibyśmy to odwołać – podniosła głowę, ale nie potrafiła spojrzeć mu w oczy – pary ciągle się rozstają. Już ja o tym wiem – żołądek jej się skręcał, jakby chciał wycisnąć z siebie całą kolację. – Będzie... dziwnie po tym, jak ukazało się już ogłoszenie w gazecie, ale nie jestem znana w żadnych arystokratycznych kręgach. Potrzeba nam tylko wymówki. A może dałoby się nawet powiązać to z księciem. Sędzia nie może chyba odwołać raz przyznanego ułaskawienia, prawda? A panna Prescott naprawdę sądzi, że jestem początkującą łapaczką zaklęć, więc będziemy ją mieli za świadka. Emmeline także...

- Czy myśl o poślubieniu mnie jest dla ciebie aż tak okropna?

To pytanie spowodowało, że zabrakło jej tchu. Poczuła, że zapadają jej się żebra, kiedy spojrzała mu w oczy. Były w kolorze ciemnego szmaragdu, zmrużone, bezwzględne. Przypominały jej noc, gdy się spotkali, kiedy błagała go, aby jej nie wydał władzom.

- Nie to powiedziałaś – zaprzeczyła, a słowa raniły ją w gardło jak noże.

- Dokładnie to mówisz – odparł. - Usiłujesz znaleźć każdą możliwą wymówkę, żeby zerwać te zaręczyny – ścisnął brzuch siedzenia. - Wiem, że nie jestem wymarzoną kandydatką na męża...

- Och, Bachusie, nie – zaprzeczyła przez łzy, a nienawidziła każdej z nich. - Nie rozumiesz? Będziesz żałował, że mi pomogłeś. Już jestem dla ciebie ciężarem, a nawet nie spotkaliliśmy się jeszcze z księdzem.

Cień przebiegł przez jego twarz, kiedy mijali lampę uliczną.

- Nie jesteś ciężarem. Dlaczego tak myślisz?

- A dlaczego miałabym tak nie myśleć? - odparła. - Jestem ciężarem dla wszystkich. Bo z jakiego innego powodu moja własna rodzina zwyczajnie wstała w środku nocy i wyjechała, jeśli nie dlatego, żeby się mnie pozbyć? A Alfred uciekł ode mnie przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nawet Ogden musiał być praktycznie opętany, żeby mnie przyjąć...

Bachus pochylił się do przodu tak, że niemal stuknęli się głowami.

- Nie jesteś ciężarem, Elsie Camden. Miałas tylko nieszczęście spotkać w swoim życiu niefortunnie dużą liczbę imbecyli.

Odchylając się w tył, objęła się ramionami.

- Wkrótce się przekonasz. Nie jestem dobrym człowiekiem, Bachusie. Mistrzynie Merton...

- Nie będziemy rozmawiać o czymś, z czego zostałam już uniewinniona.

- Nie jesteś moim sędzią - powóz skręcił - nie możesz mnie uniewinnić. Gdyby zdawali sobie sprawę, gdyby ten sędzia wiedział, nie okazałby mi łaski, wiesz o tym. Ja po prostu... Jest we mnie coś, Bachusie. Coś, przez co nie można mnie kochać.

- To nieprawda.

- Nie słuchasz mnie.

- Nie, to ty nie słuchasz - frustracja wylewała się z jego głosu, a ręką machnął w stronę przeciwnego okna. - Czy myślisz, że zrobiłem to tylko po to, żeby cię uratować? Że jestem jakimś szarmanckim księciem z bajki, który bezinteresownie usiłuje uratować pannę od zguby? Nie. Twoje aresztowanie było dla mnie zaskoczeniem, tak samo ta gierka z sędzią. Ale one tylko przyspieszyły to wszystko. Godzinę za cholerną godziną, dzień za dniem usiłowałem znaleźć sposób, żeby przekonać cię, że moje uczucia są szczerze, ale to jak usiłowanie wbicia strzały w kamienny mur.

Elsie po prostu pokręciła głową na tę próbę przekonania jej, że nie ma racji; była zbyt smutna, żeby rozważyć jego słowa.

- Czy aż tak trudno mi zaufać? - zapytał, a jego słowa zabolaly jak dźgnięcie w serce kuchennym nożem. - Czy moje czyny wydają ci się tak zupełnie fałszywe?

- Nie - po policzku spłynęła jej łza - nie chodzi o ciebie. Ty jesteś cudowny i idealny. Zawsze taki byłeś. Ale ja jestem niczym innym jak powodem rozczarowań - usiłowała otworzyć torebkę, żeby wyjąć chusteczkę. - Ja tylko chcę cię ocalić, Bachusie. Chcę tylko, żebyś był szczęśliwy.

- Ale z ciebie niemądra kobieta.

Kiwnęła głową, znalazła chusteczkę, a potem spojrzała na niego, żeby przeprosić.

- Ja...

Ale Bachus znalazł się tuż przy niej, tak blisko, podniósł się z siedzenia. Elsie ledwo zdołała zarejestrować tę jego bliskość, zanim ujął dłońmi jej głowę i pociągnął ją do siebie, odnajdując ustami jej usta.

W Elsie wybuchła burza, zelektryzowała jej kończyny, podniosła jej serce do gardła. Westchnęła, a Bachus to wykorzystał, przechylając głowę i biorąc ją całą. Jego usta były ciepłe i wilgotne, i pożądające. Wywabił jej duszę z ciała, a ona poleciała na jego spotkanie, tańcząc pod jego dotykiem, powodując dreszcze w każdym centymetrze jej skóry.

A potem jej dłonie były już w jego włosach, jego pięknych, gęstych włosach, płacząc je, kiedy całowała go z taką pasją, że nawet jej ulubiona powieść by się zawstydziała. Powóz gdzieś zniknął, a ona unosiła się, całkowicie zachwycona jego dotykiem, smakiem, tym, jak pachniał pomarańczami i deszczem. Ogień pełził po jej języku i w dół, do gardła, rozgrzewając ją od wewnątrz, coraz bardziej, aż cała zapłonęła. Przygryzła jego dolną wargę i wydawało jej się, że usłyszała delikatny jęk uwięziony w jego ustach. To obudziło w niej całkowite pożądanie, kłutwę jedyną w swoim rodzaju.

To się nie działo naprawdę. Ale nie potrafiła zaprzeczyć, że jednak się działo, zdecydowanie się działo.

Lecz wtedy poruszył się rygiel w drzwiach tuż obok nich. Bachus odsunął się gwałtownie, pozostawiając Elsie całą roztrzęsioną, ledwie świadomą, że powóz rzeczywiście się zatrzymał, że dotarli na miejsce oraz że ich woźnica za pół sekundy nakryje ich w nader kompromitującej sytuacji.

Bachus zmyślnie pierwszy chwycił za klamkę, tak aby wyglądało, jakby dopiero co podniósł się z siedzenia, żeby otworzyć drzwi.

– Dziękuję – powiedział, zapominając o angielskim akcencie. – Proszę zapukać do drzwi i poinformować Mistrzynie Hill, a ja wezmę bagaż.

Woźnica skinął głową i pobiegł w stronę domu mającego w ciemności po drugiej stronie drogi. W kilku oknach nadal świeciły się światła.

Bachus postawił jedną stopę na schodku, ale druga pozostała w powozie.

Usiłując na powrót odzyskać głos, zmysły i panowanie nad sobą, Elsie zdołała powiedzieć przez odrętwiałe usta:

– Czy tak całują wszyscy barbadoscy mężczyźni?

Parsknął, bezczelny.

– Nie wiem. Nigdy żadnego nie całowałem.

Elsie rozeźmiała się i chociaż ją to zabolowało, to jednocześnie zmniejszyło ciśnienie rosnące w jej piersi.

Bachus wyciągnął rękę i odsunął z jej twarzy ten sam niesforny, przemoczony kosmyk, który sama wcześniej odsuwała.

– Chcę, żebyś mi zaufała, Elsie.

Kiwnęła głową.

– Ufam.

Wyglądał, jakby miał ją zaraz znów pocałować, i całe jej ciało zadrżało na tę myśl, ale woźnica już biegł z powrotem. Bachus opuścił więc rękę i wziął jej dłoń. Ścisnął ją i powiedział:

– Napisz do mnie – a potem wyszedł na deszcz.

Elsie ledwie rejestrowała drogę powrotną do Brookley, burzę i wyboistą drogę. Całkowicie zapomniała awanturę w Siedmiu Dębach, a także artykuły, które czekały na nią w pracowni kamieniarskiej.

Wróciła do domu, jakby we śnie, czując w sobie niepohamowaną żądzę zjedzenia pomarańczy.

Rozdział 11

Mistrzynie Ruth Hill była zaskoczona na widok Bachusa, ale przyjęła go najlepiej, jak potrafiła. Ze szczerością opowiedział jej o powodach swojego przybycia, a przynajmniej część dotyczącą księcia Kentu. Zastanawiał się, czy Mistrzynie nie opowie się po stronie księcia (bo przecież Bachus był zdrowym, silnym osobnikiem, który z pewnością mógł się podzielić siłami witalnymi), jednak tak się nie stało. Nakazała przygotować dla niego pokój, a on zasypał ją taką ilością wyrazów wdzięczności, że mogłaby się w nich utopić.

Następnego ranka Bachus zabrał się z Mistrzynią Hill do Londyńskiego Ateneum Fizycznego, jednak rozstali się niemal natychmiast po dotarciu do tej olbrzymiej kamiennej fortecy. Bachus nie uprzedził listownie o swojej wizycie, a z tego, co wiedział, zgromadzenie nie miało dzisiaj posiedzenia. Ale potrzebował nie tyle Rady, ile Mistrza Phillipsa, więc Mistrzynie poinstruowała go, jak trafić do jego gabinetu.

Strażnicy rozstawieni w całym Ateneum nie zatrzymali go, chociaż kilku wyglądało na gotowych, żeby to zrobić. Jednak powstrzymywała ich złota przypinka w kłapie jego marynarki – symbol tytułu mistrza. Przemierzał korytarze i wspinał się po schodach, aż dotarł do gabinetu Mistrza Phillipsa. Dziwnie się czuł, kiedy pomyślał, że zaledwie miesiąc wcześniej taka wędrówka by go wyczerpała. Gdyby nie Elsie, nadal by tak było.

Nie potrafił powstrzymać uśmiechu samozadowolenia, wchodząc krętymi schodami na trzecie piętro, przemykając obok służącej, która niosła puste wiadro i ścierkę. Przypomniało mu się, jak Elsie powiedziała o nim, że jest idealny. Wprawdzie nie zamierzał jej wtedy doprowadzać do łez, ale była tak przekonana o tym, że jest bezwartościowa, że w pewnym momencie łzy stały się nieuniknione. Teraz był całkiem pewien, że rozpoczął proces udowodniania jej, że nie ma racji. I z radością będzie jej to pokazywał raz za razem, tyle ile będzie trzeba.

Kiedy wreszcie dotarł do drzwi na końcu korytarza, zdał sobie sprawę, że nie może się już doczekać zaślubin. Tymczasem jednak musiał odłożyć na bok myśli o Elsie i załatwić inną sprawę.

Głośno zapukał w ciężkie drewniane drzwi, tak mocno, że aż się zatrzęsły.

Kilka sekund później poirytowany głos powiedział:

– Wejść.

Bachus otworzył drzwi pchnięciem ramienia i wszedł do środka. Gabinet Mistrza Phillipsa był taki, jak całe Ateneum, czyli zbudowany ze starego kamienia, jednak jego podłoga została wyłożona drewnem orzesznika. Wewnątrz znajdowało się pojedyncze okno, które wpuszczało do środka światło. Natomiast w każdym rogu sufitu wisiały duże szklane ozdoby roztaczające zaczarowany blask, który rozświetlał pomieszczenie. Biurko Mistrza stało na indyjskim dywanie, a na ścianie za nim wisiał gobelin przedstawiający konie w biegu.

Twórca zaklęć nie wyglądał na zadowolonego na widok Bachusa. Przerwał pisanie listu, odłożył gęsie pióro i opuścił podwinięte rękawy, po czym rozparł się na krześle.

- Pan Kelsey. Nie, teraz już Mistrz Kelsey, prawda? Jest pan świadomy, że na spotkanie ze mną trzeba się umówić?

Zmuszając się do uprzejmości, Bachus przytaknął.

- Miałem nadzieję, że wybaczy mi pan to najście.

- W rzeczy samej, najście – założył ramiona. – Z jakiego powodu zakłóca mi pan spokój?

Pominał zatem wymianę grzeczności. *I dobrze*. Bachus nie był pewien, czy posiadał w sobie na tyle dużo spokoju, żeby zapytać go o zdrowie i rodzinę. Zauważył, że w gabinecie było tylko jedno krzesło, to, które zajmował Mistrz Phillips. Albo więc nie przyjmował tutaj gości, albo chciał, żeby stali przed nim. Na szczęście Bachus wolał stać. Podobało mu się, że góruje nad nim wzrostem. Chociaż, gdyby usiadł, to ta przewaga wcale by nie zmaląła.

- Zdecydowałem się przyłączyć do Ateneum jako wolny strzelec – poinformowałem, składając dłonie za plecami. Jakkolwiek by było, technicznie rzecz biorąc, nadal był zarejestrowany jako student Ateneum, a to nie pozwalało mu na legalne wykonywanie zawodu aspektora, przynajmniej w Anglii.

Mistrz Phillips uniósł brew.

- Trzeba do tego dopełnić pewnych formalności.

- Nigdy nie byłem zwolennikiem ceremoniału.

Mistrz odsunął na bok niedokończony list.

- Nie można ot, tak wejść do Londyńskiego Ateneum Fizycznego i ogłosić, że będzie się do niego należało, Mistrzu Kelsey. Potrzebuje pan na przykład patrona...

- Moją patronką jest Mistrzynie Hill – wtrącił Bachus – i zgromadziłem również niezbędne dokumenty. Prawda jest taka, że brakuje mi już tylko zgody głowy Ateneum.

Mistrz Phillips pomyślał o czymś przez chwilę z kwaśną miną. Wziął do ręki pióro i zaczął kreślić kółka na blacie biurka niezmoczoną w atramencie końcówką.

- Myślałem, że powrócił pan na wyspę, z której pochodzi. Proszę mi przypomnieć jej nazwę...

Bachus napiął ramiona.

- Barbados.

- No tak, tak. Myślę, że byłoby lepiej, gdyby pan powrócił na swoje włości, Mistrzu Kelsey. Jestem pewien, że w Barbadosie potrzebni są twórcy zakłęb.

Od tego komentarza aż poczuł ból w kościach. Zastanawiał się, czy Mistrz Phillips byłby tak odważny, gdyby Bachus rzeczywiście zwołał posiedzenie zgromadzenia. Przypuszczał jednak, że przynajmniej część członków Rady mogłaby podzielać zdanie Mistrza Phillipsa, co skomplikowałoby zamiary Bachusa.

- Zamierzam pozostać w Anglii – powiedział spokojnie. Będzie to wymagało podróży do Barbadosu i z powrotem, ale Mistrz nie musi o tym wiedzieć.

Mistrzowi Phillipsowi z irytacji drgnęły kąciki oczu. Wyglądało na to, że był człowiekiem niezbyt przyzwyczajonym do tego, by mu się sprzeciwiano.

- A to dlaczego?

- Ponieważ żenię się z Angielką – przeniósł ciężar na drugą nogę. – Tak się składa, że to łamaczka zakłęb.

Mistrz Phillips uśmiechnął się krzywo.

- Doprawdy? Zdołał pan skłonić kogoś do małżeństwa? W takim razie gratuluję. Ale teraz nie zatwierdzę pana wniosku.

Bachus się nasrożył.

- Ani nigdy, ośmielę się stwierdzić.

- Wreszcie do czegoś dochodzimy - Mistrz wyprostował się na krześle. - Nie przepadam za panem, Mistrzu Kelsey...

- Przecież ledwie się znamy - przerwał mu Bachus.

Mistrz Phillips wzruszył ramionami.

- Nie przepadam za tym, co pan sobą reprezentuje. Za... innością, że tak powiem. Wystarczy, że muszę znieść Mistrzynie Hill. Nie potrzeba mi drugiej takiej osoby. Rozumie pan?

Bachus poczuł, że zaciska mu się żołądek, ale przytaknął. Przygotowywał się do tej rozmowy od spotkania z sędzią, a jeszcze intensywniej od wczorajszego wieczora.

- Rozumiem. Ale sądzę, że jednak wyda pan zgodę. Zwłaszcza jeśli upiera się pan przy prowadzeniu tej gry.

Phillips spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Czy pan mi grozi, Mistrzu Kelsey? Bo może i przewyższa mnie pan wzrostem, ale nie magią.

- Nie zamierzam pana krzywdzić - wyjaśnił - ale niedawno czegoś się dowiedziałem. Znał pan mojego ojca, tak?

Mistrz Phillips zmierzył go wzrokiem.

- Ledwie go sobie przypominam.

- Pewnie podobnie ledwo pan sobie przypomina nakładanie na jego syna zaklęcia wysysającego na rzecz księcia Kentu?

Mistrz Phillips zmarszczył czoło.

- Próbujesz ugryźć niewłaściwą rękę. Te zaklęcia są zupełnie legalne za zgodą rodziców. A ty byłeś nieletni.

- Ale pewnie wie pan, że mój ojciec zmarł jakiś czas temu - Bachus zrobił krok w stronę biurka - i w związku z tym nie ma pan świadków, którzy potwierdziliby, że wyraził zgodę.

Mistrz opuścił uniesioną wcześniej brew.

- Zapomina pan o księciu Kentu.

- To pan zapomina, że jestem dla niego jak syn, dlatego on nie stanie przeciwko mnie. Zwłaszcza że to zaklęcie wysysające zostało już zdjęte.

Jego oczy znów drgnęły. Bachus nie musiał mu mówić, że książe znalazł nowego żywiciela, którego energią się teraz dokarmia. Prawdopodobnie to jakiś chłopak ze wsi, szukający okazji do zarobku... Nie żeby Bachus kiedykolwiek dostał za to samo choćby pensa. Tak czy siak, książe był stary i nie będzie żył wiecznie - z magicznym wsparciem czy bez niego.

Bachus podszedł do samego biurka, oparł obie dłonie na blacie i pochylił się do przodu.

- Nie ma takiego prawa, które zabroniłoby panu przyjmowania mnie do Ateneum z powodu mojego pochodzenia etnicznego czy narodowości, Mistrzu Phillipsie. Tak samo, jak nie ma prawa, które zabraniałoby mi wciągnięcia pana w tryby maszyny sądowej za nielegalne

obłożenie klątwą nieletniego. Kara więzienia za taką zbrodnię jest wysoka, jak mniemam, a nawet gdyby nie został pan skazany, nie wyobrażam sobie, aby to nie wywarło wpływu na pana reputację.

Mistrz wyglądał jak pies broniący kości.

– Czyli jednak zamierza mi pan grozić.

– Nie zamierzam, Mistrzu Phillipsie – Bachus wycedził każde słowo. – Ja to właśnie zrobiłem.

Później tego samego popołudnia Bachus czekał w powozie na Mistrzynię Hill, a dla zabicia czasu raz za razem zmięczał, a potem utwardzał kamień trzymany w dłoni, aby później uformować go w drzewo albo rybę, chociaż nie był zbyt utalentowany artystycznie.

Kiedy wreszcie się pojawiła, zapytała:

– Jak poszło?

Bachus uśmiechnął się.

– Całkiem nieźle. Wydaje mi się, że chyba źle oceniliśmy Mistrza Phillipsa, on jest zdecydowanie rozsądniejszy, niż sądziłem.

Mistrzynie nie ukrywała powątpiewania.

– Doprawdy? Musisz mi wszystko dokładnie opowiedzieć po drodze.

Więc zrobił to, chociaż zachował dla siebie tę część opowiadania, w której była mowa o Elsie.

Późnym wieczorem Bachus siedział pochylony nad monstualnym biurkiem Mistrzyni Hill, skrobiąc czarnym atramentem po białym papierze. Od pisania miał już skurcze w palcach, przez co jego pismo było niedbałe. Wołał jednak wszystko, co trzeba, zapisać od razu, kiedy wydawało mu się, że ma jakiś porządek w głowie, niż zostawiać to zadanie do rana. Poza tym nie chciał nadużywać gościnności Mistrzyni. A ona poinformowała go, że nie korzysta ze swojego gabinetu o północy. Pomyślał, że z pewnością siedzi tutaj już przynajmniej od godziny.

Listy miały dotrzeć do Barbadosu, niektóre do jego ekonoma, a inne do zarządców jego ziem, którym wydawał instrukcje dotyczące domu i włości, a także pytał o najnowsze informacje o finansach. Lubił być na bieżąco, a nie był od czasu przybycia do Londynu. Na szczęście, dzięki przegranej licytacji w domu aukcyjnym, nadal dysponował pieniędzmi, które chciał przeznaczyć na mistrzowskie zakłęcia poruszania. One wystarczą, aby razem z Elsie mogli żyć wygodnie przez jakiś czas, nawet gdyby jego ziemie zostały zalane przez powódź, a Mistrz Phillips nie dał się przekonać. W tej chwili pisał list do swojej gospodyni. Nie wiedział, kiedy dokładnie ponownie przyjedzie do domu, ale chciał, żeby dopilnowała, aby wszystko było przygotowane dla jego nowej żony. Zachichotał, wyobrażając sobie szal, w jaki kobieta wpadnie, czytając te słowa.

Ktoś lekko zapukał do drzwi gabinetu.

- Wejść - odezwał się Bachus, odkładając pióro, po czym rozmasował dłoń. Odłożył ostatni list na stertę dokumentów niezbędnych do zapisania się do Ateneum.

Do środka wszedł Rainer, jeden z przyjaciół Bachusa i jednocześnie jego służący z Barbadosu, a słabe światło z zaledwie dwóch świec sprawiło, że wtopił się w mrok. Zauważył listy i zapytał:

- Chcesz, żebym dopilnował, aby zostały jutro nadane?

Bachus przytaknął.

- Dziękuję, ale powinieneś być już w łóżku.

Rainer uśmiechnął się.

- Nie przyzwyczailem się jeszcze do zmiany czasu.

Z góry dobiegło ich jęknienie kobiety. W ciągu dnia Bachus mógłby tego nie usłyszeć. Ale nocą, w absolutnie cichym domu...

Coś roztrzaskało się o podłogę.

Bachus wstał, przewracając krzesło.

- Wezwij pomoc.

Rainer wybiegł na korytarz. Bachus podążał tuż za nim, ale skręcił w przeciwną stronę, pędząc na górę, gdzie były sypialnie. Czy nad gabinetem nie znajduje się czasem sypialnia Mistrzynie Hill? Nie był pewien, w końcu gościł w tym domu dawno temu.

Spod drzwi sączyło się przyćmione światło lampki. Jeszcze jej nie wyłączyła. Bachus chwycił za klamkę i popchnął drzwi, ale te były zamknięte. Ignorując dobre obyczaje, skorzystał ze swojego zaklęcia mistrzowskiego i przekształcił mosiężną klamkę w gaz, od którego wybuchła połowa drzwi, a w powietrzu uniośł się kwaśny posmak. Drzazgi wbiły się w ramię Bachusa, ale zignorował je i wparował do środka.

Zobaczył łożo, które nadal było zaścielone, łopoczące firany, otwarte okno, lampkę świecącą na próżno.

I Mistrzynię Hill leżącą na podłodze. Jej koszula nocna była cała we krwi.

- Ruth! - krzyknął Bachus, podbiegając do niej. Nadal żyła. Wszyscy aspektorzy po śmierci zmieniają się w opusy, a ona nie przeszła jeszcze przemiany. Padł obok niej na kolana. - Ruth!

Wtedy na jego szyi pojawiła się linka i zacisnęła mocno.

Natychmiast odcięło mu to dopływ powietrza, a siła napastnika spowodowała, że zachwiał się do tyłu. Bachus usiłował wcisnąć palce pod linkę, ale nie był w stanie jej uchwycić. Przed oczami pojawiły mu się mroczki. Sięgnął do tyłu i udało mu się pochwycić agresora za nadgarstki, a potem przechylił się do przodu i przerzucił go nad swoją głową. Ten uderzył z hukiem o podłogę, niemal trafiając w Mistrzynię. Bachus łapał powietrze, uwolniony z uścisku liny. Mrugał oczami, żeby odgonić mroczki.

Napastnik, ubrany na ciemno, z całkowicie zasłoniętą twarzą, podniósł się na nogi. Do biodra miał przytroczone sztylet, z pewnością to nim ranił Mistrzynię. Odsłonięte miał tylko dłonie.

Bachus wreszcie odzyskał równowagę, ale zamaskowany mężczyzna był szybszy i ruszył do niego z takim pędem, że jego widok rozmazał się Bachusowi przed oczami. To musiało być zaklęcie prędkości.

Bachus ledwie dojrzał napastnika, gdy ten uderzył w niego niczym kula armatnia. Obaj upadli na kremowy dywan, a od ciosu Bachus stracił dech. Mężczyzna wyciągnął zakrwawiony sztylet i przystawił go do piersi Bachusa.

Bachus złapał go za przedramię, przesuwając sztylet zaledwie o kilka centymetrów od planowanego celu. Kropla krwi Mistrzyni Hill spłynęła z czubka noża i upadła na krawat Bachusa.

Atakujący nacisnął sztylet obiema dłońmi. Miał krzepę, ale nie taką jak Bachus.

Złapał drugą ręką nadgarstek mężczyzny i wykręcił go, aż ten wypuścił sztylet na podłogę, po czym natychmiast potraktował przedmiot zakłębieniem łączenia, tak że kiedy nożownik próbował go podnieść, sztylet pozostał przyklejony do podłogi.

Bachusowi udało się go przechrzyć, ale mężczyzna okazał się nie w ciemię bity. Zostawił sztylet i zaczął się wycofywać, nadeptując przy okazji na rękę Hill. Powietrze przed nim zamigotało i chociaż Bachus nie mógł dostrzec runy, rozpoznał, że to zakłębienie zmiany gęstości. Przepisnął się przez nie, a jego ruchy były dwa razy wolniejsze. Rzucił zakłębienie rozrzedzenia powietrza, a w tym czasie zamaskowany przeciwnik chwycił za szczyt łóżka i dwoma szybkimi zakłębieniami zmieniającymi stan przedmiotów wyrwał z niego niemal metrową deskę, podczas gdy reszta zmieniła się w płyn i rozprysnęła po podłodze.

Powietrze się rozrzedziło i Bachus zaatakował.

Drewno w dłoniach napastnika błysnęło, ponieważ zmienił je w stalowy pręt. Podniósł go, gotów ugodzić, ale nie Bachusa, ale Mistrzynię Hill.

Bachus dał susa i chwycił za koniec pręta, zanim ten zdążył dotrzeć do celu. Wziął jednak na siebie siłę tego uderzenia, która powędrowała w górę, promieniując wzdłuż jego ramienia. Bachus zgrzytnął zębami i zaczął się siłować z napastnikiem. Próbował rozpuścić pręt, ale ten parszywy twórca zakłębienia ciągle go utwardzał.

Więc Bachus zmienił taktykę i sprawił, żeby pręt zaczął się robić gorący.

Mężczyzna przeklął – przez co Bachus po raz pierwszy usłyszał jego głos, ale nie skojarzył go z nikim – i puścił parzące go drewno. Istniało niebezpieczeństwo, że od niego zapali się dywan, ale Bachus nie mógł odwrócić uwagi od tego aspektora. Nie odważył się użyć elektryczności ani choćby piorunów z obawą, że mogłyby zranić Mistrzynię.

Jednak jego przeciwnik nie dbał o jej dobro. Coś zatrzeszczało w powietrzu.

Bachus odchylił się i uderzył twórcę zakłębienia pięścią w twarz. Ten zatoczył się, ale kiedy Bachus ponownie zamachnął się na niego, jego ręka zwolniła od ponownie gęstego powietrza.

Następnie niespodziewanie uderzyło w niego zakłębienie wiatru i poniosło go, aż uderzył plecami w na wpół zniszczone drzwi. Zatrzeszczały pod jego ciężarem i upadły na podłogę razem z mnóstwem odłamków drewna. Zakręciło mu się w głowie, a kiedy odzyskał świadomość, napastnik stał nad nim uzbrojony w co najmniej dwudziestocentymetrowy odłamek w kształcie kołka. Drewno błyszczało od zakłębienia utwardzenia.

Powietrze znów zatrzeszczało. Błyskawica przesłoniła Bachusowi widok. Czekał, aż poczuje ogień, ale ten nigdy nie nadszedł. Zamrugnął, żeby wyostrzyć wzrok, a potem zobaczył jednocześnie dwie rzeczy: palące się ubrania napastnika i Ruth Hill podpierającą się na łokciu

z ręką wyciągniętą w kierunku mężczyzny. Klątwa, której użyła, żeby ratować Bachusa, najwyraźniej odebrała jej resztki sił.

Agresor jęknął i upuścił broń. Rzucił kolejne zaklęcie zagęszczające, tak silne, że trudno było oddychać. W ciągu tych kilku sekund, które dzięki temu zyskał, mężczyzna doskoczył do okna i zniknął między firanami. Ulotnił się.

Bachus przywrócił normalną gęstość powietrzu i ruszył za napastnikiem, zatrzymując się na balkonie. Wydawało mu się, że dostrzegł ruch gdzieś w dole (tamten aspektor mógł z łatwością spowolnić swój upadek poprzez rzucenie kolejnych zaklęć gęstości), jednak Mistrzynie była ciężko ranna. Bachus nie mógł ryzykować i pozostawić ją samą.

Pobiegł z powrotem do pokoju, chwycił pled z jej łóżka i zaczął uciskać nim jej tułów, w którym była przynajmniej jedna rana kłuta.

Prawdopodobnie wyczuwając, że zagrożenie minęło, jedna z pokojówek Mistrzynie zajrzała do pokoju.

- Sprowadź lekarza! - warknął Bachus.

- J-już jest w drodze - pokojówka spojrzała ogromnymi ze strachu oczami na leżącą na plecach Mistrzynię Hill.

- Wezwij chirurga - powiedział Bachus, usiłując zachować spokój. Drżały mu ramiona, a serce waliło jak u zajeżdżonego konia - ona potrzebuje chirurga.

- D-dobrze. Ale ten doktor jest tymczasowym aspektozem, proszę pana. Powinien być w stanie spowolnić krwawienie.

- Ale go nie powstrzyma. Wezwij chirurga.

Służąca przytaknęła i pobiegła na korytarz.

Mistrzynie Hill jęknęła od nacisku na jej tułów.

- Wytrzymaj, Ruth - mruzczał Bachus - wytrzymaj jeszcze trochę.

Rozdział 12

Do tej pory Ogden otrzymał poprzez linię duchową tylko dwa artykuły ze Stanów Zjednoczonych: jeden z gazety „Boston Herald”, a drugi z „New York Timesa”.

Elsie siedziała z nim w salonie i razem poszukiwali w nich wskazówek, udając, że Ogden pomaga jej ze sprawami finansowymi dotyczącymi ślubu. Emmeline nadal nie była wtajemniczona w całą sprawę i nie zamierzali tego zmieniać. Podobnie jak w brytyjskich artykułach, także i w tych Elsie znalazła odpowiednie fragmenty na podstawie ich zapisu, tylko że tym razem publikacje były napisane w amerykańskim angielskim, a zakodowane fragmenty w brytyjskiej odmianie języka.

W pierwszym, pod tytułem: *Intryga zaczarowanych kruków w stowarzyszeniu duchowym*, znajdowało się następujące zdanie: *Sz szczególnie ważne jest rozpoznanie potrzeby organizowania kruków, czy to w Stanach Zjednoczonych, czy w Wielkiej Brytanii*. Artykuł odnosił się do aspektorstwa duchowego, podobnie jak ten z „Daily Telegraph”, co z pewnością nie było zbiegiem okoliczności.

W drugim artykule pod tytułem: *List do mojego kolegi*, autor napisał: *Zrób mi żart i przybądź; rozpocznij dialog. Jesteśmy przecież sąsiadami, nieprawdaż?*

Ogden doszedł do tego samego wniosku co Elsie. Merton poszukiwała jakiegoś Amerykanina, aspektora duchowego, ponieważ miał on to, czego potrzebowała – rzadko spotykanego zaklęcia, którego nie znalazła w opusach, jakie posiadała. Mężczyzna się przed nią ukrywał, a te artykuły miały go wywabić z kryjówki. Ogden podejrzewał, że opublikowała ich więcej, może nawet kilkaset, jednak nawet gdyby znaleźli je wszystkie, w niczym by im to nie pomogło.

– Jest mało prawdopodobne, że Merton bardziej się ujawni – Cuthbert odłożył szkicownik otwarty na rysunku Amerykanina, którego opisała mu Elsie. – Kimkolwiek jest ten mężczyzna, rozumie, o co jej chodzi.

– Ale to nie jest jej cel – Elsie stuknęła ołówkiem w artykuł o krukach – ponieważ kradnie nie tylko duchowe opusy. Atakowała aspektorów ze wszystkich rodzajów stowarzyszeń.

– Może po to, żeby zyskać władzę – odparł – albo żeby osłabić tych, którzy chcą się jej sprzeciwić.

– Ale w czym? – zapytała Elsie i nie pierwszy już raz wzięła do ręki artykuł z „Daily Telegraph” i wymamrotała: – Czego ty chcesz, Merton?

Czy mogliby wyśledzić tego Amerykanina i po prostu go zapytać? Elsie wątpiła, że chciałby znowu ją dopaść. Może Elsie dałaby radę...

Drzwi do pokoju się otworzyły. Cuthbert chwycił swój szkicownik i zamknął go.

– Tak, Emmeline?

– Gość do państwa – otworzyła drzwi szerzej i do środka wszedł Bachus.

Elsie zerwała się na nogi, jej serce wzniosło się jeszcze wyżej, a na policzkach wykwitł rumieniec.

- Bachus! Nie spodziewaliśmy się ciebie. Ładniej ułożyłabym włosy...

Wtedy zauważyła wściekle czerwoną linię wokół jego szyi i jęknęła.

- Co ci się stało? - śpiesząc do niego, niemal potknęła się o mały stolik stojący pośrodku pokoju. Chciała go objąć, ale powstrzymała się pod spojrzeniem Ogdena i Emmeline.

Zamiast tego położyła ręce na jego ramionach, a on ujął w dłonie jej łokcie.

- Bachusie, wyglądasz, jakbyś w ogóle nie spał.

- Przespałem się w drodze tutaj - wyjaśnił śpiewnym głosem, będącym połączeniem akcentu brytyjskiego i barbadoskiego.

Ogden pobierał artykuły i odłożył je na bok.

- Proszę, usiądź.

- Dziękuję - Bachus uśmiechnął się delikatnie do Elsie i usiadł na kanapie. Elsie powróciła na swoje dotychczasowe miejsce. Zanim zdołała zadać mu kolejne pytania, Bachus powiedział:

- Mistrzynie Hill została zaatakowana...

- Co? - zapytała zaskoczona Elsie, a Ogden jednocześnie powiedział:

- Dobry Boże.

- Żyje - dodał Bachus - jest w ciężkim stanie, ale lekarze sądzą, że z tego wyjdzie. Późno w nocy została przewieziona do szpitala po tym, jak tymczasowy aspektor spowolnił krwawienie.

Elsie przycisnęła dłoń do piersi.

- To... okropne. Została postrzelona?

- Ugodzona.

Elsie zbladła i sięgnęła po dłoń Bachusa.

- Walczyłeś z nim, prawda? Z napastnikiem.

Ogden spojrział na drzwi.

- Emmeline, zrobiłabyś dla nas herbaty?

Dziewczyna zawahała się, oczywiście chciała usłyszeć więcej, ale dygnęła i wyszła.

Bachus ciężko przytaknął.

- Tak, krótko. Ale ten różnił się od Abła Nasha. To był fizyczny aspektor. Do tego mistrz.

Ogden przeklął.

- Znalazła innego pionka.

- Dokładnie to samo pomyślałem - zgodził się Bachus. - To był mężczyzna średniej budowy ciała, może nieco wyższy od przeciętnej. Był cały ubrany na czarno, miał nawet zasłoniętą twarz. Nie byłem w stanie mu się przyrzec.

- Moglibyśmy zdobyć listę zarejestrowanych twórców zakłęb w Londynie i zacząć od niej poszukiwania... - zasugerowała Elsie.

- A kto powiedział, że on jest zarejestrowany? - spytał Ogden. - Ja nie byłem.

- Ciebie nigdy nie używała bezpośrednio do zabijania twórców zakłęb - wyszeptła Elsie.

Ogden zmarszczył brwi.

- Nie, przynajmniej z tego, co pamiętam.

Elsie sięgnęła także po jego dłoń, uściśliła ją, a potem zwróciła się do Bachusa.

- Masz jeszcze jakieś rany?

- To nic takiego. Tylko siniaki.

Elsie westchnęła i zabrała obie dłonie.

- Chcę, żeby to się skończyło. Niech to się zakończy.

- Niedługo tak się stanie, w ten czy inny sposób - powiedział Ogden, podnosząc plik artykułów i podając go Bachusowi. - Powinniśmy wprowadzić cię w nasze ustalenia. Mimo że zdołaliśmy odnaleźć tylko pięć artykułów podpisanych nazwiskiem Elsie, rozszyfrowaliśmy kod Merton - Cuthbert wyjaśnił wszystko, czego się dowiedzieli, chociaż niestety nie było tego zbyt dużo.

- Rozumiem - Bachus przeglądał artykuły - To dobre. Znaczący... ta informacja.

Elsie spojrzała na pręgę na jego szyi.

- Jesteś pewien, że nic ci nie jest?

Odkładając kartki, Bachus uśmiechnął się do niej delikatnie.

- Tak. Po prawdzie to szczęście, że tam byłem. Sądzę, że Merton lub napastnik, kimkolwiek on był, nie spodziewali się w rezydencji drugiego aspektora. Musiał ją zaatakować z zaskoczenia, żeby uniknąć jej reakcji. Została ugodzona trzy razy...

Elsie zastanowiła się nad tym. Bachus najprawdopodobniej uratował życie Mistrzynie Hill. To oznacza, że Merton ma o jeden opus mniej, a napastnik z pewnością nie zaryzykuje i nie zaatakuje pacjentki w publicznym szpitalu, żeby skończyć swoje zadanie. Nie w miejscu, gdzie jest tylu świadków...

Emmeline wróciła i wszyscy troje zamilkli w jej obecności. Postawiła srebrną tacę na stole po lewej stronie Bachusa i nalala herbaty do trzech filiżanek. Tę dla Ogdena napełniła tylko do połowy, a potem uzupełniła filiżankę śmietanką.

- Mistrzu Kelsey, jaką herbatę pan pija?

Z dołu dobiegł dźwięk pukania do drzwi.

- Och - Emmeline odstawiła śmietankę - otworzę.

- Dziękuję - powiedział Ogden.

Emmeline wybiegła z pokoju, wycierając dłonie w fartuch.

Po chwili Bachus rzekł:

- Pastor jest dostępny szesnastego lipca.

Elsie zapomniała o tej dacie, o której dyskutowali podczas przyjęcia zaręczynowego.

- Ach, ale... czy Kent to teraz odpowiednie miejsce? - pierwotnie nie chciała, żeby ceremonia odbyła się w Brookley. Całe miasto mogłoby wówczas chcieć, by je zaprosiła, a gdyby tego nie zrobiła, to wszyscy zaprosiliby się sami. A ostatnią rzeczą, jakiej by chciała, to plotkowanie siostr Wright o Bachusie.

Ale po zerwaniu kontaktów ze Scottami...

Bachus na chwilę spuścił wzrok.

- Zapytałem też o pana Harrisona.

Elsie przytaknęła. Pan Harrison to pastor w Brookley. Całkiem miły człowiek. I naprawdę przeniesienie ceremonii do Brookley byłoby rozsądne, prawda? Bachusowi byłoby o wiele łatwiej.

Rozmasowała sobie ramiona.

– Nie miałeś od nich wieści.

Ogden chrząknął, podniósł się z fotela, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Nie był to najsubtelniejszy sposób, żeby dać im odrobinę prywatności, ale Elsie i tak go doceniła.

– Księżna się odezwała. Otrzymałem od niej list. Dziś rano, zanim tu wyruszyłem – sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął zwitek papieru. Podał jej go.

Elsie spojrzała mu w oczy, upewniając się, czy naprawdę chce, żeby go przeczytała. A potem rozwinęła list. Był całkiem długi, pisany charakterem jeszcze ładniejszym niż ten Bachusa. To były przeprosiny przeplatane miłymi słowami o Bachusie i... och, o Elsie.

Ona naprawdę jest wspaniała. Szkoda, że nie rozwiązaliśmy tej sprawy w inny sposób. Proszę, uwierz, że nie miałam pojęcia, Bachusie. Izajasz nie chciał, abyśmy ja oraz moje córki o tym wiedziały. Nie chciał, żebyśmy się martwiły. Nie popieram jego decyzji. Oczywiście chcę, żeby mój mąż żył długo, ciesząc się dobrym zdrowiem. Jednak cena, jaką trzeba było za to zapłacić, wydaje mi się zbyt wysoka. Bardzo nam Ciebie brakuje. Wiedz, że cała ta sprawa obciążała mocno nasze sumienia, zwłaszcza Izajasz.

Elsie zwinęła list.

– Jak się czujesz? – szepnęła.

Bachus rozciągnął ramię za oparciem kanapy, przeciągając przy tym palcem wzdłuż jednego z jej loków, tuż przy karku. Przebiegł jej od tego dreszcz po kręgosłupie.

– Oczywiście wierzę jej – westchnął. – Teraz za dużo mam na głowie. Jeszcze jej nie odpisałem. Nie wiem, czy w ogóle to zrobię. Więc być może Kent...

Kiedy Bachus zawiesił głos, Elsie wtrąciła:

– Naprawdę nie mam problemu ze ślubem w tutejszym kościele. Jest mniejszy. A to oznacza mniej kwiatów, mniejsze rachunki.

Jego usta drgnęły w lekkim uśmiechu.

– Nie mam problemu z kupowaniem ci kwiatów.

– A co ja miałabym z nimi potem zrobić? – wyprostowała się. – Kto je w ogóle będzie oglądał? A poza tym i tak wszystkie oczy powinny być skierowane na pannę młodą.

Bachus znowu pociągnął za jej lok.

– I będą.

Policzki jej się zaróżowiły. Boże jedyny, szesnasty lipca to już bardzo niedługo, zaledwie szesnaście dni. Do ślubu...

Elsie wróciła myślami do ich rozmowy w powozie, przez co oczywiście pomyślała także o tamtym pocałunku i zaczerwieńły jej się uszy. Bachus musiał to zauważyć, ponieważ zachotał cicho, a Elsie musiała zebrać w sobie wszystkie siły, żeby go nie pacnąć.

Wróciła Emmeline i wsunęła głowę przez drzwi.

– To ktoś do ciebie, Elsie. Nie wiem, kto to. Nie chciał mi podać nazwiska.

Elsie zaparło dech.

– Nie jest czasem w mundurze, co?

Emmeline pokręciła głową.

– Dla mnie wygląda normalnie.

Elsie wymieniła się spojrzeniami z Ogdenem. To nie może być tamten Amerykanin, prawda? Na pewno nie mieliby tyle szczęścia. Albo pecha, zależy, jak na to spojrzeć.

Elsie wstała, wygładziła sukienkę i pośpieszyła do drzwi.

– Zaczynam mieć dosyć niespodziewanych gości – powiedziała nonszalancko, chociaż żołądek miała ściśnięty z nerwów. Być może panna Prescott przysłała do jej domu aspektora? Elsie nie mogła sobie przypomnieć, żeby się z kimś umawiała, ale w ostatnim czasie była tak podenerwowana, że może zapomniała.

Cuthbert i Bachus szli za Elsie schodami na dół, potem przez kuchnię i korytarz do pracowni.

Emmeline nie przesadziła – mężczyzna, który stał przy kontuarze, rzeczywiście wyglądał normalnie. Był chyba kilka lat starszy od Elsie i wykręcał w dłoniach czapkę. Był na tyle dobrze ubrany, na ile mógł sobie pozwolić człowiek pracujący, czyli nosił wszystkie odcienie brązu z wyjątkiem marynarki, która była oliwkowa. Na głowie miał burzę falowanych włosów. Podniósł wzrok, kiedy Elsie weszła do pomieszczenia. W jego niebieskich oczach było coś dziwnie znajomego, ale Elsie nie potrafiła określić, co to było. Była pewna, że nigdy wcześniej go nie spotkała.

– Elsie... to znaczy, pani jest Elsie Camden – odezwał się natychmiast.

Elsie się zawahała, ale przytaknęła.

– Tak, ale to nie ja jestem tutaj artystką.

Do pracowni weszli Ogden i Bachus, więc wskazała na pierwszego z nich.

– Tylko on.

– Ach, yyy... – zaśmiał się speszony – nie przyszedłem w sprawie sztuki. Tylko. Cóż... – złożył czapkę, potarł o siebie dłonie, a potem znów zdjął czapkę – cóż, to może zabrzmieć nieco dziwnie.

Zapewniam pana, że już jest dziwnie, pomyślała Elsie z obawą, spoglądając w bok na Bachusa.

– Ale, yyy, zobaczyłem w gazecie ogłoszenie o ślubie – spojrzał na Bachusa, następnie na Cuthberta, po czym wrócił wzrokiem do niej. – I cóż... czy mogę pani zadać osobiste pytanie?

Elsie zmarszczyła brwi.

– Nie jestem pewna, czy powinnam się zgodzić.

– Proszę, panno Camden.

Emmeline spojrzała jej w oczy, a że wyglądała na tak pełną nadziei, Elsie w końcu skinęła głową, wyrażając zgodę.

Mężczyzna wykręcał czapkę, jakby to była szyja kurczaka.

– Chodzi o to... Czy zna pani swoich rodziców, panno Camden?

Żołądek jej się zacisnął.

– To rzeczywiście osobiste pytanie. I do tego dziwne.

- Wiem. Tylko, że... - wreszcie zlitował się nad czapką i odłożył ją na kontuar. Zbliżył się do niej, ale tylko o krok. - Widzi pani, moi rodzice... byli naprawdę biedni. Trudno im było nas utrzymać. Pozostawili mnie u pewnej rodziny w Reading - zaśmiał się nerwowo, a żołądek Elsie jeszcze bardziej się zacisnął - i chodzi o to... że miałem siostrę o imieniu Elsie. Widziałem ją ostatnio, kiedy miałem osiem lat. A pani... jest w odpowiednim wieku. Nie byłem w stanie znaleźć żadnej Elsie Camden, aż do chwili, kiedy w zeszłym tygodniu zobaczyłem w gazecie to ogłoszenie o ślubie.

Elsie zakryła dłonią usta.

To niemożliwe. Niemożliwe.

- Chłopcze - zaczął łagodnie Ogden - mówiłeś, że jak się nazywałeś?

- Reggie - odpowiedział, tym razem wodząc dłońmi wzdłuż brzegu marynarki - to znaczy Reginald. Reginald Camden.

I tak po prostu Elsie wiedziała już, dlaczego jego oczy wydały jej się znajome. Ponieważ oglądała je każdego dnia w lustrze.

To były jej oczy.

Łzy przesłoniły jej wzrok. Ledwie dosłyszalnym szeptem zapytała:

- Cz-czy wie pan, gdzie ją zostawili?

Reggie pokręcił głową.

- Nie wiem. Gdzieś niedaleko Reading. W małym mieście. Ją pierwszą straciliśmy, chociaż nie wiem dlaczego. Nie wiedziałem, że zaplanowali to dla nas wszystkich. Mama i papa... nigdy mi tego nie wyjaśnili. Zrozumiałem to dopiero, kiedy dorosłem.

Bolesna gula ścisnęła gardło Elsie. Skąd on to wie? Skąd by to wiedział, gdyby nie był...

- Jesteś moim bratem - powiedziała, łkając.

Mężczyzna uśmiechnął się, również przez łzy.

- Tak, Elsie. Tak mi się wydaje.

Rozdział 13

– Naprawdę nie pamiętasz?

Siedzieli wszyscy przy stole w jadalni, Ogden u szczytu, Reginald, czyli Reggie, naprzeciwko Elsie. Bachus obok niej. Emmeline zajęła miejsce na drugim końcu stołu, siedziała cicho, zafascynowana. Obyczaj nakazywał, żeby któraś z nich podała herbatę, ale kto mógłby myśleć o herbacie w chwili takiej jak ta?

Elsie czuła się, jakby unosiła się w powietrzu, i nie chciała nigdy wracać na ziemię.

– Wiedziałam, że miałam matkę i ojca, i wydawało mi się, że też brata. Czułam, że miałam brata!

Reggie uśmiechnął się.

– Tak. W sumie była nas czwórka. Może pamiętasz Johna. Był ode mnie starszy. Jego też odnalazłem. Jakies sześć lat temu.

Serce Elsie fiknęło koziołka.

– Naprawdę? Gdzie...

Reggie powstrzymał jej pytanie, podnosząc dłoni.

– Nie ekscytuj się za bardzo, Elsie – posmutniał. – Naprawdę mi przykro, ale on nie... już go nie ma. Zmarł na odrę kilka zim wstecz.

Elsie poczuła się przytłoczona. Pod stołem dłoni Bachusa odnalazła jej kolano. Ten prosty gest był dla niej w tej chwili prawdziwą podporą.

– Rozumiem. A gdzie został pochowany?

Reggie znów maltretował swoją czapkę. To cud, że nadal zachowywała swój kształt.

– W miasteczku na północ od Londynu nazywanym Green Knoll. Mógłbym cię tam zabrać, gdybyś chciała.

– Tak. Chciałabym. Ale... mówiłeś, że było nas czworo...

Reggie pstryknął palcami.

– Mieliśmy też siostrę, młodszą od ciebie. Jestem pewien, że miała na imię Alice. Ale jej nie mogłem odnaleźć. Nie wiem, czy rodzice ją zatrzymali, czy też gdzieś zostawili. Może być wszędzie.

Siostra. Elsie miała gdzieś tam siostrę. Siostrę, która pewnie nie pamiętała, że ma na nazwisko Camden, co znacznie utrudnia jej odnalezienie. Kładąc obie dłonie na blacie, Elsie powiedziała:

– Nie rozumiem, dlaczego to zrobili. Dlaczego porzucili własne dzieci.

– Jak już mówiłem, byliśmy biedni – zaczął cicho Reggie, a reszta słuchała w milczeniu – naprawdę biedni. Pamiętam, że często byłem głodny. Dużo podróżowaliśmy, tata zawsze szukał pracy, chociaż nie pamiętam, czym się zajmował. Żyliśmy dzięki dobroczynności obcych ludzi. I stąd chyba wpadli na ten pomysł.

Elsie kiwnęła głową. Miała poważną minę.

- Czy też trafiłeś do przytułku?

Reggie wyglądał na speszzonego.

- Yy... nie. Widzisz, mnie zostawili z rodziną, która nie mogła się mną zajmować. Ale w tej samej wsi mieszkało starsze małżeństwo, które nie mogło mieć dzieci - Turkneyowie. Oni mnie przyjęli. Musiałem u nich zapracować na każdą nitkę w ubraniach, które nosiłem, ale zapewnili mi dach nad głową.

Elsie pokiwała głową.

- To nie zabrzmiało najgorzej.

- Pewno to lepsze niż przytułek. Ale wygląda na to, że i ty jakoś sobie poradziłaś - rozejrzała się po pokoju, potem spojrzała na Ogdena, Emmeline i wreszcie na Bachusa, do którego zwróciła się z pytaniem:

- Przypuszczam, że często to słyszysz, ale skąd jesteś?

- Z Barbadosu - odpowiedział cierpliwie Bachus.

Reggie gwizdnał.

- To daleko. Obstawiałem Turcję.

- Reggie, to znaczy panie Camden - Emmeline nagle przybyło odwagi - czym się pan zajmuje? Jest pan rolnikiem?

Reggie roześmiał się.

- Można by powiedzieć, że byłem, ale już nie. Naprawiam maszyny drukarskie. Sprzedaję części do nich. W Londynie - wskazał na północ, jakby nie wiedzieli, gdzie znajduje się to rozległe miasto.

- To wygląda jak dobra praca - odezwał się Cuthbert.

Reggie przytaknął.

- Odpowiada mi. Nie mam własnego warsztatu, jak pan, ale człowiek, dla którego pracuję, jest dobry i uczciwy.

Zastanawiając się, czy pozna jeszcze kogoś z rodziny, Elsie zapytała:

- Jesteś żonaty?

Ku jej zaskoczeniu Reggie lekko się zarumienił i spojrzeł na Emmeline.

- Aa, nie. Jeszcze nie. Chociaż się staram.

Emmeline wyrzuciła nagle:

- A Elsie jest łapaczką zaklęć!

Nadal wydawało jej się dziwne, że może o tym otwarciu mówić.

Jej brat - jej brat! - spojrzeł na nią z szeroko otwartymi oczami.

- Naprawdę?

- Szkolę się - odpowiedziała, a Bachus ścisnął jej kolano. Gdyby nie byli po słowie, byłoby to całkowicie niestosowne, a Elsie musiała sobie nieustannie przypominać o tym, że jest zaręczona.

Po raz chyba tysięczny zaczęła rozmyślać o tym, co powiedział Bachus w powozie, zanim ją pocałował. *Ale one tylko przyspieszyły to wszystko.* Czy w takim razie on na poważnie zamierzał się do niej zalecać, zamiast odpłynąć na Barbados? Elsie nie wiedziała, jak w inny sposób należałoby zinterpretować takie wyznanie, więc uczepiła się w nadziei tej wersji.

Najpierw Bachus, a teraz Reggie... być może rzeczywiście się myliła. Może to po prostu przez pech (oraz imbecyli...) jej życie jest, jakie jest. Być może nie była aż tak straszna, jak myślała.

Być może.

Reggie znów gwizdnął, na co Elsie się uśmiechnęła.

– Nieźle, Elsie. Będąc łapaczką zakłęt, możesz wiele zdziałać – mówiąc to, spojrzął na Bachusa. A potem, znów nieco zakłopotany, dodał: – Kiedy zobaczyłem nazwisko Elsie w gazecie, pana też sprawdziłem. Mistrz aspektor fizyczny. Idealna z was parka.

Elsie zarumieniła się.

– Chyba tak. Zostaniesz na obiad?

Jej brat się uśmiechnął.

– Wziąłem wolne na cały dzień, a darmowych posiłków nie odmawiam – znów spojrzął na Emmeline. – Jeśli nie będę wam przeszkadzał.

– Oczywiście, że nie – Elsie spojrzała na Ogdena, czekając, czy skinieniem głowy wyrazi zgodę, co na szczęście uczynił, a dziewczyna wypuściła z ulgą powietrze. – I ty, Bachusie, także zostaniesz – odważnie położyła dłoń na jego dłoni.

Bachus przytaknął.

– Ale potem chciałbym wrócić do Londynu, żeby sprawdzić, co u Mistrzynie Hill.

– Oczywiście – zaskoczyło ją, że niemal o tym zapomniała. Nadal musieli znaleźć Merton, żeby udaremnić jej zamiary, jakiegokolwiek by one były.

Jednak tymczasem usiłowała zignorować te palące kwestie i skupić się na swoim bracie, choć na jeden dzień. Miała brata! Nie potrafiła jeszcze objąć tego umysłem.

– Powiedz, gdzie dorastałeś. Opowiedz o tym małżeństwie, które cię przygarneło.

Reggie odchylił się wygodnie na krześle.

– Cóż, mieszkaliśmy zaraz obok strumienia o nazwie Święty Patryk, ale wszyscy mówiliśmy na niego Wody Patryka, co może było nieco świętokradcze...

Elsie i Reggie dogadywali się tak dobrze, jak prawdziwe rodzeństwo, nie chciała więc, aby wyjeżdżał. Nigdy. Ale oboje byli dorośli, mieli pracę i własne życie, zatem w końcu musiał wyjechać, jednak obiecał, że wkrótce znów się zobaczą. Koniec końców, był to najprzyjemniejszy dzień w życiu Elsie.

Jednak następny był już znacznie mniej radosny.

W pracowni krawcowej rozległ się huk grzmotu, odbijając się echem od ścian. Elsie drgnęła, a krawcowa niemal ukuła ją szpilką. Emmeline stała przy oknie, podziwiając broszkę z białą gołębicą i od czasu do czasu spoglądając w mroczną szarość za oknem, którą przesłaniały duże krople uderzające szybko o szybę. Padało cały dzień, zaczęło, jeszcze zanim Elsie się obudziła. Lało na całego. Ale dzięki temu Elsie miała chociaż możliwość załatwienia swoich spraw bez świadków. Kiedy z Elsie zdejmowano miarę, w całym Brookley zaległa cisza, a po pracowni nie kręcił się nikt postronny. Nikt się jej nie przyglądał, nikt nie wypytywał o Bachusa ani nie plotkował o jej prywatnych sprawach.

Zamierzała pójść do ślubu w jednej ze swoich sukienek, jak uczyniłaby to każda skromna kobieta. Być może pozwoliłaby sobie na jakąś dodatkową wstążkę czy koronkę dla upiększenia kreacji. Bachus zagadnął ją o to wczoraj podczas obiadu i poinformował ją o swoich planach.

- Chociaż sądzę, że to jak najbardziej odpowiednie - zaczął ostrożnie - to jednak jeśli bylibyśmy zaręczeni tak długo, jak myśli sędzia, to mielibyśmy mnóstwo czasu, żeby zamówić sukienkę. Może zatem byłoby więc lepiej, żebyś sprawiła sobie nową.

A potem wręczył Elsie banknot. Mimo że teraz znajdował się on w posiadaniu krawcowej, jednak gnębiące ją poczucie winy nie chciało jej opuścić razem z nim.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Krawcowa zapisała jej wymiary i mocowała muślin wokół jej talii. Będzie miała suknię ślubną. Dość prostą, zważywszy na ograniczenia czasowe. Po sytuacji z Alfredem Elsie nie sądziła, że kiedykolwiek taką włoży. Wszystko wtedy zaplanowała. Suknię, kwiaty, listę gości, miesiąc miodowy. Nie zapomniła o niczym. Chichotała razem z Emmeline, rozmawiając o tym późnymi wieczorami. W szkicowniku Ogdena rysowała kapelusze, które ze sobą zabierze. Kiedy więc Alfred ją porzucił, jak wyrzuci się worek starej mąki, którego trzeba się pozbyć, poczuła się całkowicie i nieskończenie głupia. Od tej chwili zniechęciła się do wszystkiego, co wiązało się ze ślubami. Wszystko, co białe. Wszystko, co romantyczne.

Potała kciukiem pierścionek i westchnęła.

Elsie, przecież coś takiego nie zdarza się dwa razy, zgaśniła samą siebie.

A mimo to jej część była przekonana, że to nieoczekiwane narzeczeństwo z Bachusem i tak nie wypali. Że spali się kościół albo przeszkodzi im Merton czy też po prostu Bachus zmieni zdanie.

Gdyby tak się stało... Elsie dotknęła swojego gorsetu, upewniając się, że kartka papieru nadal tam jest.

Myśl o miłych rzeczach. Na ślubie będzie obecny jej brat - *mój brat!* - pomyślała i pomimo obaw, uśmiechnęła się na tę myśl.

Emmeline wróciła od okna i niemal zaśpiewała.

- Będziesz potrzebowała białych butów i wstążki, nowych rękawiczek i jedwabnych pończoch. Och! I jedwabnej chusteczki!

- To tylko mała ceremonia - odparła stanowczo Elsie, a krawcowa machnęła dłonią, dając znać, że już skończyła. Elsie ostrożnie wyszła z muślinu i zeszła ze stołka, na którym stała.

- Zabiorę się za to od razu - zapewniła kobieta i odłożyła spódnice na krzesło. - Bez wyszukanych ozdób powinnam zdążyć na czas.

Czując się trochę jak dziewczynka, Elsie zaproponowała:

- Sądzę, że mogłybyśmy dodać jakiś haft... albo koronkę na rękawach - zerknęła na ozdabiającą okno gołębicę.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Tak myślałam. Wróćcie za kilka dni, a zobaczymy, co się da zrobić.

Emmeline klasnęła w dłonie.

- Wspaniale, Elsie! Będziesz taką piękną panną młodą!

Mówiła tak już wcześniej, kiedy myślała, że Elsie wyjdzie za Alfreda, ale nie było sensu teraz do tego wracać.

Elsie chwyciła ich parasol.

– To co, pofruniemy, oszczędzając buty? Czy biegniemy przez błoto?

Znów zagrzmiało.

Emmeline przełknęła ślinę.

– Biegnijmy jak szalone.

Razem chwyciły parasol i otworzyły drzwi. Wiatr niemal im go wyrwał z rąk, kiedy na wpół oślepienie deszczem biegly do zakładu kamieniarskiego, przemaczając pończochy do suchej nitki i taplając je błotem. Emmeline piszczała, a Elsie śmiała się z niej, a kiedy dotarły wreszcie do domu, brakowało im tchu. Dzięki opustoszałym ulicom nie było przynajmniej świadków tej błazenady.

Elsie starła deszcz z oczu, zdjęła rękawiczki i odpięła kapelusz, który pomimo parasola i tak był mokry.

– Przynajmniej się porządnie wygimnastykowałyśmy.

– Też tak myślę.

Obie z Emmeline podskoczyły, słysząc nowy głos. W drzwiach prowadzących do kuchni stała panna Irene Prescott we własnej osobie.

– P... panna Prescott! – Elsie zamilkła, a jej buty utworzyły na podłodze błotnistą kałużę. – Nie spodziewałam się pani! Przy takiej pogodzie i w ogóle.

Rzeczywiście miała nadzieję na chwilę odpoczynku od nauki.

– Zawsze jestem punktualna – powiedziała rozbawiona – dlatego sama prowadzę powóz. A czekam dopiero pięć minut. Chodźmy, przywiozłam dzisiaj coś ekscytującego.

Wątpię. Elsie wymieniła z Emmeline niepewne spojrzenie. Czy powinna się przebrać? Ale nauczycielka przecież już czekała...

– Zaparzę herbatę – odezwała się Emmeline, starając się z całych sił wyczyścić swoje buty.

Wzdychając, Elsie zsunęła swoje z nóg, przeszła przez kuchnię i weszła do jadalni na boso, w mokrych pończochach. Panna Prescott usiadła za stołem i wyjęła zwiędłą roślinę, króliczą łapkę i klatkę...

Elsie podniosła rękę, żeby złapać się za serce.

– O matko, skąd pani to wzięła?

W klatce siedział szczur z długim ogonem i kręcił się w niej, łapał za pręty, usiłując wydość się z pułapki.

Panna Prescott uśmiechnęła się.

– Zajmiemy się dziś kilkoma zaklęciami duchowymi! Te umysłowe naprawdę będziemy musiały przerobić w Ateneum, ale udało mi się zdobyć te zaklęte przedmioty.

Elsie usiadła. Słyszała dźwięki dobiegające z każdego z trzech przedmiotów.

Pierwsze zaklęcie widziała niedawno, zwiędła, wyglądająca na smutną roślinę była przekłeta, podobnie jak wcześniej pola księcia Kentu. Na zajęczą łapkę ktoś nałożył zaklęcie szczęścia, a szczur miał na sobie jakiegoś rodzaju zaklęcie komunikacyjne, podobne do tego, które rzuca się na psy pocztowe.

Elsie oparła brodę na dłoniach i bez entuzjazmu powiedziała:

– Proszę opowiedzieć.

I panna Prescott zaczęła wykład, rozwlekając się, jak to miała w zwyczaju. Elsie nie miała pojęcia, jak ktoś może mieć tyle do powiedzenia na temat łamania zakłęb, ale panna Prescott zawsze dawała radę. Być może, gdyby Elsie naprawdę była nowicjuską, takie wyjaśnienia byłyby jej potrzebne. Może też okazałyby się przydatne, gdyby była młodsza. Wszystkiego, co umiała, nauczyła się sama, wspierana jedynie drobnymi poradami napisanymi na srebrzystym papierze z pieczęcią w kształcie łapy kruka. Czy te pierwsze wiadomości, które otrzymała, pochodziły bezpośrednio od Ogdena czy od Merton?

Właśnie wtedy przez pokój przeszedł Ogden, wycierając szmatką farbę z palców. Elsie wyprostowała się – miło było widzieć go znowu pracującego. Od czasu zdarzenia w dokach nie był sobą.

Cuthbert położył na stole otwartą kopertę z telegramem. Była pomarszczona, jakby cały dzień padał na nią deszcz, a potem ktoś ją wysuszył.

– Od Kelseya. Píše, że Mistrzynie Hill czuje się lepiej i lekarze uważają, że powinna wyzdrowieć.

Elsie odwinęła kartkę, żeby samodzielnie przeczytać telegram. Bachus pewnie skierował tę wiadomość do wszystkich albo nie miał pod ręką zaczarowanego ołówka.

– To dobre wieści.

– O rety, Mistrzynie Hill! – panna Prescott odłożyła króliczą łapkę. – Cóż za ulga, że jej się udało.

– W rzeczy samej – zgodził się Ogden. – Nie będę już paniom przeszkadzał.

Wyszedł z pokoju dokładnie w chwili, w której pojawiła się Emmeline z herbatą na tacy.

A potem Elsie... coś wyczuła.

Zamilkła, łapiąc oddech. To było zakłęb fizyczne... chociaż nie widziała nigdzie migotania runy. Nie potrafiła wyjaśnić, jak to wyczuła, ale to zdarzało się już wcześniej, przy runach wysysających Bachusa. To było jakby... coś w jej wnętrzu je wywęszyło. Jednak tym razem zakłęb było znacznie dalej, jakby było niesione wiatrem.

Ogden oczywiście potrafił tworzyć zakłębia fizyczne, ale nie takie silne.

– Panno Camden? – odezwała się panna Prescott.

Elsie otrząsnęła się.

– Dziękuję, Emmeline, sama naleję.

Emmeline przytaknęła i wycofała się do kuchni.

Elsie podniosła filiżankę i obejrzała jej spód, mając nadzieję, że znajdzie tam migoczącą runę. Jednak nic tam nie było. Podobnie jak na tacy czy na stole. Jedynie przecucie, którego nie potrafiła zlokalizować.

– Chwileczkę – wstała – chyba ktoś puka do drzwi.

– Poradzę sobie – powiedziała panna Prescott i sięgnęła po dzbanek.

Elsie pobiegła korytarzem do pracowni. W rogu stało przygotowane płótno, na które została świeżo naniesiona pierwsza warstwa farby. Na nim także nie było żadnych zakłęb.

W oddali przetoczył się grzmot; gdzieś zarżał koń.

Niespokojna Elsie wróciła do kuchni, nie będąc pewna, czy to odczucie jeszcze się wzmoгло, czy może to jej własny umysł je zintensyfikował. Ledwo dosłyszała, jak panna Prescott pytała, czy dobrze się czuje.

Czy Bachus nie mówił czasem, że Mistrzynie Hill dopadł aspektor fizyczny?

Nie myśląc wiele, Elsie pobiegła do schodów, łapiąc za poręcz, żeby przyspieszyć. Z zaskoczeniem dostrzegła, że na ostatnich trzech stopniach nie było słyhać jej kroków. Nie wydały najmniejszego dźwięku. Nic nie wydawało dźwięków.

Serce podeszło jej do gardła. Zawołała Ogdena, ale jej głos wchłonęło zakłęcie. Teraz już biegła, a potem wpadła do jego pokoju dokładnie w chwili, w której jego łóżko samo przejechało po podłodze, przyciskając Ogdena do przeciwległej ściany.

A w oknie stała postać, cała ubrana na szaro, aby nie wyróżniać się podczas burzy, jednak była sucha jak pieprz. Miała wyciągniętą rękę.

Elsie wrzasnęła bezdźwięcznie.

To nie był udawany atak, zaaranżowany z Nashem. To się działo naprawdę.

Bo czyjej śmierci Merton mogła chcieć bardziej niż mistrza aspektora umysłowego, który znał jej tajemnice?

Chwytnąjąc za pierwszą lepszą rzecz – cynowy kufel – Elsie rzuciła nim najmocniej, jak umiała. W chwili, kiedy go wypuściła z ręki, zauważyła migotanie w powietrzu kilkadziesiąt centymetrów przed nią, mniej więcej na wysokości twarzy: to zakłęcie tłumiące dźwięk. W tamtym momencie służyło zarówno napastnikowi, jak i jej samej, ponieważ mężczyzna jej nie zauważył ani nie usłyszał. Kufel poszybował daleko i uderzył go w skroń.

Chwytnąjąc się za głowę, napastnik obrócił się wokół własnej osi, miał zasłoniętą całą twarz, poza oczami. Elsie zauważyła, że Ogden wrzeszczy coś do niej, ale nie słyszała go, tak samo, jak żadnego innego dźwięku.

Ruszyła do przodu i chwyciła zakłęcie, rozplątując jego włókna...

– Zrób to! – ryknął Ogden, kiedy zakłęcie odpuściło.

W Elsie uderzyła niewidzialna pięść i odepchnęła ją w tył. Gdyby znajdowała się w innym miejscu, zwyczajnie odbiłaby się od ściany, ale ponieważ stała w progu, to zatoczyła się w tył, na korytarz, potknęła się i upadając, zbiła sobie kość ogonową.

– Ogden! – wrzasnęła. – Zrób coś!

– Tam jest zapora! – krzyknął, a potem jęknął.

Elsie podniosła się i pobiegła z powrotem do pokoju. Łóżko mocno naciskało na uda Cuthberta, przygwoździwszy go do ściany. Napastnik podszedł do niego z nożem w dłoni.

Ruchy Elsie zwolniły, jakby próbowała poruszać się w misce budyniu. Zakłęcie było zawieszane pomiędzy nią a aspektozem. Przemieszczała się w stronę runy, boleśnie ociążalymi ruchami, aż wreszcie do niej dotarła, a potem ją rozerwała, po czym potoczyła się do przodu, kiedy grawitacja powróciła do normalności.

Napastnik podniósł nóż. Elsie nie miała żadnej broni ani zakłęcia, poza tym ukrytym bezpiecznie w gorsecie.

Ale nie zamierzała pozwolić, aby Ogdenowi stała się krzywda. Więc rzuciła się na szarą postać i wskoczyła na nią, oplatając ramionami jej szyję.

Mężczyzna zatoczył się w tył, usiłował zrzucić ją z siebie. Jego zaklęcie musiało być zależne od koncentracji, ponieważ w chwili, w której Elsie na niego skoczyła, Cuthbert odsunął łóżko i przeskoczył przez nie, a potem popędził przez pokój, żeby jej pomóc.

- Pamiętaj, że może być na nim zaklęcie przymusu! - krzyknęła Elsie, puszczając męczyzną, kiedy do jej ramienia niebezpiecznie zbliżył się jego nóż. Ogden chwycił agresora za nadgarstek i wykręcił go, lecz tamten zacisnął drugą dłoń w pięść i uderzył kamieniarza w szczękę, zmuszając do zwolnienia uścisku. W tym samym momencie nad głową Elsie ożyły zasłony. Aspektor uchwycił się ich brzegów i wydłużył je; rozciągał je ponad normę, nałożywszy zaklęcie na ich włókna.

Wtedy właśnie Elsie zauważyła broń przytroczoną do jego pasa. Niezawodny sposób, żeby kogoś zamordować, zwłaszcza jeśli wcześniej pozbawi się go możliwości usłyszenia napastnika.

Sięgnęła po nią. Mężczyzna obrócił się, rzucając teraz w Ogdena zasłoną podobną do oszczepu, która wbiła się w ścianę. Elsie nie zdołała sięgnąć broni i upadła na nogi mężczyzny. Chwyciła go za kolana. Oboje się przewrócili. Elsie rzuciła się do pistoletu i tym razem zdołała sięgnąć do niego palcami, po czym odrzuciła go na drugi koniec pokoju. Następnie, wijąc się wokół nóg przeciwnika, poszukała zaklęcia. Usiłowała usłyszeć pomruk osiemnastopunktowego zaklęcia, które pasożytowało na kamieniarzu przez tak długi czas. Czy wykryła je na jego tułowiu, czy może dzwoniło jej w uszach?

Mężczyzna zamachnął się łokciem, mocno uderzając Elsie w pierś, a potem zrzucił ją z siebie. Szybko zerwał się na nogi i odwrócił w chwili, kiedy Ogden wyrwał ze ściany oszczep wyczarowany wcześniej z zasłony.

Elsie zamrugwała i podniosła się za ledwie na chwilę, bo podłoga chwyciła ją za nogi, nie pozwalając jej ruszyć się z miejsca. Potem napastnik wyciągnął rękę i Elsie rozpoznała kształt i migotanie runy, zanim jeszcze zaczęła działać.

Wiatr.

Elsie podniosła dłonie dokładnie w chwili, w której runa ruszyła w jej kierunku z siłą huraganu, zrywając obrazy ze ścian i książki z półek.

Zatrzymała się wówczas, gdy dotarła do Elsie, która rozerwała palcami to zaklęcie.

A oczy aspektora... nie było w nich wcale zaskoczenia. One były... puste. Jakby nie należały do niego.

Z pewnością był narzędziem Merton.

Znowu posłał wiatr, nawet silniejszy niż ten pierwszy. Jednak, o dziwo, zaklęcie, które przykuwało Elsie do podłogi, pomogło jej utrzymać równowagę, kiedy rozrywała i tę runę. Podobnie było z błyskawicą Nasha. Aspektor nie odpuszczał i raz za razem puszczał na nią wichury. Rzucał wokół pokoju piórami i papierem, ale przedmioty te tylko mierzwiły włosy Elsie i muskały jej ubranie, a ona rozplątywała każde kolejne zaklęcie. Z każdą następną runą było jej łatwiej, bo były identyczne.

Nagle wystrzelił pistolet, kula wylądowała w ścianie, ale przedtem zrobiła głęboką ranę w ramieniu zamaskowanego mężczyzny. To Cuthbert. Dotarł do pistoletu.

Wiatr ustał natychmiast, a napastnik uciekł w stronę okna, zmienił je w ciecz, przez którą się wydostał, szkło nie różniło się niczym od ulewego deszczu poza tym, że parowało w miejscu zetknięcia z ramą.

Elsie dobiegła do okna i wyrzła na ulicę. Nie widziała go...

Ale dojrzała kogoś kątem oka, a kiedy odwróciła się w stronę drzwi, stała tam panna Irene Prescott z szeroko otwartymi oczami i ustami.

Elsie zamarła. Jak długo tam czekała?

Za panną Prescott była Emmeline, która uciekła na schody.

– Em, zaczekaj! – krzyknęła Elsie. – Nie dzwoń na policję!

Dziewczyna zatrzymała się, niepewna, co ma robić. Nie mogli zadzwonić na policję, nie po raz kolejny. Z pewnością Ogden byłby w stanie wyprostować sprawy, ale im więcej ludzi byłoby zaangażowanych, tym trudniejsze by to było. Nie mogli ryzykować, że na któregoś z nich padnie kolejne podejrzenie.

– Nie mogłem się przedostać – szepnął Cuthbert, podnosząc się z podłogi. – Miał umysł osłonięty barierą, zakłębieniem innego aspektora umysłowego. Nie mogłem mu odczytać myśli, dowiedzieć się, kim jest, nic...

– Ogden – syknęła Elsie, a on odwrócił się i zobaczył świadków zdarzenia.

Panna Prescott oblizła usta.

– Nie jest pani nowicjuską, prawda?

Elsie otworzyła usta, potem zamknęła je. Deszcz stukał o parapet, chłodząc szkło stopione w kształcie poskręcanych, wyciągniętych palców.

– Mogę to wyjaśnić. To jest... – spojrzała na kamieniarza – to nie tak, jak pani myśli.

Panna Prescott pokręciła głową, ale najwyraźniej bardziej z podziwu niż wzgardy.

– Nigdy nie widziałam niczego podobnego. Proszę, panno Camden. Musi mi pani pokazać.

Ogden postukał się po głowie. Elsie poczuła, jak zbliża się do niej umysłowa runa, a ponieważ była od Ogdena, nie powstrzymała jej. Jego głos w jej głowie powiedział: *Mogę jej wymazać pamięć.*

Elsie odpowiedziała: *W takim razie zrób to, ale najpierw sprawdź, czy jest naszą sojuszniczką.*

Ponieważ, sądząc po jej wyrazie twarzy, panna Prescott mogła być tym wszystkim tylko i wyłącznie zafascynowana.

Ogden podszedł w stronę okna, przeszukując podłogę.

A Elsie, rozcierając zmarznięte dłonie, powiedziała:

– No dobrze, a teraz zapraszam wszystkich na dół.

Po niebie przetoczył się kolejny grzmot.

Rozdział 14

Problem polegał na tym, że Elsie nie mogła wyjaśnić, skąd dowiedziała się czegokolwiek o łamaniu zaklęć bez ujawniania, w jaki sposób się tego nauczyła, a to wiązało się z Kapturami. A Kapturów nie mogła wytłumaczyć bez wspomnienia o ich (oraz jej własnych) zbrodniach.

Odwagi dodała jej jednak świadomość, że Ogden mógł wymazać pamięć Emmeline i panny Prescott w mgnieniu oka. Emmeline była tak lojalna i miła, że Elsie nie martwiła się, że mogłaby w jakikolwiek sposób im zaszkodzić. Ale panna Prescott była niewiadomą. Elsie kompletnie nie wiedziała, czego można się po niej spodziewać.

I dlatego dobierała słowa bardzo ostrożnie. Zaczęła od przytułku, w którym odkryła swoje zdolności. Powiedziała im o Kapturach, ale pominęła nazwiska ofiar – co wydawało się jakoś mniej żenujące, mniej rzeczywiste. Jednak, jeśli panna Prescott naprawdę chciałaby się tego dowiedzieć, wystarczyłoby, żeby poczytała gazety. Elsie zakończyła tym, co właśnie stało się piętro wyżej. I nie ukrywała nazwiska Lily Merton, czując, że nie musi chronić morderczyni, no i nie wyjaśniła im roli Bachusa w tym wszystkim.

– I jestem przekonana, że to ten sam napastnik, który zaatakował Mistrzynie Hill – podkreśliła. Po czym położyła stanowczo spocone dłonie na stole. Ogden kręcił głową w tę i z powrotem, jak ptak, nasłuchując, czy do pracowni nie wszedł jakiś niespodziewany klient, który mógłby ich podsłuchać.

Emmeline, siedząca u szczytu stołu, miała szeroko otwarte oczy, jej twarz była biała jak u porcelanowej lalki. Za to panna Prescott słuchając jej opowieści, wydawała się bardzo ożywiona, jakby to było jakieś bajkowe przedstawienie, odgrywane z użyciem pacynek. A po zakończeniu opowieści w pokoju zapanowała martwa cisza. Było tak cicho, że Elsie pomyślała, iż mogłaby usłyszeć tupot mrówek. To znaczy, cisza panowała do czasu, aż panna Prescott nie zaczęła stukać palcami o blat stołu, na początku wolno, a potem coraz szybciej i szybciej. A do tego na zmianę zaciskała, rozluźniała usta i poruszała nimi. Potem zmrużyła oczy, a następnie zmarszczyła czoło. Wyglądało na to, że toczy bardzo intensywną konwersację sama ze sobą.

Emmeline skrzywiła się zmartwiona i wpatrywała się w sufit, być może usiłując wymyślić jakąś odpowiedź.

Zatem panna Prescott przejęła ten zaszczyt.

– To jest absolutnie wspaniałe – pokręciła głową – to genialne, naprawdę... Nie, żebym popierała morderstwo czy zbrodnię w jakimkolwiek wydaniu. Ale kiedy pomyśleć o tym w sposób obiektywny... – chrząknęła – musi pani powiedzieć o tym władzom! Wtedy nie będzie już kłopotu z Mistrzynie Merton...

– Panno Prescott – przerwała jej Elsie.

– Naprawdę, po tym wszystkim proszę mi mówić Irene.

Elsie przerwała, rozmyślając. To wszystko przebiegało... dziwnie dobrze.

- Czy na tobie czasem nie ma jakiegoś zaklęcia, co?

Łamaczka zaklęć roześmiała się.

- Nie. Możesz sprawdzić, jeśli chcesz.

Elsie przez chwilę rozważała taką możliwość.

- Nie, dziękuję. Ale chodzi o to, że nie mogę powiedzieć o tym władzom bez narażenia siebie i Ogdena. Na pewno nie wyszlibyśmy z tego bez szwanku.

Irene zbladła.

- Pewnie tak. Ale może okazano by ci łaskę.

- „Może” nie daje gwarancji – wtrącił Ogden.

Irene zmarszczyła brwi, jeszcze szybciej bębniąc palcami o stół.

- Tak. Przepisy dotyczące aspektorów są bardzo surowe. Takiego ryzyka chyba nie chciałabym podjąć.

- I... żadnej z was to nie przeszkadza? – zapytała Elsie, przeskakując wzrokiem z Emmeline na Irene i z powrotem.

Emmeline zerknęła na nią nieśmiało.

- T-tak. To wyjaśnia pewne rzeczy. Myślę... nikomu nie powiem. Obiecuję.

Elsie uśmiechnęła się do niej delikatnie. Całym sercem wierzyła młodszej koleżance. A poza tym, gdyby Ogden wpadł, także Emmeline zostałaby bez zajęcia.

- Sądzę, że mógłby pan bez wysiłku pozbawić mnie tej wiedzy – Irene spojrzała na Cuthberta. – Myślę też, że dlatego w ogóle zaryzykowaliście wprowadzenie mnie w szczegóły tej sprawy.

Ogden zastanowił się przez chwilę, a potem przytaknął.

Irene zamilkła na moment, poza oczywiście bębniącymi palcami.

- Panno Camden, Elsie, jeśli mogę – ty to jedno, ale niezarejestrowany aspektor z mistrzowskimi zaklęciami... to już trudniej mi przełknąć. Magia umysłowa jest tak ściśle regulowana przepisami nie bez powodu.

Cuthbert milczał.

- On nikogo by nie skrzywdził – wtrąciła Elsie. – To znaczy, nie skrzywdziłby, chyba że ktoś zmusiłby go do tego, ale Merton nie ma już nad nim kontroli.

Irene zastanawiała się nad tym przez dłuższą chwilę, jak zwykle nieśpiesznie. Kiedy wreszcie zadała pytanie, w jadalni zaczęła już panować niezręczna cisza.

- Czy mogę zobaczyć te artykuły?

Ogden wymknął się z jadalni, żeby przynieść swój notes, a Elsie w tym czasie tłumaczyła:

- Mamy tylko ich kopie.

- To wystarczy.

Cuthbert wrócił, a Elsie wyczuła delikatne pulsowanie w powietrzu, kiedy wypuścił z siebie zaklęcie. Irene wzięła szkicownik do ręki, a potem zeszytywniała.

- Wystarczyło zapytać – mruknęła.

Ogden wcale nie wyglądał na zawstydzonego. Przyjrzał jej się przez chwilę, a potem powiedział:

- Jest szczerą. Myślę, że możemy jej zaufać - Ogden wydawał się tym zaskoczony. Następnie delikatne pulsowanie pojawiło się kolejny raz, ale teraz zostało skierowane do Emmeline, która w żaden sposób na nie nie zareagowała. Po kilku sekundach Ogden potwierdził:

- Emmeline także.

- Mówiłam przecież - odezwała się Emmeline, a potem podskoczyła na krześle. - Czy ty właśnie mnie zaszarowałeś?

Elsie splótła dłonie, usiłując wymyślić sposób, w jaki Irene mogła unieszkodliwić zakłęcie Cuthberta. Lecz gdyby nawet posiadała stronę opusu, tak jak Elsie, żeby jej użyć, musiałaby ją wyjąć i wypowiedzieć słowo „*excitant*”. A mimo to Elsie nie dowierzała, że ktoś mógłby ot, tak przyjąć to, co z Ogdenem wyznali, albo że ta dama, którą postrzegала jako przeszkodę, tak łatwo stała się sojuszniczką. Nawet Bachusa musiała mocno przekonywać, żeby nie wydał jej sekretu, kiedy dowiedział się, że jest nielegalną łapaczką zakłęt.

Czy to możliwe, że Bóg, wszechświat czy los wreszcie okazał im łaskę?

Wydawało jej się to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, ale nie miała wyjścia, jak po prostu zaufać Cuthbertowi. I w jakiś sposób także Irene.

Irene przejrzała artykuły.

- Interesujące. I w oryginale pisownia jest dokładnie taka sama? - przekreśliła stronę.

- Co do litery - zapewniła Elsie, przyglądając się jej twarzy w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, ale ona rzeczywiście wydawała się szczerą.

Irene przeszła do ostatniego artykułu, tego ze Stanów Zjednoczonych, a potem zaczęła znów od początku, czytając wszystkie jeszcze raz. Na koniec przełożyła o jedną stronę za daleko i trafiła na na wpół skończony szkic Lily Merton. A przechodząc dalej, dotarła do rysunku Amerykanina.

- To ten, który przyjechał do Juniper Down - wyjaśniła Elsie.

Irene przygryzła wargę i przysunęła sobie szkicownik bliżej twarzy. Przyglądała mu się uważnie, przechylając głowę to w jedną, to w drugą stronę.

- Ja go znam.

Serce podeszło Elsie do gardła. Cuthbert musiał czuć się podobnie, ponieważ nagle podbiegł do stołu.

- Tak? - spytał.

Elsie upewniała się:

- Naprawdę?

Irene przytaknęła, nie odrywając oczu od rysunku. Rozmyślając, przygryzała wewnętrzną stronę policzka.

- Zastanówmy się... Boston... Kruk. Coś kruk...

Ogden zeszytniał, kierując poblądłą twarz na Elsie.

- Artykuły. W jednym było coś o krukach.

Odrętwiała Elsie wyrecytowała tytuł artykułu z gazety „Boston Herald”:

- *Intryga zaszarowanych kruków w stowarzyszeniu duchowym*. A w gazecie „Manchester Guardian” była wzmianka o czarnych ptakach.

Cuthbert wyglądał, jakby mu się ugięły kolana, wysunął krzesło i usiadł na nim.

Elsie przełknęła ślinę i usiłowała sobie przypomnieć, co jeszcze było w tym artykule. Czytała go tyle razy, że nie było to trudne.

– *Szczególnie ważne jest rozpoznanie potrzeby organizowania kruków, czy to w Stanach Zjednoczonych, czy w Wielkiej Brytanii.* To oznacza, że ona chce się z nim spotkać i nie jest dla niej ważne, gdzie miałyby to być.

– Quinn! – krzyknęła Irene, powodując, że serce Elsie powróciło natychmiast z gardła na swoje miejsce. – Quinn Raven, jestem pewna, że tak się nazywa.

– Dowiedziałam się o nim, kiedy przebywałam w Ameryce; mieszkałam tam przez jakiś czas – wyjaśniła. – Jakies jedenaście lat temu nagle zniknął. Pamiętam, ponieważ prawie nic ze sobą nie zabrał, poza wyczyszczeniem konta w banku. To było dość niezwykle. Nikt nie wiedział, dokąd wyjechał. Nadal nie wiedzą, jak sądzę. Moim przełożonym był wówczas Maurice Barre, który kierował działem ewidencji w Bostońskim Ateneum Duchowym. Odpowiadał za przeszukiwanie posiadłości Ravena. W zasadzie... tak, sądzę, że właśnie tam poznałam Mistrzynię Merton.

– Była w Stanach? – zapytała Emmeline z ogromnym zainteresowaniem, pochylając się nad stołem.

– Pan Barre zabrał mnie ze sobą, na wypadek gdyby coś było tam, cóż... zafalszowane albo niebezpieczne – wyjaśniła Irene. – Aspektrzy, zwłaszcza mistrzowie, zazwyczaj bardzo chronią siebie i swoje majątki. Ale tam panował kompletny chaos – odłożyła szkicownik. – Jego notatki były porzucane, wiele z nich było spalonych albo nadpalonych. Sądzimy, że zanim zniknął, prowadził zaawansowane prace nad jakąś teorią. Był bardzo tajemniczą osobą. Ekscentrykiem i samotnikiem.

Ogden chwycił krawędź stołu.

– Czy pamięta pani coś jeszcze?

Irene przez chwilę się zastanawiała, a w tym czasie Elsie czuła łomotanie pulsu w całym ciele. Pstryknęła palcami.

– Krople. W dokumentach jego zarządcy znajdowała się wzmianka o ogromnej ilości kropli, których nigdy nie odnaleziono. Ale zaskakujące by było, gdyby zostawił coś tak cennego. Pan Barre mówił o tym otwarcie.

Elsie zastanawiała się przez chwilę. Twórcy zaklęć czasem kupowali krople, czyli „walutę” na bazie kwarcu, posiadającą zdolności wchłaniania zaklęć; ponieważ ich potrzebowali. Były one przy tym bardzo drogie, a każde zaklęcie wymagało innej ich ilości. Im silniejsze było zaklęcie, tym więcej kropli było potrzebnych, żeby je wchłonać.

– Być może je wykorzystał – mruknął Ogden. Wszystkie na niego spojrzały, więc mówił dalej: – Założyliśmy, że on posiada zaklęcie, którego chce Merton. Pomyślcie. Znika aspektor duchowy, pracujący nad jakąś wielką teorią, a ściga go inny aspektor duchowy. Jego teoria najprawdopodobniej dotyczyła zaklęcia mistrzowskiego. Takiego, do którego trzeba by dużej liczby kropli. Z wieloma zaklęciami mistrzowskimi właśnie tak jest.

Elsie zastanawiała się, w jaki sposób Ogden pozyskiwał krople do swoich zaklęć. Zapewne nielegalnie, ale pomyślała, że lepiej go o to nie pytać przy Irene. Mogłoby się okazać, że nie jest już w stanie więcej ignorować nielegalnych działań.

- Może - rozważała Irene - ale zakłęcia aspektorskie pozostają niezmienione od wieków. Nie można sobie ot, tak wymyślić nowego.

- Być może nie zostało wymyślone - odparł Ogden. - Być może po prostu zostało zagubione.

Opusy chroniły zakłęcia przed unicestwieniem, jednak nie było dowodów na to, że liczba zakłęć znanych obecnie ludzkości jest taka sama, jak przed wiekami.

- Czyli Mistrzynie Merton wie... - Elsie wzięła głęboki oddech i wypuściła wolno powietrze.
- Wie, co on odkrył: zakłęcie, teorię czy cokolwiek innego. I chce tego.

W jadalni znów zapadła martwa cisza, a potem Cuthbert zapytał:

- Pamięta pani coś jeszcze?

Irene pokręciła głową.

- Nie. Przykro mi. Przypuszczam, że mogłam go w ogóle nie zapamiętać, gdyby nie jego zagadkowe zniknięcie.

Elsie splótła dłonie. Mieli teraz znacznie więcej informacji. Mieli jego nazwisko! Nie był już tylko Amerykaninem, ale Mistrzem Quinnem Ravenem. Znali też motyw: Merton chciała czegoś, co znajdowało się w jego posiadaniu, prawdopodobnie zakłęcia duchowego. A oni mieli nową partnerkę, która w ciągu godziny udowodniła, że jest niezwykle przydatna.

Zamykając oczy, Elsie wróciła myślami do Juniper Down, wspominając sylwetkę tego mężczyzny, jego groźny wzrok, broń w dłoni. *Wiem, czego chcesz, ale prędzej cię zabiję, niż wypowiem te słowa* - tak powiedział.

Wypowiem te słowa. Musiało chodzić o zakłęcie. Ale co to było za zakłęcie, że Merton tak bardzo go pragnęła? Tak bardzo, żeby zaangażować złodzieja i mordercę?

Irene przerwała potok myśli Elsie.

- Powiesz mi, jak to zrobiłaś? Jak przerwałaś zakłęcie wiatru, zanim jeszcze zdążyło się ono rozkręcić?

Elsie otworzyła oczy.

- Ja... nie wiem, jak to zrobiłam. To znaczy, mogę spróbować... możemy później zrobić symulację, z Bachusem - odparła, a potem skierowała uwagę na Ogdena - musimy skontaktować się z Ravenem. Dać mu znać, że ma sojuszników, którzy staną u jego boku przeciwko Merton.

- Jak? - spytała Emmeline.

- W ten sam sposób co Merton - Cuthbert założył ramiona. - Poprzez gazety.

Elsie przytaknęła.

- Irene powiedziała, że mistrz Raven zniknął jedenaście lat temu. Nie możemy czekać przez kolejnych jedenaście.

- On wie, że Merton w ten właśnie sposób próbuje do niego dotrzeć - wtrącił Ogden. - Zna też twoje nazwisko. Jeśli opublikujemy coś, podpisując się nim, z pewnością to dostrzeże. Może nadal jest w Europie.

Elsie zastanawiała się chwilę nad jego propozycją, po czym się ożywiła.

- Reggie mówił, że naprawia maszyny drukarskie. Na pewno ma znajomości w londyńskich gazetach.

Emmeline uśmiechnęła się.

– Wspaniały pomysł! On nam pomoże!

– Kto to jest? – zapytała Irene.

– Mój brat – te słowa nadal wydawały jej się bardzo osobliwe. – Zaprosimy go tutaj i wszystko mu opowiemy. Dzięki temu nie będziemy musieli chodzić wokół niego na paluszkach. Ogdenie, ty upewnisz się co do jego wiarygodności. A ja zacznę pisać artykuły. Jeśli chcemy to szybko załatwić, może będziemy musieli być bardziej bezpośredni niż Merton.

Elsie pomyślała, że zaraz napisze do Bachusa i powiadomi go o wszystkim. Musiał być na bieżąco, a ona miała powód, żeby się z nim skontaktować.

Zamykając szkiełko, Irene powiedziała:

– Czy mistrzyni Merton się zorientuje?

Elsie pokręciła głową.

– Nie wiem. Może nie, skoro się ukrywa. Ale będziemy musieli zaryzykować.

– Wyślę telegram – Emmeline zeskoczyła z krzesła. – Reggie przed wyjściem wczoraj zostawił im swój adres.

– Dobrze. A ja napiszę do Bachusa. Może będzie mógł nas sfinansować, jeśli gazety będą chciały jakichś opłat – Elsie skrzywiła się na myśl o proszeniu go o pieniądze. Nadal czuła się niezręcznie z powodu sukni.

– Ja mogę dokonać opłat – zaproponowała Irene. – I pomogę ci też z pisaniem artykułów.

Poczucie ulgi było tak silne, że Elsie niemal rozpadła się na kawałki. Irene uśmiechnęła się i po raz pierwszy Elsie dojrzała możliwość zaprzyjaźnienia się ze swoją nauczycielką – byłoby wspaniale.

Irene stanowczo kiwnęła głową.

– I będę pilnować twoich lekcji. Nikt się nie domyśli.

Elsie miała ochotę ją uściskać.

– Jestem twoją dłużniczką.

– Ja też – dodał Ogden. – Bierzmy się do roboty.

Reggie otworzył szeroko oczy na widok Elsie witającej go w pracowni kamieniarskiej z plikiem dwunastu odręcznie napisanych artykułów. Wszystkie były zwięzłe i stylizowane na te, które razem z Ogdenem znaleźli w brytyjskich gazetach.

– Nie żartowałaś, co? – odezwał się.

W tytule każdego artykułu ukryta była wskazówka i każdy z nich dotyczył kruków. Reggie zerknął na pierwszy.

– Nie przejmuj się ich treścią – podkreśliła Elsie.

Podobnie jak w artykułach Merton, te także były niejasne, a nawet bezsensowne. W ich treści były ukryte przesłania.

– Po prostu daj je do druku. Na pierwszych stronach w miarę możliwości.

Obok stała Irene, która wręczyła Reggiemu kopertę.

– To na wypadek gdybyś musiał za to zapłacić.

- Najszybciej, jak się da – wtrącił Ogden.

Reggie nie został wprowadzony w całą tajemnicę, przynajmniej nie w takim stopniu, jak Irene i Emmeline. Powiedzieli mu, że poszukiwana jest pewna aspektorka przestępczyni, a Quinn Raven może im pomóc ją odnaleźć.

- Nic im nie tłumacz – dodała Elsie.

- I bądź ostrożny – wtrąciła Emmeline.

Reggie zdobył się na krzywy uśmiech w odpowiedzi na tę prośbę.

- Czuję się jak złoczyńca. Tyle że dobry – policzył kartki z artykułami. – Zobaczę, co się da zrobić. Być może trzeba będzie umieścić po kilka w tej samej gazecie, ale z różnych dni.

- Idealnie – Elsie ucałowała go w policzek. – To dla nas duża pomoc. Dla mnie.

Reggie wzruszył ramionami.

- Żaden problem. Dla siostrzyczki wszystko.

Elsie rozpromieniła się tak bardzo, że wyglądało, jakby przez jej uśmiech przeświecała lampa gazowa. Odprowadziła Reggiego do jego konia – bo tym razem przyjechał konno – a potem pośpieszyła z powrotem, gdzie zastała Irene przypinającą kapelusz do włosów. Zawsze miała na sobie inny kapelusz. Może kiedy Elsie zdobędzie certyfikat, będzie ją stać na asortyment własnych nakryć głowy.

- Przy odrobinie szczęścia ukażą się w poniedziałkowej gazecie – Irene przewiesiła parasol przez ramię, chociaż po wczorajszej burzy nie było już śladu.

- Przy odrobinie szczęścia – powtórzyła po niej Elsie. Przecież mieli go pod dostatkiem, prawda? Nadal nie dowierzała, że w Irene znaleźli taką przyjaciółkę, ale według Ogdena można było jej ufać. A Elsie desperacko chciała w to wierzyć. – Zwrócę ci pieniądze.

Irene machnęła dłonią.

- Może nie jestem twórczynią zakłęb, ale całkiem nieźle mi się powodzi i nie mam rodziny na utrzymaniu – na końcu tego wyznania znalazła się nutka goryczy, ale łamaczka zakłęb i tak delikatnie się uśmiechnęła. – Zajrzę do ciebie we wtorek.

- Idealnie – Elsie odprowadziła ją do drzwi, a potem poszła do siebie odpocząć. Kiedy otworzyła drzwi, usłyszała skrobanie ołówka i zauważyła, że na stole tańczy ten zielony, zaczarowany, jakby pisał nim jakiś duch. Podeszła do niego szybko i zaczęła czytać słowa zapelniające kartkę. Zwróciła uwagę, że ołówek trzeba będzie naostrzyć. Korespondowała ostatnio dużo z Bachusem o ataku na Cuthberta i o tym, co się stało potem, a także o zdrowiu Mistrzynie Hill. Końcówka ich ostatniej rozmowy zajęła ćwierć strony.

Najpierw spojrzała na jego wcześniejszą wiadomość: *To nie problem, mógłbym się u was zatrzymać.*

Jej odpowiedź: *Po co, żeby dostał dwa opusy, jak wróci? Ogden się tym zajmuje. Nie sądzę, że tamten ponownie spróbuje. Zwłaszcza że Irene jest tutaj teraz tak często.*

Pismo Bachusa stało się ciemniejsze, jakby zaczął mocno naciskać na ołówek: *Właśnie dzięki takim założeniom przestępcy zdobywają przewagę.*

Ominęła resztę tej konwersacji, którą już wcześniej czytała, i skupiła się na nowych zdaniach, które właśnie były pisane: *Elsie – napisał idealnym pismem Bachus – skontaktował się ze mną ksiązę. Chce ze mną porozmawiać – ołówek przerwał na chwilę. – Chciałbym, żebyś przy*

mnie była. Nie sądzę, żeby książkę albo ktoś inny z tego domostwa chciał mnie skrzywdzić. Ani też, że spróbują z kolejnymi zakłęciami. Ale jeszcze nie przepracowałem emocji po odkryciu prawdy w sprawie zakłęcia wysysającego i wydaje mi się, że Twoja obecność pomogłaby mi zachować spokój.

Serce Elsie zmiękło jak masło. *Pomóc mu zachować spokój.* Uśmiechając się, sięgnęła po ołówek, ale ten znów się poruszył i powstrzymała dłoń.

Chce się ze mną widzieć dziś wieczorem. Nie oczekuję, że będziesz specjalnie zmieniała swoje plany. Jestem gotów przełożyć tę wizytę. Sądzę, że on zrobi to, czego chce; jeśli wierzyć słowom z listu księżnej, Izajasz czuje się winny. Z przyjemnością zapewnię transport...

—

Elsie chwyciła ołówek i wyrwała go z niewidzialnej dłoni Bachusa. Poczuli moment, w którym go puścił, i pod jego na wpół skończonym zdaniem napisała: *Oczywiście, że z Tobą pojedę, pacanie. Nie musisz mnie błagać. Cóż ważniejszego mogłabym mieć do roboty?*

Odłożyła ołówek i czekała. Po kilku sekundach podniósł się i przechylił, stykając grafit z papierem.

Pacanie?

Zachichotała. *To wyraz czułości.*

Ołówek szarpnął się w jej dłoni; to Bachus zaczął pisać, zanim zdążyła go odłożyć. *Czyli myślisz o mnie czule.*

Podkreślił ostatnie słowo. Coś w tej gładkiej linii spowodowało, że zrobiło się jej gorąco. Wzięła ołówek i przytykając jego czubek do papieru, gotowa była napisać jakąś kaśliwą ripostę, ale coś ją powstrzymało. Z przyśpieszonym pulsem przyglądała się słowom, które wcześniej wyszły spod jego ręki: *Twoja obecność pomogłaby mi zachować spokój.*

Wróciła pamięcią do ich rozmowy w powozie przed tamtym pocałunkiem. Niepewnie dotknęła dłonią ust.

On się o ciebie troszczy, przyznała sama przed sobą, pilnując się, żeby tej myśli nie przelać na papier. Nadal trudno było jej w to uwierzyć, trudno przelknąć, trudno poczuć, ale chciała to czuć. Całe życie chciała czuć się chciana... kochana.

Przygryzając wewnętrzną część dolnej wargi, żeby sobie dodać odwagi, napisała: *Tak.* A potem odłożyła ołówek.

Minęło kilka sekund, zanim czar znowu nim poruszył. Może moglibyśmy zobaczyć się wcześniej?

Ciepło rozlało jej się po piersi. Napisała: *Cudownie byłoby pospacerować w Hyde Parku.*

Jego odpowiedź: *Mogę tam przyjechać w ciągu godziny.*

Jej też dotarcie tam zajęłoby godzinę. *Znajdę dorożkę w Brookley.* Kiedy kreśliła te słowa, zdrząła jej nieco ręka, więc bez przekonania skarciła samą siebie za to, że pozwala, żeby ekscytacja wzięła nad nią górę. Potrzebowała porozmawiać z nim o gazetach – kiedy pisała mu o tym wcześniej, wyrażała się bardzo ogólnikowo, ponieważ bała się, że ktoś mógłby to przeczytać – jednak nie chciała popsuć nastroju, insynuując, że chciała tylko porozmawiać o interesach.

Bachus wziął od niej ołówek i napisał po prostu: *Dziękuję Ci, Elsie.*

W myślach odpowiedziała: *Kocham cię, Bachusie.* I ledwo powstrzymała dłoń przed podniesieniem znowu ołówka. Jej serce galopowało; przycisnęła nagle zziębnięte palce do szyi, żeby poczuć jego rytm. Wpatrywała się w zielony ołówek, wyczekując jego kolejnych ruchów – jednocześnie obawiała się, że się poruszy, i była przerażona, że może jednak nie. Ale rozmowa byłaby kontynuowana, tylko jeśli ona by coś napisała, a na to nie miała odwagi, z tą myślą krzyczącą tak głośno w jej głowie.

Wzięła głęboki oddech, a potem następny, żeby się uspokoić, po czym sięgnęła po kartkę, złożyła ją i schowała do szuflady, żeby później jeszcze poczytać. Zastąpiła ją czystym papierem, na którym ostrożnie położyła zielony ołówek. Niespokojna, podeszła do małego lusterka wiszącego na ścianie i poprawiła włosy, przypięła kapelusz i przygotowała torebkę, a potem poszła do Ogdena, który siedział w salonie.

– Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko – zaczęła ostrożnie. Ogden trzymał w ręce szkicownik i wpatrywał się w rysunek młodszej Lily Merton. – Nie mamy ostatnio zbyt dużo zamówień... A Bachus poprosił, żebym z nim pojechała do Londynu zając się pewną... sprawą. Związaną z księciem Kentu – wspomniała Ogdenowi o sytuacji z księciem poprzedniego wieczora, już po ataku.

Spojrzał na nią.

– Oczywiście. Pewnie powinienem nad czymś popracować, prawda? Dochody to dość ważna sprawa.

Elsie uśmiechnęła się.

– Nie rozumiem, dlaczego nie podskakujesz z radości na myśl o skończeniu podobizny dziedzica – wzruszyła ramionami. – Potrzebuję trochę wolnego.

– Za to twoja portmonetka może już wkrótce potrzebować wypełnienia jej wnętrza – odłożył szkicownik. – Późno wrócisz?

– Tak sądzę.

Skinął głową.

– Uważaj na siebie.

Machając na pożegnanie, Elsie zamknęła za sobą skrzypiące drzwi i musiała się zmusić, żeby nie zbiec po schodach, kierując się do tylnego wyjścia, żeby dotrzeć do miasta na skrót. Poszła do hotelu, przed którym znalazła dorożkę, która właśnie wysadzała kilku pasażerów. Elsie zatrzymała ją, upewniła się, że dorożkarz zatrzyma się tam, gdzie zmierzała, po czym wskoczyła do środka. Dorożka odjechała, kiedy tylko konie zostały napojone.

Wewnątrz były jeszcze dwie pasażerki – kobieta w średnim wieku i młoda dziewczyna, o której w trakcie niezobowiązującej pogawędki, kiedy woźnica wyjeżdżał na główną drogę, Elsie dowiedziała się, że właśnie skończyła dwanaście lat. Rozmawiały tak chwilę, aż dorożkarz zjechał w kierunku Welsbury, gdzie obie podróżne wysiadły, kierując się w stronę poczty. Elsie została sama, westchnęła i oparła się na siedzeniu, a potem zamknęła oczy, czując, jak koła dorożki uderzają o nierówności na drodze. Po chwili przechyliła się do przodu i otworzyła torebkę, żeby przeliczyć znajdujące się w niej banknoty. Znaczną część pieniędzy, które odkładała całe życie, wydała na podróż do Juniper Down oraz Reading. Resztę, poza drobnymi,

umieściła na koncie bankowym. Kwota, jaką miała przy sobie, była jej zdaniem wystarczająca na tę krótką podróż.

Przypomniał jej się komentarz Ogdena na temat dochodów. Czy było za wcześnie, aby sama zaczęła przyjmować zlecenia na łamanie zakłęb? Może gdyby zabierała ze sobą Irene... Oczywiście wkrótce będzie mężatką. Nie będzie się musiała martwić o finanse, a Cuthbert będzie miał o jedną gębę mniej do wyżywienia, aż zatrudni kogoś na jej miejsce. Mimo wszystko Elsie pragnęła być samodzielna. Uwielbiała Bachusa i ufała mu, ale skoro miała lukratywny dar, nie musiała być od niego zależna finansowo. Czy raczej nie będzie musiała, kiedy już skończy się to jej nieszczęsne „szkolenie”. Wtedy będzie mogła pomagać jemu, Ogdenowi, Reggiemu, Emmeline i każdemu, kto zajmie miejsce w jej sercu.

Jej myśli szybko pobiegły w stronę Bachusa. Wkrótce będzie panią Kelsey. Miała ładny pierścionek na potwierdzenie... Tylko będzie musiała omijać swoje imię. Powinna zapytać Reggiego, czy miała drugie imię! Być może było to imię jej matki. Czy będzie to pamiętała? Nie był w stanie odnaleźć rodziców, więc może jednak nie. A może oni zmienili imiona albo zawędrowali tak daleko, że nikt nie mógł ich odnaleźć. Kto wie, czy nadal byli jeszcze w Wielkiej Brytanii.

Skrzywiła się na znajomy ból, który zawsze towarzyszył jej wspomnieniom o rodzicach, ale odepchnęła go od siebie. *Elsie Amanda Camden. Amanda Kelsey*, spróbowała. To brzmiało dobrze. Podobnie jak Elsie Elizabeth. A może to za dużo liter „E” w jednym imieniu? *Elsie Mary. Hmmm... nie.*

Być może Bachus ma jakieś imię, które mu się podoba. Chociaż pewnie powie, że Elsie Kelsey wcale nie brzmi głupio oraz że powinna przy nim zostać. Elsie przewróciła oczami. *Na pewno by tak powiedział.*

Spojrzała na szafirowy pierścionek na swoim palcu i przechyliła dłoń, aby oświetlić go promieniami wpadającymi przez okno. Wtedy cała ściana dorożki zabłysnęła we wzory przypominające rój wrózek.

Czy Bachus ją kochał? Nie mogła tego pojąć. Usiłowała wyobrazić sobie, jak te słowa wychodzą z jego ust, szczerze i poważne, wypowiedziane w jego barbadoskim akcencie... jednak jej umysł odmówił przyswojenia tej wizji. Nie może jako pierwsza przyznać się do uczuć. A co się stanie, jeśli będą żyli razem całe lata bez wyznania sobie miłości? Albo jeśli po ślubie ona wreszcie zbierze się na odwagę i wyzna mu, co czuje, a on spojrzy na nią ze współczuciem i powie coś idiotycznego, na przykład: *Dobra z siebie kobieta* albo *To miło*, a Elsie będzie potem do końca życia czuła się idiotycznie i niezręcznie, jak obcy we własnym domu. Pomyślała o Alfredzie. On mówił, że ją kocha. Wiele razy. Szkoda tylko, że ani razu na poważnie.

Elsie zasłoniła pierścionek drugą ręką, gasząc jego blask.

Odważyła się mieć nadzieję, a nadzieja boli. Rozsądniej byłoby trzymać ją w ryzach. Pozwalać, by nadzieja sączyła się do jej wnętrza wyłącznie cienką strużką, dopóki Elsie nie nabierze pewności.

Jednak niezależnie od tego, co Bachus czuł do niej, czy to była tylko sympatia i przyjaźń, czy coś więcej, ona go kochała. Wiedziała to i to ją bolało, jakby napiła się wrzątku i poparzyła gardło. Jakby jej serce jakimś cudem było jednocześnie za duże i za małe. Jakby wybijało jego imię tak, że każdy mógł to usłyszeć, wystarczy, żeby się przysłuchał.

Wzdychając, Elsie wyrzała przez okno dokładnie w momencie, w którym mężczyzna jadący wierzchem zapędził się w jej stronę, prostopadle do drogi. Za jego plecami unosiła się na wietrze ciemnobrązowa peleryna, a jego twarz zasłaniała ciemna maska.

Mężczyzna wyciągnął pistolet i wystrzelił.

Elsie wrzasnęła. Konie zarżały i dorożka szarpnęło, a potem przejechała po czymś dużym. Dopiero po chwili Elsie zrozumiała, że jeździec strzelił do dorożkarza. A ten musiał spaść z siedzenia i... Boże dopomóż, jeśli nie zabiła go kula, to przejeżdżająca po nim dorożka na pewno.

Elsie czuła się, jakby jej dusza opuściła ciało, przestała czuć własną skórę i kości, jakby należały do kogoś innego. Ledwie dostrzegła, że rabus przemknął obok jej okna, żeby zwolnić konie, ale miała na tyle rozumu, żeby przesunąć się na drugi brzeg dorożki, próbując dłonią wyciągnąć klamkę. Ale oczywiście w dorożce były tylko jedno drzwi, a rabus już je otwierał.

Elsie zebrała się w sobie na tyle, żeby rzucić w niego torebką. Część jej obawiała się, że to nie jest zwykły złodziej, ale musiała spróbować.

- Weź to, proszę! Tylko mnie zostaw!

Oczy rabusia – jedyna część jego twarzy, którą mogła dojrzeć – zwięzły się. I w tym momencie już była pewna. Widziała już te oczy w sypialni Ogdena. Elsie skupiła się na migoczącym zakłębieniu, bo nagle powietrze wokół niej zamarzło i nie pozwalało jej się poruszyć.

Zrobiło jej się niedobrze. Jej płuca osłabły i ledwo mogła oddychać.

Mężczyzna dłonią w rękawicze podniósł jej torebkę, zważył jej ciężar i odrzucił ją na siedzenie.

- Ona chce ciebie – powiedział po prostu, niskim i szorstkim głosem. Na chwilę zamknął oczy, marszcząc powieki, jakby go coś bolało. Przypomniało to Elsie zachowanie Ogdena w dokach, kiedy walczył ze swoim zakłębieniem. Ale wtedy wyraz jego twarzy stał się srogim i Elsie była pewna, że usłyszała krótki, delikatny pisk zakłębienia duchowego, jakby magia się nasiliła, zmuszając go na powrót do posłuszeństwa.

Mężczyzna wycelował w nią broń.

- Kuli nie złamiesz jak zakłębienia, Elsie Camden. Chodź po dobroci.

Elsie nie musiała nawet się zgadzać, bo zgęstniałe powietrze wokół niej poniosło ją do drzwi.

- Proszę, mogę ci pomóc. Mogę złamać zakłębienie, które na ciebie nałożyła...

Jednak on wyciągnął rękę, przycisnął do jej twarzy cuchnącą szmatę i wszystko wokół pociemniało.

Rozdział 15

Szare chmury wreszcie się poddały i spadła mżawka. Taka niesiona wiatrem, która wszystko moczyła do suchej nitki. Pomimo lata krople były zimne. Angielski deszcz był jedną z tych rzeczy, które sprawiały, że Bachus tęsknił za domem.

Nie miał płaszcza ani parasola. Zamiast tego rzucił zakłęcie na otaczające go powietrze i deszcz łagodnie opływał go, omijając jego ciało. Obserwował park, zauważył kilka osób, które uciekły pod drzewa przed deszczem. Obok niego przejeżdżała kalesza, a jej woźnica pośpieszał konie.

Bachus stał tam od dwóch godzin, bez żadnej wieści od Elsie.

Kiedy powóz go minął, Bachus przeszedł na drugą stronę wąskiej ścieżki i podszedł do kasztanowca. Opierając się o jego pień, wyciągnął swój zaczarowany niebieski ołówek i kawałek pergaminu, który rozłożył na udzie. Gdyby go rozłożył na pniu drzewa, ołówek po stronie Elsie mógłby zacząć pisać po ścianie albo meblach, a nie na kartce, którą miała pod nim kłaść.

Wszystko w porządku? Napisał po prostu. A potem czekał.

I czekał.

Ale ołówek po drugiej stronie nie poruszył się, Bachus nie czuł, żeby go ktoś wziął do ręki. Był cierpliwym człowiekiem, więc czekał w tym samym miejscu jeszcze przez jakiś czas. Deszcz się wzmógł, następnie znowu osłabł, aby w końcu stać się czymś nieco większym niż mgła. Nadal nie było odpowiedzi. Nigdy nie musiał na nią aż tak długo czekać.

Wyszedł z parku z uczuciem niepokoju. Początkowo jego umysł krążył wokół jakichś nieracjonalnych obaw i wątpliwości co do uczuć Elsie wobec niego, ale odepchnął je od siebie. Nie zamierzał ich napędzać. Nie było sensu torturować się przez coś, co z pewnością było jedynie nieporozumieniem.

Przyjechał tutaj sam kabrioletem Mistrzyni Hill, myśląc, że może Elsie będzie miała ochotę na przejażdżkę, zanim wybiorą się do Siedmiu Dębów, gdzie niedługo miał się zjawić. Ale kiedy tylko zajął się koniem, pojechał w stronę poczty, a nie Kentu.

– Chciałbym wysłać telegram – powiedział, kiedy wszedł do środka. Młody chłopak za koniutarem, który nie wyglądał na więcej niż piętnaście lat, spojrział na niego tak, jakby trochę się go bał, a trochę podziwiał. Bachus był od niego o półtorej głowy wyższy i znacznie ciemniejszy od piegów, które tamten miał na nosie. Ale to nie miało znaczenia. Bachus był przyzwyczajony do tego, że ludzie tak na niego reagują.

Na szczęście chłopiec nie sprawiał kłopotów i wręczył mu arkusz papieru i ołówek:

– Proszę tutaj napisać. Cena to...

– To nieważne – Bachus już pisał: *Czy z Elsie wszystko w porządku? Miała się ze mną spotkać w Hyde Parku. Kelsey.*

Poniżej zapisał adres pracowni kamieniarza.

- Wyślij to na pocztę w Brookley - podał papier chłopakowi, a obok położył sakiewkę z monetami. - Do kogokolwiek, kto będzie w domu.

Chłopak uśmiechnął się nerwowo i wyjął odpowiednią monetę z sakiewki, a potem zniknął na zapleczu, gdzie stał telegraf. Bachus zabrał resztę pieniędzy i stanął w drzwiach, wyglądając na drogę w kierunku Hyde Parku, jakby miała się tam w każdej chwili pojawić biegnąca Elsie. Zastanawiał się, czy nie wrócić tam, ale jeśli będzie miał szczęście, ktoś od kamieniarza zaraz odeśle odpowiedź.

Pracownik poczty powrócił po kilku minutach, ale tylko kiwnął nerwowo głową w stronę Bachusa i powrócił do sortowania sterty listów. Bachus czekał w drzwiach przez kolejne piętnaście minut, a potem usiadł na jednym z dwóch krzeseł ściśniętych w małym korytarzyku.

Odchylił się na krzesło, założył ramiona i dalej obserwował drogę przez ono. Przez deszcz odnosiło się wrażenie, jakby było później niż w rzeczywistości. Przyglądał się kropli na parapecie, która rosła wraz z przyłączaniem się do niej kolejnych, aż nie była już dłużej w stanie przytrzymać się szyby i spłynęła po oknie.

Minął kolejny kwadrans, aż wreszcie usłyszał charakterystyczne klikanie telegrafu. Wstał, a chłopak popędził na zaplecze i zniknął mu z widoku. Bachus, zdenerwowany, masował sobie kłykcie. Kiedy pracownik poczty powrócił, powiedział: - Nie spisałem wiadomości. Pomyślałem, że zechce pan ją szybko usłyszeć...

Bachus przytaknął.

E. wyszła ponad trzy godziny temu. Nie widzieliście się? - przykro mi, ale cena jest od ilości słów, więc czasami ludzie piszą ogólnikowo...

Bachus nie czekał, aż chłopak skończy zdanie. Otworzył z rozmachem drzwi poczty i wybiegł na deszcz, nie troszcząc się nawet o zakłęcie, żeby nie zmoknąć.

Bachus wpadł do pracowni kamieniarza nieco ponad godzinę później, z włosów ciekła mu woda. Emmeline pisnęła i upuściła miotłę, którą trzymała w dłoni, a potem odwróciła się, trzymając się za serce.

- Oj, pan Kelsey! - krzyknęła. - Wystraszył mnie pan... - patrzyła, jak zamyka za sobą drzwi. - Nie ma z panem Elsie?

To pytanie poruszyło w nim strunę strachu.

- To ty wysłałaś telegram?

Przytaknęła.

- Ona wyszła - Emmeline spojrzała na zegar - już prawie pięć godzin temu.

Bachus rozwiązał włosy i roztrzepał je.

- A mówiła, gdzie się wybiera?

- Ogdenowi powiedziała, że to coś związanego z księciem Kentu - Emmeline ściszyła głos.

Dokładnie w tej chwili wszedł Ogden. Jego twarz wyrażała napięcie.

- Nie widział się pan z nią?

- Nie. Mieliśmy się spotkać w Hyde Parku. Czekałem dwie godziny. Napisałem do niej, zanim wysłałem telegram.

- Ach - wtrąciła Emmeline - tym magicznym ołówkiem? - podniosła miotłę i wyszła szybko z pracowni. Po chwili wróciła. - Nie zabrała go ze sobą. Pańska wiadomość leży na jej stoliku przy łóżku.

Bachus gestykułował.

- A wyglądała na zdenerwowaną? Zabrała coś ze sobą, jakby wybierała się gdzieś na dłużej? Emmeline i Ogden wymienili się spojrzeniami, a potem Cuthbert odpowiedział:

- Nie, tylko torebkę.

Teraz już nuta strachu zaczęła w nim śpiewać na całego, wywołując zimne dreszcze na jego skórze.

Nie widział jej śladu podczas drogi do Brookley.

- Poślę Emmeline, żeby się rozejrzała na miejscu. To nie jest do niej podobne. A z Merton... - powiedział Cuthbert.

Ale nie skończył zdania, tylko pobiegł po płaszcz.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła Elsie, była kamienna posadzka znajdująca się pod nią - jej chłód przy jej policzku i twardość pod ramieniem i biodrem. Drugą była ciemność, nie licząc słabego zaczarowanego światła sączącego się ze środka niskiego kamiennego sufitu. A trzecią - obrzydliwy posmak w gardle, a po nim suchość na języku i podrażnione wnętrza nosa.

Podniosła się, huczalo jej w głowie. Przez krótką chwilę myślała, że nadal jest w więzieniu, a to wszystko, co się wydarzyło, to tylko jakiś dziwny sen. Ale kiedy pomrużyła oczami i odzyskała świadomość, a potem przełknęła kilka razy ślinę, żeby nawilżyć gardło, zdała sobie sprawę, że przebywa w całkowicie obcym miejscu.

Przypominało ono piwnicę, miało ściany z ciemnego kamienia, jakieś cztery i pół metra szerokości i trzy długości. Kiedy stanęła na chwiejnych nogach, dotknęła czubkiem głowy sufitu. Nie było tu okien.

- Halo? - odezwała się, ale kamienne ściany połknęły jej głos. Niepewnym krokiem podeszła do jednego rogu, potem do drugiego, w którym znalazła mały bochenek chleba i butelkę wody. Przyjrzała się im i powróciły do niej wspomnienia z pobytu w więzieniu. Potem znowu przeszła na drugą stronę pomieszczenia, tym razem rozglądając się uważnie, i znalazła drzwi w suficie.

Popchnęła je, na początku delikatnie, a potem najmocniej, jak umiała. Z drugiej strony jej uszu dobiegło grzechotanie ciężkiego łańcucha. Uderzyła w drzwi pięścią - raz, dwa razy, trzy razy. Ale nadal ani drgnęły.

- Pomocy! - wrzasnęła, układając dłonie w trąbkę wokół ust. - Jest tam kto?!

Czy to już noc? Wokół krawędzi drzwi nie prześlizgiwało się światło. Krzyczała do drzwi raz za razem.

- Pomocy!

- Jestem uwieczniona! Pomocy!

- Jest tam kto?! Proszę!

Krzyczała tak, aż krzyk podrażnił jej gardło i zanikł głos. Kaszłąc, podeszła na drugą stronę, do butelki z wodą, powąchała ją, a potem podniosła zimny płyn do ust. Zanim wzięła łyk, jej uszu dobiegł delikatny brzęczący dźwięk. Wstrzymała się, wyteżając słuch. Dźwięk był ledwie słyszalny... niesamowicie dobrze ukryty. Na tyle, że musiała odwrócić butelkę w dłoń z uchmem przyciśniętym do szkła, żeby znaleźć zakłęcie duchowe do niej przyczepione.

Nie rozpoznała go. Było tak ciasno związane, takie maleńkie... Czemu miało służyć? Żeby miała wrażenie sytości albo może głodu? Żeby ją uspokoić?

Przyłożyła dłoń do zakłęcia i nagle poczuła się zmęczona, pomimo wymuszonej drzemki. Oczy jej się zamykały...

Odrywając dłoń od butelki, Elsie zgrzytnęła zębami.

Naprawdę, Merton? Zakłęcie przeciwko łamaczce zakłęć?

Ale jednak prawie zadziało. Pomyślała, że może powinna zdjąć to zakłęcie, ale może będzie lepiej, jeśli jej porywacze będą myśleli, że go nie zauważyła. W końcu zakłęcia Ogdena nie dostrzegała przez całe lata. Niech myślą, że mają przewagę.

Ostrożnie wzięła łyk wody, ale sama woda nie była zakłęta, jedynie butelka – tuż u nasady szyjki, gdzie z dużym prawdopodobieństwem by ją chwyciła. Dlatego, łapiąc za podstawę butelki, Elsie wypita prawie pół jej zawartości.

– To na nic, więc równie dobrze możesz oszczędzać siły.

Elsie obróciła się wokół własnej osi, słysząc niespodziewany głos; niemal upuściła butelkę.

Blisko światła stał duch – nie, to nie był duch, ale projekcja. Rozmyta projekcja, której brakowało ostrości i koloru, a to oznaczało, że aspektor duchowy, który rzucił to zakłęcie, był daleko.

A mimo to Elsie rozpoznałaby tego właśnie aspektora wszędzie.

– Merton – splunęła, odstawiając butelkę i prostując się tak, że czubkiem głowy naciskała na kamienny sufit. Jeśli Merton była niewyraźna, to Elsie prawdopodobnie też była niewyraźna dla niej. Czyli zapewne Merton nie widziała dość dobrze, żeby wiedzieć, czy Elsie dotknęła jej usypiającego zakłęcia ani czy ono działało. Elsie będzie musiała rozmawiać z nią ostrożnie, żeby się nie wydać.

– To teraz pomijamy tytuły? – zapytał obraz. – Na tego mistrza ciężko się napracowałam, wiesz?

– Tak, już od samego przytułku – na te słowa projekcja zamilkła. I dobrze. – Czego chcesz? – Elsie opanowała gniew, choć zdecydowanie wolała to uczucie od strachu, a potem starała się brzmieć na zmęczoną. – Gdzie jestem?

– Daję ci kolejną szansę, moja droga – odparła Merton. – Naprawdę chciałabym, żebyś mi towarzyszyła. Tak bardzo cię polubiłam.

Elsie pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Mówisz, że mnie lubisz, a mimo to każesz mnie uwięzić, odurzyć, porwać, a teraz jeszcze zamknąć w jakiejś... piwnicy?

Wyblakły duch wzruszył ramionami.

– Pomyślałam, że nie chciałyś mnie wysłuchać, gdybym przyszła do ciebie osobiście – jej słowa były nieco zniekształcone, ale Elsie i tak je rozumiała.

Roztarła zziębnięte ramiona. Merton musiała to zauważyć, ponieważ powiedziała:

– Tam powinien być koc. Nie chcę, żebyś się przeziębiła. Może odpoczniesz? Musisz być wykończona.

Elsie zdusiła śmiech, a potem udała, że ziewa.

– Kto jest teraz twoim narzędziem? Aspektor fizyczny?

Niewyraźna twarz poruszyła się tak, że Elsie rozpoznała, że zmarszczyła brwi.

– Na tym polega problem z tymi potężnymi. Są tacy waleczni. Taki też był ten twój artysta przez pierwszych kilka miesięcy. Aż wreszcie się poddał i zaczął współpracować – westchnęła. – Chociaż on akurat nie był na tyle sprawny, żeby wykonywać niezbędne zadania. Nigdy też nie lubiałam tego chuligana, którego zostawiłaś na podłodze w jadalni księcia Kentu.

Kwas żołądkowy wypalał Elsie dziurę w brzuchu. Ona mówiła o Nashu, „biznesowym partnerze” Ogdena i mężczyźnie, który realizował zlecane przez Merton morderstwa.

– Mówisz o morderstwie, jakby to była popołudniowa herbatka.

– O, wcale nie, moja droga. Ale to niezbędne. Wkrótce zrozumiesz.

Elsie zamilkła, wyczuwając szansę.

– A nie mogłabyś mi pomóc zrozumieć już teraz? Jeśli chcesz, bym do ciebie dołączyła – prawie zapomniała udawać śpiącą.

Mistrzyni Merton kolejny raz zmarszczyła brwi.

– Nie, moja droga. Jeszcze ci nie ufam, a planuję to zbyt długo, żeby teraz wszystko popsuć. A kilka przypadków śmierci to nic w porównaniu z istnieniami, które kiedyś uratuję. Tyle mogę powiedzieć.

Elsie miała ochotę ją sprowokować, a nazwisko Raven Quinn tańczyło jej już na końcu języka. Ale jeśli mieli nad nią obecnie jakąkolwiek przewagę – choć wydawało się, że jednak nie, zwłaszcza że Elsie była znowu uwięziona – zostałaby ona zaprzepaszczone, gdyby Merton dowiedziała się, że dowiedzieli się o tym mężczyźnie, którego ona ściga od lat.

Nie. Jeśli Merton tak bardzo chciała dopaść Ravena, Elsie nie mogła jej w tym pomóc. Kto wie, jakich metod użyłaby Merton albo jej pionki, żeby wydobyć z niej informacje. Albo z Bachusa, Ogdena, Emmeline czy Irene.

Tyle osób jest w to już zaangażowanych, uświadomiła sobie. Musiała dopilnować, żeby wszyscy byli bezpieczni. Dzięki Bogu chociaż Reggie był nieuświadomiony.

– Wypuść mnie – poprosiła Elsie, składając zmarznięte dłonie przy piersi. – Porozmawiam z tobą, twarzą w twarz. Nie mam broni.

Projekcja się roześmiała.

– O, wiem, że nie.

W tym momencie Elsie zdała sobie sprawę, że jej torebka zniknęła, a włosy miała rozrzucone wokół ramion, bo wyjęto z nich wszystkie spinki. Nie została nawet jedna.

Spanikowana, przycisnęła dłonie do gorsetu, ale na szczęście wyczuła pod nim lekkie wybrzuszenie zwitka papieru z zakłębieniem opusu i to ją nieco uspokoiło. Poczuli się pewniej, że nadal je ma, choć w tej sytuacji było całkowicie bezużyteczne, a także ulgę, że mężczyzna, który ją porwał, nie rozbierał jej.

Prostując się, Elsie powtórzyła:

- Proszę.

- Jeszcze nie, droga Elsie - odparła Merton w znajomy jej sposób.

Elsie zastanowiła się, jak dużą część jej życia widziała Merton poprzez oczy Ogdena. I czy w ogóle. Nie wiedziała, jak działają zaklęcia kontroli, umiała je tylko rozpleść.

- Przytrzymam cię tutaj w bezpiecznym miejscu, aż będę gotowa. Będiesz miała dużo czasu, żeby przemyśleć moją propozycję. Przecież nie musiałabyś porzucić niczego ważnego. Marną pracę w pracowni kamieniarza? Rodzinę, która cię porzuciła? Niechciane małżeństwo?

Elsie nie chciała prostować jej słów. Spojrzała tylko na nią gniewnie, mając nadzieję, że Merton zauważy jej wyraz twarzy przez to niewyraźne połączenie.

- Nie umrzesz z głodu - obiecała aspektorka. - Przy odrobinie szczęścia nie potrwa to długo.

Elsie poczuła ucisk w piersi. Już niedługo? Do czego? Co planowała Merton? Chociaż byli coraz bliżej rozwiązania tej zagadki, Elsie nadal nie miała pojęcia.

Duch zaczął blednąć. Elsie musiała podtrzymać rozmowę.

- W którym przytułku? - wystrzeliła.

Merton zamilkła.

- Do którego trafiłaś? - przeformułowała pytanie.

Minęło kilka sekund. Elsie była pewna, że Merton odmówi odpowiedzi, ale ta odparła:

- Do Abingdon-on-Thames, oczywiście.

Elsie zeszczywniała. To ten sam, w którym i ona znalazła schronienie.

- Czy to w ten sposób mnie odnalazłaś?

Merton westchnęła, ale jej głos zabrzmiał raczej na znużony niż rozdrażniony. Dotąd kobieta ostrożnie dobierała słowa. Ale może Elsie udałoby się przekonać ją, żeby mówiła bardziej otwarcie. Gdyby zdołała stworzyć iluzję, że coś je łączy, coś, czego pragnie Merton, jeśli rzeczywiście chciała ją adoptować. Elsie mogłaby to wykorzystać, żeby zdobyć nad nią przewagę.

- Jestem aspektorką duchową, oczywiście. Mam możliwość pomagania tym, którzy mają mniej - złożyła dłonie w miseczkę. - Odwiedziłam wszystkie przytułki w okolicy, błogosławiąc tam, gdzie mogłam. Gdzie mi pozwalano - zadrwiła. - I oczywiście powróciłam też do Abingdon-on-Thames. Wiem, jak to jest żyć w takim miejscu, Elsie.

- Nigdy cię tam nie widziałam.

- A nawet gdyby, to nie zapamiętałabyś mnie. Prawie nigdy nie pozwalali mi na kontakt z dziećmi. A jeśli chodzi o odnalezienie ciebie - przechyliła głowę - to ty się do tego przyczyniłaś. Byłam w okolicy, kiedy wybuchł tamten pożar. Przybyłam szybko na pomoc. Popytałam. I usłyszałam twoje nazwisko.

Elsie przygryzła wargę. O tamtej runie powiedziała tylko dwójce dzieci. Zakładała, że o niej nie wypaplały. Chociaż z drugiej strony aspektor duchowy może z pomocą zaklęcia wydobyć prawdę z każdego.

- Dostrzegłam siebie w twojej osobie - powiedziała cicho - młodej i biednej, niemającej się do kogo zwrócić, z niewykorzystanymi talentami.

Elsie postanowiła nieco się odsłonić. Może jeśli Merton pomyśli, że może jej zaufać, uwolni ją.

- Księżna Morris mówiła, że wygrałaś promotora na loterii.

Merton skrzywiła się, a przynajmniej tak się Elsie wydawało. Projekcja była tak niewyraźna, że trudno było to poznać.

- Tak, w okolicy aspektorzy zorganizowali selekcję ochotników. Musiałam przejść prawie trzynaście kilometrów, żeby tam dotrzeć. Byłam wtedy już po słowie z synem naczelnika poczty - znów zadrwiła - który był najlepszą partią w całej wiosce. Miał pewne zajęcie. A ja nie mogłam sobie pozwolić nawet na parę własnych butów.

Elsie aż wstrzymała oddech, czekając na rozwój tej opowieści.

- Elsie, przesłałam rekrutację, ale nie obeszło się bez błagania promotora na kolanach - Merton spojrzała jej prosto w oczy. - Chociaż bez większego problemu mógł wesprzeć dwie osoby, takie rozwiązanie wydawało mu się niedorzeczne. Więc wołał patrzeć, jak posuwam się prawie do zebrania. A na koniec zgodził się tylko pod warunkiem, że po uzyskaniu stopnia mistrza będę mu przekazywała część swoich zarobków. Oczywiście, że się zgodziłam. Zgodziłabym się wówczas niemal na wszystko. Tego dnia nic nie jadłam. Byłam zdesperowana.

Część jej zarobków. Księżna Morris mówiła, że Merton wspierała swojego promotora, kiedy ten się zestarzał. Czy to wsparcie było wymuszone?

- To okropne - powiedziała Elsie. Mówiła szczerze, tym razem nie musiała udawać.

Merton przytaknęła.

- Bogaci mają przewagę, Elsie. Zawsze tak będzie. On miał przewagę, a jego dzieci jeszcze większą. Kiedy zmarł, zaciągnęli mnie do sądu i usiłowali zmusić do dalszego utrzymywania posiadłości. Żeby żyć na mój koszt, chociaż mieli swój spadek.

Elsie opadła szczęka.

Merton machnęła rozmytą ręką.

- Nie udało im się. Wtedy już było mnie stać na dobrego prawnika. Ale rozumiesz, Elsie. Problem jest znacznie poważniejszy, niż ci się wydaje. Toczmy wojnę. Nie o granice kraju, ale na naszych własnych ulicach. Klasy niższe muszą o wszystko walczyć. O jedzenie na stole, zatrudnienie, pierwszeństwo, godność - w jej głosie słychać było napięcie. - Walczyliśmy nawet między sobą. Jeśli historia czegoś nas uczy, to tego, że wojny rozpętują bogaci, a potem zmuszają biednych, żeby w nich uczestniczyli.

Elsie wzięła głęboki oddech, potem kolejny. Przetwarzała jej słowa. Nie chciała przyznać racji Merton, ale nie dało się zaprzeczyć okrucieństwu obowiązującego systemu. Sama go doświadczyła. Nie zdziwiło jej, że Merton postrzegala to jako wojnę. Ona dorastała w czasach wojny. A odbiór rzeczywistości w taki właśnie sposób pomógł jej sankcjonować przemoc. I morderstwa.

- Kiedy już wyjdiesz za tego twórcę zaklęć, staniesz się dokładnie taka sama jak oni. Nie czuła na los innych. Przykro mi, że muszę ci to tłumaczyć - dodała.

Na wzmiankę o Bachusie poczuła ucisk w żołądku. *Czy to dlatego stał się jednym z celów Merton?*

- Nie, ja rozumiem - wtrąciła Elsie. - Rozumiem, o co chodzi. Proszę przyjść, porozmawiać ze mną osobiście.

Jednak projekcja pokręciła głową.

- Wiem, że tak jest, moja droga, ale rozumiesz jeszcze za mało. Jeszcze nie. Potrzebujesz jeszcze trochę czasu, tak?

I obraz zaczął blednąć.

Z przyspieszonym pulsem Elsie zaczęła biec w jej kierunku.

- Merton, poczekaj! Lily, posłuchaj mnie...

Ale obraz rozmył się w powietrzu jak dym, zostawiając Elsie ponownie samą.

Zaciskając zęby, Elsie ruszyła do przeciwległej ściany, obmacywała ją dłońmi, poszukując czegokolwiek - dziur, luźnych kamieni, zakłęb. Sięgała w górę i przy samej podłodze, a potem przeszła do następnej ściany, przy której znalazła zrobiony na drutach koc. Zignorowała go. I zaczęła przeszukiwać trzecią ścianę, a potem czwartą, aż wreszcie upadła na podłogę.

Nic. Nic.

Wróciła więc do zamkniętych drzwi i krzyczała najgłośniejszym głosem, jak mogła, w ciemną noc, aż poczuła krew w ustach.

Rozdział 16

Był już późny wieczór, kiedy Bachus szarpnął wodze, spowalniając konia ciągnącego kabriolet Mistrzynie Hill na głównej drodze do Londynu. On i Ogden byli cali pochłapani deszczem i błotem z powodu prędkości, z jaką jechali. Zaczarowane latarnie, przymocowane po obu stronach powozu, huśtały się wściekle, kiedy koń zwalniał bieg. Z daleka zobaczyli czerwone światła policyjne, które były na nieco węższej drodze, prowadzącej do Wellsbury. Bachus pojechał w ich kierunku, a światła jego powozu oświetliły przeszkodę blokującą drogę oraz zgromadzoną wokół niej grupkę osób. Dwóch ludzi nosiło granatowe policyjne mundury.

Bachus dostrzegł dwa powozy: na środku drogi karetę typu *clarence* i kabriolet znajdujący się na poboczu. W tym drugim siedziało dwóch mężczyzn; jeden w stroju woźnicy, najpewniej z tego pierwszego pojazdu, mówił coś ściszym głosem. Kiedy jego wzrok przyzwyczał się do ciemności, zauważył też trzeci powóz, dorożkę, która stała jakiś metr od krawędzi drogi. Jeden z policjantów machnął ręką i podszedł do Bachusa, który wysiadł ze swojego powozu na deszcz.

– Proszę zawrócić lub pojechać inną drogą – powiedział policjant. – To miejsce zbro...

– Czy w tej dorożce jechała kobieta? – przerwał mu Bachus.

Policjant zamilkł.

– Poszukuje pan kogoś?

– Elsie Camden – wtrącił Ogden, ciasniej owijając się płaszczem. – Miała jechać dorożką do Londynu kilka godzin temu i ślad po niej zaginął.

Policjant wydał usta. Starł krople deszczu z górnej wargi.

– Nie ma tu żadnej kobiety, tylko martwy dorożkarz.

W kości Bachusa wkraść się chłód zimniejszy od deszczu.

– Martwy dorożkarz?

Tamten przytaknął.

– Postrzelony w szyję i poturbowany – spojrzął za siebie.

Przez burzę noc była wyjątkowo ciemna, ale Bachus dostrzegł niedaleko karety czyjaś przykryta postać.

Ruszył do przodu, ale policjant położył mu dłoń na piersi i nakazał zawrócić.

– To miejsce zbrodni.

– Czy są jakieś dowody, że miał pasażera? – nalegał Bachus, a niecierpliwosć się w nim gotowała. – Może jest coś w dzienniku woźnicy albo leży gdzieś but czy...

Ogden, nie patrząc na Bachusa i policjanta, wtrącił:

– Może torebka.

Oficer zeszytniał. Bachus pomyślał, że chociaż Emmeline wspominała o torebce, to sądząc po reakcji policjanta, Cuthbert musiał chyba przejrzeć jego myśli.

– Rzeczywiście jest torebka – odparł policjant ostrożnie. – Znaleźliśmy ją w trawie.

- Z szarymi kwiatkami? - spytał kamieniarz.

Oficer poruszył dolną szczęką, a potem przytaknął.

Bachus przeklął tak głośno, że stojący dalej świadkowie przerwali rozmowę i spojrzeli na niego.

Ogden powiedział cicho:

- Zakładam, że to oni znaleźli ciało i zawiadomili policję?

Policjant przytaknął.

- W rzeczy samej.

Bachus zrobił krok do przodu, a jego postura zmusiła policjanta do cofnięcia się.

- Ta torebka należy do Elsie Camden, mojej narzeczonej. Proszę, niech pan pozwoli nam spojrzeć.

Mężczyzna westchnął i spojrzął na drugiego policjanta.

- Poczekajcie tutaj - powiedział, a potem poszedł do swojego partnera.

Bachus położył dłoń na ramieniu Ogdena.

- Nie obchodzi mnie, czy będzie się pan przysłuchiwał, ale proszę poczekać, aż udzielą odpowiedzi, zanim zacznie pan kręcić im w umysłach. Zrobmy to legalnie.

Ogden nie odpowiedział, stał tylko jak groźny kamienny posąg.

Minęło kilka minut, zanim pierwszy policjant kiwnął na nich ręką. Bachus pośpieszył do dorożki, zabierając ze sobą jedną z zaczarowanych lamp. W środku było pusto. Szukał śladów walki, ale żadnego nie znalazł. Wszelkie odciski zostały zmyte przez deszcz.

Zrobiło mu się niedobrze, poczuł, że zaraz zwymiotuje.

Ogden przejął torebkę od policjantów i przeszukał ją.

- Nic użytecznego - powiedział i włożył ją sobie za pazuchę.

Wplatając dłonie we włosy, Bachus wolno obrócił się wokół własnej osi, wypatrując w ciemności jakichkolwiek znaków Elsie, jakichś wskazówek, czegokolwiek.

- Czy wiecie, dokąd mógł zbiec morderca?

Drugi z policjantów odezwał się:

- Jeszcze nie. Może coś znajdziemy za dnia, ale przy tym deszczu... - wzruszył ramionami.

- Zrobimy, co w naszej mocy, ale pogoda nas nie rozpieszcza.

Bachus pilnował się, żeby ich odpowiedzi nie doprowadziły go do furii. Jednak w niczym nie pomoże Elsie, jeśli teraz straci głowę.

Ogden szepnął:

- Oni nic nie wiedzą. Żaden z nich - jego głos był jak młot uderzający w zardzewiały gwóźdź.

Bachus warknął i zwrócił się do policjantów:

- Jestem mistrzem aspektorem fizycznym. Czy mogę jakoś pomóc?

Policjanci spojrzeli na siebie. Odezwał się ten pierwszy.

- Nie, chyba że może pan zatrzymać deszcz i oświetlić wszystko słońcem, ale nawet i to nie zda się na wiele.

Bachus znowu zaklął, po czym zszedł z drogi na dziką łąkę i przeszukiwał ją z użyciem magicznej lampy. Przeszedł ją na wschód, potem na południe, następnie na zachód i północ. A potem zataczał coraz większe kręgi, poszukując jakiegokolwiek jej śladu.

Przemoczony i zziębnięty, wykrzykiwał jej imię prosto w ciemną noc.

Ale nikt mu nie odpowiedział.

Kiedy wrócili do domu kamieniarza, Bachus był cały napięty od stóp do głów, jak mokra skóra naciągnięta na ramę i pozostawiona na palącym słońcu. Dawno minęła już godzina spoczynku, ale on siedział w jadalni z Ogdenem i panną Pratt, która dołożyła drewno do kominka oraz do pieca, żeby się rozgrzali. Oba płaszcze suszyły się obok siebie, ale Bachus nadal siedział przemoczony, Ogden nie miał ubrań, które by na niego pasowały. Bachus trzymał ręce na stole i zaciskał, a potem rozluźniał pięści. Przestał to robić dopiero, kiedy dostrzegł, jak panna Pratt patrzy na niego szeroko otwartymi oczami.

- Tylko Merton ma motyw - Bachus starał się, żeby nie warczeć ze złości. - Jest pan pewien, że nie zauważył czegoś ważnego, kiedy tamten mężczyzna was zaatakował?

Ogden pokręcił głową, przyglądając się znowu, chyba już ze dwudziesty raz, swoim szkicom. Narysował napastnika na wielu stronach, z różnych perspektyw, ale wszystkie szkice były do siebie podobne, wszystkie bezużyteczne. Każdy z nich przedstawiał mężczyznę o budowie nieco wyższej od przeciętnej, w szarym ubraniu i zamaskowanego. Miał niebieskie oczy. I był apektorem fizycznym. Tylko tyle wiedzieli.

To wszystko.

Bachus podniósł pięść i rąbnął nią o stół, przez co panna Pratt podskoczyła. Jeśli nie zdołają odnaleźć Merton i jej oprycha, to nigdy nie znajdą Elsie.

Gdzie teraz była? Siedziała związana w jakimś ciemnym pomieszczeniu czy też może w drodze na drugą stronę kanału?

Bachusowi coś poruszyło się w żołądku. Poczuł, że naprawdę zaraz zwymiotuje.

Wziął głęboki oddech przez nos i powiedział:

- Proszę mi wszystko opowiedzieć o tamtym wieczorze. Wszystko.

- Tamten był chroniony - Cuthbert oparł się o piec - mentalnie. Myślę, że zanim go do nas wysłała, Merton użyła zaklęcia z jednego z jej opusów.

- Co oznacza, że się niedawno spotkali - stwierdził Bachus.

Ogden przytaknął.

- Albo po prostu pokierowała go do miejsca, w którym zostawiła to zaklęcie. Ona ma bardzo dobrą kryjówkę. Nie wiem, czy zaryzykowałyby... ale to nie ma znaczenia. Chodzi o to, że ja nie mogłem się do niego przedostać. Za każdym razem odbijałem się od niego. Raz prawie mi się udało, ale się zdekoncentrowałem.

- Na górze było najpierw bardzo cicho. A potem ni z tego, ni z owego dało się usłyszeć głosny raban. Elsie krzyczała - wtrąciła panna Pratt.

- Użył zaklęcia tłumiącego dźwięk - wyjaśnił Ogden. - Elsie je złamała.

- Pomyślałam, że Ogden upadł – mówiła dalej służąca – ale... z góry słyhać było uderzenia, raz za razem.

- Wszedł przez okno – Ogden zamknął oczy. – Rzucił mnie na ścianę, a potem popchnął na mnie łóżko, które mnie przygwoździło. Wtedy weszła Elsie i zdjęła zakłęcie tłumiące. A potem – zachichotał – rzuciła się na niego.

Bachus pokręcił głową. *Cata Elsie.*

- Uwolniłem się. Ale tamten wyciągnął nóż...

- Moment – Bachus się wyprostował – powiedział pan, że rzucił pana na ścianę? Czego użył? Wiatru?

Cuthbert pokręcił głową.

- Po prostu wyrzucił przed siebie rękę, jakby mnie nią popychał bez dotykania. To samo zrobił z łóżkiem.

Bachus wstrzymał oddech. Umysłem przeszukiwał wszystkie znane mu zakłęcia, ale żadne nie pasowało.

- Poruszenie.

Ogden odsunął się od pieca.

- Słucham?

- Zakłęcie poruszania. Zdolność do przemieszczania przedmiotów bez dotykania ich. Niedawno miałem okazję je badać – wstał, czując, że musi się pochodzić, pozbyć się energii, która narastała w jego ciele. – To bardzo rzadko spotykane zakłęcie i niezwykle potężne, mistrzowskie. Posiada je niewiele osób.

Cuthbert spojrział z nadzieją.

- I pan wie kto?

- Wiem, gdzie można się tego dowiedzieć – powiedział. – W Londyńskim Ateneum Fizycznym. Bez wątplenia posiada je ktoś z tamtejszego zgromadzenia i będą wiedzieli, kto jeszcze je ma. Która godzina?

- Jakież wópół do trzeciej – odparła panna Pratt. – Atenea są zamknięte.

Bachus zgrzytnął zębami.

- W takim razie zapukamy do drzwi każdego z członków, jednego po drugim.

- Wie pan, gdzie mieszkają? – Ogden wydawał się zaintrygowany.

Bachus potarł oczy.

- Ja... wiem o kilku. Ale Mistrzynie Hill może mieć część adresów w gabinecie.

Ogden westchnął.

- Zanim je odnajdziemy, Ateneum będzie już otwarte. O ósmej, prawda?

Bachus przytaknął.

- Ale warto spróbować.

Aspektor umysłowy potarł oczy.

- Może lepiej odpocznijmy przez kilka godzin, zanim wyruszymy do Londynu. Możemy być pod drzwiami Ateneum Fizycznego w chwili, w której je otworzą.

Bachus pokręcił głową.

- Nie. Nie zasnę, kiedy jej grozi niebezpieczeństwo.

- Ten, kto ją porwał, ktokolwiek to jest, na pewno też teraz odpoczywa. - Ogden zwrócił się do panny Pratt: - Mogłabyś przygotować łóżko Elsie? Pan Kelsey zostanie u nas na noc.

Kręcąc głową, Bachus chwycił nadal mokry płaszcz i założył go na siebie.

- Jadę do Londynu.

- I będzie pan zbyt zmęczony, żeby się do czegokolwiek przydać - odparł kamieniarz. - Proszę odpocząć, to tylko kilka godzin.

- Nie...

- Mogę pana zmusić i zrobię to - zdusił ziewnięcie. - Teraz nic więcej nie możemy już zrobić.

Bachus warknął.

- Nie odważaj się pan.

Ogden spojrział mu w oczy.

- Chociaż nie mam licencji, to praktykuję magię umysłową, Mistrzu Kelsey. Kiedy jakiś mężczyzna nie zachowuje się przy mnie w sposób racjonalny, jestem zmuszony go do tego przymusić.

Bachus miał tak mocno zaciśniętą szczękę, że bał się, iż ukruszy mu się kilka zębów. Zapinając płaszcz, obszedł Ogdena naokoło i skierował się do tylnego wyjścia.

Już niemal dotknął drzwi, kiedy nagle jego umysł stał się nieostry, jego myśli płynne jak mokra farba. Nie mógł się skoncentrować... był taki zmęczony...

- Niech cię diabli - wymamrotał, opierając się o ścianę i osuwając na podłogę.

A potem, wbrew własnej woli, zasnął.

Elsie oparła się o zimną ścianę piwnicy. Chłód wkrał się w każdą cząstkę jej ciała, aż do kości, mimo że było lato i miała porządną koc. Nawet w więzieniu było cieplej niż tutaj. Nie drżała, tylko czuła lód w każdym centymetrze skóry i mięśni. Było jej zimno nawet w zęby.

Od czasu do czasu wstawała i obchodziła wokół całej tę przestrzeń - tu przynajmniej miała taką możliwość. W więzieniu nie mogła tego robić. Ale z kolei tam miała jakiegokolwiek pojęcie o tym, co może się wydarzyć. Tutaj tego nie wiedziała.

W pewnym momencie, kiedy się ocknęła, zauważyła nowy bochenek chleba i trochę sera. To ją zszokowało. Przecież w nocy nikt do niej nie przychodził. Nie spała... w zasadzie. Chociaż po pewnym czasie nawet spróbowała. Ale jedzenie i woda nie mogły się tak po prostu wyczarować. Tego była pewna. Z pewnością też żaden aspektor fizyczny nie mógł zrobić dziury w ścianie, wsunąć przez nią jedzenie, a potem zamknąć i już. A nawet gdyby, to wiązałyby się to z ogromnym wysiłkiem.

Miała wrażenie, że coś jej umyka. Coś ważnego.

Bolała ją kość ogonowa, ale Elsie nie zmieniała pozycji. Była zmęczona, ale nie śpiąca, słaba, ale nie głodna. Wsłuchiwała się w swój oddech. Potem zaczęła się zastanawiać, ale jej na wpół sformułowane myśli umykały, zanim nabrały rzeczywistego znaczenia.

To znaczy do chwili, aż jedna z nich nie zaczęła na nią napierać.

Elsie coś wyczuła.

Było to uczucie trudne do opisania, ale skądś już je znała. Z kuchni, kiedy była razem z Irene. I wtedy z Bachusem i księciem. Łamacze zakłęb rozpoznawali te fizyczne wzrokiem, ale ona wszystkie zakłęcia wyczuwała nawet bez jednego spojrzenia na runy.

Zamknęła oczy i spróbowała skupić się na tym uczuciu. Odnosiła wrażenie, że odczuwa świąd w kościach, zbyt głęboki, żeby można było się podrapać. Nie było blisko, nie w tym pomieszczeniu, i z jakiegoś powodu miała ziemisty posmak w ustach.

Czyżby to było zakłęcie tymczasowe? Miałoby to sens. Zapewne gdzieś w pobliżu była piwniczka na wino albo do przechowywania żywności. A zakłęcie czasowe mogło chronić jej zawartość przed zepsuciem. Pomyślała, że ono było... nad nią i gdzieś z tyłu.

Interesujące. Czy Irene kiedykolwiek odczuwała zakłęcia w ten sposób? Elsie będzie musiała ją zapytać, kiedy... jeśli... znów się z nią zobaczy.

Przez pewien czas rozmyślała o tym tymczasowym zakłębciu, a potem spróbowała wydostać się poza swoje ciało. Wyobraziła sobie, że jest jednym z tybetańskich mnichów, o których kiedyś czytała, medytującym i szukającym oświecenia.

Wokół niej panowały cisza, bezruch, chłód. Nie przeszkadzał jej nawet żaden z tutejszych szurów.

Usłyszała odległy szepet zakłęcia, wyżej, niedaleko drzwi. To było zakłęcie fizyczne. Czy to... zakłęcie wygłuszające dźwięk? Żeby nikt nie mógł usłyszeć jej krzyku? Wzdrygnęła się i wyczuła kolejne, gdzieś dalej; odczuła je jak muśnięcie piórkiem po umyśle. Nie potrafiła go rozpoznać. Może takie, które zmieniało kolor... coś, co utwardza zaprawę murarską albo sprawia, że tablica korkowa jest miękka. Właściwie to miała wrażenie, że są to oba te zakłęcia znajdujące się blisko siebie.

Fizyczne i tymczasowe. Żadnego zakłęcia z opusu – sądząc po projekcji Merton, kontaktowała się z Elsie z dużej odległości, więc to nie mogła być jej rezydencja. Nie byłoby szczytem rozsądku przywozić wroga do własnej kryjówki. W takim razie może to dom aspektora fizycznego będącego na jej usługach, ale... zakłęcia były drogie. Więc skoro był posiadaczem zakłęb z różnych dziedzin, to pewnie był zamożny. Z pewnością wszystkim mistrzom aspektorom dobrze się powodziło, więc nie byłoby w tym nic dziwnego.

Elsie podejrzewała, że jeśli udałoby się jej wydostać z niewoli, spotkałaby na swojej drodze więcej zakłęb. Takich z opusów oraz tych rozbudowanych. Może miała nad głową dużą rezydencję otoczoną połaciami zieleni i ogrodami. Przynajmniej tak ją sobie wyobrażała.

Nagle zaczęło jej pulsować w głowie i poczuła swędzenie w nadgarstkach, jak przy łamaniu zakłęcia. Elsie otworzyła oczy i tamte odległe odczucia powoli ustąpiły.

Przeszła więc na drugą stronę pokoju, usiadła i zaczęła od nowa.

Bachus ocknął się z zakłęcia za kwadrans szósta. Jego ramię było zeszywniałe od leżenia na podłodze. Lecz wszelkie przekleństwa, jakie chciał skierować w stronę Ogdena, zostały zmiażdżone, kiedy ten powiedział:

– Emmeline przygotowała konia.

Zgodnie z obietnicą o szóstej byli już w drodze, kiedy na horyzoncie jawiła się zaledwie obietnica świtu.

Tym razem, kiedy Bachus wszedł do Londyńskiego Ateneum Fizycznego, to Ogden przykuł całą uwagę bywalców. Bachus stawał się tam coraz bardziej znajomą postacią, natomiast Ogden był nikim – tak przynajmniej się wszystkim wydawało.

Wcześniej sporządzili listę nazwisk wszystkich członków zgromadzenia, a także opisy ich wyglądu, chociaż Bachus nie był pewien co do kilku z nich. Wśród podejrzanych nie znalazła się jedynie Mistrzyni Hill. Ich plan był prosty i całkowicie zależny od zdolności aspektora umysłowego.

Kiedy dotarli do biblioteki, Cuthbert szturchnął Bachusa łokciem i wskazał głową w stronę masywnych regałów z książkami. Bachus poszedł za nim, a im dalej szli, tym było coraz ciemniej, ponieważ kolejne olbrzymie meble blokowały światło wpadające przez wysokie okna. Ogden zatrzymał się prawie na samym końcu sali i podszedł do środka jednej z półek.

A potem zamknął oczy.

Nie działo się nic nadzwyczajnego, ale Bachus wiedział, że właśnie rzucane są zaklęcia. Nigdy nie rozważał aspektoratu umysłowego – wystarczyło mu kłopotów wynikających z braku zaufania ludzi, żeby jeszcze dokładać do tego możliwość dobierania się do ich sekretnych myśli – jednak coraz bardziej przekonywał się o jego przydatności.

Zastanawiał się, co odczuwałaby Elsie – a w zasadzie co by zobaczyła – gdyby teraz była na jego miejscu. Kiedy słuchał, jak panna Prescott wyjaśniała jej runy, w pewien sposób go to fascynowało, ale wolał te bardziej kolorowe opisy, którymi się z nim dzieliła Elsie, kiedy zostawali sami po jej lekcjach. Mówiła o węzłach, migotaniu i grzybach. Nigdy nie zapytał jej, w jaki sposób odczuwa zaklęcia umysłowe.

Poczuł ucisk w piersi. Zaczął udawać zainteresowanie tytułami wytłoczonymi na grzbietach książek, przed którymi stał. Równie dobrze mogłyby być napisane w obcym języku.

Dobry Boże, proszę, pomóż nam ją odnaleźć, zanim będzie za późno. Proszę.

Gdyby umarła... Bachus nie wiedział, co wtedy by zrobił. Odciałby się od świata na Barbadosie i nigdy więcej nie przepłynąłby już oceanu. Zbyt wiele wspomnień...

Po kilku minutach Ogden otworzył oczy.

– Chyba znalazłem kogoś użytecznego. Chodźmy.

Zachowywał się tak, jakby był u siebie, chociaż na pierwszy rzut oka widać było, że był w tym miejscu pierwszy raz, ponieważ niejedną próbował przejść przez ścianę. Z pewnością w drodze do tego kogoś „użytecznego”. Bardziej skupiał się na myślach niż na otoczeniu. W jego niespokojnym umyśle rodziły się pytania, ale ich nie wypowiadał na głos.

Cały czas poruszali się po parterze. Przeszli przez salę do nauki, a potem weszli do kolejnej pełnej książek. Ogden zatrzymał się raz, a potem skręcił ostro w lewo. Przy małym okrągłym stole w samym rogu siedział młody mężczyzna, prawdopodobnie trochę młodszy od Bachusa. Na stole leżał zaczarowany dysk, dający tyle światła, ile potrzeba było do oświetlenia starej książki, którą ścisnął w dłoniach. Nie podniósł wzroku, kiedy do niego podeszli.

Według Bachusa, biorąc pod uwagę jego wygląd, wiek i książkę, którą czytał, był to zaawansowany aspektor fizyczny.

- Miły panie - odezwał się władczo Ogden, ale na tyle cicho, żeby jego głos nie rozniósł się po sali - mam do pana kilka pytań.

Mężczyzna podniósł wzrok, miał zmarszczone czoło, poirytowany, że ktoś mu przeszkadza. Jednak zanim się odezwał, wyraz jego twarzy zmienił się całkowicie, zatrzasnął księgę i próbował wstać, zrzucając jednocześnie ze stołu lampę.

- Mistrz Bennett! Co pana tu sprowadza?

Bachus podniósł lampkę i odstawił ją na miejsce, w tym czasie Ogden powiedział:

- Nie trzeba tak głośno, młody człowieku. Proszę siedzieć.

Uczył to, patrząc na niego z podziwem.

Mistrzu Bennett? Bachus zmierzył wzrokiem swojego towarzysza. Czyżby umieścił w pamięci tego człowieka fałszywe wspomnienia, żeby tamten myślał, że rozmawia z czcigodnym mistrzem aspektozem?

Jest potężniejszy, niż myślałem. Ta myśl zaniepokoiła Bachusa. Czy ktoś kiedyś rzucił taki czar na niego? Działalność aspektorów umysłowych była bardzo ściśle monitorowana ze względu na naturę ich zaklęć. Ale Ogden nie był członkiem żadnego ateneum - nad jego magią nikt nie miał nadzoru. Wprawdzie można było zakupić mistrzowskie zaklęcie umysłowe, które chroni umysł, podobne do tego, które miał na sobie napastnik Ruth Hill, kiedy zaatakował Ogdena, jednak Bachus nie chciał spowalniać poszukiwań Elsie, żeby takie zdobyć. Dlatego nie miał innego wyjścia, jak tylko odłożyć na bok swoje obawy i trzymać się ustalonego planu.

- Proszę powiedzieć - Ogden machnął dłonią - muszę porozmawiać ze zgromadzeniem o pewnym zaklęciu poruszania, ale to bardzo dyskretna sprawa, dotycząca królowej i tak dalej. Nie chcę, żeby się wszyscy dowiedzieli, zanim upewnię się co do kilku rzeczy.

A potem w umyśle Bachusa dodał: *Ten tutaj jest przygotowywany przez Radę do awansu.*

Bachus kiwnął głową, nie odrywając wzroku od tego zaawansowanego aspektora, który, jak zauważył, był na wskroś angielski i męski. Ogden wybrał go, ponieważ cieszył się poważaniem na tyle dużym, żeby wiedzieć pewne rzeczy, ale jednocześnie nie był aż tak ważny, żeby sprzeciwić się komuś, kogo uważał za wyższego funkcją.

- Och - mężczyzna przez chwilę wyglądał na zaniepokojonego. A Ogden znowu delikatnie machnął dłońmi.

- Możesz mi zaufać, chłopcze - powiedział.

Po kilku sekundach aspektor przytaknął.

- Cóż, zaklęcie poruszania znają jedynie mistrzowie Phillips i Ulf.

- Powiedz mi o tym drugim - wtrącił Bachus. Ten mistrz był jednym z trzech w zgromadzeniu, o których Bachus wiedział tyle co nic.

- To Mistrz Johan Ulf - wyjaśnił tamten, wracając wzrokiem do Ogdena, jakby był oczarowany jego obecnością. - To niemiecki uczony, ten z rudymi bokobrodami. Mieszka na tej ulicy, w ogrodzonej dzielnicy - aspektor poruszył się na krześle. - Nie przepada za mną.

- A Mistrz Phillips nie przepada za nikim - mruknął Bachus.

Ogden poruszył się nagle, przyglądając się młodszemu mężczyźnie.

- Słucham?

Aspektor mrugnął.

– Ja... nic nie mówiłem, proszę pana.

Kolejne machnięcie dłonią.

– Ależ owszem, synu. O Mistrzu Phillipsie...

Mężczyzna zaczął bawić się guzikami kamizelki. Bachus wydedukował, że Ogden musiał usłyszeć jego myśli i zmusza aspektora, żeby je zwerbalizował.

– Chodzi o to, że od pewnego czasu zachowuje się dziwnie. Od kilku dni nie było go w Ate-neum. Opuścił spotkanie, na którym robiłem notatki. To bardzo do niego niepodobne.

Puls Bachusa przyspieszył. Dla równowagi oparł się dłońmi o kamienną ścianę.

– Gdzie mieszka Mistrz Phillips?

– W Londynie, po wschodniej stronie – odparł tamten. – Nigdy tam nie byłem, ale jego posiadłość nazywa się Szerokie Wody.

Cuthbert zwrócił się do Bachusa.

– Jeden z nas pojedzie tam, a drugi do Mistrza Ulfa.

Bachus przytaknął.

– Chociaż – dodał jeszcze młody aspektor – Mistrz ma też posiadłość na wsi w Childwick-bury. Kilka lat temu urządził tam przyjęcie bożonarodzeniowe.

Bachus zeszywniał.

– Childwickbury? Gdzie to jest?

– Na północny wschód od miasta – odpowiedział mu Ogden. – Kilka godzin jazdy stąd, jeśli się nie mylę.

Bachus przeknął ślinę, czuł, że zaciska mu się gardło.

– Jeśli to on, wówczas byłoby to dobre miejsce – szepnął.

Ogden powstrzymał go, podnosząc rękę.

– Dziękuję, chłopcze. A co tam wisi na ścianie?

Mężczyzna odwrócił się, żeby spojrzeć.

– Nic nie wi...

Urwał mu się głos, a Ogden popchnął Bachusa do wyjścia. Opuścili salę nieśpieszным krokiem. Bachus obejrzał się za siebie. Zauważył, że tamten aspektor ponownie otworzył książkę, najwyraźniej kompletnie nieświadomy ich obecności.

– Sprawił pan, że o nas zapomnieli – szepnął, kiedy wystarczająco się oddalili.

– Łatwiej jest, kiedy coś odwróci ich uwagę. Ale tak – odpowiedział nieco mrocznym tonem – moje zaklęcia są silne, ale mam ich niewiele. Nauczyłem się wykorzystywać jak najlepiej to, czym dysponuję.

Bachus nie odważył się odzywać, dopóki nie opuścili budynku, a nawet wtedy mówił szep-tem.

– To Childwickbury. Jestem tego pewien.

– Wcale nie jest pan pewien – zaznaczył Cuthbert, a potem zaczął rozmasowywać napięcie z czoła. – Żaden z nas nie jest. Ale to dobry trop.

– Pojedziemy tam razem.

Jednak artysta pokręcił głową.

– Dom Mistrza Ulfa jest niedaleko. Pojadę tam, a potem znajdę londyński dom Mistrza Phillipsa, tak dla pewności. Jeśli okażą się martwymi tropami, dołączę do pana w Childwick-bury. Jeśli będzie niebezpiecznie, ma pan na mnie poczekać, rozumie pan?

Normalnie przyjmowanie poleceń od nielegalnego aspektora rozdrażniłoby Bachusa. Ale to nie była normalna sytuacja, a Ogden nie był normalnym twórcą zaklęć.

– Oczywiście.

– On nie może pana zobaczyć – ostrzegł Cuthbert. – Nie będę w stanie wymazać mu umysłu.

Bachus przytaknął.

Kiedy wszystko zostało już powiedziane, rozdzielili się. Ogden pojechał dorożką, a Bachus wrócił do ich powozu, od którego wyprzągł konia Mistrzynie Hill, i warknął na pomocnika stajennego, żeby mu przyniósł siodło.

Elsie wyczuła nowe zaklęcie.

Już była gotowa zasnąć, kiedy pojawiło się to odczucie. Rozpoznawała pory dnia dzięki wąskiej szparze w drzwiach do piwnicy, przez którą wpadał do środka małeńki promień światła i który mogła zobaczyć, tylko kiedy stanęła bezpośrednio pod drzwiami. Wiedziała więc, że jest noc, ale nie była w stanie określić, która jej część. Mogła być godzina dwudziesta druga. Ale równie dobrze mógł się zbliżać świt.

Ale wyczuła nowe zaklęcie, gdzieś jeszcze dalej niż poprzednie – i przemieszczało się.

Zerwała się na równe nogi, łapiąc nerwowo oddech i nasłuchując. Tak... to było bardzo delikatne doznanie, coś, czego nie zauważyłaby, gdyby nie spędziła całego dnia na wychwytywaniu zaklęć w domu nad nią.

Ale to się poruszało. Zdecydowanie zbliżało się do niej.

Elsie zrzuciła z siebie koc i podbiegła do drzwi piwnicy, gotowa krzyczeć o pomoc tak głośno, że nawet zaklęcie wygłaszające by jej nie zatrzymało. Ale powstrzymała się. Zamknęła oczy, uspokoiła oddech i sięgnęła do tego zaklęcia, chciała je lepiej poczuć. Po kilku sekundach ustaliła, że zbliżało się prosto w jej stronę, nie skręcało. Jakby zmierzało do konkretnego celu. Nie, to nie był jakiś niewinny przechodzący obok człowiek, który mógłby jej pomóc. Z całym prawdopodobieństwem to był jej porywacz i szedł prosto do niej, a ona wyczuwała zaklęcie Merton!

Przerażenie przeszło ją prądem, dostała gęsiej skórki na całym ciele.

Co robić, co robić?

Odsunęła się od drzwi i usiłowała się uspokoić. Traciła tamto odczucie.

Skup się.

Nie mogła zatrzymać łomoczącego serca, ale zamknęła oczy i sięgnęła do tego zaklęcia. Coraz bliżej, bliżej...

Jest. Fizyczne.

Czego chciał tym razem? Czy chciał ją stąd gdzieś zabrać? Do Merton? Czy może Merton zdecydowała, że Elsie stanowiła zbyt duży problem? A może Merton była czymś zajęta, a ten oprych szykował dla niej coś całkiem innego. Tortury albo...

Elsie przełknęła ślinę. Nagle gorset stał się dla niej za ciasny. Położyła dłoń na zakłębieniu z opusu, które się w nim kryło. Nie może go stracić. Ale mogłaby go użyć, jeśli będzie musiała. Byłaby w stanie sprawić, żeby ten człowiek zapomniał o swoich zamiarach. Dzięki temu mogłaby spróbować złamać jego zakłębienie.

W tym momencie dostrzegła pustą tacę i butelkę wody.

Chleb i ser. Ktoś musiał je przecież podłożyć, prawda?

Tak czy siak. Zamierzała podjąć walkę.

Tamto zakłębienie praktycznie krzyczało do niej, było tak blisko, ale ona go nie słyszała. Popędziła na drugi koniec pomieszczenia po butelkę – była mniej więcej długości jej przedramienia, od łokcia do czubka palca wskazującego – chwyciła ją, położyła się na podłodze i przykryła kocem, uważając, żeby nie dotknąć zakłębienia rzuconego na szkło. Zmartwiła się, że może ją wydać wyraz twarzy, dlatego odwróciła się od drzwi.

Oddychaj. Oddychaj! Upominała samą siebie, usiłując pogłębić i spowolnić oddechy w miarę, jak zbliżała się do niej kłątwa.

Leżała tak, licząc uderzenia własnego serca, skupiała się na głębokich oddechach i zakłębieniu... które było już bardzo blisko. Tak blisko. Nie słyszała kroków ani skrzypnięcia drzwi, ale mogła przysiąc, że osoba, która miała je na sobie, znalazła się właśnie w piwnicy razem z nią...

Nieme zakłębienie. Wydawało jej się, że teraz je wyczuwa. Takie jak to, które wyszło wszystkie dźwięki podczas ataku w pokoju Ogdena.

Jej serce uderzyło gwałtownie i musiała zebrać wszystkie siły, żeby nie wciągnąć głośno powietrza. *Jest tutaj. A ja go nie słyszę.* Czy to dlatego Merton chciała, żeby Elsie była nieprzytomna?

Bliżej, coraz bliżej. Tuż przy tacy. Czy zauważył, że brakuje butelki?

Zakłębienie odpuściło na chwilę. Elsie czuła w gardle mocne uderzenia serca. A potem ten człowiek przeszedł obok niej.

Zgrzytając zębami, Elsie odepchnęła się od podłogi i zatoczyła się, wpadając na inne ciało. Zdołała dostrzec, że to mężczyzna, i zamachnęła się, a potem z całych sił uderzyła go w bok głowy.

Upadł na podłogę, bezdźwięcznie.

Elsie czuła, że jej ręce ślizgają się na butelce, ledwo łąpała powietrze, a jej włosy były dziko rozrzucone wokół twarzy i ramion. Mężczyzna był ubrany cały na czarno, łącznie z wysokim kołnierzykiem, który mógł być podciągany do góry, żeby zasłonić usta. Miał duży nos, smukłe ramiona... wyglądał na nieco młodszego od Elsie.

Zrobiła krok w tył. On miał inną budowę ciała i oczy. To nie był jej porywacz.

Na tacy leżał chleb, a obok niego stał cynowy kufel.

To jakiś stuga. Kolejny Nash.

Przełknęła ślinę i trzymając butelkę w jednej dłoni, klęknęła obok niego, szukając... tak, runy migoczącej przez jego czarny rękaw.

Pochyliła się i chwyciła go za nadgarstek, po czym odsunęła tkaninę. Rozplotła zakłęcie i nagle do jej uszu dobiegł dźwięk – oddech tego chłopaka. Oddychał z wysiłkiem, ale równo. Za uchem wyrastał mu dość spory guz. Ale nie było na nim zakłęcia przymusu, no i nie był uzbrojony.

A do tego lewe skrzydło drzwi do piwnicy było otwarte i opierała się o nie drabina.

– Słodki Jezu – porzucając służącego, Elsie podbiegła do drabiny, podniosła spódnice, żeby móc się wspinać. Było jej trudno z butelką w jednej dłoni, ale była to jej jedyna broń i nie zamierzała się jej pozbywać.

Kiedy wydostała się na zewnątrz, poczuła we włosach chłodny nocny wiatr. Pierwszą rzeczą, którą dostrzegła, była nieskoszona trawa w pobliżu oraz ciemne sylwetki wysokich drzew. A potem światło w oknie niedaleko od niej.

Czyli miała rację – był tutaj dom. I to duży, należący do kogoś z wyższych sfer. W innych okolicznościach być może by z niego zadrwiła, ale teraz musiała uciekać, zanim sługa się ocknie i wezwie pomoc.

Odstawiła butelkę i obiema dłońmi chwyciła drabinę, a potem wyciągnęła ją z piwnicy. Następnie ostrożnie zamknęła drzwi, żeby nie trzasnęły... to na wypadek gdyby nieme zakłęcie, które wcześniej wyczuła, nie zamaskowało tego dźwięku.

A potem wzięła butelkę w dłoń i pobiegła.

Jak najdalej od domu. Nie obchodziło jej, dokąd biegnie, byleby tylko daleko stąd. Teren był dość płaski, a księżyc wisiał wysoko, chociaż częściowo zasłaniały go chmury. Przód spódnicy nosła w rękach, co nie było zbyt kobiece, podnosząc nogi w górę, biegła i biegła...

Prawie wpadła na kamienny mur, było tak ciemno. Zdołała się zatrzymać tuż przed nim.

– Nie – szepnęła, dotykając go dłonią. Miał jakieś trzy metry wysokości.

Przeklinając, poszła wzdłuż muru w jedną stronę, a potem w drugą, ale nie była w stanie dostrzec jego końca. Więc odłożyła butelkę i zaczęła wtykać palce pomiędzy warstwy starych kamieni, ale nie było w nich luk na tyle dużych, żeby mogła dobrze się uchwycić. Spróbowała w kilku miejscach, lecz za każdym razem jej palce się odsuwały.

Zaczęła więc podskakiwać, usiłując sięgnąć krawędzi ściany, żeby się podciągnąć i przejść górą – ale nie była w stanie dosięgnąć tak wysoko.

Zachrypiła z wysiłku.

– O Boże, proszę, pomóż – wyszeptwała, odwracając się w stronę częściowo oświetlonej posiadłości. Jeśli nadal będzie szła jak najdalej od niej, to kto wie, jak długo będzie się włączyła. Większość dużych domostw posiadała odpowiednio rozległe ziemie.

Brama. Gdzieś bliżej domu musi być brama. Sięgnęła po swoją szklaną broń, pośpieszyła wzdłuż muru, trzymając na nim jedną dłoń. Przed nią zaświeciło zakłęcie fizyczne – zakłęcie umocnienia, takie jak to, które rozplątała w Siedmiu Dębach. Zaświtała w niej nadzieja. Rozplątała to zakłęcie, ale mur nie rozpadł się z braku magii. W zasadzie to wyglądał dokładnie tak samo. Być może teraz był podatny na uderzenia młotem, ale nie gołymi rękami kobiety.

Więc Elsie biegła dalej, przyspieszyła, ignorując kolejne zakłęcia umocnienia, które minęła po drodze.

Brama, brama, brama.

Księżyc schował się za gęstą chmurę, pogrążając wszystko w ciemnościach. Nadepnęła na króliczą norę i upadła, zagryzając język, żeby nie wrzasnąć. Butelka wypadła jej z dłoni. Jęcząc, podniosła się na kolana, a potem wstała. Poczwała pulsujący ból w kostce – bolało, kiedy ją obciążała, ale noga nie była złamana, na szczęście. Elsie biegła zatem dalej, utykając. Niemal natychmiast zgubiła but, ale nie zatrzymała się, żeby go szukać. Ani butelki. Jeśli noga jej spuchnie, to i tak nie zmieści się do buta. A butelki, owszem, potrzebowała, ale tak samo potrzebowała szybko stąd się wydostać.

Dotarła do rogu muru. Znowu spróbowała się wspiąć, ale nic z tego. Przyjrzała się ciemnemu podwórzu – może udałoby się jej znaleźć... pień, wiadro czy cokolwiek, na czym mogłaby stanąć. Ale nic takiego nie widziała.

Nie widziała też tylnej bramy.

Więc poszła wzdłuż drugiej ściany, spoglądając na dom, do którego powoli się zbliżała, modląc się, żeby znaleźć po drodze ukryte drzwi, właz, cokolwiek.

A potem, parę chwil później, znalazła furtkę.

Tyle że zamkniętą.

Spokojnie. Przebiegła dłońmi po kutyż żelazie, a księżyc wychylił się zza chmury, żeby jej pomóc. Furtka zaczynała się tuż nad ziemią i pięła w górę na wysokość muru. Niestety nie była zamknięta zakłębem – nie, to by było za proste. Przytrzymało ją grube stalowe ustrojstwo.

Ale miała poprzeczne pręty.

Ignorując zaostrome pręty na szczycie furtki, Elsie postawiła zdrową stopę na pierwszej poprzeczce, która znajdowała się tuż poniżej wysokości jej bioder, a potem podźwignęła się w górę. Furtka poruszyła się w zawiasach. Elsie trzymała się mocno, syknęła, kiedy przekładała ciężar na obolałą kostkę. Używając jak najwięcej górnej części ciała, żeby odciążyc nogę, dotarła do samego szczytu i przewinęła się na drugą stronę, zawiadając o coś spódnica.

Zeskoczyła, lecz kiedy upadła na bolącą stopę, musiała zdusić głośny jęk, usłyszała jednocześnie odgłos rwącej się tkaniny, która zahaczyła o ostre zakończenie bramy.

A w nosie z tym, przecież była łamaczką zakłęb. Stać ją było na zakup piekielnej sukienki.

Dopiero co stanęła na nogi – i jej prawa kostka znów zaczęła pulsować bólem – kiedy usłyszała, jak ktoś woła jej imię.

– Halo, Elsie!

Zaczęła się miotać, najpierw odwróciła się w stronę bramy, która nadal była zamknięta, potem do postaci, która była od niej ledwie parę kroków... na północ, tak? Rozpoznała jego głos, to ten z dorożki. I jego sylwetkę... była ta sama.

Zaczęła się cofać, kulejąc i potykając się.

– M-mogę ci pomóc. Mogę to z ciebie zdjąć.

Mężczyzna zrobił krok w przód. Księżyc oświetlił jego spiczastą brodę i siwe pasemka biegające wzdłuż krótkich zaczesanych na bok włosów. Nie miał na sobie maski. Nosił normalne ubrania szyte na miarę. Jakby nie zdążył się zamaskować, zanim Merton wysłała go po nią.

Lecz wtedy zatrzymał się nagle, jakby powietrze wokół niego zgęstniało. Drżał.

Dokładnie tak, jak Ogden.

Walczył.

Tłumiąc instynkt, który nakazywał jej ucieczkę, Elsie pośpieszyła do niego i chwyciła go za koszulę. Tak! Usłyszała mruczenie zakłęcia Merton...

Mężczyzna chwycił ją jednak za nadgarstki.

– O, nie sądzę – powiedział, a potem zaczął poruszać ustami, jak pionek, który odmawia posłuszeństwa.

Nagle jego oczy stały się groźne. Merton wygrała.

Elsie się szarpnęła, ale trzymał ją mocno. Więc kopnęła go kolanem w przyrodzenie.

Mężczyzna zarzęził, a Elsie wykręciła ramiona, uwalniając się z jego uścisku. Odwróciła się i zaczęła uciekać, potykając się na bolącej stopie. Dokuśtykała do ciemnej linii drzew. Ledwie mogła coś dostrzec, ale to nie miało znaczenia. Musiała mu uciec.

Porywacz ją gonił, biegł pewnie i szybko. Szczerze? Na co liczyła, uciekając mu na jego własnej ziemi?

Z oczu popłynęły jej łzy.

Boże dopomóż. Pomocy!

Potknęła się o gałąź. Zmieniła kierunek i pobiegła na południe, a przynajmniej tak jej się wydawało. Ledwo udało jej się ominąć dół w ziemi. Czowała, jak stopa jej puchnie. Co drugi krok był dla niej torturą, jakby miała w stawie odłamki szkła. Znowu zawadziła o coś spódnicą, więc szarpnęła, żeby ją odczepić, drąc ją przy okazji jeszcze bardziej. Na wschodzie było więcej drzew, więc pokuśtykała w tamtą stronę, usiłowała stawiać lekkie kroki, chociaż wiedziała, że hałasuje. Skryła się za jednym z drzew, a następnie zmieniła kierunek, wbiegając pomiędzy dwa inne. Serce dudniło jej w uszach. Nie czuła palców w prawej stopie.

Grunt nieco się wyrównał, więc przyspieszyła, była jak ranny jelen, któremu beagle siedzą na ogonie. Biegając, chwyciła się drzew dla podtrzymania równowagi, kiedy prawa stopa na nią wręcz wrzeszczała...

Nagle chwyciły ją dwie dłonie.

– Nie! – wrzasnęła, bijąc w nie na oślep. – Zostaw mnie!

– Elsie!

Wszystko stanęło w miejscu.

Ten głos.

Ten akcent.

Zamrugała oczami i łzy popłynęły jej ciurkiem.

– Bachus?

Przycisnęła ją do siebie, a jej zmysły wypełnił zapach cytrusów i świeżo ściętego drzewa. Wtuliła się w niego, drżąc i łkając...

Lecz wtem szarpnęła się i odwróciła za siebie, niemal upadając na kolana.

– Jest tutaj. On tu był.

Bachus objął ją ramionami, kładąc dłoń na jej brzuchu. A ona rozglądała się wokół. Wyteżyła słuch.

Jednak nie było nic słycać, oprócz świerszczy i wiatru.

Przełknęła ślinę.

- Wydostałam się z piwnicy, ale on m-mnie znalazł...

- Chodźmy - szepnął stanowczo - dopóki mamy taką możliwość.

Pociągnął ją na wschód, a Elsie syknęła, chwytając się go dla równowagi.

- J-ja zwichnęłam kostkę...

Bachus pochylił się i jednym lekkim zamachem wziął ją na ręce, trzymał ją jak małe dziecko. Elsie przytrzymała się pięściami za jego koszulę - bo nie miał na sobie ani marynarki, ani kamizelki - i histerycznie rozglądała się po lesie. Ale nie było ani śladu jej porywacza. Czy udało mu się w końcu sprzeciwić woli Mistrzynie Merton? Czy może raczej zobaczył Bachusa i zdecydował, że lepiej się wycofać?

Bachus stawiał długie i pewne kroki. Grunt był pochylony, schodzili ze wzgórza, u którego podstawy Elsie dostrzegła drogę, a na niej czekał rosły koń. Poczulią taką ulgę, że niemal straciła przytomność.

- Dziękuję - wyszeptwała - dziękuję, dziękuję.

Była spięta i milcząca, kiedy Bachus przecinał drogę, oglądała się do tyłu, podobnie jak on. Jednak chyba nic nie dostrzegł, bo posadził ją w siodle.

Elsie przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło.

- Bardzo cię przepraszam. Nie wiedziałam...

- Elsie - odezwał się mrocznym głosem - jeśli znowu mnie przeprosisz, wyrwę sobie całą brodę.

Chwytając za szyję konia, zamachnął nogą i usiadł na grzbiecie tuż za nią, szybko złapał wodze i ruszył. Od razu zaczęli galopować. Jechali przed siebie bez nawet najmniejszej lampki, która oświetlałaby im drogę. Nie było to bezpieczne, zwłaszcza dla wierzchowca, ale Elsie się nie skarżyła.

Bachus odezwał się wreszcie, chuchając jej w szyję:

- Tak się bałem, że odnajdę cię martwą.

Włoski na ramionach stanęły jej dęba. Oparła się o niego, kładąc głowę w zgięciu pomiędzy jego ramieniem i szyją. Była kompletnie przerażona i jednocześnie błogo szczęśliwa, czuła taki zamęt, że trudno jej było się połapać we własnych uczuciach.

- Widziałam go - powiedziała na tyle głośno, żeby ją usłyszał. - Widziałam jego twarz. Była długa, spiczasta...

- To Mistrz Enoch Phillips.

Elsie zeszywniała.

- Co?

- To jego posiadłość - Bachus praktycznie ryknął. - Niebieskie oczy, surowy wygląd, siwe włosy?

Przytaknęła.

- Merton trzyma pod pantoflem chyba najpotężniejszego aspektora fizycznego w całej Anglii - powiedział - ale straciła element zaskoczenia.

- I co my teraz zrobimy? - spytała.

Bachus objął ją mocniej.

- Nie wiem.

Czuła przy uchu jego ciepły oddech. Chciała powiedzieć: *kocham cię* i *dziękuję ci*, ale odepchnęła te słowa, ukrywając je głęboko w sobie. Chwyliła za jego ramiona obiema dłońmi i tak razem pędzili w kierunku cieni, zostawiając za sobą jej koszmar.

Przynajmniej na razie.

Rozdział 17

Jechali tak przez noc, aż napotkali na drodze Ogdena. Było już późno – po północy, jak się dowiedziała Elsie – i byli wycieńczeni, ale żadne z nich nie zasugerowało postoju. Zmierzali aż do domu Mistrziny Hill w Londynie. I pomyśleć, że mężczyzną, który zaatakował Mistrzynę Hill, był szef jej własnego Ateneum.

Elsie nadal nie mogła tego pojąć.

Po przespaniu kilku godzin w cichym domu Ruth Hill wynajęli dorożkę i pojechali nią do Brookley. Był wczesny poniedziałkowy ranek. Ponieważ Elsie nie miała spinek do włosów, zaplotła je w warkocz i modliła się, żeby nie zobaczył jej nikt z sąsiedztwa. Spała ze stopą podniesioną w górę i opuchlizna w kostce zniknęła, ale nadal nie mogła normalnie na niej stanąć.

Kiedy weszła do domu, zaskoczył ją widok dużego kufra na środku pracowni.

– Ach – odezwał się za jej plecami Ogden – widzę, że pod naszą nieobecność przywieziono pańskie rzeczy, Mistrzu Kelsey.

– Twoje rzeczy? – Elsie zwróciła się do Bachusa, który widocznie zmęczony właśnie wszedł do środka. Czy to dlatego nie przebrał się, kiedy dotarli do domu Mistrziny Hill?

– Po twoim porwaniu i tamtym ataku zdecydowaliśmy, że może byłoby lepiej, żeby w domu było dwóch aspektorów zamiast jednego. Zostanie tutaj aż do ślubu. Niestety będziesz musiała obyc się bez własnej sypialni – wyjaśnił jej Ogden.

Elsie zaczerwieniła się, chociaż naprawdę nie miała powodu. Był w tym jakiś sens.

Po chwili poczuła ulgę, że nie zdecydowała się trzymać swojego zakłęcia z opusu pod materacem.

– Elsie! – pisnęła Emmeline, wbiegając do pracowni, a potem zarzuciła jej ręce na szyję. Elsie niemal się przewróciła, nie będąc w stanie utrzymać równowagi przez uszkodzoną kostkę, ale objęła przyjaciółkę i znowu poczuła ulgę. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo jest śpiąca. – Ach, tak bardzo się cieszę, że wróciłaś! Co się stało?

– Aż za wiele – Elsie odsunęła się od niej i spojrzała na mężczyznę. – Ale co z Phillipsem?

– Z Phillipsem? – powtórzyła po niej Emmeline.

– Coś wymyślmy – Bachus przeciągnął dłońią po brodzie.

Emmeline pociągnęła Elsie za rękę.

– Opowiem ci wszystko podczas kąpieli – powiedziała Elsie, zmuszając się do uśmiechu. – To znaczy, jeśli zgodzisz się, żebym skorzystała jako pierwsza.

Cuthbert kiwnął głową.

– No idźcie już.

Elsie pozwoliła Emmeline poprowadzić się po schodach na górę, wdzięczna za jej opiekę i serdeczność. Oczywiście podczas jej nieobecności Emmeline zdążyła już przenieść wszystkie jej rzeczy do swojego pokoju, który był najmniejszy ze wszystkich trzech sypialni, jakim syczył się ten dom. Jej regał z książkami został wciśnięty w kąt, na nim zostało ustawionych kilka

rzeczy z biurka. Ubrania umieszczono w szafie Emmeline, a jej bibeloty na półkach. Meble – biurko, łóżko i szafa – zostały w pokoju przeznaczonym dla Bachusa.

Bachus Kelsey miał spać w jej łóżku.

Wkrótce ona sama będzie spać w jego.

Poczuła, że na twarzy zakwita jej rumieniec. Chociaż myśl ta w jakiś dziwny sposób wydała jej się snem, jakby była to nadal tylko nadzieja, a nie coś, co ma się naprawdę wydarzyć.

Emmeline na szczęście zdążyła już przytargać do pokoju cynową wannę i napełniła ją wodą. Elsie nie czekała, aż reszta wody zagrzeje się na kuchni – letnia też była dobra. Rozebrała się, ostrożnie, aby nie ujawnić zakłęcia, które kryło się pod fiszbinami w gorsecie. Jednocześnie opowiadała wszystko Emmeline. To było takie wyzwalające; móc powiedzieć całą prawdę drugiej osobie. Od tak dawna skrywała tajemnice, że stały się jej częścią.

Kiedy się wytarła, Emmeline opowiedziała, co się działo w domu, kiedy jej nie było, oraz jak bardzo się o nią martwiła. Elsie była wzruszona i pocałowała ją w policzek.

Kiedy już się wysuszyła i przebrała w koszulę nocną, Elsie powstrzymała ziewnięcie.

– Podgrzejmy wodę dla reszty. Oni też pewnie będą chcieli się wykąpać.

Emmeline uśmiechnęła się.

– Ja się tym zajmę, Elsie. Powinnaś odpocząć.

Elsie rozejrzała się po pokoju, w którym wszystkie jej rzeczy mieszały się z tymi Emmeline.

– Już i tak wiele zrobiłaś.

– Pozwól mi. Przecież kulejesz. A ja tylko w ten sposób mogę się poczuć potrzebna; nie mam ani zdolności magicznych, ani pieniędzy – poprawiła pościel na łóżku, które obie miały dzielić przez najbliższe dwa tygodnie.

Elsie westchnęła.

– Emmeline Pratt, za to wszystko, co dla mnie zrobiłaś, kupię ci czekoladki.

Emmeline rozpromieniła się.

– Stoi.

I tak Elsie pozwoliła, by przyjaciółka wytaszczyła wannę z pokoju, a sama położyła się do łóżka.

Ze wszystkich sił starała się zasnąć i nawet kilka razy udało się jej zapaść w krótką drzemkę, od czasu do czasu na minutę opadały jej powieki, ale umysł cały czas odtwarzał wczorajszy wieczór. *A jeśli poważnie raniałam tego służącego? A jeśli on też był kontrolowany przez Merton?* Po pewnym czasie jej myśli powędrowały do Irene... Naszły ją obawy, co by się stało, gdyby tamta ujawniła prawdę o Elsie. Potem przyszedł jej na myśl Cuthbert, zastanawiała się, co on sądzi o tym wszystkim, a następnie Bachus... tak chciałaby poznać jego myśli dotyczące jej osoby.

Wreszcie się poddała. Włosy miała już prawie suche, więc przeczesła je tylko i zostawiła niezwiązane. Kiedy wychodziła z pokoju, zauważyła, że drzwi do sypialni naprzeciwko – do jej dawnej sypialni – były zamknięte. Jeśli miałyby wierzyć dźwiękom, które do niej dobiegały z korytarza, kiedy drzemała, wanna powinna teraz być właśnie tam.

Stojąc na korytarzu, zawahała się, chciała wrócić, żeby się ubrać. Zatrzymała się. Znów spojrzała na tamte drzwi. Przeszła korytarzem. Słyszała, jak Emmeline krząta się w kuchni.

Przygryzając wargę, podeszła do swoich dawnych drzwi i zapukała.

- Bachus?

- Tak?

Zawahała się.

- Możemy porozmawiać?

Cisza.

- Jestem w nieco niezręcznej sytuacji.

Policzki jej się zaróżowiły.

- W takim razie przez drzwi.

Wydawało jej się, że słyszy ruch w wodzie.

- Co się stało?

- Nic - cóż, to było kłamstwo, ale Bachus wiedział już o wszystkich strasznych rzeczach, które się wydarzyły, więc nie było sensu ich powtarzać. Z jej kostką było już nieco lepiej, ale aby nie przedobrzyć, Elsie zsunęła się po framudze drzwi, tak że usiadła na podłodze równoległe do nich. Podparła się na zdrowej stopie, a potem zapytała:

- Co się wydarzyło w Siedmiu Dębach?

- Nie pojechałem tam. Kiedy tylko dowiedziałem się o twoim zaginięciu, skierowałem się prosto tutaj.

Emmeline wspomniła jej o telegramie.

- Wybierzesz się tam? Znaczy do Siedmiu Dębów?

Kolejne poruszenie w wodzie.

- Nie jestem pewien. Nie od razu. Są pilniejsze sprawy do załatwienia - sekunda ciszy, a potem: - Chyba powinienem napisać do księżnej, chociażby ze względu na konwenanse - przeszedł na barbadoski akcent.

Elsie uśmiechnęła się.

- Tak, chyba powinienes - stwierdziła, a potem, splatając palce, zapytała: - A co z twoimi służącymi?

- John i Rainer będą nadal mieszkać w domu Mistrzyni Hill.

- O - rozłączyła palce, a potem znowu je splótła - nie widziałam ich dziś rano.

- Rozmawiałem z nimi krótko. Wszystko u nich w porządku - powiedział, a potem coś u niego zaszeleściło.

- Bachus - oparła głowę o drzwi - opowiedz mi o Barbadosie.

Znowu cisza.

- Co chciałybyś wiedzieć?

- To, czego nie wie o nim nikt inny. Wiem, że jest tam gorąco, tropikalnie i mnóstwo tam trzciny cukrowej. Ale powiedz mi coś innego.

Podłoga skrzypnęła.

- Powietrze jest tam smaczne.

Elsie zachichotała.

- Co?

- To połączenie słodczy z roślin i soli z oceanu. Tutaj powietrze pachnie dymem i deszczem. A to na Barbadosie jest jak delikatny deser. Słodkie i ostre jednocześnie. No, chyba że znajdujesz się w okolicy rybiego rynku.

Elsie uśmiechnęła się.

- Jest zielony. Plantacje trzciny cukrowej są zielone – kiedy wypowiadał te słowa, w jego głos wkradła się nutka pogardy – ale reszta wyspy też jest zielona, znaczy to, czego nie zniszczyli europejscy osadnicy. Rosną tam palmy i gęste trawy. Kiedy zachodzi słońce, odnosi się wrażenie, że śpiewają.

Elsie próbowała to sobie wyobrazić.

- Jak śpiewają?

- Trudno to opisać – teraz jego głos stał się melancholijny. – To przez owady, wiatr pośród źdźbeł... nie da się tego usłyszeć po tej stronie oceanu.

- A ty mieszkasz nad oceanem?

- Cały Barbados jest nad oceanem – znowu skrzywnięcie podłogi. – To nie jest zbyt duża wyspa. A ja mieszkam w starym domu na plantacji. Jest zbudowany w stylu jakobińskim, jeśli go znasz.

Elsie pomyślała przez chwilę.

- To ten ze spadzistymi dachami?

- Dokładnie – w jego głosie było słycać zadowolenie.

Elsie wyobraziła sobie miejsce pełne słońca, zieleni i ocean, w którym powietrze smakowało jak pierwszy kęs deseru... oraz... nocny śpiew traw. To był obraz jak z bajki.

- Chciałabym to zobaczyć – powiedziała nieco ciszej. – To znaczy... chciałabym pojechać na Barbados. Nie musimy tutaj zostawać.

Minęło kilka sekund, zanim odpowiedział.

- Masz tutaj rodzinę, Elsie.

- Nie – przerwała.

Reggie. Dopiero co go odnalazła, prawda? Poza tym Ogden i Emmeline byli dla niej jak rodzina – moglibyśmy jakoś dzielić czas.

Nie odpowiedział.

Splatając dłonie, Elsie dodała:

- Czy ty... czy jesteś pewien, że warto, Bachusie?

Deski w podłodze skrzywnęły i nagle otworzyły się drzwi. Stał w nich w bryczesach i białej koszuli z długim rękawem, z rozpiętym kołnierzykiem. Z jego ciemnych włosów o jaśniejszych końcówkach kapąła woda, moczając ramiona, a także koszulę, która pod wpływem wody robiła się półprzezroczysta.

Spojrzał na nią, był zmęczony, ale nie zniecierpliwiony.

- Naprawdę znowu będziemy o tym rozmawiać?

Elsie zacisnęła usta.

- Myślę, że to uzasadnione pytanie.

Wyciągnął do niej rękę, a ona złapała go za dłoń, pozwalając pomóc sobie wstać. Poprawiła koszulę nocną, upewniając się, że wygląda skromnie.

Bachus podniósł dłoń i przejechał jej kciukiem po policzku, powodując, że po jej skórze przebiegła fala ciepła.

– Zdecydowanie jesteś tego warta, Elsie Camden.

Wpatrywała się w piękną zieleń jego oczu. W tamtej chwili nie przypominały morza w trakcie sztormu ani jadeitu, ani niczego, co знаła. Być może była to zieleń Barbadosu. Miały tak baśniowy kolor, jak miejsce, które jej opisał, a ona nie mogła uwierzyć, że i on, i to miejsce naprawdę istnieją.

Zdała sobie sprawę, że po prostu stoi i wpatruje się w niego – na jej obronę, on robił dokładnie to samo – ale nie mogła się zmusić do odwrócenia wzroku. Zapamiętywała kształt jego nosa, linię włosów i krzywiznę brody. Policzki miał świeżo ogolone. Pachniał mydłem, ale pod tym zapachem kryła się delikatna nutka cytrusów.

Serce tańczyło jej w piersi i zanim zdążyła się zorientować, co robi, wyszeptwała:

– Pocałuj mnie.

Bachus przeszył ją wzrokiem.

A potem jego usta zetknęły się z jej, na początku niepewnie. Ale kiedy Elsie oparła dłoń na jego piersi, nabrał pewności siebie i zaczął całować ją tak, jak wtedy w powozie. Dreszcz przebiegł po jej szczęce i wzdłuż szyi, był podobny do żaru płomienia świecy, kiedy gasi się go palcami. Dłonie Elsie zaczęły żyć własnym życiem i wspięły się do jego ramion, potem do szyi, wzdłuż mokrej skóry. Poczuli nacisk jego dłoni po obu stronach bioder. Nie pamiętała, skąd tam się wzięły, ale ich dotyk ją pobudził. Dodał jej odwagi.

Bachus był wysokim mężczyzną, a Elsie desperacko chciała być jeszcze bliżej niego, więc wspięła się na palcach i przechyliła głowę nieco bardziej w prawą stronę, dopasowując swoje usta do jego, tak po prostu. Kiedy zaczęli całować się mocniej, naprężył się niewidzialny sznur, który łączył jej serce z biodrami. Elsie wyczuła ciepło, które przesunęło jej się po dolnej wardze. Niemal nieświadomie rozpoznała je jako jego język i zmiękły jej od tego kolana. Bachus musiał to zauważyć, bo wzmocnił uścisk na jej biodrach. Kiedy Elsie rozchyliła usta, żeby zaczerpnąć tchu, Bachus na nią natarł, szukając dostępu do jej ust, którego ona ochoczo mu udzieliła.

Do diabła z aspektorstwem! To dopiero była prawdziwa magia. Fizyczna, duchowa, umysłowa, tymczasowa... wszystko to zwinęło się w cudowny kłębek doznań, który dopiero zaczęła rozplątywać, tak bardzo ciekawa, co odnajdzie w środku.

Lewa ręka Bachusa puściła jej biodro, pozostawiając po sobie chłód. Elsie usłyszała jej uderzenie o framugę, której Bachus się uchwycił. Palce Elsie powędrowały do jego mokrych włosów, płacząc się w ich falach. Przygryzła jego dolną wargę i ledwie słyszalny dźwięk wydobył się z jego gardła, chociaż właściwie to bardziej wyczuła go ustami, niż usłyszała.

Jego usta zwolniły, a potem odsunął się od niej; oczy miał pociemniałe. Wypuścił nosem długi oddech.

– Musimy przestać, Elsie, zanim przez ciebie będę miał niechrześcijańskie myśli.

Czuła, jak puchną jej usta. Oblizwała je.

Po raz pierwszy, od kiedy dowiedziała się o ich niespodziewanych zaręczynach, nie mogła się doczekać nocy poślubnej.

Na dźwięk kroków na schodach Elsie cofnęła się, zapominając o bolącej kostce i krzywiąc się, kiedy na niej stanęła. Bachus wyciągnął rękę, żeby ją złapać, i w tym momencie pojawiła się Emmeline z koszem bielizny opartym o biodro. Elsie cała się zaczerwieniła, ale Emmeline – droga, słodka, niewinna Emmeline – wydawała się nie dostrzegać niczego niestosownego w Elsie i Bachusie stojących tak blisko siebie, i to w strojach nawet niezbliżonych do przyzwoitych.

– Kolacja będzie za kilka godzin – uśmiechnęła się szeroko i postawiła kosz tuż za drzwiami jej pokoju. – Chociaż myślę, że pan Camden może przybyć wcześniej. Mówił, że może dziś krócej pracować.

Elsie nadal czuła się bardzo dziwnie, słysząc to nazwisko.

– Och! Kompletnie zapomniałam, że Reggie ma przyjechać... – powinien mieć informacje o ich artykułach. Jeśli zdołał doprowadzić do ich publikacji, to może nawet będzie miał jakieś odpowiedzi.

Emmeline wyjęła długi lniany bandaż z kieszeni fartucha.

– Zawinę ci kostkę i pomogę się ubrać – spojrzała na Bachusa. – Z przyjemnością zabiorę też pana pranie, Mistrzu Kelsey.

Bachus chrząknął.

– Sam się nim zajmę, dziękuję.

Unikając wzroku Bachusa – ponieważ wiedziała, że jeśli na niego spojrzy, zrobi się czerwona jak burak – Elsie oparła się na Emmeline i pokuśtykała do ich pokoju, gdzie przyjaciółka sprawnie opatrzyła jej kostkę. Sukienka, którą Elsie miała na sobie, kiedy Mistrz Phillips – nadal trudno jej było to przyswoić – ją uprowadził, była zniszczona. Szkoda. Emmeline pomogła jej przebrać się w niedzielną suknię, jej najlepszą, która czekała przygotowana, bo przecież wczoraj Elsie nie poszła do kościoła.

A co mieli począć z Mistrzem Phillipsem? Anonimowe donosy Elsie i Ogdena dotyczące Merton nie przyniosły rezultatów. Czy w jego przypadku będzie tak samo? Elsie nie miała żadnych dowodów przeciwko niemu, poza Bachusem jako naocznym świadkiem. Być może udałoby im się wyjaśnić jakoś to porwanie i sposób, w jaki Bachus zjawił się w odpowiednim czasie i odpowiedniej porze na ratunek, ale trudno byłoby to zrobić bez przyznania się do własnych luźnych relacji z prawem. Chociaż właściwie za tym wszystkim nie stał Mistrz Phillips. Oczywiście należało go powstrzymać, ale nie powinien cierpieć tylko dlatego, że Merton wybrała go na swojego pionka.

Reggie rzeczywiście przybył wcześniej – Elsie dopiero co zdążyła upiąć włosy. Natomiast Emmeline także przebrała się w niedzielną sukienkę i podkręciła pasma ciemnych włosów, które wdzięcznie okalały jej twarz. To przykuło uwagę Elsie, bo wiedziała, że niezależnie od tego, kto był ich gościem, Emmeline nie miała w zwyczaju tracić czasu na kręcenie loków. Elsie była zaintrygowana, ale chciała poczekać na odpowiedniejszą chwilę, żeby ją o to zapytać.

– Udało się ze wszystkimi – oznajmił Reggie, kiedy zajął miejsce w jadalni, naprzeciwko Elsie. Posiłek stał już na stole i Elsie burczało w brzuchu. Siedziała obok Bachusa, który też był już odpowiednio ubrany, no i suchy; włosy miał zebrane w luźny kucyk. Ogden usiadł

u szczytu stołu, a Emmeline naprzeciwko Bachusa, obok Reggiego. Jeszcze tylko jeden gość i byłoby przyjęcie. – Ostatni wyjdzie w jutrzejszym wydaniu „Daily Telegraph”.

Elsie odetchnęła z ulgą.

– Dziękuję ci.

– Czy mógłby mieć je pan na oku? – zapytał Ogden, krojąc bażanta. – Dowiadywać się, czy będą na nie jakieś odpowiedzi?

Reggie odparł:

– Mogę zapytać. Pytanie nie boli.

Kiedy już wszyscy zostali obsłużeni, Emmeline wygładziła spódnicę i zapytała:

– Proszę opowiedzieć, jak działa prasa drukarska. Czy litery są w niej od tyłu?

– Dokładnie tak – Reggie z lekka wyprostował się na krześle. – Muszą być ułożone w pewien sposób, o tak...

Ktoś przyszedł – Elsie usłyszała w myślach głos Cuthberta, przez który po kręgosłupie przebiegł jej dreszcz. Bachus także wyglądał na zaskoczonego, więc Elsie zgadywała, że też to usłyszał.

Chwilę później usłyszeli pukanie do drzwi.

Ostatnio przyjęli dwa razy niespodziewanych gości: najpierw przyszli policjanci, żeby ją zaarrestować, a potem Reggie... Czy to oznaczało, że teraz znowu wejdzie jakiś intruz, żeby była w tym jakaś równowaga?

Emmeline chciała wstać. Ale Elsie powstrzymała ją ruchem ręki.

– Rozmawiaj. Ja otworzę.

Bachus westchnął.

– Zanim zdążysz tam dokuśtykać, to już sobie pójdą – zauważył i podniósł się od stołu.

Elsie otworzyła usta, usiłowała wymyślić jakąś ripostę, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Zazwyczaj robiła wszystko sama; była dość sprawna... zazwyczaj. A mimo to w tej chwili czuła się bardziej wdzięczna niż obrażona. Dlatego oparła się wygodnie na krześle i pozwoliła Bachusowi otworzyć drzwi. Zastanawiała się, ile razy miał okazję to robić. Biorąc pod uwagę fakt, że zazwyczaj spędzał czas w takich posiadłościach jak Siedem Dębów, dom Mistrzynie Hill czy jego własny na Barbadosie, z pewnością wyręczyli go w tym służący.

Niemal od razu Elsie usłyszała głos Irene i wstała... Niech szlag trafi tę kostkę.

Pospieszne kroki łamaczki zakłęk wybrzmiały na podłodze w korytarzu, a potem pojawiła się w kuchni ubrana od stóp do głów w bładny fiolet, przytrzymując jedną ręką kapelusz na głowie. Policzki miała zarumienione, a klatka piersiowa falowała jej z każdym oddechem. Bachus pojawił się tuż za nią.

Ogden także wstał.

– Panno Prescott, co się stało?

Kobieta przełknęła ślinę, żeby zwilżyć gardło.

– Przyjechałam natychmiast, kiedy o tym usłyszałam.

Elsie uśmiechnęła się delikatnie.

– Jak widzisz, nic mi nie jest.

Reggie spoglądał to na jedną, to na drugą.

- Chodzi o twoją kostkę?

Jednak Irene pokręciła głową, usiłując złapać oddech.

- Nie, nie... Kostkę? - oblizała usta, po czym wróciła do swojej kwestii: - Byłam dzisiaj w Londyńskim Ateneum Fizycznym i - powiedła wzrokiem na Reggiego i zawahała się...

Elsie poczuła, jak powietrze zadrżało od zakłęcia umysłowego. Po chwili Ogden powiedział:

- Proszę mówić. Z jego strony nic nam nie grozi.

Elsie ugryzła się w wewnętrzną stronę policzka. Wyglądało na to, że jej brat i tak w końcu zostanie wciągnięty w całą tę sprawę. W pewnym sensie poczuła ulgę, bo chciała być z nim szczerą, ale z drugiej - nie chciała narażać go na niebezpieczeństwo.

- Przyjechała policja, żeby zaarrestować Mistrza Phillipisa - Irene chwyciła za oparcie wolnego krzesła. - To wspólnik.

Elsie wymieniła spojrzenia z Bachusem i Ogdenem.

- Wiemy. Nie wiedzieliśmy tylko, co z tym zrobić.

Reggie zaczął coś mówić, ale Irene go wyprzedziła.

- Wiecie? Od kiedy?

- Od ostatniej nocy - odparł Bachus.

- On też jest kontrolowany - wyjaśniła Elsie, spoglądając współczująco na Ogdena.

Irene zmarszczyła brwi.

- Ale to niemożliwe.

- Wystarczyłoby, żeby go dotknęła - przypomniał jej Bachus - a do tego miała mnóstwo sposobności.

Ale Irene pokręciła głową.

- Nie, musicie się mylić. On musiał działać na własną rękę.

Wokół ust i oczu Ogdena pojawiły się głębokie zmarszczki.

- Co pani mówi?

Spojrzenie Irene przeskakiwało po kolei na każdego z nich, była najwyraźniej zdezorientowana.

- Zostałam tam już po wszystkim, po tym jak zabrali Mistrza Phillipisa. Byłam tam, kiedy konstabl odebrał wiadomość.

- Jaka wiadomość? - zapytał Bachus.

- O Mistrzyni Merton - wyjaśniła Irene. - Ona nie żyje.

Rozdział 18

Równie dobrze mogłaby uderzyć Cuthberta w twarz.

– Słucham?

Zakłęcie czytania w myślach – takie niezaawansowane, łagodne, działające powierzchwno – pojawiło się niemal bezwiednie; sprawdzał jej prawdomówność. Ale nic poza prawdą nie znalazł. Tylko szczerść. Wzburzenie. Niepokój. Jej uczucia były gwałtowne. A rewelacja przez nią przyniesiona wybrzmiewała prawdą, przynajmniej dla niej samej.

– Mistrzynie Lily Merton nie żyje – powtórzyła panna Prescott i tym razem zamiast uderzenia poczuł, jakby ktoś przestrzelił mu pierś; dokładnie w miejscu, w którym tkwiło to piekielne zakłęcie przez tyle lat.

– Ja... Oni nie wiedzieli zbyt wiele. Podśluchiwałam ich. Ona co prawda nie była już pierwszej młodości, ale wydawała się cieszyć dobrym zdrowiem. A mimo to mogła umrzeć z przyczyn naturalnych albo ten morderca znów zaatakował...

– To ona jest morderczynią! – Cuthbert uderzył dłonią w stół tak mocno, że aż zagrzechały talerze. Elsie wpatrywała się w niego. A Emmeline pisnęła, a potem dotknęła ramienia Reggiego i coś do niego szepnęła. Oboje wyszli z pokoju, pozostawiając resztę w świętym spokoju. Oby Emmeline wyjaśniła chłopakowi to, co powinien wiedzieć... Ogden miał już dość powtarzania tej samej historii.

– W londyńskim domu Mistrza Phillipsa znaleziono wiele skradzionych opusów...

– Oczywiście, że tak. Ale nie wszystkie, prawda? – Cuthbert oderwał dłoń od stołu i potarł nią twarz; czuł się stary. – To bez wątpienia jakiś fortel, panno Prescott. Czyż dla Merton istnieje lepszy sposób, żeby się ukryć, żeby się pozbyć wszelkich podejrzeń, niż zamarkować własną śmierć?

Panna Prescott wyglądała tak, jakby się zaraz miała rozplakać.

– Ale panie Ogden. Został po niej opus.

– Co? – wyszeptala Elsie.

– Tak słyszałam. Miała letni dom, który niedawno kupiła w Rochester...

Rochester. Czyli wcale nie była daleko.

– ...i jej sąsiedzi usłyszeli hałas, kiedy przechodzili w pobliżu. Zawołali policję i znaleźli jej opus... A także roztrzaskane okna i – skrzywiła się – cóż, ślady walki. Krew. Oczywiście będzie prowadzone śledztwo.

Mistrz Kelsey warknął.

– Gdyby ktoś ją zamordował, zabrałby ze sobą opus.

Cuthbert przytaknął, poczuł frustrację gotującą się pod skórą.

– Chyba że miała zabezpieczenia, żeby go powstrzymać albo obroniła się przed nim, zanim wyzionęła ducha – panna Prescott spojrzała Cuthbertowi w oczy. – Ja... przepraszam, nie chcę panu zadawać cierpienia. Powtarzam tylko to, co usłyszałam.

Elsie objęła się ramionami.

– Mistrz Phillips w więzieniu, a Mistrzynie Merton martwa? Ale to z pewnością ona zaaranżowała jego aresztowanie, podobnie jak wcześniej moje!

– Tak, to wszystko jest zdecydowanie zbyt oczywiste – Cuthbert chwycił za krawędź stołu i pochylił się nad ledwo tkniętym posiłkiem. – Naprawdę mamy uwierzyć, że spotkało ją coś tak niefortunnego raptem dzień po tym, jak znaleźliśmy Elsie i zdemaskowaliśmy pionka Merton?

– Znaleźliście Elsie? – panna Prescott oniemiała. – Co?

Elsie westchnęła.

– Stałam się niešťczęsną ofiarą porwania przez Mistrza Phillipsa. Stąd o nim wiemy. Za moment wszystko ci opowiem. Ale to jest... – spojrzała na Cuthberta, a w jej niebieskich oczach zagościł strach. – Zgadzam się. To by było zbyt proste.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się upewnić – zauważył Cuthbert – musimy zobaczyć ten opus.

Przez moment milczeli, aż wreszcie odezwał się Mistrz Kelsey.

– Nie trafi na aukcję – stwierdził, a jego głos był niski i mroczny, oddający idealnie uczucia Cuthberta. – Ale Mistrzynie Merton nie ma rodziny, więc z tego, co wiem – wskazał na Elsie – co oznacza, że Londyńskie Ateneum Fizyczne odprawi dla niej rytuały.

Panna Prescott przytaknęła.

– Mogą zorganizować wyprzedaż w jej posiadłości, jak po zaginięciu Mistrza Quinna Ravena. Cokolwiek ma się wydarzyć, opus będzie pilnie strzeżony, kiedy będzie dostępny do wglądu, zanim zostanie zabrany do Ateneum.

– Chyba że pomina etap oglądania i od razu ukryją go w skarbcu – powiedział Mistrz Kelsey. – Nie ma rodziny, więc nikt nie zaskarży takiej praktyki.

Cuthbert chwycił się za głowę. Ból zaczął mu pulsować tuż ponad skroniami.

Ona nie zmarła. Niech to diabli. Ona chce zatrzeć ślady winy.

A on nie zamierzał na to pozwolić.

Gwałtownie odsunął się od stołu i ruszył do tylnego wyjścia, żeby wziąć płaszcz.

Elsie pokuśtykała za nim.

– Gdzie się wybierasz?

– Do Rochester.

Wyjrzała za okno. Słońce niemal zniknęło za horyzontem.

– Teraz?

– Tak, teraz – odparł ostro, ale tylko dlatego, że nie umiał nad tym zapanować, nawet dla niej. – Muszę się dowiedzieć. Muszę, Elsie – westchnęła. Wysunął szczękę. – Nie czekajcie na mnie.

Szarpnął za drzwi i wyszedł na chłodne wieczorne powietrze, wdzięczny, że Elsie miała zwichniętą kostkę.

Była to prawdopodobnie jedyna rzecz, która ją powstrzymywała przed popędzeniem za nim.

Reggie już został poinformowany. Czyli teraz wiedziało o wszystkim sześć osób.

Bachus ofiarnie pomógł Elsie wejść po schodach do salonu, do którego Emmeline zabrała Reggiego. Elsie nie zgodziła się, żeby ją zaniósł na rękach, co ujmowało jej zdaniem godności, ale pozwoliła, aby przytrzymał jej łokieć.

Irene szła za nimi.

Kiedy już wszyscy wygodnie zasiedli, Elsie dodała brakujące szczegóły jej historii, ale żeby zbyt nie przeciągać opowieści – a także, by zachować twarz – była nieco mniej wylewna, niż kiedy relacjonowała to wcześniej Emmeline i Irene. Na szczęście żadna z nich nie wytknęła jej nieścisłości. Irene z kolei opowiedziała ze szczegółami o aresztowaniu Mistrza Phillipa oraz ogłoszeniu ewentualnej śmierci Merton, chociaż jej relacja opierała się w dużej mierze na tym, co sama zdołała usłyszeć i zobaczyć. Nie było w nich nic, co mogłoby się przydać Ogdenowi.

Ogden. Elsie modliła się, żeby mu się nic nie stało. Gdyby został przyłapany na myszkowaniu... cóż, Bachus tym razem nie byłby w stanie wybawić go z opresji za pomocą małżeństwa.

– Nie byłam świadkiem jego aresztowania – powiedziała Irene, kończąc swoją opowieść – ale widziałam odjeżdżający wóz więzienny. I byli tam aspektorzy, którzy mieli go pilnować i obezwładnić, gdyby stawiał opór...

Było to konieczne, ponieważ każdy mistrz aspektor fizyczny mógł bez trudu roztrzaskać praktycznie każdy pojazd na drobne kawałki.

Przyciskając plecy do sof, Elsie powiedziała:

– Irene, dziękuję ci za wszystko.

Irene przytaknęła i wydawało się, że chciała powiedzieć coś jeszcze – może dopytać o szczegóły uprowadzenia Elsie. Jednak chyba wyczuła, jaki nastrój zapanował w pokoju, ponieważ pożegnała się:

– Powinam już pójść. Będziemy w kontakcie.

– Doceniamy pani wysiłki – odezwał się Bachus. Jego głos zdradzał ogromne zmęczenie, jak wtedy, kiedy znajdował się pod wpływem zaklęcia wysysającego.

To kolejna rzecz, którą powinni się zająć.

Irene wyszła pierwsza, a potem Reggie, który podkreślił, że musi wracać do Londynu, bo skoro świt rozpoczyna pracę, mimo że czeka go jazda wierzchem w ciemnościach. Kiedy Emmeline odprowadziła go do drzwi, a świece przygaszono, Elsie powiedziała:

– Siedem Dębów.

Bachus westchnął. Siedział obok niej na sofie, trzymając rękę na oparciu mebla, raptem kilka centymetrów od ramienia Elsie. Dziewczyna miała nadzieję, że jego ramię straci równowagę i zsunie się jej na plecy.

Potań oczy.

– Muszę napisać do księżnej i wytłumaczyć się jej. Pewnie się martwi. Zrobię to z samego rana. Pokażesz mi, gdzie tutaj jest poczta?

– Nietrudno ją znaleźć.

Emmeline wróciła, stąpając leciutko, jakby myślała, że śpią.

- Myślisz, że nic mu nie będzie?

- Reggie jest bystry i dobrze radzi sobie z końmi – odparła Elsie. – Nic mu się nie stanie.

Emmeline uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała.

- Miałam na myśli Ogdena.

Elsie poczuła ucisk w sercu.

- Ja... tak, jestem pewna, że tak. Udało mu się przeżyć pięćdziesiąt pięć lat. Byłabym zaskoczona, gdyby nie pożył jeszcze przynajmniej drugie tyle.

Emmeline wyglądała na uspokojoną i usiadła na fotelu naprzeciwko nich, stukając apatycznie palcem po brzegu wczorajszej gazety.

Bachus zapytał ją o rodzinę, a Elsie była na wskroś świadoma jego bliskości – jego głosu, jego ciała zaledwie kilka centymetrów od niej. Emanowało z niego ciepło, a ona zastanawiała się, jak ktoś, kto jest tak gorący, może czuć się komfortowo w surducie.

Przez to oczywiście jej myśli poszybowały do chwili, kiedy ostatni raz znajdowała się tak blisko niego. I wtedy także jej ciało oblało się żarem, który w połączeniu z jego ciepłem był niemal nie do zniesienia.

Zachowała się zuchwale. I to bardzo. Jakże to było lekkomyślne! A mimo to Bachus nie wydawał się tym zniechęcony. W zasadzie to było całkiem na odwrót...

Co by się stało, gdyby po raz drugi zachowała się tak śmiało?

Ale Emmeline trajkotała o widokach w Aylesbury, a jej znajomy, pogodny głos boleśnie przypomniał jej, że nie są z Bachusem sami. I dobrze, oczywiście. A mimo to Elsie chciała wyciągnąć rękę i dotknąć jego kolana, tylko po to, żeby zobaczyć, jak by zareagował. Chciała pociągnąć go za palce i przekonać, aby ją objął. Chciała poczuć jego brodę przy swoich ustach, ponieważ podobało jej się to, że jego myśli o niej są niechrześcijańskie.

Ale zaraz przypomnieli jej się Ogden i Mistrzynie Merton, i Mistrz Phillips; zaskoczyła ją jej własna samolubność i to zdusiło żar pod jej skórą tak dotkliwie, że aż zadrżała.

Bachus spojrział na nią i jego ręka opadła na jej ramiona w taki sposób, o którym przed chwilą zamarzyła Elsie. Z jego dłoni, którą ścisnął jej rękę, emanowało ciepło – zbyt cudowne, żeby miało pochodzić tylko z tego dotyku. To było proste zakłęcie temperatury. Użył go, żeby jej zrobić przyjemność.

Ze wszystkich rzeczy, które wydarzyły się w ciągu ostatnich kilku dni, to właśnie spowodowało, że zachciało jej się płakać.

Odzyskawszy kontrolę nad głosem, Elsie zapytała Emmeline:

- Czy podczas ostatniego wyjazdu do domu byłaś w Waddesdon? – była to rezydencja udostępniana do zwiedzania. Emmeline tak często o niej opowiadała, że Elsie pomyślała, że sama by chętnie ją zobaczyła.

Emmeline pokręciła głową.

- Nie, w domu było tyle do zrobienia. Powinnaś kiedyś nas odwiedzić i poszłybyśmy tam razem. Wiem o tej posiadłości już tyle, że chyba mogłabym cię sama oprowadzić – uśmiechnęła się.

Światło świecy paliło się długo, więc cała trójka kontynuowała jeszcze przez pewien czas cichą rozmowę, a Elsie nasłuchiwała Ogdena, chociaż zapowiedział, żeby na niego nie czekali.

Bachus zasnął pierwszy; z głową na oparciu. Elsie przyglądała się jego twarzy, podczas gdy Emmeline opowiadała jej o wydarzeniach z powieści, której Elsie nie zdołała przeczytać. We śnie Bachus wyglądał młodziej. Był spokojny i piękny, więc gdyby nie było z nimi Emmeline, Elsie może odważyłaby się wyznać mu swoje uczucia tak, żeby myślał, że mu się to śniło.

Ogden wrócił do domu dopiero kwadrans po dziesiątej następnego ranka. Na szczęście Elsie wydobrzała już na tyle, żeby bez pomocy zejść na dół.

Był przybity zmęczeniem, widać było, że nie spał; miał cienie pod oczami i plecy tak przygarbione, że nie byłby w stanie ukryć swojego wieku. Ogólnie wyglądał źle, chociaż to może dlatego, że cały aż ociekał rozczarowaniem.

– Cały teren jest starannie strzeżony – mówił głosem o dwadzieścia lat starszym – ale mają zorganizować wyprzedaż w posiadłości. Będzie trwała cztery dni. Opus będzie wystawiony tylko pierwszego dnia – potarł zaczerwienione oczy – pozostaje pytanie, kiedy to się wydarzy. Nie wiedział tego żaden z mężczyzn na warcie. Ja... nie mogłem wejść do środka. Było tam za dużo ludzi.

Elsie położyła lekko dłoń na ramieniu Cuthberta, czując ulgę, kiedy jej nie odepchnął.

– W takim razie poczekamy. Wyślę wiadomość do Irene. Ona ma największe szanse dowiedzieć się o tym pierwsza, skoro Bachus mieszka teraz tutaj, a nie w Londynie.

Ogden przytaknął. Przypominał mężczyznę na pogrzebie ukochanej.

– Pójdę odpocząć.

– Może zjesz śniadanie? – zaproponowała Elsie.

Ale on machnął tylko ręką i powlókł się na górę po schodach.

W środę pojawiło się pytanie, czy z uwagi na ostatnie wydarzenia nie należałoby przełożyć ślubu Elsie i Bachusa. Miał się odbyć już za dziesięć dni. Bachus się nie zgodził, mówiąc, że nie pozwoli, aby Merton miała władzę nad jego życiem. Ale Elsie była także świadoma tego, czego nie powiedział: że to ochroni ją od stryczka. Zaproszenia zostały już rozesłane, a lord Astley, sędzia, który rozpatrywał sprawę Elsie, potwierdził już swoją obecność.

Bachus powiedział jej, że i tak zalecałby się do niej. Ale jak? Czy nagle zaczęłyby częściej odwiedzać pracownię kamieniarza? Czy zapraszałby ją częściej na kolacje do Siedmiu Dębów? Czy może raczej popłynąłby do domu i przemyślał sprawę, nie kontaktując się z nią aż do powrotu do Anglii?

Gdzie byłaby teraz Elsie, gdyby system sprawiedliwości nie zmusił jej do tych zaręczyn? Z pewnością nie stałaby na taborecie ubrana w kremową suknię, a krawcowa nie byłaby teraz zajęta przymiarką. Elsie położyła dłoń na brzuchu. *Przypomnij sobie, jak cię całuje. To nieprawda, że cię nie chce.*

Przygryzając wargę, odważyła się spojrzeć w lustro. Suknia nie była jeszcze skończona, ale miała już wszystkie najważniejsze elementy. Rękawy, kołnierzyk, marszczenia na spódnicy. A na kolanach Emmeline leżały trzy pasma koronki, których jej przyjaciółka dotykała ostrożnie, wręcz nabożnie. Elsie miała nadzieję, że będzie kiedyś siedziała na tamtym krześle, kiedy

Emmeline znajdzie kogoś, kto jest jej wart. Po prawdzie miała nadzieję, że przyjaciółka ma już na oku pewnego członka jej rodziny.

– Możesz wybrać – zaproponowała jej Elsie, przekręcając się odrobinkę na polecenie krawcovej – mnie podobają się wszystkie.

Promieniejąc z radości, Emmeline podniosła środkowe pasmo – ta będzie idealna.

Elsie modliła się, żeby Bachus też tak pomyślał.

W czwartek wrócił Reggie. Miał ze sobą kopie wszystkich gazet, w których ukazały się ich artykuły, i chociaż Elsie dokładnie знаła ich treść, przejrzała je i tak, wyobrażając sobie, jak na nie zareaguje Quinn Raven, kiedy, i jeśli, je zobaczy. Zastanawiała się, czy Reggie mógłby poprosić jeszcze raz kogo trzeba, żeby ich artykuły zostały opublikowane więcej niż raz.

Elsie była zajęta przeglądaniem, więc Reggie wręczył ostatnią gazetę, którą trzymał pod pachą, Ogdenowi – ten miał podwiniete rękawy i ręce poplamione szarą gliną, ponieważ pracował nad wyrobami garncarskimi.

Cuthbert odwinął gazetę. Tytuł artykułu z pierwszej strony był napisany tak dużą czcionką, że kiedy Elsie podniosła wzrok, mogła z łatwością go odczytać z miejsca, w którym siedziała w jadalni. *Mistrz Enoch Phillips uznany za winnego kradzieży opusów oraz morderstw.*

Zaschło jej w ustach.

Bachus westchnął i potarł brodę.

– Przynajmniej nie będzie ich już więcej, jeśli Merton chce z Phillipsa uczynić kozła ofiarnego. Wygląda na to, że zakład kamieniarski jest już bezpieczny.

Nie wspominał o wyprowadzce, za co Elsie była mu wdzięczna. Bo nie tylko czuła się w jego obecności bezpieczniejsza, ale też przyzwyczaiła się do niej, do wieczornych rozmów i do jego wnikliwego umysłu. Sprawiał, że czuła się dostrzeżona w taki sposób, w jaki jeszcze nikt nigdy jej nie dostrzegał.

Ale nie można było tego tak zostawić. Nie wolno było pozwolić, żeby Merton się upiekło.

– A co, jeśli to Ogden trafiłby za kraty? – poczuła chłód na wspomnienie oksfordzkiej celi i zadrzała. – Mistrz Phillips... był przerażający i został zmuszony do zrobienia okropnych rzeczy, ale tak naprawdę to nie on. Widziałam, jak z tym walczył. To niesprawiedliwe.

Ogden opuścił trzymaną w dłoni gazetę.

– Co chcesz, żebyśmy zrobili, Elsie?

Przygryzła wargę, zastanawiając się nad tym, a Reggie usiadł obok niej.

– Napiszę do Irene. Może zdoła zabrać mnie ze sobą do niego, zanim zostanie skazany. Jeśli to ona stwierdzi, że ciąży na nim zakłęcie, posłuchają jej. Możemy udowodnić, że został wykorzystany.

Bachus pomyślał.

– Byłby z niego potężny sojusznik.

– Zrobię to od razu – wstała, odsuwając krzesło.

– Ostrożnie dobieraj słowa – ostrzegł Ogden.

Rzuciła mu najlepsze miazdzące spojrzenie, na jakie było ją stać.

– Doprawdy? Dziesięć lat ukrywałam, kim jestem, i myślisz, że teraz popełnię błąd?

Ogden uśmiechnął się. Machnął ręką, wskazując, żeby już poszła.

- Dowiedz się, czy słyszała o posiadłości, proszę – dodał nieco ciszej.

Elsie przytaknęła, ale wiedziała, że Irene nie będzie miała takiej wiedzy. Obiecała, że skontaktuje się z nim, jak tylko czegoś się dowie, a dotąd nie nadeszła żadna wiadomość.

W piątek przed świtem Irene i Elsie wyruszyły do Więzienia Jej Królewskiej Mości w Oksfordzie, w którym przetrzymywany był Mistrz Phillips. Czyli tego samego miejsca, w którym Elsie spędziła trzy dni.

Po drodze Elsie opisała jej punkty na węźle tego zaklęcia duchowego, natomiast Irene wytłumaczyła, jak wpasują tę wycieczkę do programu jej szkolenia. Więzienia dla aspektorów należały do najlepiej strzeżonych w kraju i zatrudniano tam łamaczy zaklęć, żeby upilnować więźniów.

- To ponura praca, ale dobrze płatna – wyjaśniła.

Po dzisiejszej wizycie Elsie nie zamierzała już nigdy więcej przekraczać progu więzienia w Oksfordzie, nie mówiąc już o zatrudnianiu się tam.

Podróż wydawała się trwać wieki, chociaż kiedy była tam wieziona wozem więziennym, było to doznanie zdecydowanie mniej przyjemnie. Myśli jej szalały, kiedy wreszcie dotarły do kamiennego kolosa; w jej głowie pojawiały się różne scenariusze, według których zostaje zdemaskowana i ponownie trafia za kraty. Chociaż Merton z pewnością nie ujawniłaby się teraz, kiedy wszyscy myślą, że umarła, a Irene... Irene ufała. Ona nie miała żadnego powodu, żeby ją wydać.

Strażnik zaprowadził je do naczelnika więzienia, który nosił odznakę aspektora fizycznego. Nie mistrzowską, jaką posiadał Bachus, ale tę niebieską, która wskazywała na jego specjalizację. Elsie przez chwilę zastanawiała się, jak bardzo jest doświadczony – średnio zaawansowany? Zaawansowany? – ale go o to nie zapytała. Jego biuro było tak samo szare i kamienne jak reszta więzienia; było w nim jedno okratowane okno wychodzące na południe. Siedział za prostym biurkiem, pustym, jeśli nie liczyć hibiskusa w doniczce stojącej w rogu oraz dużego szkła powiększającego i filiżanki z zimną herbatą.

Irene podała swoje nazwisko i przedstawiła Elsie jako swoją uczennicę. Przed przybyciem w ostatniej chwili nadała telegram, więc ich wizyta była zapowiedziana. Irene potrafiła zadbać o szczegóły. Pomimo tego, co wcześniej myślała o niej Elsie, Irene była jedną z najbardziej kompetentnych osób, jakie znała. Elsie wolała nie myśleć, gdzie teraz by była, gdyby Londyńskie Ateneum Fizyczne przydzieliło jej innego nauczyciela.

- I sądzi pani, że na tę osobę zostało nałożone takie właśnie zaklęcie? – naczelnik, który wyglądał na mniej więcej równego wiekiem Ogdenowi, brzmiał sceptycznie.

- Znam Mistrza Phillipsa – zapewniła Irene – z moich studiów nad zaklęciami... Cóż, on przejawia takie symptomy. Musi pan pozwolić mi to sprawdzić. Może pan ze mną posłać tylu strażników, ilu pan sobie życzy.

- Pani telegram bardzo mnie zainteresował – naczelnik rozsiadł się na krześle, zakładając ramiona na piersi – ponieważ aresztowany także utrzymuje, że znajdował się pod wpływem zaklęcia.

Elsie była wstrząśnięta. Oczywiście, że Mistrz Phillips wiedział. Próbował z tym walczyć w tamtą noc na jego posiadłości, podobnie jak Ogden wtedy w dokach.

Irene zachowała spokój.

– W takim razie z pewnością poszukiwacze prawdy to potwierdzili.

Naczelnik zmarszczył czoło.

– Nieznane mi są żadne sposoby pozwalające na ukrycie przez aspektora fizycznego zakłęcia prawdy, ale tak, potwierdzili. Może pani sama sprawdzić, panno Prescott, ale my nie znaleźliśmy żadnych dowodów rzucenia na niego zakłęcia, a on nie wie, kto za tym stoi. Chyba że pani ma wiedzę na ten temat.

Irene spojrzała na Elsie.

– To jeszcze nie zostało ustalone.

Naczelnik przeniósł wzrok na Elsie, ale nie sprzeciwił się jej obecności. Irene powiedziała mu, że chce zaznajomić swoją uczennicę ze wszystkimi aspektami zawodu łamacza zakłęb.

Naczelnik wzruszył ramionami.

– Dobrze. Phillips przebywa w najlepiej strzeżonej części więzienia, ale wyślę z panią paru strażników, tak na wszelki wypadek. Ja też pójdę – wstał i wskazał na drzwi.

Na korytarzu powiedział coś szeptem strażnikowi, który oddalił się, żeby zebrać trzech ludzi, mającym im towarzyszyć. Elsie zauważyła, że dwóch z nich było łamaczami zakłęb, a jeden aspektozem duchowym.

Czy więzienni łamacze zakłęb mieliby potwierdzić słowa Mistrza Phillipsa, czy ich zadaniem miało być po prostu zapobieżenie użyciu przez niego magii? Elsie spojrzała na Irene, której wyraz twarzy przypominał sztywną maskę.

Potem naczelnik, który niósł klucze, poprowadził je do celi Mistrza Phillipsa.

Elsie zacisnęła zęby, żeby powstrzymać je przed szczękaniem, kiedy zapuszczali się w głąb zamku, coraz niżej i niżej, a z każdym stopniem było coraz ciemniej, aż światło słoneczne stało się całkowicie niewidoczne. Na ścianach wisiały proste zakłębte lampy, które jednak nie wystarczały, żeby rozświetlić tę przestrzeń albo dodać jej choć odrobinę radości.

Naczelnik nie kłamał: cele były dobrze strzeżone. Przy każdej z nich stało dwóch uzbrojonych mężczyzn, a do tego kolejni pilnowali wyjść albo przemierzali korytarze, w każdej chwili gotowi do działania. Kilku z nich przywitało się z naczelnikiem skinieniem głowy, kiedy ten ich mijał. Spoglądali też z zaciekawieniem na Elsie i Irene, które były tam jedynymi kobietami.

Mistrz Phillips był przetrzymywany w celi drugiej od końca. Na dłoniach miał założone zakłębte skrzynki, a do tego związane nadgarstki i nogi w kostkach. Ubrany był w szare więzienne ubranie i zaniedbany; z nieogolonym zarostem wyglądał, jakby go ktoś niezbyt równo doprawił solą i pieprzem.

Do Elsie dotarło, że miała szczęście, że trafiła tutaj jako łamaczka zakłęb. Łamacze zakłęb nie mieli władzy nad żelazem i kamieniem – byli nie bardziej groźni niż zwykli więźniowie i tak też traktowani. Jednak twórcy zakłęb potrafili zmieniać otoczenie, a zwłaszcza aspektorzy fizyczni. Mistrz Phillips nie miał nawet możliwości się poruszać. Patrzył obojętnie na przybyśy, aż dostrzegł Elsie. Obawiając się, że Phillips może coś powiedzieć, zatrzymała się z tyłu i pozwoliła Irene przejąć stery.

- Łamaczka zakłęk - odezwał się naczelnik, podając klucze strażnikowi, który je otworzył - obejrzy cię na potrzeby swoich badań, Phillips. Niczego nie próbuj. Nie chciałbym cię jeszcze mocniej krępować.

Phillips się nie odezwał, ale spojrzął na Irene z takim smutkiem w oczach, że Elsie zabołało serce. Pierwsi do celi weszli więzienni łamacze zakłęk, stanęli po obu stronach Phillipsa. Irene weszła za nimi, przytrzymała spódnicę, żeby uklęknąć przed mistrzem aspektem.

Elsie przesunęła się do przodu, obserwowała. Irene pochyliła głowę, przysuwając ucho do klatki piersiowej Phillipsa, jak lekarz, który wykonuje najnormalniejsze w świecie badanie. Phillips coś do niej wyszeptał, a Elsie zajęło chwilę, zanim poskładała te dźwięki w całość.

- Nie znajdziesz go - powiedział.

Elsie wstrzymała oddech. Irene badała go dalej, jego brzuch, plecy, nogi, posunęła się nawet do podniesienia mu koszuli. Potem odwróciła się i bystrym wzrokiem najpierw odszukała Elsie, a potem spojrzęła na naczelnika.

- Obawiam się, że się myliłam - powiedziała cichym, niespokojnym głosem. - Wygląda na to, że muszę pogłębić moje badania. Nie ciąży na nim ani jedna kłątwa.

Elsie przytrzymała się krat, żeby się nie zachwiać. Zakłęcie takie jak to mogło zniknąć tylko na dwa sposoby. Pierwszy - jeśli Merton rzeczywiście wszystko porządnie przemyślała i zaplanowała usunięcie kłątwy przed wydaniem Phillipsa. A drugi...

Oznaczał, że Lily Merton rzeczywiście zmarła.

Rozdział 19

Trudno było udawać, że nic się nie zmieniło. Pójść do domu dziedzica Douglasa, żeby zatwierdził projekt popiersia, wypełniać księgi Ogdena, witać klientów, którzy przychodzili do pracowni. Ich świat nadal się kręcił, chociaż jej stanął w miejscu.

Mistrz Phillips miał ostatecznie z dużą pewnością zostać stracony, chociaż sprawę opóźniały ustalenia poszukiwaczy prawdy. On sam szczerze zeznał trzy rzeczy: że to nie on był zabójcą, że nie ukradł opusów oraz że znajdował się pod wpływem zaklęcia. Ale nie było na to dowodów, a jego własne słowa nie wystarczyłyby do uniewinnienia go. Przecież ktoś może wierzyć, że coś jest prawdą, kiedy w rzeczywistości jest dokładnie odwrotnie – na przykład egoista może być przekonany, że jest życzliwy, albo ktoś brzydki może uważać się za pięknego. Tak więc prawda, która była lepkiem tworem o chwiejnym obliczu, nie wystarczyła, żeby uniewinnić człowieka, zwłaszcza kiedy w jego domu znaleziono tak wiele zaginionych opusów.

Skoro nie było dowodów na potwierdzenie słów Mistrza Phillipsa, prawdopodobnie zostanie on uznany za człowieka niespełna rozumu i jego proces będzie kontynuowany. Chociaż z pewnością inni mogliby zapewnić mu alibi i zaświadczyć, że nie było go w miejscach zbrodni, na przykład u wicehrabiego Byrona albo Almy Digby, którzy zostali zamordowani. Być może te niejasności zabezpieczyłyby Mistrza Phillipsa przed straceniem na tyle długo, żeby Elsie mogła ustalić, co na Boga planowała Merton, jeśli w ogóle znajdowała się nadal wśród żywych.

Gdyby Elsie służyła Kapturom z mniejszym oddaniem, żadna z tych rzeczy by się nie wydarzyła. Mistrzowi Phillipsowi, tym zamordowanym i Ogdenuwi.

Teraz Elsie martwiła się także o to.

Poprzedniego dnia wieczorem, kiedy wracały z Oksfordu, Irene powiedziała coś, co wbiło się w myśli Elsie jak zardzewiały nóż i utkwilo w nich, a ona nie potrafiła się tego pozbyć.

– Kto wie, kogo jeszcze Merton kontrolowała – powiedziała Irene, a potem cmoknęła i spojrzała przez okno z wyrazem bezsilności na twarzy. Przez to podróż powrotna z Oksfordu zyskała miano najdłuższej w jej życiu.

Lily Merton przyjaźniła się z księciem i księżną Kentu. Elsie poznała ją – przynajmniej oficjalnie – kiedy po raz pierwszy jadła kolację w Siedmiu Dębach. Oczywiście nie miała wtedy pojęcia, kim była Lily Merton, chociaż ta kobieta wysłała ją wcześniej dwukrotnie do Siedmiu Dębów, gdzie realizowała zadania zlecone jej przez Kaptury. Być może chodziło jej o opus odziedziczony w spadku przez księcia albo o opus Bachusa. A może o oba jednocześnie.

Podnosząc wzrok znad drogi – bo wracała właśnie od dziedzica z zatwierdzoną podpisem pana Parkera zgodą w dłoni – zauważyła Bachusa, który czekał przed pracownią kamieniarza. Miał ręce założone na piersi, był spięty, a sposób, w jaki mrużył oczy od słońca, sprawiał, że wyglądał groźnie, a przynajmniej mógł się taki wydawać komuś, kto go nie znał. Jego ciemne włosy błyszcząły w słońcu, a kiedy się odwrócił i ją ujrzał, jego twarz się rozświetliła. Wyszedł jej na spotkanie, minął studnię i przeszedł na drugą stronę głównej drogi.

Kiedy spotkali się przy pracowni krawcowej, Elsie poczuła ucisk w piersi.

– Co się stało?

Podał jej ramię, które Elsie ujęła, a potem wręczył jej cienką kartkę. Na ulicy nie było zbyt dużo ludzi, więc nie musiała się obawiać, że ktoś podejrzy.

To była ulotka informująca o wyprzedaży w domu Merton.

– We wtorek – powiedział cicho, kiedy szli w stronę domu. – Ogden dobrze się wtedy wypytał. Wyprzedaż będzie trwała do piątku, ale opus będzie wystawiony tylko we wtorek, na czas ceremonii, a potem zabiorą go do Ateneum.

Elsie przeczytała ulotkę, chociaż nie było w niej nic więcej ponad to, co właśnie powiedział jej Bachus.

– Irene?

– Jest w środku, rozmawia z panem Ogdenem.

Elsie przytaknęła. Zwinęła papier.

– Nie wiem, jak się do niego dostaniemy.

– On jest pewien, że uda nam się, jeśli wyjedziemy wcześniej – Bachus wypuścił powietrze. – Sądzi, że zdoła wpłynąć na umysły strażników, żebym mógł się dostać do opusu.

Elsie zwołniła.

– Ty?

Bachus przytaknął.

– On jest po łacinie, a rozumiem, że ty jej nie znasz za dobrze.

Elsie zmarszczyła brwi, ale przytaknęła.

– A jeśli będą na nim jakieś zaklęcia?

– Będziesz tam z nami i Irene. On chce zabrać także Emmeline i Reggiego, na wypadek gdyby trzeba było zrobić zamieszanie.

Elsie zacisnęła się żołądek.

– Jeśli zobaczą cię z opusem...

– Wszyscy podejmiemy ryzyko – powiedział i przycisnął jej rękę łokciem do siebie, uspokajając ją.

To naprawdę będzie ryzykowne. Cuthbert będzie musiał wkraść się w umysły wielu strażników... Elsie nigdy jeszcze nie była na wyprzedaży majątku, nie mówiąc już o majątku mistrza aspektora. Ilu tam będzie strażników? Jak daleko może sięgnąć zaklęcie Ogdena?

A jak daleko zaklęcia Merton?

Dotarli do domu, ale Elsie pociągnęła Bachusa za rękę.

– Czy... możemy chwilę porozmawiać? – wiedziała, że jeśli zachowa swoje obawy dla siebie, to one ją zamęczą, bezustannie szemrając z tyłu jej głowy. A tyle się teraz działo, że nie poradziłyby sobie z jeszcze jednym problemem.

Bachus uniósł brew, ale przytaknął, więc Elsie poprowadziła go wokół pracowni, na dziki teren za domem. Był tam zagajnik, w którym rosły derenie i który dawał trochę cienia. W tym samym miejscu spierała się z nim kiedyś o stosowność wspólnego wyjazdu do Ipswich.

Bachus zatrzymał się, rozplątał ich ręce i przytrzymał ją za łokieć.

– Co się stało?

Elsie roześmiała się.

– To jest pytanie roku, prawda?

Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu, ale oczy miał poważne. Czekał cierpliwie; pojedyncze falowane pasmo włosów opadło mu na twarz. Elsie chciała je założyć mu za ucho, ale nagle poczuła się speszona. Jakby ten prosty gest miał być bardziej intymny niż wszystkie ich dotychczasowe doznania.

– Merton – zaczęła cicho, rozglądając się wokół, upewniając się, że nikt ich nie usłyszy – czy ona kiedykolwiek... cię dotknęła?

– Dotknęła? – zastanowił się chwilę. – Kiedyś prowadziłem ją do jadalni – jego wzrok złagodniał. – Nie nałożyła na mnie klątwy. Odkryłabyś ją, tak jak inne.

– Minęło sporo czasu, od kiedy byliśmy w domu Mistrza Pierrele – odparła cicho.

Bachus podparł palcem jej brodę.

– Tak czy siak, nie widziałem się z nią, od kiedy Abel Nash próbował mnie zabić.

Jego słowa nie uspokoiły jej tak, jak powinny. Wątpliwości od dawna były wiernymi towarzyszami Elsie, zawsze obecnymi w jej myślach i rozmowach. Jej ślepe zawierzenie Kapturom i obecne fiasko próby pomocy Mistrzowi Phillipsowi spowodowały, że zaczęła kwestionować to, co zwykła wcześniej uważać za pewne.

– Ona mogła cię zmusić, żebyś to powiedział – zakreśliła pierścieniem na palcu.

Bachus zastanawiał się chwilę, a potem podszedł do niej i objął silnymi ramionami. Nikt nie mógł ich tutaj widzieć, ale i tak czuła się zawstydzona. Bachus oparł brodę na jej głowie.

– Słuchaj.

Spokojnie. Wszystko jest w porządku, uspokajała sama siebie i mięsień po mięśniu rozluźniła się w jego objęciach, pozwalając dłoniom powędrować na jego plecy. Przekreśliła głowę, przykładając ucho obok jego kołnierzyka, i słuchała. W trawie cykały świerszcze. Serce Bachusa biło mocno i spokojnie pod jej policzkiem. Poza tym nie było słycać żadnej melodii zaklęcia duchowego.

– Ogden ukrywał swoje przez dziewięć lat – wyszeptala.

– Jeśli nalegasz, mogę zdjąć ubranie.

Elsie się speszyła, a Bachus roześmiał, przez co i ona zaczęła się śmiać – i to jej uświadomiło, że w jej życiu było za mało radości. Taką kontrolę miała nad nią Mistrzyni Merton, nawet bez zaklęć.

Elsie cofnęła się i potarła dłonią szyję z nadzieją, że ukryje zaróżowione policzki.

– Nie sądzę, aby to było konieczne, Mistrzu Kelsey – powiedziała, a w jej głowie pojawił się przebłysk wspomnienia jej dłoni na jego nagiej piersi, przez co jej skóra jeszcze bardziej się zaczerwieniła. Jednocześnie Elsie poczuła wewnątrz ulgę, która zakwitła jak piękny kwiat. Oczywiście, że cała ich relacja była szczerą od samego początku – od sponiewierania jej przez Bachusa w Siedmiu Dębach przez jego upór w kwestii jej niewinności i zaręczyny, których nigdy tak naprawdę nie było, i tamten pocałunek w powozie aż do teraz. To wszystko było prawdziwe, musiało być prawdziwe, a mimo to miała wrażenie, że nie różni się niczym od jednej z powieści, które czytała. Że zaraz przewróci kartkę na drugą stronę i historia się skończy, ponieważ tak to już bywa z bajkami.

- Dereń.

To słowo wyrwało ją z zadumy i napotkała wzrok Bachusa.

- Co?

Wskazał na jasnozielone krzewy, które były jeszcze wyższe od niego.

- Dereń. W ciągu tamtych dziewięciu lat Ogden miał w jakimś stopniu kontrolę nad samym sobą, tak? Mógł ci zostawiać tamte wskazówki o kłatwie. Jeśli Merton naprawdę żyje i kiedykolwiek spróbuje rzucić zaklęcie na któregoś z nas, wtedy to słowo będzie naszym hasłem. W ten sposób się dowiemy.

- Dereń - powtórzyła po nim Elsie. Delikatny uśmiech pojawił się na jej ustach. - A co, jeśli będziemy siedzieli dokładnie w tym miejscu, a ja będę chciała rozmawiać o przyrodzie?

- W takim razie musimy unikać rozmów o przyrodzie czy sadownictwie. Po prawdzie ta dziedzina nie jest moją mocną stroną, więc nie będziesz miała czego żałować.

Uśmiechnęła się do niego, a potem wróciła do codzienności.

- Wyprzedź dopiero za kilka dni, może chcesz pojechać do Siedmiu Dębów?

Bachus położył dłonie na biodrach i westchnął.

- Zostali co prawda zaproszeni na ślub - zauważył - księżna nawet sama wybierała zaproszenia. Ale nie sądzę, aby książę się pojawił, nawet jeśli mu wybaczę - spojrzął na derenie. Wiatr poruszał krzewami i można było sobie niemal wyobrazić wróżki ukryte między listowiem.

- Pozwolisz mu umrzeć z takim poczuciem winy?

Bachus spojrzął na nią, a Elsie podniosła dłonie w geście poddania.

- Nie usprawiedliwiam go, ale przez tyle lat był dla ciebie jak ojciec.

- Także mój własny ojciec maczał w tym palce - Bachus odparł szorstko. Pokręcił głową. - Im bardziej się od tego oddalam, tym lepiej się czuję. Chociaż z drugiej strony, kiedy przypominam sobie te wszystkie wyzwania i obawy, którym musiałem stawić czoła w dorosłym życiu i podczas dorastania, to myślę, że przebaczenie wydaje się... nie niemożliwe, choć nadal nieprędkie - przerwał, przełknął ślinę. - Zastanawiam się, czy zwróciliby się z tym do mnie, gdybym z własnej woli zgłosił chęć pomocy. Nie jestem tego pewien, chyba nigdy się tego nie dowiemy.

- Nie obwiniaj się - powiedziała poważnym tonem, adekwatnie do tematu, ale potem zachichotała. - Gdzieś już słyszałam tę radę.

Bachus odcisnął pocałunek na jej czole. Elsie żałowała, że nie mogli tam zostać dłużej, żeby pożyć jeszcze trochę w tym baśniowym odosobnieniu, ale to było niemożliwe.

Musieli zaplanować pewien fortel.

Opus znajdował się w saloniku na piętrze.

Rozdzielili się, Bachus wziął Elsie pod rękę, Ogden zwiedzał dom z panną Prescott, a panna Pratt i Camden spacerowali po ogrodzie. Nie chcieli zwracać na siebie uwagi jako jedna duża grupa. Ustalili też, że nie byłoby rozsądnie, gdyby od razu skierowali się w stronę opusu. To była wyprzedź majątku, dlatego musieli wyglądać na zainteresowanych jakimś zakupem.

Ulotka, którą przyniosła im panna Prescott, była rozdawana w ateneach i gwarantowała twórcom oraz łamaczom zakłócić priorytetowe traktowanie podczas tego wydarzenia. Dlatego Bachus przypiął do ubrania swój rzucający się w oczy znaczek mistrza, a panna Pratt swój – znaczek licencjonowanej łamaczki zakłócić.

Mieli plan, ale tyle rzeczy mogło pójść nie po ich myśli. Bachus na przykład martwił się o Ogdena, który za bardzo zaangażował się w tę sprawę. Ostatnio nie spał po nocach – Bachus nieraz widział, jak przesiadywał nocą w salonie ze szkicownikiem, a do tego lewe oko od czasu do czasu drgało mu z przemęczenia. Oby chęć ochrony bliskich przeważała nad jego osobistą potrzebą zemsty. Przecież jeśli ten opus rzeczywiście należy do Merton... to wtedy całe to przedsięwzięcie i tak będzie skończone. Po prawdzie Bachus miał nadzieję na taki obrót sprawy, nawet jeśli sprawiedliwości nie stałoby się zadość. Miło byłoby zaznać spokoju, choć przez chwilę. Jednak wtedy Mistrz Phillips znalazłby się w tragicznym położeniu. Mimo że Bachus nie był jego szczególnym wielbicielem, poczucie sprawiedliwości nie mogło mu pozwolić, żeby ten człowiek cierpiał za cudze występki.

Razem z Elsie oglądali obrazy, udając zainteresowanie niektórymi z nich, chociaż tak naprawdę spodobał mu się tylko jeden, taki przedstawiający angielski krajobraz. Kilka pokoi było zamkniętych i wejście do nich zostało zagrodzone. Jedno z okien, to, które wybito, zasłonięto teraz deskami, a na wykładzinie był jasny ślad po dywanie, który zdjęto prawdopodobnie dlatego, że był poplamiony krwią. Inne pokoje prawdopodobnie nie zostały jeszcze uporządkowane albo wykorzystywano je jako składziki.

Dom Merton był uroczy, ale duży. Było w nim więcej miejsca, niż mogłaby potrzebować samotna kobieta, zwłaszcza że jedyną osobą ze służby, jaką najwyraźniej zatrzymała, był kucharz. Salonik znajdował się na końcu dużego holu, a olbrzymie okna, wychodzące na wąski taras, wpuszczały do niego poranne słońce. Po obu stronach saloniku znajdowały się dwa pokoje, jednym była biblioteka, a drugim gabinet Merton. Kilka osób – rannych ptaszków, podobnie jak oni – oglądało tam książki, być może z nadzieją, że znajdą ukryte w nich jakieś sekrety aspektorki.

Ściany saloniku były białe i prosto zdobione, a wykładzina miała kolor burgundowy. Na końcu saloniku stało drewniane, pomalowane na biało podium, ogrodzone ciemnoszarym sznurem, który miał uniemożliwiać zwiedzającym dotykanie. Na podium leżał opasły opus z okładkami w kolorach marmurkowego fioletu oraz kremowym. Jego grube kartki miały srebrne brzegi i zaokrąglone rogi. Był to raczej kobiecy opus. I oczywiście był zamknięty.

A co gorsza, w samym tylko saloniku porządku strzeżło aż pięciu uzbrojonych strażników, z których każdy miał przy sobie miecz i strzelbę. Jeden z nich stał pomiędzy podium i tarasem, a drugi przy wejściu do biblioteki. Trzeci pilnował drzwi do gabinetu, natomiast dwóch kolejnych wejścia do salonu. Jeden z nich miał niebieskie kłapy marynarki, co wyróżniało go spośród pozostałych jako aspektora fizycznego. Nie miał jednak przypinki, co oznaczało, że był na poziomie średnio zaawansowanym, ale najwyraźniej się wypalił i zdecydował o przyjęciu posady w policji zamiast w Ateneum.

Elsie ścisnęła ramię Bachusa, kiedy podeszli do opusu, żeby złożyć wyrazy szacunku, podobnie jak podchodzi się do trumny na pogrzebie. Spojrzała poza opus, a jej oczy straciły ostrość widzenia.

- On jest prawdziwy - wyszeptła, a potem mrugnęła zaskoczona. - Myślałam... sądziłam, że wystawią tylko projekcję, a prawdziwą księgę schowają gdzieś w zamkniętym pomieszczeniu.

Bachus celowo nie patrzył na strażników i prowadził Elsie wolno dookoła podium. Ktoś, kto by na nich patrzył, sądziłby, że zwyczajnie podziwiają opus.

- Co jeszcze? - zapytał.

Elsie zamknęła na chwilę oczy.

- Na podium jest zaklęcie umysłowe. Emocjonalne.

- Może chodzi o wywołanie strachu, żeby zniechęcić tych zbyt ciekawskich.

Przytaknęła, nadal nieobecna, usiłując wyczuć inne zaklęcia, którym będą musieli stawić czoła.

Bachus dostrzegł na jej nosie kilka nowych piegów i przez moment jego myśli popłynęły na Barbados, wyobraził sobie Elsie spacerującą po plaży z piegami kwitnącymi na całej twarzy. Był pewien, że jej by się to nie spodobało, ale dla niego ten obraz był pełen uroku.

- Wokół opusu jest zaklęcie zagęszczające powietrze i myślę, że ono sięga też podium. I - pociągnęła nosem - może na nim być też jakieś zaklęcie tymczasowe, żeby zachować strony w dobrym stanie, ale to równie dobrze może być zapach samego opusu. Nie wiem... nie wahałam zbyt wielu opusów.

Bachus zaczął się śmiać i odsunęli się z Elsie, żeby strażnicy zbyt blisko się na nich nie skupili. Szkoda, że nikt inny nie mógł wykonać tego zadania; ludzie zawsze patrzyli na Bachusa podejrzliwie, nieważne, jak by się zachowywał, podobnie było podczas licytacji w domu aukcyjnym Christie's. Tutaj przynajmniej miał przypinkę mistrza aspektora. Widział, jak spoglądali na nią strażnicy.

Czy Elsie jest nadal z panem? - usłyszał w głowie głos Ogdena.

Elsie drgnęła, wyczuwając zaklęcie. Bachus poprowadził ją do gabinetu.

Tak - odpowiedział w myślach. - Opus jest w saloniku. Jest chroniony przez kilka zaklęć fizycznych i jedno umysłowe.

Czy może pan zastąpić te fizyczne, jeśli jej uda się je rozplątać?

Każde z tych zaklęć znajdowało się w repertuarze Bachusa.

Tak. Ale nie jestem pewien co do tego umysłowego.

Proszę się postarać.

Zaczęli rozglądać się po gabinecie, przy czym każde z nich co chwila na zmianę wyglądało przez drzwi. Do saloniku weszła kolejna para, byli to starsi ludzie i żadne z nich nie miało znaczką. Może to jakiś lokalny baron z żoną? Tak czy owak musieli działać szybko. Niedługo mogły zacząć się zbierać tłumy.

Osoby, które wcześniej zwiedzały bibliotekę, przeszły do saloniku, ale musiały już wcześniej oglądać opus, ponieważ skierowały się do holu.

Bachus przejechał dłonią po gładkim dębowym biurku. Wisiała na nim metka z ceną - 100 funtów.

- Ogden - szepnęła Elsie tak cicho, że ledwie ją dosłyszał. Puls mu przyśpieszył, ale zmusił się do dalszego oglądania pokoju. Przyjrzał się kilku rzeczom, zapisał: *srebrne świeczniki, 2*

funty, na swojej karcie do licytacji, tak żeby nie wychodzić stąd z pustymi rękami. Elsie ścisłała go mocno za ramię, ale poza tym świetnie ukrywała zdenerwowanie.

Kiedy wreszcie powrócili do saloniku, zauważyli Ogdena na tarasie, a pannę Prescott oglądającą babciny zegar na przeciwległej ścianie. Para, która była tam wcześniej, przeszła do biblioteki.

Teraz – do głowy wcisnął mu się głos Ogdena.

I nagle strażnicy spojrzeli jednocześnie w górę i mrużąc oczy, przyglądali się czemuś na suficie. Czemuś, co tylko oni wiedzieli.

Elsie podbiegła do podium, jej palce chwyciły powietrze, jakby przędły sieć. Bachus pośpieszył za nią. Nieważne, czy opus był zespolony z podium. Nie chcieli go zabierać, tylko mu się przyjrzeć...

Bachus odsunął gwałtownie rękę, jakby księga go właśnie ugryzła.

Elsie sięgnęła do tego, jak zakładała, umysłowego zaklęcia.

– Nie – wyszeptał, zgrzytając zębami.

Ogden nadwyręzał swoje zdolności do granic możliwości, zajmując się kilkoma osobami naraz. Może nie da rady potem zastąpić tego zaklęcia. Bachus chwycił drżącą dłońią za okładkę opusu i otworzył książkę. Jego serce tak przyspieszyło, że aż czuł pod skórą swój puls. Przynajmniej jego wilgotne dłonie na coś się przydały, dzięki nim przewracanie stron było łatwiejsze. Otworzył księgę na końcu, czyli tam, gdzie znajdowały się zaklęcia mistrzowskie. Te tutaj zapisane były zaskakująco niechlujnym pismem. Czy Merton miała niepewną rękę? Nie mógł sobie przypomnieć.

O niebiosa, zaklęcie strachu sprawiło, że czuł się, jakby wkładał dłoń w paszczę węża. Elsie trzymała go mocno za biceps i to go uspokajało, nawet kiedy przyspieszał mu oddech. Dopóki czuł jej dłoń, wiedział, że strażnicy są nadal czymś zajęci. Jego zadaniem było czytanie.

Ze strachu czytał szybciej, co akurat było raczej plusem.

Musiał przeczytać po kilka linijek każdego zaklęcia, żeby je rozpoznać. Było tam mnóstwo kłatw, błogosławieństw, zaklęć komunikacyjnych dla roślin i zwierząt...

– Och, absolutnie uwielbiam pani sukienkę! – dobiegł z biblioteki głos panny Prescott. Tamta para pewnie zamierzała przejść do saloniku. A ona próbowała ich zatrzymać. – Gdzie ją pani nabyła? Jest pani bardzo do twarzy w tym kolorze...

Trzęsące się dłonie Bachusa rozdarły jedną ze stron opusu. Skrzywił się, przebiegając wzrokiem po zaklęciu tworzenia projekcji samego siebie, a potem kolejnym, bardzo podobnym, dotyczącym projekcji innej osoby.

I wtedy właśnie dotarł do końca księgi.

Zamknął ją, a następnie przechylił do tyłu, oddychając ciężko, kiedy wydostał się spod zasięgu zaklęcia strachu. Otarł pot z czoła i stwierdził:

– Nie ma go tam.

W księdze nie było zaklęcia kontrolowania innej osoby. Merton zamarkowała swoją śmierć, używając opusu innej osoby.

Bachus usłyszał odgłos wymiotów, co sprawiło, że szybko powrócił do rzeczywistości.

- Ty! Stać! - dwóch strażników pośpieszyło na taras, na którym Ogden, zgięty w pół, wymiotował na marmurową podłogę.

- Oj, biedaku! - zawołała Elsie, udając przesadnie zatroskaną. - Proszę - podała mu chusteczkę. Cuthbert był błądy i miał zapadnięte oczy.

- Powinien pan wiedzieć, że nie należy wychodzić, kiedy jest się chorym! Dobrze, że trafił pan na kamienną posadzkę, prawda? - objęła go. - Mam na imię Elsie. Wyprowadzę pana na zewnątrz.

Bachus otarł z twarzy pot własną chusteczką i pośpieszył za nimi. Elsie trzęsły się ręce. Oprócz torsji Ogden miał także krwotok z nosa. Najwyraźniej był tym wszystkim zbytnio przytłoczony.

Gdyby Bachus choć trochę dłużej przeglądał strony opusu, z pewnością zostałby przyłapany na gorącym uczynku. Pośpieszył za nimi, żeby pomóc podtrzymać Ogdena.

- Zabierzmy pana do domu - powiedział, a potem szepnął: - To nie jej.

Cuthbert zamknął oczy, jakby zmogło go wyczerpanie. Potwierdziły się jego domysły. Od samego początku miał rację. Oznaczało to także, że Merton gdzieś była, kontynuując swoje ohydne plany, które ich wszystkich połączyły.

- O rany, on jest ze mną. Zajmę się nim - panna Prescott łagodnie zajęła miejsce Elsie. Wylewnie przeprosiła strażników, z których jeden został przy nich, kiedy wyprowadzali Ogdena z posiadłości.

Bachus przyciskał chusteczkę Elsie do nosa Cuthberta. Oczywiście chusteczka będzie zniszczona, ale to nie miało znaczenia. Elsie i tak będzie musiała niedługo wymienić chusteczki na takie, na których będą widniały inicjały E.K., a nie E.C.

Emmeline i Reggie znajdowali się w pobliżu wejścia do domu, kiedy Bachus i pozostali wyszli na zewnątrz. Camden dołączył do nich, żeby pomóc, a panna Pratt zbladła niemal tak bardzo, jak Ogden.

- Sprowadzę dorożkę - powiedział Reggie Camden i pobiegł w stronę ulicy. W tym czasie Bachus i Irene poprowadzili kamieniarza na ubocze i posadzili go na trawie. Biedak wyglądał, jakby miał zaraz znowu zwymiotować.

- Proszę ją stąd zabrać - szepnęła panna Pratt, wskazując głową na Elsie. - Lepiej, żebyśmy nie byli za długo widziani razem, tak na wszelki wypadek.

Elsie otworzyła usta, jakby chciała zaprotestować, ale zaraz je zamknęła, zaciskając je w cienką linię. Bachus wziął ją za rękę i odeszli. Wrócą do domu inną dorożką.

- Nic mu nie będzie - pocieszył ją. - To minie.

Kiedy zbliżali do ulicy, w stronę której pobiegł jej brat, Elsie obejrzała się za siebie. Zauważyła podjeżdżającą małą dorożkę, miała nadzieję, że to dla jej pracodawcy. Powóz nie mógł jednak podjechać zbyt blisko, gdyż poranek już dawno minął i na ceremonię połączoną z wyprzedają majątku przybywało coraz więcej osób, a ci, którzy przyjechali własnymi pojazdami, zaparkowali najbliżej domu. Przynajmniej powstałe zamieszanie ułatwiło Elsie i Bachusowi ulotnienie się z tego miejsca. Strażnicy na pewno obserwowali Ogdena niczym drapieżnicy.

Elsie jakimś cudem zdołała wziąć głęboki wdech. Bachus nie był w stanie wyobrazić sobie, jak kobiety mogły oddychać w tych ustrojstwach, które zaciskały sobie wokół talii. Może kie-

dys ją o to zapyta.

– Nic mu nie będzie – powtórzyła za nim Elsie. I dodała: – Czyli jednak nie kupimy tamtych świeczników.

Bachus zapomniał o karcie, którą miał w kieszeni.

– Na to wygląda.

Elsie ścisnęła jego ramię i przysunęła się bliżej, co oczywiście nic a nic mu nie przeszkadzało.

– Jesteś pewien, że to nie był...?

– Kartki miał grube i łatwo je było przewracać. Przejrzałem wszystkie zakłęcia co do jednego. Ten opus nie należy do Mistrzynie Merton.

Elsie przytaknęła, patrząc przed siebie. Dotarli do głównej drogi i Bachus skierował ich na zachód, żeby słońce nie raziło oczu. Mogli sobie pospacerować, rozchodząc stresy tego poranka, zanim znajdą transport do domu. Nawet Bachus potrzebował chwili oddechu. Jego ciało nadal dochodziło do siebie po tamtym zakłęciu umysłowym.

– Co teraz? – zapytał.

Elsie wzruszyła ramionami.

– Może napiszemy więcej artykułów do gazet? Może kiedy Ogden poczuje się lepiej, będzie w stanie poszukać wskazówek w okolicy Rochester... ale szczerze, nie...

Przerwała – mówić, ruszać się – jej wzrok był przykuty do pary, która przechodziła na tę stronę drogi. Para nie wyróżniała się niczym szczególnym. Byli dobrze ubrani, ale nie tak elegancko, jak arystokraci. Mężczyzna wydawał się mniej więcej w wieku Bachusa, miał zaczesane gładko rude włosy, których linia zaczynała odsuwać mu się od czoła. Kobieta wyglądała na starszą, może była w wieku panny Prescott. Miała kapelusze z tak szerokim rondem, że kiedy razem szli, prawie uderzała mężczyznę w głowę.

– Ktoś znajomy? – zapytał Bachus.

Elsie przytaknęła.

– To jest Alfred Miller.

Bachus potrzebował tylko chwili, żeby skojarzyć to nazwisko; Elsie wspomniała mu o tym człowieku tylko raz.

To był jej dawny adorator.

Bachus skręcił lekko tak, żeby ich ścieżki się przecięły.

Elsie się nie sprzeciwiała, ale mocniej zacisnęła dłoń na jego ramieniu. Przez chwilę wydawało się, że tamta para ich nie zauważy, więc Bachus odchrząknął.

Miller podniósł na nich wzrok jako pierwszy, od razu zauważył Elsie. W pierwszej chwili jego oblicze przedstawiało zaskoczenie, ale zaraz ukrył je pod zbyt szerokim uśmiechem.

– O! Patrz, moja droga. Pamiętasz pannę...

Lecz wtedy jego wzrok przeskoczył na Bachusa, który był o całą głowę wyższy od niego i prawie dwa razy szerszy w ramionach. Bachus starał się trzymać brodę wysoko, żeby móc patrzeć na Alfreda z góry. A do tego cieszył się, że założył tę krzykliwą przypinkę aspektora.

Elsie przysunęła się do Bachusa. Przystanęli na poboczu.

– Ach, Alfred. Dobrze wyglądasz – do jego żony się nie odezwała. – Co cię tu sprowadza?

- Wyprzedzą majątku oczywiście... – Miller raz za razem przeskakiwał wzrokiem na Bachusa, jakby usiłował go zignorować, ale nie bardzo mu to wychodziło. W tamtej chwili Bachus czerpał ogromną radość z patrzenia na innych z góry.

- Och, nie sądziłam, że takie rzeczy cię interesują – Elsie się uśmiechnęła. – Trzymaj się z daleka od tarasu; słyszałam, że jeden pan zgubił na nim śniadanie, kiedy zorientował się, ile co kosztuje.

Miller zaczerwienił się lekko.

- A ty co tutaj robisz, Elsie? – spojrzał na znaczek przypięty do klapy Bachusa.

Lecz zanim Elsie zdążyła otworzyć usta, Bachus powiedział:

- Nie słyszał pan? Pani Kelsey jest łapaczką zakłęb. Na tej aukcji była osobą uprzywilejowaną.

Rumieniec całkiem mu zbladł.

- Doprawdy?

Żona pociągnęła go za ramię.

- Alfredzie.

- Lepiej już pójdziemy – powiedział Bachus i na pożegnanie kiwnął tylko głową, po czym poprowadził Elsie dalej drogą. Żadne z nich nie obejrzało się za siebie. Elsie szła wyprostowana, aż skręcili za najbliższy róg.

Wówczas wybuchnęła śmiechem.

- To było wspaniałe – powiedziała, puszczając jego ramię, po czym klasnęła w dłonie. – Widziałeś jego minę? Po prostu wspaniałe. Jesteś tak bezpośredni, Bachusie. To dość przerażające.

Bachus uśmiechnął się krzywo.

- Naprawdę?

Elsie delikatnie szturchnęła go w żebra.

- Nie udawaj, że nie o to właśnie ci chodziło. To było znacznie bardziej satysfakcjonujące niż fortel u księżnej Morris – jej śmiech ucichł i rozejrzała się wokół. Na wąskiej ulicy mieścił się ciąg sklepów. Kilku chłopców rozmawiało ze sobą, jeden trzymał w dłoni psią smycz.

- Może powinienem był cię najpierw zapytać, czy... – zaczął Bachus widząc, jak zmienił jej się wyraz twarzy.

Ale ona machnęła dłonią.

- Och, nie chodzi o to. Tylko... nazwałeś mnie panią Kelsey.

- Nie jest to aż tak dalekie od prawdy – odparł. – Poświadczca to pewien pierścionek.

Elsie uśmiechnęła się, chociaż wydawało się, że niechcący.

- No tak, racja.

Zostały jeszcze cztery dni. Jedyna jasna rzecz pośród tego całego mroku.

Bachus zaoferował Elsie swoje ramię i wolno skierowali się w stronę Brookley.

Rozdział 20

Ogdena postawiły na nogi imbirowa herbata i długi odpoczynek.

Po powrocie do Brookley Elsie niemal bez przerwy przy nim czuwała. A kiedy na chwilę odchodziła, zastępowała ją Emmeline, która go doglądała, pilnowała czy równo oddycha i czy nie ma gorączki. Elsie nie wyobrażała sobie, jak wiele zakłęb musiałyby złamać, żeby doprowadzić się do takiego stanu, jak Ogden. Dotąd najgorszymi doznaniem wynikającymi z jej przeciążenia było swędzenie nadgarstków. Bachus mówił, że on po skrajnym przemęczeniu doświadczał jedynie bólu głowy. Elsie zastanawiała się, jak wiele musiał znieść Cuthbert, kiedy na tarasie rzucał zakłęcia mające odwrócić uwagę aż pięciu strażników? I dzięki Bogu za Irene. Bo gdyby nie zagadała wtedy tamtej pary, to mogli zostać przyłapani.

Mimo że Ogden poczuł się wreszcie lepiej i zapowiedział, że wybiera się do Rochester, Elsie poczuła niepokój.

– Może poczekaj i pojedź po ślubie – nalegała, kiedy siedzieli przy stole i jedli obiad, podczas którego Emmeline jak zawsze dogadzała im niczym matka. – Tak dla pewności.

– Nic mi nie jest – Ogden wziął kawałek chleba z masłem. Przynajmniej nie narzekał dziś na apetyt. Po tym, jak wrócili do domu z wyprzedaży, nie chciał nic jeść. – Muszę to zrobić teraz, zanim zakończy się wyprzedaż w posiadłości. Może się tam czegoś od kogoś dowiem.

– Jeśli mają na miejscu łamacza zakłęb – odezwał się Bachus – mogą pana namierzyć.

Ogden zmarszczył czoło, wziął do ręki nóż i zaczął kroić zapiekankę.

– W takim razie będę starał się nie dać złapać.

– Czy to nie pan mówił kiedyś o potrzebie bycia racjonalnym? – zapytał Bachus. Elsie nie wiedziała, co miał na myśli, ale Cuthbert go zignorował.

Zmartwiona Elsie zacisnęła usta, ale wiedziała, że nic nie mogło go powstrzymać. Wcześniej nieraz dowiódł, że jest upartym człowiekiem. Cóż, w pewnym sensie miał do tego prawo.

– Ktoś powinien z tobą pojechać – zaproponowała.

Ogden zbył ją machnięciem dłoni. Jadł tak szybko, że nawet nie odpowiedział. Kiedy skończył, odsunął od siebie talerz, wytarł usta i wstał.

– Jeszcze jedno... zanim pojedę – wskazał Elsie gestem, żeby z nim poszła, a potem skierował się do schodów.

Elsie posłała Bachusowi zaciekawione spojrzenie, a potem poszła za Ogdenem do jego sypialni. Pokazał, żeby weszła, zamknął drzwi, a potem podszedł do kufra, który stał pod łóżkiem.

Musiał go wcześniej przeszukać, ponieważ to, czego szukał, stało teraz na wieszaku.

Było to drewniane puzderko na pierścioneł.

– Ogden? – odezwała się Elsie.

– Wczoraj wieczorem zdałem sobie sprawę, że Mistrz Kelsey nie został wyposażony w odpowiednią ślubną biżuterię – położył pudełeczko na dłoni, jakby je ważył, a potem zwró-

cił się do Elsie. – Chcę ci to wręczyć.

Wahając się, wzięła puzderko do ręki i nieśmiało je otworzyła. Wewnątrz znajdowała się cienka złota obrączka, uformowana tak, że przypominała wijącego się węża. To symbol wieczności.

Otworzyła usta.

– O-Ogden...

– Należała do mojego ojca – wzruszył ramionami. – Szczerze wątpię, abym miał kiedyś okazywać go nosić.

Zamykając pudełko, Elsie pokręciła głową.

– Nie mogę go przyjąć.

– Możesz – podszedł do niej i położył dłoń na jej dłoni, przytrzymując pierścionek między jej palcami. Spojrzał na Elsie w oczy i powiedział:

– Jesteś dla mnie jak córka, której nigdy nie miałem.

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Wiem, że może ci się wydawać, że jest inaczej, zwłaszcza po tym, jak Merton namieszała w naszym życiu. Ale uwielbiam cię i nic by mnie tak nie uszczęśliwiło, jak przekazanie tej pamiątki prawowitej członkini mojej rodziny.

Elsie zacisnęła usta. Pociągnęła nosem. Wytarła oczy rękawem. I przytaknęła.

Ogden uśmiechnął się i uścisnął ją. Ciepło i mocno, dokładnie tak, jak powinien to uczynić ojciec.

– Mój ojciec był dużym mężczyzną – wyszeptał – więc obrączka powinna być w sam raz dla młodzieńca, który czeka tam na dole.

Elsie zaśmiała się.

– W razie czego może ją dopasować – powiedziała, a gdy Ogden puścił ją z uścisku, dodała: – Miło mi będzie pobyc trochę Elsie Ogden. Chociaż przez te kilka dni.

Wydawało jej się, że oczy mu się zaszkliły.

– Bardzo bym tego chciał.

Krótko potem Ogden wyjechał. Emmeline spakowała mu kolację, a Elsie walizkę, tak na wszelki wypadek. Bachus zaproponował, żeby zabrał zaklęty ołówek, ale on odmówił, mówiąc, że będzie w zbyt dużym ruchu, żeby ołówek mógł mu się na coś przydać.

– W Rochester mają telegraf.

To były jego ostatnie słowa, zanim przywdział kapelusz i wyszedł z pracowni.

Bez Ogdena w domu nie było za dużo roboty, przygotowania do ślubu też miały się ku końcowi, ponieważ miała to być dość skromna ceremonia.

Elsie zajęła się więc ścieraniem kurzu w pracowni, pucowaniem kontuaru, zmiataniem i myciem podłogi. Użyła nawet szpachelki, żeby zedrzeć z podłogi ślady farby. Właśnie skończyła, kiedy usłyszała szczekanie. Wyjrzała na dwór i zobaczyła dyszącego psa pocztowego z przymocowaną do boku torbą, w której były trzy listy. Zabrała koperty i pogłaskała zwierzę po głowie. Biedactwo, musiało się męczyć w tym lipcowym upale.

Posłaniec powędrował dalej, do następnego domu, a Elsie weszła do środka. Pierwszy list był od pożyczkodawcy Ogdena, który przypominał mu o nadchodzącej spłacie raty. Drugi i trzeci były zaadresowane do Bachusa.

– O... – powiedziała, odwracając na drugą stronę ten pierwszy, ponieważ była na nim pieczęć Siedmiu Dębów. Drugi był ciężki i nie rozpoznała, skąd przyszedł.

Odłożyła pismo do Ogdena na kontuar i pośpieszyła na górę, gdzie zastała Bachusa piszącego własny list. Często to robił – pisał w sprawach związanych z przeprowadzką do Londynu albo wysyłał polecenia do pracowników na Barbadosie. Wszystkie były bardzo oficjalne.

– Po czym poznać, że dobrze się tu czujesz i że zadomowiłeś się w Brookley? Po tym, że przychodzi do ciebie więcej listów niż do nas – uśmiechnęła się do niego, przesłała przez pokój i wręczyła mu pocztę.

Bachus odłożył pióro i wziął listy do ręki. Najpierw otworzył ten drugi i przeczytał go w ciszy. Potem westchnął.

Elsie usiadła obok niego.

– O co chodzi?

– To dobre wieści. Nie będziemy bezdomni – podał jej list. – Przyjęto naszą ofertę w sprawie domu w Londynie.

Elsie poczuła ucisk w żołądku.

– Och! – było to gwałtowne przypomnienie, że wszystko to działo się naprawdę. Zdała sobie sprawę, że wkrótce jej życie się zmieni. Już niebawem wyprowadzą się i zamieszkają razem. Po prawdzie będzie jej smutno żegnać się z zakładem kamieniarskim. Jeśli zamieszka tak daleko, w centrum stolicy, nie będzie mogła już tutaj pracować, chociaż bez zawodu mogłaby całkowicie poświęcić się szkoleniu i szybciej zdobyć tytuł łamaczki zaklęć. Ale będzie tęskniła za Ogdenem i Emmeline. Plusem było to, że zamieszka bliżej Reggiego.

I znacznie bliżej Bachusa.

Ignorując ciepło pnące się w górę po jej szyi, zauważyła:

– Ten drugi jest z Siedmiu Dębów.

Bachus odwrócił kopertę z obojętnym wyrazem twarzy i przeciągnął kciukiem po pieczęci.

– Na to wygląda – stwierdził i podał list jej.

– Jest zaadresowany do ciebie.

– Wiem, że jesteś ciekawa jego treści – uśmiechnął się słabo.

Przygryzając wewnętrzną stronę policzka, Elsie złamała pieczęć i otworzyła list. Był krótki, a charakter pisma piękny. Zerknęła na podpis.

– To od księżnej – powiedziała, a potem powoli go przeczytała.

– Och.

Bachus uniósł brew.

– Och?

Doczytała list do końca, a potem położyła papier na kolanach.

– Księżę czuje się okropnie z powodu tego, co się stało.

Bachus oparł podbródek na pięści.

– Tak twierdziła.

- Kazał z siebie zdjąć zakłęcie wysysające.

Bachus wyprostował się.

- Co?

Elsie podała mu list, ale nie wziął go do ręki.

- Pisze, że zrezygnował z tego nowego. Tego, które zamówił po tym, jak zламаłam twoje.

Księżna pisze, że są pogodzeni ze wszystkim, co przyniesie im los.

Teraz Bachus wziął od niej list i przejrzał go.

- Jestem... zaskoczony - tylko tyle powiedział.

Elsie przeciągnęła mu dłońią wzdłuż pleców.

- Jak się czujesz?

Pokręcił głową.

- Nie wiem.

Nagle wrzask przeszył powietrze i coś zagrzecotało.

Elsie skoczyła na równe nogi.

- Emmeline! - rzuciła się do drzwi, Bachus biegł tuż za nią. Elsie niemal spadła ze schodów, tak szybko przebieierała nogami.

Zatrzymując się w kuchni, zakręciła koło; najpierw dostrzegła kawałki potłuczonej tacy na podłodze i Emmeline przyciśniętą do ściany i patrzącą wielkimi oczami na przeciwny róg pomieszczenia. Patrzyła na osobę. Nie, na projekcję. Jednak ten, kto ją rzucał, był tak daleko, że obraz przypominał raczej ducha. Nie można było rozpoznać rysów twarzy, barwy były rozmazane, same brzozy, szarości i nieco brzoskwiniowego.

Elsie poczuła ucisk w brzuchu i zacisnęło jej się gardło. Zdołała tylko zaskrzeczeć:

- M-Merton?

- Nie znam takiego - odpowiedział męski głos poważnym tonem, który dochodził jakby zza ściany. Ale co najważniejsze, mówił z amerykańskim akcentem.

Chłód przebiegł jej po całym ciele.

Przybył.

To Mistrz Quinn Raven.

- Udało się - wyszeptwała.

Obraz się poruszył.

- Proszę mówić głośnie.

Elsie podeszła bliżej, a dłoń Bachusa odnalazła jej ramię, powstrzymując ją. Odwróciła się do niego i powiedziała:

- Projekcja nie może nam nic zrobić.

Bachus zacisnęła usta w cienką linię, ale przytaknął. Więc Elsie przeszła przez kuchnię, depcząc odłamki ceramiki.

- Nazywam się Elsie Camden. Spotkaliśmy się w Juniper Down.

- Tak, wiem - warknął, nadal zniekształcony, ale nic na to nie można było poradzić. - Mówiła pani wtedy, że ich nie napisała, ale teraz są wszędzie. Proszę się wytłumaczyć.

- Tamte pierwsze nie były pisane przeze mnie. Ich autorką była Mistrzyni Lily Merton.

Raven nie odpowiedział od razu.

- Czy to nie ona właśnie umarła?

- Zamarkowała swoją śmierć. Sprawdziliśmy jej opus.

Za jej plecami odezwał się Bachus:

- Znał ją pan?

- Słabo - odparł bez wyjaśnienia.

- To Merton pisała tamte artykuły, prowokując pana - kontynuowała Elsie. Musiała mu przekazać tyle informacji, ile się da, i tak szybko, jak się da, ponieważ Ravenowi najwyraźniej brakowało cierpliwości. A oni naprawdę potrzebowali go jako sojusznika. Ta chwila miała ogromne znaczenie. - Zaklęła mojego pracodawcę na dziewięć lat, żeby go kontrolować, a on kontrolował mnie. Ona morduje aspektorów dla ich opusów. I najwyraźniej poszukuje pana.

Raven rzucił coś, co zabrzmiało jak przekleństwo, ale było za mało wyraźne, żeby je zrozumieć.

- Najpierw próbowała mnie przekupić; potem sprowokować, groziła moim znajomym - przerwał, a kiedy znów zaczął mówić, jego głos był napięty. - Tak wielu z nich zmieniło się już w księgi. Nigdy nie sądziłem, że dopadnie też Almę - chrząknął. - Musiałem to zakończyć.

Czyli to dlatego wreszcie do nich przybył. To dlatego wyszedł Elsie. Ponieważ Turner i inni to byli ludzie, których znał. Merton wywabiła go z kryjóWKi w najokrutniejszy z możliwych sposobów.

- Dlaczego tak bardzo jej na panu zależy? - zapytała Elsie.

Parasknęła albo tak przynajmniej wydawało się Elsie.

- A dlaczego w ogóle komukolwiek może na mnie zależeć? Im zależy na mojej wiedzy! Na latach badań wrzuconych do ognia. Szepniesz o tym jednej osobie, a wkrótce zamęcza cię o to cała społeczność. Ale przestali, kiedy zmarłem. Wszyscy, poza jedną.

- Proszę - odezwał się Bachus - usiłujemy ją odnaleźć. Zakończyć to szaleństwo.

- Ale nie rozumiemy, po co ona robi to wszystko - dodała Elsie. - Te opusy... musiała próbować pana wywabić, a przy okazji zwiększyć swoją moc. Ale w jakim celu?

- A dlaczego miałbym wam zaufać? - jego głos przerywał. - Wabicie mnie dokładnie tak jak ona. Też chcecie mnie wykorzystać.

- Jestem łamaczką zaklęć! - wyrwało się Elsie - Pan to wie. Pokazałam panu.

- A reszta?

Elsie obejrzała się za siebie. Bachus kiwnął głową, a Emmeline po prostu wpatrywała się w Ravena z otwartymi ustami, jakby naprawdę był duchem.

- Nie ma wśród nas aspektorów duchowych - powiedziała. - Jest ze mną Mistrz Bachus Kelsey z Ateneum Fizycznego i nasza służąca. Moim pracodawcą jest Cuthbert Ogden, także z Ateneum Fizycznego.

Raven wyraźnie im nie ufał i nie zadziałałoby na ich korzyść, gdyby wyznała, że Ogden nie był zarejestrowanym aspektorem.

- Skąd macie pewność, że to ma znaczenie, skoro...

- Chodzi o zaklęcie, prawda? - przerwała mu Elsie. - Tego od pana chce.

Raven zawahał się.

- Chce mi pani zaimponować?

- Chcę, żeby został pan moim sojusznikiem – obudził się w niej gniew. – Czy panu się wydaje, że tylko pan ucierpiał?

Przez chwilę milczał.

Elsie ciągnęła dalej.

- Czy nie chce pan, podobnie jak my, żeby to się wreszcie skończyło?

Westchnął głośno.

- Jest pani męcząca.

- Proszę tu przyjechać osobiście, jeśli pan nam nie wierzy – odezwał się Bachus. – Rzuci pan na nas zaklęcie prawdy.

- Nie jestem taki głupi – przerwał. – Wiem, że panna Camden mówiła prawdę w Juniper Down.

- Więc n-nam pan pomoże? – pisnęła Emmeline.

Projekcja jęknęła. Poruszyła się lekko w prawą stronę, potem lekko w lewą. Albo to magia była niestabilna, albo Raven nie mógł ustać w miejscu.

- To zaklęcie zarażania.

Elsie zmarszczyła brwi.

- Co?

- Zaklęcie zarażania. Odkryłem je.

Bachus pokręcił głową.

- Nie można odkryć zaklęcia. One są osadzone w kamieniu od momentu stworzenia.

- Nie mów do mnie jak do głupca, chłopcze – odparł ostro Raven. – Zaklęcia są takie same, jak każda inna forma wiedzy – mogą zostać zapomniane. Kto wie, ile magii zmarło wraz z naszymi przodkami, zostało połkniętych przez historię? Znalazłem na to dowody dwadzieścia lat temu – przerwał, a potem dodał: – Jeśli chodzicie do kościoła, to pewnie znane jest wam zaklęcie masowego błogosławieństwa.

W rzeczy samej, Elsie były znane takie zaklęcia. Aspektorzy duchowi przypisani do kościołów często rzucali je na koniec mszy, żeby wszyscy wierni poczuli się dobrze w związku z tym, że zdecydowali się uczestniczyć w nabożeństwie. Często było to błogosławieństwo pokoju, naśladujące odczucie zsyłane przez Ducha Świętego. Błogosławieństwo pokoju było zaklęciem na poziomie nowicjusza, ale mistrz aspektor duchowy potrafił rzucić je w taki sposób, żeby objęło zgromadzonych, pozwalając mu rozprzestrzenić się pomiędzy ludźmi w podobny sposób jak grypa.

- Znalazłem dowody, że kiedyś istniało zaklęcie, które działało w podobny sposób, ale dotyczyło zdrowia. To było coś, co mogło zakończyć pandemię. Opisano je w dzienniku z czasów czarnej śmierci. Poświęciłem życie na jego badanie. Szukałem dawnych dzieł, robiłem tłumaczenia, składałem brakujące fragmenty układanki. I wreszcie znalazłem odpowiedź. Ale ona mnie zaskoczyła. To zaklęcie nie jest właściwie tylko lekarstwem – jest to raczej mistrzowskie zaklęcie zarażania. Podobne do plagi. Zaklęcie gwałtownego przyrostu, które nie zatrzymuje się nawet po przejściu przez trzydzieści głów. Tylko najsilniejsi aspektorzy mogliby rzucać coś takiego.

Co oznaczało, że Quinn Raven był jednym z nich.

– Proszę mówić dalej – szepnęła Elsie.

– To wszystko. Zakłęcie mnoży wszystko w nieskończoność. Nie rozumiecie, co by się stało, gdyby znalazło się w niepowołanych rękach? Mnożone w nieskończoność... zarazy, błogosławieństwa, klątwy, idee...

– Idee? – powtórzyła po nim Elsie.

– Tak przecież powiedziałem, prawda? – pokój przeszył ostry ton jego głosu.

Ale Elsie prawie tego nie dostrzegła. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Merton została oddzielona od rodziny. Wychowała się w przytułku. Musiała się uciekać do błagania i wymuszania, żeby osiągnąć wyższą pozycję i stać się twórczynią zaklęć.

Przed całą tą historią jeździła po przytułkach z błogosławieństwami. *Była prawdziwą chrześcijanką dającą datki na cele pokojowe*, jak powiedziała księżna Morris.

Urągała bogatym, porównując różnice klasowe do wojny.

Raven znów coś mówił, ale Elsie go nie słuchała.

A co, jeśli obie z Merton chciały tego samego?

– Czy to zakłęcie może zmusić ludzi do współpracy? – zapytała. – Do dzielenia się tym, co mają, i życia w zgodzie?

Raven jęknął.

– Mówiłem, musicie mówić głośniej...

– Zakłęcie zarażania – powiedziała Elsie – czy ono może szerzyć pokój, jak masowe zakłęcie błogosławieństwa? – pomyślała o Ogdenie. – Albo wymuszać posłuszeństwo?

Bachus spojrział na nią z zaciekawieniem.

Raven znów się zawahał.

– Teoretycznie tak.

– A co, jeśli pańskie zakłęcie zostałyby użyte do rozproszenia zaklęcia duchowego zdolnego do kontrolowania innych ludzi? – szepnęła Bachus.

– Co wtedy? – zanim Raven zdążył skrytykować go za mówienie zbyt cicho, Elsie powtórzyła to pytanie.

Raven milczał niemal przez minutę.

– Wykorzystanie zaklęcia w taki sposób przyniosłoby zaiste okropne skutki.

– Dlaczego? Co jest takiego strasznego w zmuszaniu ludzi do dzielenia się i życia w zgodzie? – zapytała Emmeline.

Raven zadrwił:

– Wy, Anglicy i wasze ideały. Dlaczego? Z powodu wolności. Możecie sobie wyobrazić wymuszony pacyfizm rozprzestrzeniający się jak plaga przez miasta, państwa, kontynenty? Odzierający ludzi z ich wolnej woli?

– Gwarantujący równość, nieważne jakim kosztem – Elsie rozartała chłód z ramion. Mogła się mylić, ale analizując to, czego się o Merton dowiedziała w ciągu tych lat... miała wrażenie, że aspektorce może chodzić właśnie o to. Tak, Merton mogła kłamać na temat swoich ideałów, swoich celów, ale jej wszystkie liściki były podobne, a poza tym część z pierwszych zadań, jakie Elsie od niej dostała, polegała na pomocy biednym. Ostatecznie i tak nie miało to znacze-

nia. Bo byłoby katastrofą, gdyby seryjna morderczyni znalazła się w posiadaniu kilkudziesięciu opusów oraz takiego zaklęcia.

A znał je tylko Raven. Użył tamtych kropli, żeby je wchłonąć. Był to jedyny sposób dla aspektora, żeby sprawdzić, czy zaklęcie jest prawdziwe. Gdyby krople go nie wchłonęły, znaczyłoby to, że zaklęcie jest fałszywe albo że dany aspektor nie jest na tyle potężny, żeby móc je rzucać. A jeśli...

- Proszę się z nami spotkać – Bachus podszedł do projekcji – porozmawiać z nami. Pomóc nam znaleźć sposób, żeby ją powstrzymać.

- Raczej nie.

- Właśnie, że zrobi pan to – powiedziała Elsie stanowczo – ponieważ pan musi. Ponieważ gdyby panu nie zależało, nie pozostawałby pan od tak dawna w ukryciu. Nie odszukałby mnie pan wtedy. Nie rozmawiałby z nami teraz. Ponieważ pewnego dnia pan umrze i nie może pan pozwolić, żeby pana opus został odnaleziony przez kogoś takiego jak Lily Merton.

Kolory projekcji się przesunęły i Elsie prawie czuła, jak Quinn Raven wpatruje się w nią.

A potem całkiem zniknął.

Emmeline pisnęła.

- Wróci – powiedziała Elsie, obejmując się ramionami i wpatrując w róg kuchni, w którym przed chwilą był Amerykanin. – Musi wrócić.

Był częścią całej tej historii i nawet jeśli udawana śmierć Merton w jakimś stopniu powstrzymała Mistrzynie, to ona wcale nie zamierzała przestać. Do zrozumienia tej prawdy Elsie nie potrzebowała pomocy zaklęcia.

Rozdział 21

Ogden powrócił z Rochester w czwartek z ponurą miną. Tak jak myślała Elsie, nie znalazł żadnych tropów prowadzących do Merton. Każda osoba, której myśli przejrzał, była przekonana, że Mistrzynie nie żyje.

Na szczęście informacja o wizycie Mistrza Ravena natychmiast podniosła go na duchu. I dobrze się złożyło, zważywszy na fakt, że już w sobotę miał wydać Elsie za mąż.

Czyli dzisiaj.

Dzisiaj wyjdzie za mąż.

Oparła się plecami o ścianę tuż obok drzwi w pokoju Emmeline, który odzyskał już swój dawny wygląd. Rainer i John, służący Bachusa z Barbadosu, zabrali już wszystkie jej rzeczy do nowego domu w Londynie. Miała na sobie kremową sukienkę, która idealnie na niej leżała; włosy elegancko uczesane, podkręcone i upięte; obie ręce przyciskała do brzucha, usiłując złapać oddech. A gorset nie był wcale taki ciasny.

Emmeline weszła do pokoju, miała ze sobą koszyk płatków, które zostaną wysypane wzdłuż głównej alei w kościele. Spojrzała na Elsie i otworzyła szeroko oczy... i usta.

– Wszystko będzie dobrze! – pocieszyła ją Emmeline, pocierając dłońmi jej ramiona.

Elsie pokręciła głową. Czowała, że nie będzie dobrze. Prawie wcale nie spała w nocy. Nie była w stanie nic przełknąć na śniadanie. Nie mogła oddychać.

Emmeline skrzywiła usta.

– Naprawdę sądzę, że Mistrz Kelsey będzie dobrym mężem...

– Nie chodzi o Mistrza Kelseya – odpowiedziała głośno. – Wierz mi, Em, całą sobą chcę wyjść za Bachusa. Ale wydarzy się coś strasznego. Czuję to w kościach. Nie będzie mi dane zaznać takiego szczęścia.

Emmeline roześmiała się.

– Jesteś za młoda, żeby czuć coś w kościach! I wszystko będzie idealnie. Modliłam się za ciebie każdego dnia w tym tygodniu.

Elsie nie mogła się nie uśmiechnąć na te słowa.

– Dziękuję – przełknęła ślinę – czy rzeczywiście wszyscy czekają przed kościołem?

Ich ślub miał być skromny. Normalnie Elsie nie zgodziłaby się na ogłoszenie w gazecie, ale trzeba było zrobić to na pokaz dla lorda Harolda Astleya, sędziego, który zgodził się wypuścić Elsie z więzienia. Ale oczywiście nie żałowała, że tak się stało, bo dzięki temu ogłoszeniu odzyskała Reggiego.

Emmeline odwróciła wzrok.

– Cóż, wszyscy są ciekawi. Oj, Elsie. Oddychaj głęboko.

Elsie posłuchała przyjaciółki i kilka oddechów później powiedziała:

– Merton nadal gdzieś tam jest. Mistrz Raven może w każdej chwili nas odwiedzić. Mistrz Phillips został uwolniony od zaklęcia... Z pewnością Merton ma już jakiegoś nowego sługusa.

I on lub ona na pewno dziś się pojawi i wymorduje nas wszystkich.

- Elsie...

- Albo on nie przyjdzie - powiedziała przez zaciśnięte gardło. - Wyjdę, dzwony zaczną dzwonić, a jego nie będzie przed ołtarzem. I zobaczy to całe miasto, i będę upokorzona.

Emmeline odstawiła koszyk i wzięła Elsie za obie dłonie. Jej palce były zimne jak lód, a palce Emmeline ciepłe jak świeżo upieczony chleb.

- Jesteś niemądra. Przecież on tak na ciebie patrzy... nie ma mowy, żeby miał nie przyjść. Zresztą sama widziałam, jak wychodził do kościoła dziś rano.

Elsie uścisnęła dłoń przyjaciółki.

- Nadal ma czas, żeby zmienić zdanie.

Zniszczyłoby ją to. Stałaby się pustelnicą. Nie wychodziłaby z domu. I może nawet przygarnęłaby kota.

Było w niej teraz tak wiele nadziei, pomimo że naprawdę próbowała się zamknąć na uczucia. Tym razem nie przeżyłaby odrzucenia. Nie przez niego.

Emmeline ucałowała Elsie w policzek.

- To będzie piękny ślub. I krótki.

Elsie napełniła płuca powietrzem, aż do bólu, a potem przytaknęła. Rzeczywiście będzie krótki. Kolacja dla gości miała się odbyć w Siedmiu Dębach, ale odwołali ją z powodu sytuacji z księciem i księżną.

- Wyglądasz pięknie, a suknia jest idealna - zapewniła ją przyjaciółka.

Elsie zaśmiała się cicho. Odepchnęła się od ściany, stając o własnych siłach.

- Jeśli ma się wydarzyć coś strasznego, to nie powstrzymam tego, zostając tutaj.

- Pozostając tutaj, powstrzymałabyś tylko nadejście wszystkiego, co jest dla ciebie dobre. Chodź już. Czekają na ciebie - Emmeline uśmiechnęła się. - On na ciebie czeka.

Elsie przytaknęła i pozwoliła Emmeline wprowadzić się z pokoju.

Proszę, niech to będzie prawda. Proszę. Proszę. Proszę.

Kościół znajdował się całkiem blisko zakładu kamieniarskiego, więc nie było sensu zamaść drożkę, chociaż Elsie nie podobało się paradowanie główną drogą w stroju panny młodej. Nie założyła jeszcze welonu i zignorowała spojrzenia kilku osób, które jej się przyglądały. Patrzyła prosto przed siebie. Ten lekki wysiłek fizyczny pomógł jej się nieco uspokoić. Może Emmeline miała rację. Może wszystko przebiegnie bez komplikacji. Może jednak czeka ją szczęśliwe zakończenie, jak w czytanych przez nią powieściach. Może.

Weszły do środka od tyłu, a dzwony kościelne zaczęły dzwonić, kiedy Emmeline skończyła przypinać Elsie welon do włosów. Nerwy Elsie ostygły tak bardzo, że poczuła, jak od stóp do głowy oblewa ją chłód, zostawiając jej gęsią skórę pod tkaniną sukni.

Emmeline delikatnie szczypnęła jej policzki, żeby nabrały koloru. A potem spojrzała na nią z dodającym otuchy uśmiechem i pobiegła rozsypać płatki kwiatów wzdłuż alejki. Taka była tradycja, należało zapewnić pannie młodej szczęśliwą ścieżkę.

Elsie oblizła usta. Wzięła jeszcze jeden oddech.

Dzwony kościelne zamilkły i kościół wydawał się teraz niepokojąco cichy. Elsie nie poprosiła o chór, żeby wypełnić czymś tę ciszę. Była przecież przekonana, że wydarzy się coś, co

zapobiegnie... no właśnie – temu.

Wzięła do ręki swój prosty bukiet ułożony z dwunastu białych róż, które kosztowały niemal tyle, co suknia.

Jeśli on tam jest, to wszystko będzie dobrze, pomyślała, podchodząc do drzwi prowadzących do nawy. *Jeśli Bachus tam jest, to nawet jak pojawi się Merton albo czarodziej z nożem, albo sam Raven, wszystko będzie dobrze.*

Proszę, Boże, niech on tam będzie.

Gdyby było inaczej, Emmeline z pewnością przybiegłaby do niej i ją poinformowała.

Zaczęły grać organy. Serce uderzało jej o żebra, jak taran... kiedy czekała, aż chłopiec mający nie więcej niż dziesięć lat otworzy przed nią drzwi do nawy. Aleja prowadząca do ołtarza była wysypana płatkami białych róż. Większość ławek była pusta, jak należało się spodziewać. Jej wzrok podążył wzdłuż nich i odnalazł Ogdena, pastora i... Bachusa.

Stał na lewo od ołtarza, ubrany na niebiesko, z włosami związanymi bardziej gładko niż kiedykolwiek. Elsie szła do niego, wzdłuż alei, która wydawała się wręcz boleśnie za długa, biorąc pod uwagę te wszystkie wpatrzone w nią oczy. Spojrzała na nie. Księżna Kentu uśmiechnęła się do niej serdecznie. Nie było z nią męża ani córek. Po drugiej stronie alei stał lord Astley, który przybył zgodnie z obietnicą. Przed nim byli Emmeline, Reggie i Irene. Obok księżnej na krześle z kołami siedziała starsza kobieta z włosami blond poprządkowanymi siwymi kosmykami. Dopiero po chwili Elsie zdała sobie sprawę, kto to jest. To musiała być Mistrzyni Ruth Hill! Wyglądała na zdrową, co przyniosło Elsie niekłamaną ulgę.

A potem jej wzrok znowu odnalazł Bachusa. Jego zielone oczy cały czas były w nią wpatrzone. W tym świetle ich widok przypomniawszy jej tamtą noc w lesie. Był tak piękny, jak tylko może być mężczyzna. Na ten widok cała się rozpromieniła. Nieważna Merton. Niech przychodzi. I tak nie zdoła skrzywdzić Elsie, dopóki Bachus będzie przy niej. Nikt nie mógł.

Sposób, w jaki on na nią patrzył, rozgrzewał ją od wewnątrz. Czy Emmeline miała rację? Czy Bachus naprawdę patrzył na nią w szczególny sposób? Czy może to tylko przez tę sukienkę? Jednak on ani razu nie oderwał od niej wzroku, a na sukienkę nawet nie zerknął.

Wreszcie stanęła obok niego z sercem nadal dudniącym, jakby maszerowało na wojnę. Wierni zgromadzeni w kościele usiedli. Pastor zaczął coś mówić, ale do Elsie nic nie docierało.

Właśnie wychodziła za mąż. Wychodziła za mąż. Wychodziła za mąż!

Boże, proszę, nie pozwól mi się rozptać.

– Kto oddaje tę kobietę? – zapytał pastor.

Do przodu wystąpił Ogden z delikatnym uśmiechem na twarzy.

– Ja.

Elsie uśmiechnęła się do niego. Będzie tęskniła za oglądaniem co rano jego potarganej czupryny, za wspólnymi posiłkami z Emmeline i nim, za sprzeczkami o to, że wcale nie jest taki stary. Bóg jeden wie, jak bardzo będzie jej tego brakowało.

Zauważyła Reggiego, który uśmiechał się od ucha do ucha, i zdała sobie sprawę, że robi to samo, aż zaczęły ją boleć policzki.

A potem przeniosła wzrok na Bachusa, który nadal przyglądał jej się tymi swoimi leśnymi oczami. Nagle poczuła się dziwacznie, jakby spadała i unosiła się jednocześnie. Jakby jej serce było gdzieś poza jej ciałem.

I wtedy on przemówił: pięknym barbadoskim akcentem.

– Ja, Bachus Kelsey, biorę sobie ciebie, Elsie Camden, za żonę; od tego dnia na zawsze; na dobre i na złe, w bogactwie i biedzie, w zdrowiu i chorobie. Przyrzekam cię kochać i wielbić, dopóki śmierć nas nie rozłączy; zgodnie ze Świętą Wolą Bożą. Taką składam ci przysięgę.

Oczy zaszyły jej łzami, więc kilka razy zamrugwała, żeby je odgonić. Pastor zwrócił się do niej i chyba tylko jakiś cud sprawił, że była w stanie powtórzyć po nim.

– Ja, Elsie Camden, biorę sobie ciebie, Bachusie Kelsey, za męża; od tego dnia na zawsze; na dobre i na złe, w bogactwie i biedzie, w zdrowiu i chorobie. Przyrzekam cię kochać i wielbić, dopóki śmierć nas nie rozłączy; zgodnie ze Świętą Wolą Bożą. Taką składam ci przysięgę.

Wtedy Bachus wziął jej dłoń. Poprzedniego wieczora oddała mu pierścionek i kiedy teraz ponownie wsunął jej go na palec, miała wrażenie, że widzi go po raz pierwszy. I na chwilę, kiedy ich palce się splotyły, świat stanął w miejscu.

– Tym pierścionkiem cię poślubiam, czczę cię moim ciałem i obdarzam cię wszystkimi moimi doczesnymi dobrami. W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Wkładanie obrączki – tej po ojcu Ogdena – na serdeczny palec Bachusa było najbardziej nabożnym doświadczeniem w jej życiu.

– Tą obrączką cię poślubiam, czczę cię moim ciałem i obdarzam cię wszystkimi moimi doczesnymi dobrami. W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Stojący po jej prawej stronie pastor zamknął modlitewnik i oznajmił:

– Ogłaszam was mężem i żoną.

Serce Elsie z impetem powróciło do jej ciała, niemal ją przewracając. Stało się. Byli małżeństwem.

– Może pan pocałować pannę młodą.

Jej myśli gwałtownie skupiły się na rzeczywistości, ponieważ Bachus pochylił się i dotknął ustami jej ust. Był to najbardziej nieśmiały całus, jakim ją kiedykolwiek obdarzył.

I wtedy, wbrew sobie, zaczęła się śmiać.

Resztę widziała jak przez mgłę. Wiwaty, klaskanie – ledwie dostrzegła, jak lord Asley opuścił kościół, wypełniwszy swoje zadanie. Razem z Bachusem przeszli do zakrystii, gdzie czekało na nich świadectwo ślubu. Najpierw podpisał je pastor, a potem Bachus. Elsie drżącą dłonią napisała swoje imię: *Elsie Amanda Camden*. Do tej chwili nawet nie zdawała sobie sprawy, że zdecydowała już co do drugiego imienia. Pomyślała, że wygląda dobrze. *Elsie Amanda Camden... Kelsey*.

Następnie ich goście obsypali ich gratulacjami. Policzki były całowane, a dłonie ściskane. Kiedy i pastor złożył im życzenia, Elsie odciągnęła na bok Emmeline.

– Wiem, że formalnie nie jesteś świadkową, ale powinnaś być – wyznała i odpięła od sukni małą broszkę w kształcie gołębic. – I tak chciałam ci ją dać.

Emmeline z zaskoczenia wciągnęła powietrze.

– Ach, to ta z pracowni krawcowej! Oj, Elsie, ale ona musiała być droga.

– Przecież jestem łamaczką zaklęć – Elsie szturchnęła ją ramieniem. – Poradzę sobie. Chcę ci ją dać, żebyś pomyślała czasem o mnie, kiedy nie będzie mnie przy tobie.

Emmeline uścisnęła ją mocno.

– I tak będę o tobie pamiętać, głuptasie! Dziękuję – odsunęła się od niej, a potem wskazała głową na kogoś za plecami Elsie.

Elsie odwróciła się i zobaczyła księżną Kentu, która zbliżała się do niej nieśmiało. Emmeline uścisnęła dłoń Elsie, a potem zostawiła je same. Także Bachus zauważył księżną, ponieważ podszedł do Elsie i położył jej dłoń na ramieniu.

– Tak bardzo się cieszę waszym szczęściem – powiedziała. Trzymała w dłoni ozdobną szkatułkę przewiązaną wstążką z suszonymi kwiatami przymocowanymi delikatnie pod szklanym wieczkiem. – Izajasz i dziewczynki bardzo chcieli przyjechać, ale zważywszy na okoliczności... – wzruszyła ramionami.

Elsie z uśmiechem ścisnęła jej ramię.

– Jestem zaszczycona, że przyjechałaś, Abigail.

Kobieta rozpromieniła się, słysząc, że Elsie zwróciła się do niej po imieniu.

– I ja jestem zaszczycona – spojrzała na Bachusa. – A to prezent od nas – podała mu pudełko.

Bachus przyjął je, marszcząc brwi.

– Czy to nie... – zaczął, spoglądając na księżną.

Elsie mrugnęła oczami.

– Nie jest co?

Księżna uśmiechnęła się delikatnie.

– Po prawdzie, Bachusie, książkę zamierzał zapisać ci go w spadku. Jesteś dla niego jak syn. A to odpowiedni podarunek dla takiej magicznej pary.

Zaciekawiona, Elsie wzięła od Bachusa pudełko, odwiązała wstążkę i zajrzała pod wieczko. Wewnątrz znajdowała się książka w skórzanej okładce, czarnej jak onyks, z inkrustowanymi kwiatkami przypominającymi diamenty, podobnymi do tych przymocowanych do wieczka, rogi okładki były pocięte w miękkie prążki, a brzegi kartek z grubego papieru miały kolor błyszczącej pomarańczy, co przypominało Elsie zachód słońca.

Opadła jej szczęka.

– T-to jest opus, prawda?

Księżna ujęła jej dłoń i przycisnęła nią mocno wieko pudełka.

– Dbajcie o niego. Chociaż tyle możemy dla was zrobić – zerknęła na Bachusa. – Przyjmij go z godnością. To nie jest podarunek z poczucia winy, ale prosto z serca.

Bachus przytaknął ze łzami w oczach.

– Dziękuję.

Chociaż nie urządzili tradycyjnej weselnej kolacji, jednak Bachus zadbał, żeby pewnym tradycjom stało się zadość. Przed kościołem czekał na nich powóz – na szczęście taki zamknięty – zaprzężony w dwa siwe konie, powoził go Rainer. Pojazd został ozdobiony białymi różami. Elsie pomyślała, że na pewno połowa z nich odpadnie podczas podróży do Londynu, jednak ten niepraktyczny gest wydał jej się słodki. Kiedy Bachus prowadził ją do środka, goście rzu-

cali orzechami w powietrze. Elsie czuła, że się czerwieni – owszem, to taka tradycja, jednak nie umknęło jej uwadze, że orzechy symbolizowały płodność.

Wsiadając do powozu, zerknęła na zebranych wokół ciekawskich mieszkańców miasteczka, wśród których dostrzegła twarze siostr Wright. Pomyślała, że na pewno będą dzisiaj roznosiły jakieś ploteczki, ale zdała sobie sprawę, że nie obchodzi jej to.

Bachus wsiadł za nią i zajął miejsce tuż obok, a nie naprzeciwko. Kiedy przesunął po siedzeniu dłoń w jej kierunku, Elsie splótła palce z jego palcami.

– Zrobiliśmy to, pani Kelsey – powiedział z szelmowską miną.

To nazwisko naprawdę jej się podobało, zwłaszcza wypowiedziane z barbadoskim akcentem.

– Postanowiłeś nie być dzisiaj Anglikiem?

Przejechał kciukiem wzdłuż jej kciuka.

– Postanowiłem być dzisiaj sobą.

Jak coś takiego miało nie rozpaść w niej ciepła...

Powóz jechał na północ, zmierzając do Londynu. Chociaż przeprowadzali się do nowego domu, ustalili, że większość czasu będą spędzać u kamieniarza, aż do czasu powstrzymania Merton. Bachus wprowadził się tam wcześniej nie tylko po to, żeby chronić Elsie, ale także Ogdena, który tak samo jak ona mógł stać się celem ataku. Ale ten dzień należał do nich.

Dzień ich ślubu. Jakże to nierealne.

Zajechali przed dom bez żadnych fanfarów; budynek mieścił się około ośmiu kilometrów na zachód od Parliament Square. Miał mały ogródek odgradzony murem od ulicy. Elsie dostrzegła w tym ironię losu. Kiedyś myślała okropne rzeczy o bogaczach i ich murach, a teraz sama miała mieszkać za takim. Nadal nie była pewna, czy jej to pasuje.

Weszli przez werandę i Bachus otworzył drzwi. Rainer odjechał. Wyglądało na to, że mieli zostać sami.

Zdenerwowanie Elsie powróciło z pełną mocą. Przycisnęła do piersi opus.

Za drzwiami znajdował się mały korytarz, a po jego lewej stronie były schody. Bachus wskazał na pokój po prawej stronie.

– To salon – powiedział, a potem biorąc ją pod rękę, poprowadził korytarzem – to jadalnia, a tam jest kuchnia.

We wszystkich pokojach stały niezbędne meble – w salonie przydałby się jeszcze fotel – ale ściany były gołe i wymagały dekoracji, podobnie było z kominkiem. Bachus prowadził ją z powrotem korytarzem.

– Na tej ścianie można by powiesić jakiś portret – zasugerowała.

Przytaknęła.

– Zostawiam to tobie. Urządzisz wszystko, jak będziesz chciała.

Elsie przyjrzała się ścianie, nie wiedząc, co powiedzieć. Z pewnością nie zamierzała go pytać o budżet. Nie teraz. Dobrze chociaż, że będzie mogła się do niego dokładać.

Weszli na górę, gdzie Bachus kontynuował oprowadzanie. Wskazał na pusty pokój.

– Pomyślałem, że to może być gabinet, chyba że wolałabyś tu bibliotekę. Tam dalej jest większe pomieszczenie, gdybyś chciała mieć na górze salonik, jak u Ogdena. Okna pokoju

wychodzą na zachód.

Pokazał jej pokoje, razem obeszli je wszystkie. Stały w nich jakieś skrzynie, ale mebli nie było – mogli je wypełnić wspólnie, jak malarz puste płótno. Na ścianach były niemodne już tapety. Elsie pomyślała o zamianie ich na coś kwiatowego i o postawieniu jakiejś sofy, i może jeszcze stolika do gier, ale nie miała zbyt wielu pomysłów. Za bardzo dekoncentrował ją ten mężczyzna u jej boku i pokoje, które znajdowały się na górze.

Dotarli na drugie piętro. Niedaleko schodów znajdowało się małe pomieszczenie.

– Pokój gościnny albo kwatery dla służącej – zasugerował Bachus. – Sądzę, że rozważnie byłoby kogoś zatrudnić. Może Emmeline?

Elsie pokręciła głową.

– Nie mogłabym odebrać jej Ogdenowi – ...i zostawić go samego, pomyślała. – Sądzę, że tutaj mógłby być twój gabinet, a jeśli zatrudnimy kogoś do pomocy, będzie spał na dole. Dla... większej prywatności.

Bachus przytaknął i pokazał jej drugie pomieszczenie, a potem trzecie, znajdujące się na samym końcu domu, które było większe od pozostałych. Ten pokój dla odmiany był umeblowany. Stało w nim zaścielone łóżko z kapą w kolorze morskiej zieleni. Po dwóch jego stronach znajdowały się stoliki nocne, a dalej – stół ze szklanym blatem. W pokoju była też duża garderoba i dodatkowo jeszcze szafa, a także biały regał na książki. Skrzynie Elsie stały w nogach łóżka, które było na tyle duże, że zdecydowanie mogło pomieścić ich dwoje. Odłożyła ostrożnie opus na jedną ze skrzyń.

Bachus potarł ręką kark.

– John kupił zasłony pasujące do narzuty. Ale nie będzie mi przeszkadzało, jeśli je wymienisz.

Elsie przeszła przez pokój i przejechała dłonią wzdłuż zasłon, które były teraz zaciągnięte.

– Na szczęście znam jednego twórcę zakłęb, który może z łatwością zmienić ich kolor. To jedna z jego ulubionych rozrywek.

Bachus się zaśmiał.

– To chyba jakiś dandys.

Nie powiedział nic więcej, więc Elsie odwróciła się do niego. Minę miał poważną i nieświadomie wodził dłonią po brodzie.

Zanim zdołała się odezwać, Bachus opuścił dłoń i powiedział:

– Elsie, jestem jak najbardziej świadomy, że nasz związek nie jest... zwyczajny ani konwencjonalny. Oczywiście są pewne oczekiwania co do roli męża i żony... chodzi mi o to, że nie będę od ciebie niczego oczekiwał, jeśli potrzebujesz czasu, żeby się przyzwyczaić.

Elsie czuła, jak nerwy tańczą jej pod skórą, jak małe wróżki. Czuła bicie serca nawet w brzuchu.

– Ależ to nadzwyczaj taktowne z twojej strony, Bachusie – brakowało jej powietrza, ale zebrała się na odwagę i dokończyła: – Ale nie możesz całować kobiety tak, jak to robisz, a potem nie oczekiwać, że nie będzie całkowicie gotowa na noc poślubną... a nawet nie będzie się mogła jej doczekać – udała zainteresowaną czymś na oknie, ignorując pożar na policzkach – nawet jeśli jest jeszcze dzień.

- Rozumiem - odparł niskim, uwodzicielskim głosem. Zerknęła na niego i zauważyła, że oczy ma jeszcze ciemniejsze niż zwykle.

Przeciagnęła dłonią wzdłuż gorsetu. Kartka z opusu nie znajdowała się dzisiaj pod nim. Była ukryta w jej najmniejszym kufrze. Elsie odwróciła się do Bachusa plecami.

- Będę ci wdzięczna za pomoc z sukienką.

Jej serce fiknęło koziołka, kiedy Bachus przeszedł przez pokój i poczuła jego palce na karku. Odsunął na bok kilka pasm kosmyków. Elsie czuła jego oddech we włosach, kiedy odpiął pierwszy guzik, a potem drugi i trzeci. Trzeba przyznać krawcowej, że się postarała i przyszyła ich do tej sukni całe mnóstwo.

Elsie przycisnęła ręce do piersi, żeby przytrzymać suknię, ale też żeby uspokoić szalejące serce, które przyspieszało z każdym dotykem jego palców do jej halki. Bachus z pewnością to czuł. Tym razem to nie niepokój napędzał jej serce, ale ekscytacja. Ani razu od przyjazdu do Londynu Elsie nie pomyślała o Mistrzynie Merton, Mistrzu Ravenie czy całej tej sprawie.

Uczepiła się swojej odwagi, kiedy Bachus dotarł do dolnej części jej pleców.

Zaciskając oczy, wyszeptwała:

- Kocham cię.

Jego palce zamarły. Zapadła cisza.

Elsie zaczęła panikować.

Wstrzymała oddech, próbując poskromić niepokój. Czekala, nasłuchiwała, miała nadzieję. Moment był jak najbardziej właściwy. Takie wyznanie, i to właśnie w takiej chwili! Ale sekundy wydawały się jej minutami, a minuty godzinami, a jej żołądek zacisnął się ze strachu i wyczekiwania tak bardzo, że wkrótce to wszystko stało się nieznośne.

- Bachusie? - wyszeptwała.

A on objął ją silnymi ramionami, opierając jej plecy o siebie. Jego usta odnalazły zagłębienie na jej szyi i złożyły tam pocałunek. Przez jego bliskość miała dreszcze na całej głowie. Jego włosy laskotały ją w policzek.

- Oczywiście, że cię kocham. Ty wspaniała, cudowna kobieto.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Kocham cię bardziej od Barbadosu, bardziej od magii, bardziej niż samego siebie. Tylko o tobie myślę. A teraz jesteś moja. Kocham cię, Elsie.

Mówiąc to, pomógł jej wydostać się z sukni, z gorsetu i halki.

A potem obsypał pocałunkami jej ciało.

Rozdział 22

Oczywiście na razie nie przewidywali miesiąca miodowego. Nie, kiedy wszystko w ich życiu było tak niepewne.

Ale pierwszą wspólną noc wykorzystali w pełni. Gdyby mieli jakichś służących, to znaczy oprócz tych, którzy przyjechali z Bachusem z Barbadosu, to Elsie mogłaby już nigdy nie wychodzić z łóżka. Jednak rzeczywistość była inna. Świat nadal się kręcił, nawet jeśli Elsie tego nie chciała.

Chciała zatrzymać tę odurzającą błogość tak długo, jak pozwoliłby na to wszechświat.

Bachus, jak zawsze ten odpowiedzialny, wstał jako pierwszy. Obserwowanie, jak się ubiera, było niemal tak samo kuszące, jak wtedy, gdy się rozbierał. Widać było, że całkiem już doszedł do siebie po zdjęciu z niego zakłęcia wysysającego. Z nadal rozpuszczonymi włosami i krawatem dyndającym po obu stronach szyi podszedł do łóżka i pocałował ją; wolno i słodko. I wszystko to było prawdziwe. Zgodnie z tym, co mówił, nie było na nim ani jednego zakłęcia. Elsie to sprawdziła. I to dokładnie.

– Jeśli chcemy coś zjeść, musimy wyjść z tego pokoju – powiedział.

– Słyszałam, że post to zdrowa praktyka – odparła Elsie. Zarobiła tym na uśmiech i drugi pocałunek, jednak ostatecznie Bachus i tak skierował się do drzwi.

– Dopilnuję, żebyśmy w tym tygodniu zatrudnili pomoc, i zakupię otwarty powóz – przejechał dłonią po ciemnych lokach, nadal rozjaśnionych słońcem na końcach, a potem związał je na plecach. – Potrzebujemy tego, skoro planujemy jeździć w tę i z powrotem do Brookley.

Elsie usiadła, osłaniając się pościelą, a potargane włosy opadły jej na ramiona. Bez pomocy Emmeline uczesze je dzisiaj w coś prostego. Coś, co da się ukryć pod porządnym kapeluszem.

– Dobrze. Jeszcze rok, oj, raczej trzy lata, i będę mogła dokładać się do wydatków.

Bachus się uśmiechnął.

– Przypominam, że to nie jest konieczne. Jestem zupełnie zdolny do utrzymania żony.

Uwielbiała, jak wypowiadał to słowo. Żona.

– A ja jestem zupełnie zdolna do utrzymania męża.

Jego wzrok momentalnie padł na jej częściowo odkryte piersi.

– W rzeczy samej – odparł.

Elsie się zarumieniła.

A Bachus, chichocząc, wyszedł do wygódki.

Elsie ziewnęła, przeciągnęła się i wyszła z łóżka. Sięgnęła do większego kufra, w którym znalazła czystą halkę. Z podłogi podniosła gorset. Był wiązany z przodu, więc założyła go sama. Potem z mniejszego kufra wyjęła zwinięte zakłęcie i wetknęła je pomiędzy fiszbinę.

W jej obecnej sytuacji życiowej gorset nie był najlepszą kryjówką. Czy w ogóle potrzebowała jeszcze tego zakłęcia? Obawa, która kazała jej nosić ten zwitek przy sobie tak długo, już

została odegnana. No, ale przecież czegoś takiego nie można ot, tak sprzedać. Może przydałoby się Ogdenowi, jeśli nie znał jeszcze tego zaklęcia...

Nagle jej uwagę przykuło drapanie w jednej ze skrzyń Bachusa. Jakby ukryła się w nim mysz i teraz desperacko próbowała się uwolnić. Elsie podniosła wieko, nasłuchując. Przesunęła dwie koszule i parę butów, ale dźwięk ucichł. Jednak udało jej się znaleźć winowajcę.

To był ołówek, a na jego czubku błyszczała maleńka srebrzysta runa.

Jego zielonego partnera Elsie zostawiła Emmeline. Poszukała pergaminu, ale nie mogła go znaleźć. Westchnęła i podeszła do pomalowanego na biało parapetu. Później go wyczyściła. Napisała na nim: *Proszę, napisz jeszcze raz. Nie miałam przygotowanego papieru.*

Minęły dwie sekundy, zanim ołówek napisał znanym jej pismem Emmeline: *Raven znów się pojawił! Zgodził się wrócić za trzy godziny. Chce z tobą rozmawiać.*

Otworzyły się za nią drzwi.

– Chciałem zaproponować, żebyś założyła fioletową suknię, ale w tym mi się bardziej podobasz.

Elsie, ubrana w samą bieliznę, odwróciła się do niego.

– Musimy natychmiast jechać do Brookley. Mistrz Raven zgodził się z nami spotkać.

Kiedy Quinn Raven się pojawił, tym razem jego obraz był znacznie wyraźniejszy. To był fenomenalny znak, ponieważ oznaczał, że mężczyzna odważył się przenieść bliżej pracowni kamieniarza. Trzeba przyznać, że Bachus nie był do końca pewien, na jaką odległość może się rozciągnąć projekcja. Prawdopodobnie zależało to od potęgi osoby, która ją rzucała. A biorąc pod uwagę niedawne wyznanie Mistrza Ravena, znajdował się on w czołówce potężnych twórców zaklęć.

– Nie mogliśmy jej zlokalizować – powiedział Ogden. Wszyscy siedzieli na krzesłach przed nadal nie do końca ostrym obrazem mężczyzny w średnim wieku. Miał zarost, a na głowie nosił kapelusz. Projekcja była na tyle wyraźna, że Bachus dostrzegał jego wydatny nos, gniewną minę i wąską szczękę.

– To znaczy, że nie szukaliście wystarczająco dobrze – rzucił Amerykanin.

Ogden założył ręce na piersi, zachował spokój.

– Zapewniam pana, że nie o to chodzi.

– Ona ukrywa się już od jakiegoś czasu – odezwała się Elsie, skubiąc brzeg rękawa. Robiła tak, kiedy się denerwowała, ale Bachus nie wiedział, czy była tego świadoma. – Najpierw odeszła na emeryturę, potem wyjechała z miasta, aż wreszcie sfingowała własną śmierć. Nie ujawni się, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne.

– Musimy ją wywabić – powiedział Bachus.

Raven zaproponował szyderczo:

– Zależy jej na pani, prawda? To może powieście panią na tym waszym dużym zegarze jako przynętę.

Ogden pochylił się.

– Sądzę, że pan byłby dla niej bardziej kuszącym celem.

- Absolutnie nie - warknął Raven.

- Tylko pana tak naprawdę chce - odezwała się Elsie. Jej głos wydawał się zdesperowany. Bachus przejechał kciukiem wzdłuż jej ręki, a potem położył jej dłoń na kolanie.

- Wiecie, co musiałem poświęcić? - obraz się poruszył, kiedy Mistrz Raven przestąpił z nogi na nogę. - Uciekam od ponad dekady. Nigdy nie zatrzymuję się w jednym miejscu na dłużej niż miesiąc. Utraciłem posiadłość, moje życie, badania...

- I nie chce pan wreszcie odpocząć? - przerwał mu Bachus ostrożnie. - My pana ochronimy. Wspólnie ją rozbroimy, a potem będzie się pan mógł osiedlić, gdzie będzie chciał.

Aspektor nie wydawał się przekonany.

Panna Pratt odezwała się cicho.

- Byłaby z tego taka wspiana opowieść.

Elsie drgnęła.

- To prawda. To znaczy, gdyby pan tego chciał, Mistrzu Ravenie. Szanowany twórca zaklęć powraca z zaświatów, żeby uratować świat!

Mistrz Raven cmoknął.

- To niedorzeczne.

Jednak na przekór słowom panny Prescott, że ten człowiek to odludek, Bachusowi wydawało się, że dostrzegł w jego głosie nutkę zainteresowania.

Jedenaste lat w samotności to bardzo długo, zwłaszcza dla kogoś, kto musiał być przyzwyczajony do uznania i poklasku.

- Jak go wykorzystamy? - Cuthbert potarł brodę, mówiąc, jakby Mistrz Raven zgodził się już odegrać przynętę. - Jak dotrzemy do Merton? Czy zauważy skierowane do niej artykuły w gazetach?

- Może nie mieć dostępu do gazet tam, gdzie się ukrywa - powiedziała Elsie. - Nie zareagowała na nic, co opublikowaliśmy, aby zwrócić uwagę Mistrza Ravena. Merton nie wie, że przybył do Anglii.

- Panie Ogdenie - odezwał się Bachus. - Nie zna pan przypadkiem zaklęcia iluzji optycznej?

Ogden zmrużył oczy.

- Znam, ale to tylko zaklęcie na poziomie średnio zaawansowanym. Nigdy... nie zdołałem znaleźć albo zakupić czegoś potężniejszego.

- Iluzji? - powtórzył za nim Mistrz Raven. Jego niewyraźne oczy skierowały się na Elsie. - Mówiła pani, że on jest z Ateneum Fizycznego!

- Bo jest - odparła - formalnie.

Mistrz Raven wybuchnął śmiechem.

- I co ja mam na to powiedzieć? Nie daj Boże, żeby w tej grupie znalazł się ktoś kompetentny.

Bachus starał się nie brać jego słów do siebie.

- Jak wielką iluzję potrafi pan stworzyć?

Ogden rozejrzał się dookoła.

- Być może wielkości tego pomieszczenia, gdyby była dość prosta.

- A jak trudne są ptaki?

Artysta zmarszczył czoło, ale po chwili bruzdy z jego twarzy zniknęły.

- Chce pan, żebym stworzył kruki?

- Jeśli zorganizujemy dość duże przedstawienie w odpowiednim miejscu, ludzie będą o tym gadać - zaproponował Bachus. - Mistrzynie Merton może i się ukrywa, ale jeśli nadal szuka Mistrza Ravena... dowie się o tym, w taki czy inny sposób.

- Ale gdzie?

Bachus pomyślał przez chwilę.

- Przychodzi mi do głowy kilka miejsc, w których nagle pojawienie się stada takich ptaków zwróciłoby uwagę.

Panna Pratt zapytała:

- Ale czy nie dowiedzą się, że to jego sprawka?

- Nie, jeśli nie ruszy się na krok z powozu - wtrąciła Elsie. - A tak się składa, że zamierzamy taki kupić, prawda? - posłała Bachusowi przekonujący uśmiech, od którego jej oczy były jeszcze bardziej niebieskie.

- W rzeczy samej.

Mistrz Raven burknął coś pod nosem.

- Słucham? - zapytała Elsie.

- Dobrze - rzucił. - Ale nie dajcie się z głupoty złapać przed czasem. I nie ruszajcie się stamtąd. Jadę do was.

Elsie wyrwała z miejsca.

- Naprawdę?

- Niech się pani spódnica nie zaplącze. Jeśli zamierzacie ogłosić światu moje istnienie, zamierzam odegrać w tym swoją rolę. Mam w zanadrzu parę sztuczek.

Najprawdopodobniej miał na myśli zaklęcia szczęścia i błogosławieństwa - to o nie najczęściej proszono aspektorów duchowych.

Ogden odezwał się.

- Ale nam nie chodzi tylko o to, żeby przykuć uwagę Merton. Chcemy ją dopaść. Musimy ją wywabić w jakieś bezpieczne miejsce, gdzieś, gdzie będziemy mogli się do niej zbliżyć. Bez świadków.

Na kilka sekund zapadła cisza.

- A może w stodole Thornfielda? - zaproponowała panna Pratt.

- Słucham? - Cuthbert przesunął krzesło, żeby ją lepiej widzieć.

Panna Pratt zarumieniła się.

- Chodzi o... to taka duża, opuszczona stodoła stojąca przy drodze prowadzącej do Aylesbury. Mijam ją w drodze do domu. Właściciel zmarł jakieś dziesięć lat temu i teraz tylko połowa jego gospodarstwa jest nadal użytkowana. A stodoła stoi na tej drugiej.

- Może zaczęlibyśmy w Rochester - powiedziała Elsie, kładąc dłoń na jego dłoni i chwytając go za palec wskazujący; być może dla dodania sobie odwagi. - Wyślemy kruki w okolice tej posiadłości, a potem znowu w Londynie. Aż napiszą o nich gazety.

- A potem można by powtórzyć wszystko jeszcze raz, żeby lepiej wskazać drogę do celu - dodał Bachus.

- W którym ja będę wisiał przywiązany do belki, jak przynęta - mruknął Mistrz Raven.

- Zostanę z panem - zaproponowała Elsie. - Bachus mógłby prowadzić powóz.

- Mam zostać z amatorską łamaczką zaklęć, a jedyne dwie przydatne osoby będą daleko? Elsie zmarszczyła brwi.

- Nie jestem amatorką - fuknęła, ale zaraz się uspokoiła. - Skoro jednak wolałby pan twórcę zaklęć - spojrzała na Bachusa - w takim razie może z panem zostać Mistrz Kelsey. Tak się składa, że znam kogoś, kto doskonale powozi.

- Kogo? - zapytał Cuthbert.

- Irene, oczywiście - Elsie się uśmiechnęła. - Wtedy będziemy mieli dwie łamaczki zaklęć gotowe zdławić magię Merton. A gdyby panna Pratt na koniec mogła zawiadomić policję, będziemy mieli także ich do pomocy. Ogden i ja ulotnimy się, zanim przyjadą.

Panna Pratt przytaknęła ochoczo.

- Mogę to zrobić.

- Przemysłmy jeszcze to wszystko - Cuthbert spojrzał na projekcję Mistrza Ravena. - Będziemy pana wyczekiwali.

Rozdział 23

Stodoła Thornfielda była widoczna z głównej drogi, ale dość od niej oddalona. Kiedy Bachus szedł w jej kierunku, jego nogi oplatał gąszcz złożony z traw i chwastów, więc trudno mu było sobie wyobrazić przedzieranie się przez takie przeszkody w spódnicy. Elsie przytrzymała się kurczowo jego ramienia. Zbliżali się do tego starego, opuszczonego budynku, który najwyraźniej kiedyś miał kolor niebieski, lecz potem wyblakł i teraz przypominał szare zachmurzone niebo. Mistrz Raven maszerował przed nimi pewnym krokiem. Oczekiwał, że teren mu się podda, a nie odwrotnie.

Był niższy, niż wydawało się Bachusowi, ale przecież on widział go tylko dwa razy unoszącego się metr nad podłogą.

Mistrz Raven pojawił się w zakładzie kamieniarskim dwa dni temu i obdarował ich życzeniami szczęścia niczym zrzędlivy Święty Mikołaj. Panna Prescott i Ogden wyjechali, żeby przygotować iluzje w miejscach, w których istniała pewność, że przechodnie zwrócą uwagę na kruki, a nie na twórcę zaklęć. Oczywiście poranna gazeta doniosła już o tych zjawiskach. Dlatego, nie chcąc tracić odpowiedniej chwili, zdecydowali, że uderzą jeszcze tego dnia.

Zaczynało zmierzchać, a Ogden i panna Prescott już tutaj jechali, wywołując po drodze iluzję z krukami z nadzieją, że wywabią Merton z jej kryjóWKi. Gdyby to się jednak nie udało, mieli powtórzyć cały plan za kilka dni. A gdyby w ogóle nic z tego nie wyszło... to Bachus nie był w stanie przewidzieć, co wtedy zrobią ani jak długo będą w stanie przekonywać Mistrza Ravena, żeby z nimi został.

Panna Pratt czekała w gotowości, żeby zawiadomić policję od razu, kiedy Mistrz Raven skontaktuje się z nią za pośrednictwem projekcji. Był z nią Reggie Camden.

Wchodząc do stodoły, zachowali ciszę. Jedno skrzydło drzwi na poddasze było przekrzywione i wisało tylko na górnym zawiasie. Ściany budynku przechylały się lekko na północ. Nie na tyle, żeby Bachus obawiał się o stabilność budowli, ale nie zaszkodziłoby rzucić na nią zaklęcie wzmocnienia. Drzwi na pole były zamknięte, ale te mniejsze, które znajdowały się w szczycie po obu stronach stodoły, dało się otworzyć, pociągając za zwykłą zasuwę. Bachus znalazł starą lampę, która wisała na drewnianym kołku, i zaświecił ją zaklęciem. Coś czmychnęło w kąt, kiedy to zrobił. Spojrzał na Elsie, ale ta nie bała się tupotu mysich łapek.

Podniosła spódnicę, kiedy szła po brudnej podłodze, która pokrywała jakieś dwie trzecie przestrzeni. Część desek przegniła albo wygięła się, jakby je dociskał ogromny ciężar. Miejsce na siano było puste, a w powietrzu unosił się zapach zimy i pleśni. Nadal stały też dwie ściany wydzielające boks dla koni, miały niecałe półtora metra wysokości i były całe pokryte pajęczynami.

- Przytulnie - powiedział Mistrz Raven. Miał ramiona ciasno założone na piersi. Wolno zatoczył krąg, przyglądając się krokwiom i wąskim oknom.

Spoglądając na Elsie, Bachus powiedział:

– Wkrótce powinni tu być. Przejdę się po okolicy, żeby się upewnić, że nie mamy żadnych świadków ani niespodzianek.

Po drodze nic takiego nie zauważył, ale ostatnią rzeczą, jakiej chciał, było przeoczenie czegoś, co mogłoby skutkować ucieczką Merton albo więzieniem dla niego i reszty.

Elsie zacisnęła usta i skubnęła krawędź rękawa, ale przytaknęła.

– Ja rozejrzę się tutaj.

Mistrz Raven prychnął, ale się nie odezwał.

Na zewnątrz robiło się coraz chłodniej, chociaż był jeszcze środek lata. Musiała zbliżać się burza. Chmury miały różne odcienie koloru niebieskiego i szarego, a na zachodzie były także poprzetykane złotem. Nadchodziła noc. Znajdujące się w oddali drzewa kołysały się od silnego podmuchu wiatru. Z pomocą innych aspektorów fizycznych Bachus mógł przyspieszyć nadejście burzy albo nawet i ją powstrzymać na jakiś czas, ale pojedyncza osoba nie mogła kierować Matką Naturą. Nie, żeby chciał. Ich kryjówka była dość dobra, ale Bachus nie był pewien, czy ochroniłaby ich przed deszczem.

Przyglądał się drzewom, czekając, aż poruszy się w nich jakiś cień, ale nic takiego się stało. To gospodarstwo zostało opuszczone dawno temu i od tamtej pory nikt się nim nie zajmował. Obszedł stodołę dookoła, zatrzymując się tylko raz, żeby zakłębieniem poprawić słabo wyglądającą obejmę. Kiedy wychodził zza budynku, usłyszał jakiś ruch i zatrzymał się. Mrużąc oczy, przyglądał się sąsiedniemu polu, ale zauważył tylko umykającego zająca, którego pewnie spłoszył on sam albo jakiś drapieżnik czający się w trawie.

Nagle Bachus poczuł, że obezwładnia go najbardziej euforyczne doznanie. Zrobiło mu się ciepło w środku, nerwy mu się uspokoiły, a mięśnie rozluźniły. Było w tym coś znajomego... Zastanawiał się, dlaczego miały właśnie teraz poczuć taki spokój, na zewnątrz zrujnowanej stodoły, czekając na swojego największego wroga...

I wtedy to do niego dotarło. To uczucie. Znał to z kościoła, do którego chadzał w mieście. Aspektor duchowy wywoływał tam w uczestnikach nabożeństwa wewnętrzny spokój albo imitację uczucia zsyłanego przez Ducha Świętego.

Odwrócił się, zaskoczony cieniem, który stał obok niego. Jakaś ręka złapała go za szyję, a zimne palce naciskały na jego skórę. Szarpnął się, chcąc krzyknąć.

– Cicho – szepnął znajomy głos.

I był cicho, jakby ktoś naprężył sznurek przymocowany do jego ust i pociągnął, zamykając mu szczękę. Narastała w nim panika, ale kiedy tylko pomyślał o ucieczce, jego ciało odmówiło posłuszeństwa.

Cień przysunął się bliżej, a słabe światło ukazało twarz osoby, z którą wielokrotnie zasiadał wspólnie do kolacji. W chwili, w której zobaczył jej oczy, wiedział już, co się stało, i poczuł ucisk w żołądku. Przerażenie nasączyło jego kończyny czymś oślizgłym i zimnym jak stycniowa bryza.

Bachus spróbował odepchnąć od siebie magię, chciał otworzyć usta. Gdyby tylko udało mu się ich ostrzec...

– Nic z tego – zacisk na jego ustach podwoił się. Merton spojrzała na niego groźnie, a wzdłuż jej twarzy rysowały się głębokie zmarszczki. – Łatwo cię wytropić, Mistrzu Kelsey.

Wyróżniasz się w tłumie. Zabiłabym cię i zabrała sobie twoją magię, ale ona nigdy by mi tego nie wybaczyła. Dlatego będziemy współpracować. Ale będzie zabawa, prawda?

To musiało się udać. Musiało.

Elsie pocierała o siebie dłonie, przemierzając stodołę w tę i z powrotem, przyglądając się pająkowi, który zniknął pod drewnianą deską w podłodze. Oświetlenie było liche; mieli tylko jedną lampę, a na zewnątrz robiło się ciemno, co mogłoby im utrudnić ucieczkę, gdyby zaszła taka potrzeba. Może lepiej by było zgasić to światło? Ale nie, Merton musiała dowiedzieć się, że Raven tam był.

Zerknęła na niego, wyglądał na pogrążonego w myślach, jego ramiona były skrzyżowane na piersi, a usta wykrzywione. Miał długie, poprzetykane siwizną włosy opadające mu na ramiona, a jego broda była prawie tej samej długości co włosy. Nadal miał na sobie kapelusz.

Nagle poczuła cichutkie brzęczenie zaklęcia.

Wyprostowała się.

- Co pan robi?

Mistrz Raven nie odpowiedział od razu. Jego ruchy były powolne, jakby poruszał się w miodzie. A potem spojrzał na nią groźnie.

- Przeniosłem się w projekcji na drogę. Żeby zobaczyć, co się dzieje - powiedział, a potem zbył ją skinieniem głowy i znowu rzucił zaklęcie. Przez chwilę jego pieśń wydawała się Elsie harmonią dwóch dźwięków, ale kiedy się skoncentrowała, zauważyła, że było to dokładnie to samo zaklęcie co przedtem.

Więc Elsie wróciła do rozcierania dłoni. Wszystko będzie dobrze. Merton była potężna, to prawda, ale mieli przewagę liczebną. Cuthbert mógł przejąć kontrolę nad jej umysłem, a Bachus nad ciałem, żeby nie uciekła i nie mogła rzucać zaklęć. A gdyby jednak spróbowała, to jest jeszcze Irene. Jeśli będą potrzebowali wsparcia, to Elsie mogłaby sprowadzić policję. No i mieli Mistrza Ravena. Elsie nie wyobrażała sobie, jak wyglądałby pojedynek duchowych aspektorów, ale miała nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Najważniejsza była ochrona Ravena. Wiedzieli, że Merton była w posiadaniu przynajmniej jednego opusu umysłowego. Mistrzowskie zaklęcie czytania w myślach mogłoby jej pozwolić na wgląd w umysł Ravena na tyle głęboko, żeby wydobyć zaklęcie zarażania z jego współpracą czy też bez. Nie mogli do tego dopuścić.

Pytanie tylko, czy Merton pojawi się sama. Bez problemu mogłaby pozyskać kolejnego Mistrza Phillipsa, żeby walczył u jej boku, ale nawet wtedy nie przewyższyliby ich liczebnością...

Otworzyły się drzwi i wszedł Bachus, Elsie rozluźniła się na jego widok. Nawet nie wiedziała, że jest aż tak spięta.

- I co?

Bachus pokręcił głową.

- Nikogo nie ma.

Mistrz Raven prychnął, ale nic nie odrzekł.

Elsie podeszła do Bachusa, odnajdując ukojenie w jego ciepłe. Ale podarował jej tylko małą iskierkę, bo zaraz podszedł do okna w jednym z drzwi na pastwisko.

– Jada – powiedział Mistrz Raven, a potem zamrugał i wyprostował się, poprawiając kłapy w płaszczu. – Oby to zadziało.

– Jeśli pan potrafi obserwować otoczenie, to Merton też – powiedziała Elsie.

– Zorientuje się, że to pułapka.

– Oczywiście, że to pułapka – ze zdenerwowania mówiła oschle i szybko. – Wabimy ją krukami. Ale jeśli jest gotowa zabijać za pańskie zakłęcie, to zaryzykuje.

No chyba że Elsie całkowicie myliła się co do motywów tej kobiety. Chociaż po liścikach, które otrzymywała od Merton przez dziesięć lat, i po ich ostatnim *tête-à-tête*, była pewna, że jednak ma rację.

Biorąc głęboki oddech, podeszła do Bachusa. Ostatnie złote promienie słońca chowały się za zachmurzony horyzont. Całe gospodarstwo było tak zarośnięte, że można było równie dobrze udawać, że są na łące, chociaż w wrażenie psuł stojący w oddali płot.

– Jest jeszcze na tyle widno, że powinni dotrzeć tu bez problemów. Postawią powóz na tyłach – stwierdziła. Słyszała już konie zbliżające się do stodoły przez zarośla.

Bachus przytaknął.

– Wszystko będzie dobrze. Ja tylko podziwiałem derenie.

– Aha – wyjrzała przez okno, ale nie zobaczyła wysokich gałęzi ani białych paków, które otaczały zakład kamieniarski.

Wychyliła się bardziej, ale widziała tylko łąkę, drzewa w oddali i wzgórze, które powoli zniknęły w ciemności.

– A gdzie...

Nagle ją zmroziło.

Dereń.

Wróciła myślami do tamtej chwili na tyłach domu, kiedy stali razem w cieniu krzewów. *To będzie nasze hasło.*

Kiedy Mistrz Raven rzucał zakłęcie, usłyszała dwie pieśni. A Bachus był wtedy sam na zewnątrz.

Merton już tu dotarła. I nie zabrała ze sobą sługusa, zgarnęła go po drodze.

Bachus.

Zamarła, kiedy otworzyły się jedne z drzwi bocznych i wpadła przez nie zziębnięta Irene, a zaraz za nią Cuthbert. Z rozpędu niemal przytrzymał jej spódnice drzwiami.

– Zrobione – powiedział – teraz już...

Elsie zakręciła się w kółko.

– Biercie Ravena i uciekajcie!

Irene wyglądała na zaskoczoną, ale Ogden cały się spiął.

Elsie podbiegła do nich.

– Zabierz go stąd...

Stare drewniane deski podłogowe poruszyły się i zaczęły się trząść, aż Elsie upadła na kolana. Przewróciły też Mistrza Ravena i Irene; Ogden chwycił za zasuwę w drzwiach i udało

mu się nie przewrócić. Natychmiast spojrzął na Bachusa, który stał z wyciągniętą ręką.

– Co pan wyprawia? – warknęła Ogden dokładnie w chwili, w której podłoga zaczęła mu rosnać pod stopami.

Serce Elsie biło tak mocno, że pojawiło się ryzyko, że wyrwie się z jej piersi.

– Ona go kontroluje!

Wsunęła dłonie pod nierówności podłogi, które ją do niej przytwierdziły, i złamała to zaklęcie. Irene zdążyła zrobić już to samo i pobiegła do Cuthberta, żeby i jego uwolnić, ale podłoga polknęła jej stopy i przewróciła ją, niemal skręcając jej kostkę.

Bachus skręcił i szedł teraz prosto na Ravena, rzucając po drodze zaklęcie na Elsie, które zagęściło powietrze wokół niej. Czuła się tak, jakby ktoś ją owinał kłębkami wełny. Widziała przed sobą błyszczącą runę, ale osiągnięcie jej było niemożliwe, jak próba oddychania z głową w becze miodu.

Bachus chwycił Ravena za kłapy i rzucił nim o podłogę. Ubranie mistrza zeszytywniało tak, że wyglądał bardziej jak dziadek do orzechów niż żywy człowiek. Bachus przycisnął mu jedną rękę do podłogi, a potem sprawił, że drewno z podłogi owinęło się wokół niej, zamykając ją w twardym uścisku.

Elsie z trudem chwytiała powietrze. Udało jej się jednak dosięgnąć runy i rozplątać ją. Powrót grawitacji spowodował, że upadła na ziemię, dysząc.

– Teraz, kiedy już przykułam waszą uwagę... – odezwał się słodki głos.

Elsie obróciła się wokół i zobaczyła Merton przy środkowych drzwiach na pastwisko, ubraną na fioletowo, z siwymi włosami związanymi w koczek.

Uśmiech na twarzy Merton nieco osłabł.

– ...uwolniła się nam łamaczka, Mistrzu Kelsey – powiedziała, ale nie wskazała na Elsie, tylko na Irene, która zdołała ponownie oswobodzić się z zaklęcia i czołgała się w stronę Cuthberta. Bachus wyciągnął prawą rękę i przez stodołę przetoczył się podmuch wiatru, porwał Irene i rzucił nią w boczne drzwi.

– Przestań! – wrzasnęła Elsie, ale przy jej kolanie odżyła właśnie runa i unieruchomiła ją, znów zagęszczając powietrze. Na szczęście tym razem tylko wokół jej nóg.

– Ogden! – wrzasnęła.

Cuthbert pokręcił głową. Twarz miał czerwoną i spoconą od zmagania się z zaklęciem Bachusa.

– Nie mogę do niej podejść! Ona posiada to samo zaklęcie, które miał Phillips... – powietrze zamigotało, kiedy zaklęcie umysłowe popłynęło do Merton. – Nie, jednak nie takie samo. Inne...

– Jesteś taki głośny Cuthbercie – powiedziała Merton, zbywając go machnięciem ręki. Jej wzrok powędrował do Ravena. – Po tylu latach tak mnie witasz? Myślałam, że będzie bardziej sympatycznie.

Mistrz Raven splunął w kierunku Merton.

Ale ona była niewzruszona. Spojrzała teraz na Elsie.

– Nadal chcę z tobą porozmawiać, moja droga. Tylko ty i ja.

Nieprawdopodobne, Elsie nie wiedziała, co powiedzieć. Schyliła się i rozplątała zakłęcie przytrzymujące ją w miejscu.

– Puszczę go, jeśli ze mną pójdziesz.

Elsie zamarła. Merton nie miała wcale na myśli Mistrza Ravena.

Spojrzała na Bachusa, który stał obok Amerykanina; strzegł go, czekając na następny rozkaz. Był wyprostowany i nieruchomy, ale Elsie dostrzegła w jego oczach rozpacz. Opór.

Mrugając, żeby odpędzić łzy, Elsie szepnęła:

– Gdzie jest? To zakłęcie?

– Naprawdę? – powiedziała Merton marudnym głosem, ale nie patrzyła na Elsie, ale za nią, na Irene. – Nie potrafisz usiedzieć w miejscu?

Elsie odwróciła się i zobaczyła, że Irene uwalnia Ogdena.

– Naprawdę nie ma sensu utrzymywać cię przy życiu – machnęła dłonią, a Bachus podniósł rękę.

– Bachusie, nie! – Elsie pobiegła w jego stronę. W powietrzu zatrzeszczało, kiedy błyskawica wystrzeliła z jego palców.

Elsie ją przechwyciła, czując wstrząs w ręce, kiedy rozplątywała zakłęcie, podobnie jak robiła to z zakłęciami rzucanymi przez Nasha w Siedmiu Dębach.

– Imponujące! – pochwaliła ją Merton. – Jesteś takim cudownym nabytkiem, Elsie. Na pewno się dogadamy. Co prawda dam sobie radę bez ciebie, jeśli będę musiała, ale...

Elsie nie usłyszała reszty wypowiedzi tej psychopatki, ponieważ Bachus wypuścił kolejną błyskawicę, ta jednak minęła Elsie i uderzyła w boczne drzwi. Co, jak zauważyła Elsie, także podniosło podłogę, blokując możliwość wyjścia. Cuthbert uniknął strzału i biegł w stronę Mistrzyni Merton.

Bachus ruszył, żeby go przechwycić. Zderzyli się ze sobą. Bachus był większy, ale kamieniarz był mocnej budowy i miał krzepę. Bachus lewą ręką złapał go za gardło i ścisnął je.

– Przestań! – Elsie dobiegła do nich i chwyciła Bachusa za ramię, próbując je wykręcić. Udało się jej, ale zaraz ręka Bachusa rzuciła się na nią niczym żmija, a przed oczami Elsie zamigotała runa przyspieszania. Jego palce chwyciły za jej gorset i rzuciły nią z niepokojącą siłą. Rozdarła się jej sukienka, a ramię mocno uderzyło o podłogę. Zasyczała, kiedy ból przeszył ją aż do obojczyka. Była potłuczona, ale nie połamana.

Bachus odepchnął Cuthberta i zaraz runa zaplątała się wokół jego stóp, przygwałdzając go do podłogi. Obracając się, Bachus posłał kolejne zakłęcie wiatru w stronę Irene, która usiłowała dostać się do Ravena. Amerykanin nadal miał jedną wolną rękę i w całej stodole śpiewał jego zakłęcia.

Merton zaśmiała się.

– Twoje zakłęcia na mnie nie zadziałają, starcze.

– Merton, zakończ to! – Elsie rzuciła się na kolana. – Chcesz porozmawiać? Rozmawiajmy!

Merton uśmiechnęła się.

– Później, moja droga. Kiedy nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Mistrz Raven skierował uwagę na Bachusa i Elsie usłyszała, jak przelatuje nad nią zakłęcie, którym w niego uderzył. Ten nagle zachwiał się niezdarnie. Elsie skorzystała z okazji, pobiegła

do Ogdena i uwolniła go.

Uczucie podobne do zimnego oddechu przeszło po skórze Elsie, kiedy Ogden przyłączył się do ataku, zsyłając na Bachusa zaklęcie umysłowe. Bachus chwycił się za głowę i ryknął. Błyskawice zaczęły wystrzeliwać z niego we wszystkich kierunkach, a jedna z nich prawie trafiła w Ravena. Ściany stodoły zaczęły trzeszczeć i drżeć, jakby w nie uderzyła burza – jednak Bachus nie mógł rzucać dwóch zaklęć naraz. To musiała być Merton i zaklęcie fizyczne. Jeśli zabrała ze sobą cały arsenał zaklęć z opusu, to nie wygrają tej walki.

Elsie podbiegła do Ravena i uwolniła jego nogę, ale zaraz błyskawica uderzyła ją w tył uda. Wrzasnęła i odskoczyła, gasząc małe płomyki, które pojawiły się na jej spódnicy. Noga potwornie ją piekła. Irene znalazła się u jej boku, kulejąc, i pomogła uwolnić Ravena. Jedna z pięści Bachusa wylądowała na twarzy Ogdena, zrywając zaklęcie, którym go przytrzymywał.

Uwolniony Raven pobiegł do bocznych drzwi, które były za nimi, a Bachus skupił na nim uwagę i zaraz cała stodoła zaczęła dygotać, jak podczas trzęsienia ziemi.

Cały ten czas Mistrzynie Merton im się przyglądała, stukając w ramię zwiniętą stroną z opusu, jakby miała mnóstwo czasu na obserwowanie, jak Bachus ich atakuje. Dlaczego po prostu nie skorzystała z tego zaklęcia i nie zakończyła tego wszystkiego? Miałyby do swojej kolekcji opusy Ogdena i Bachusa. Zamknęłaby Elsie, zabiła Irene, torturowała Ravena, żeby z niego wydobyć informacje...

To było tak dziwne – stała sobie tak nonszalancko, kiedy wokół niej szalała bitwa. Merton nigdy nie brała udziału w aktach przemocy. Z kolacji w Siedmiu Dębach, kiedy zaatakował Nash, uciekła. Zatrudniła i kontrolowała pomocników, żeby za nią zabijali, porywali i kradli, a ona zawsze utrzymywała stosowny dystans. Tylko dwa razy zaryzykowała, ujawniając się Elsie, najpierw w więzieniu, a potem w piwnicy Phillipsa, i za każdym razem robiła to za pośrednictwem projekcji.

– Nie mogę do niej podejść! Ona posiada to samo zaklęcie, które miał Phillips – powiedział Ogden. – Nie, jednak nie takie samo.

Jak dwa zaklęcia ochronne przeciwko zaklęciom umysłowym mogą być inne?

Dlaczego Merton rzuciła tylko jedno zaklęcie z opusu, i to na ściany stodoły?

Zaklęcie, które można rzucić z zewnątrz?

Elsie gwałtownie wciągnęła powietrze. Merton nie miała na sobie zaklęcia ochronnego przeciwko Ogdenowi.

A klątwy Mistrza Ravena rzeczywiście zadziałałyby przeciwko niej.

To znaczy, jeżeli Merton naprawdę tu była.

Ale to była projekcja. To musiała być projekcja. Jednak była tak wyraźna, tak nieskazitelna... co znaczy, że Merton musiała być bardzo blisko.

Elsie postawiła na nogi aspektora duchowego i popchnęła go w kierunku Irene.

– Zabierzcie stąd Ravena!

Irene chwyciła Mistrza Ravena za ramię i pobiegła do bocznych drzwi.

Bachus zatoczył się na nich, nadal niezadarny od duchowej klątwy. Z jego dłoni wystrzeliła błyskawica...

Elsie nie zatrzymała się, żeby sprawdzić, gdzie spadła. Pobieгла do najbliższych drzwi na pastwisko i wyskoczyła przez znajdujący się w nich otwór, w dwóch miejscach zaczepiając o coś sukienką. Skaleczyła kolano, kiedy szarpała się, żeby odczepić tkaninę. Spadła, tłumiąc krzyk, ponieważ uraziła stłuczone ramię. Usta miała pełne ziemi, a w oko wbiła jej się trawa. Ale złapała równowagę i podniosła się na nogi, czując chłodny powiew na ciele, kiedy nocne powietrze dostało się jej pod porwaną suknię, spod której wystawał spory fragment halki.

Na zewnątrz panowała ciemność, jedynie księżyc przebijał się trochę przez chmury. Ale w stodole wcale nie było dużo jaśniej. Jej oczy niemal natychmiast przyzwyczyły się więc do mroku.

Podnosząc nieskromnie spódnicę i krzywiąc się jednocześnie, bo ta otarła poparzenie na nodze, Elsie obeszła stodołę. Ale nikogo nie dostrzegła. Puls jej przyspieszył, ciało było obolałe, dłonie i plecy miała spocone, ale zamknęła oczy, wyobrażając sobie, że znów znajduje się w piwnicy Mistrza Phillipsa.

Irene wrzasnęła.

Elsie zacisnęła zęby i skupiła się. Zakłęcia zapalały się jak robaczki świętojańskie – fizyczne, duchowe, umysłowe – wszystkie świeciły ze stodoły. Budynek zatrzęsł się od zaklęcia fizycznego, które mogło zburzyć jego ściany. Podłogi zadrżały od wstrząsu.

Ale było też jakieś inne zaklęcie, gdzieś na północy. Z dała od innych, w zagajniku. Elsie obeszła go, aż dostrzegła sylwetkę kobiety. Aż usłyszała cichutki szept zaklęcia.

W jej myślach panował zamęt. Wstrzymując oddech, podeszła bliżej. Głowę rozsadzała jej zbieranina nie do końca zapamiętanych wiadomości z liścików pisanych na srebrzystym papierze. Urwanych rozmów przy stole podczas kolacji. W celach więziennych. W piwnicach. Każdy jej krok przynosił jakiś porządek.

Nie podeszła zbyt blisko, bo Merton skupiła uwagę i skierowała się w jej stronę.

– Miałś rację – Elsie zaczęła pierwsza. Puściła spódnicę i podniosła obie ręce w geście poddania. – Chcę porozmawiać. Nie krzywdź ich, tylko porozmawiaj ze mną.

Było za ciemno, żeby dostrzec wyraz twarzy Mistrzynie Merton.

– Zawsze byłaś bystra, Elsie. Dlatego cię lubię. Nie podchodź bliżej, dobrze?

– Wiesz o moich rodzicach. O mojej rodzinie – Elsie poczuła, jak rośnie jej gula w gardle, ale ją przełknęła. – Ty też swoją straciłaś.

Merton nie zareagowała.

– Porzucili mnie – wyszeptła Elsie.

– Bo nie wiedzieli, kim jesteś – sylwetka przesunęła się z zaklęciem z opusu w jednej ręce i całym spektrum zaklęć duchowych w drugiej. Merton wydawała się nieco nieobecna – w końcu musiała jednocześnie kontrolować Bachusa, a także prezentować się tak, żeby jej projekcja w stodole wyglądała realnie. Wszystko to działało na korzyść Elsie.

– Szkoda, że od początku nie wiedziałam, że to byłaś ty – ciągnęła Elsie, przysuwając się odrobinę, tak wolno (ależ to oparzenie ją bolało!), że miała nadzieję, że nie dostrzegalnie. – Owszem, nie zgadzałyśmy się ze sobą, ale masz rację. Co do wszystkiego. Zakochałam się w bogatym mężczyźnie i nie chciałam już tego dostrzegać. Bólu, cierpienia i niesprawiedliwości. A ty tylko pragniesz ulepszyć świat...

– Świat stanie się lepszy – podkreśliła stanowczo Merton. – Ja tego dokonam. Wydobędę to zaklęcie z Ravena i zrobię to – jej głos stał się twardy. – On jest tchórzem. Gdyby mnie posłuchał, wszystko potoczyłoby się inaczej. To on mnie do tego wszystkiego zmusił.

– Ale nie chcesz być sama – zgadywała Elsie. – I nie musisz być. Mogę pomóc ci nieść ten ciężar. Pomogę ci.

Merton zamilkła.

Elsie znów podeszła nieco bliżej. Teraz dzieliły ją od tej kobiety zaledwie cztery kroki.

– Szkoda, że nie wiedziałam, że to byłaś ty – powtórzyła ciszej – bo wtedy mogłabym mieć matkę.

Cisza. Elsie znów się zbliżyła.

– Nie lubię śmierci. Wiesz o tym – musiała uważać na słowa; musiała brzmieć szczerze – ale jesteś jedyną osobą, która zawsze była przy mnie. Zdałam sobie sprawę, kiedy myślałam, że umarłaś. Nie mam rodziny, nawet Cuthbert nią nie jest. A mój mąż jest ze mną przez jakąś pokręconą potrzebę bycia rycerskim – kolejny kroczek.

Przycisnęła dłoń do serca.

– Uratowałaś mnie, Lily – znów parę centymetrów.

Kciuk Elsie zanurkował pod gorsetem.

– Uratowałaś mnie od życia w biedzie, w przytułku. Szkoda, że przez te wszystkie lata ukrywałaś się przede mną...

– Nie chciałam tego – powiedziała Merton. Nadal stała sztywno, ale wyraz jej twarzy złagodniał. – Nie mogłam pozwolić sobie na wątpliwości. Musiałam się upewnić, że mogę ci zaufać. Niewiele jest osób, które robią, co trzeba, aby zaprowadzić na świecie jedność. Prawdziwy pokój i równość. Musiałam cię sprawdzić. Wyszkolić. Moja droga, przeszłaś wszelkie oczekiwania. Ale za dużo czasu spędziłaś u tego kamieniarza. I nie powinnam cię była posyłać do Siedmiu Dębów. Nie podchodź.

Elsie stanęła.

– A co ja mogę ci zrobić, Lily? Jestem tylko łamaczką zaklęć. Gdybym chciała pozbyć się ciebie z tej stodoły, rozplątałabym tę projekcję.

Przełknęła znów gulę w gardle i pozwoliła sobie zatopić się w swoich mrocznych uczuciach, które ukrywała. Jej miłości do Bachusa i niepokoju, jaki przez nią odczuwała. Jej strachu, że Ogden, Irene i nawet Raven mogą dzisiaj zginąć. Sięgnęła nawet głębiej: do szoku, kiedy dowiedziała się o śmierci najstarszego brata. Do żalu po utracie siostry. Do wiedzy, że rodzice ją porzucili. Do poczucia winy, że brała udział, choć nieświadomie, w zabójstwach tylu osób.

Gardło jej się zacisnęło i lzy napłynęły do oczu. A co ważniejsze, także jej głos stał się płaczący. Brzmiał szczerze.

– Lily, proszę. Ja...ja nie chcę, żeby oni zginęli. Oczywiście, że tego nie chcę – bo kto chciałby czegoś takiego dla ludzi, których kocha – ale... może mogłybyśmy zacząć od nowa. Może opowiesz mi swoją historię. Całą.

Kolejny krok.

– Chcę cię zrozumieć. Proszę.

Merton opuściła ramiona.

– Tylko ty wiesz, jakie to uczucie. Całkowita samotność.

Elsie przytaknęła.

– Podobnie jak ty.

I wtedy odważyła się podejść do niej. I uściskać swojego wroga.

Merton jej nie powstrzymała. Nie zauważyła też szeptu z kartki, którą Elsie wyjęła z gorsetu.

Elsie przytuliła Mistrzynię Lily Merton. Pozwoliła, żeby poczuła jej łzy na policzku. Położyła jej obie dłonie na plecach.

I wyszeptała:

– *Excitant.*

Zakłęcie opusu zniknęło. Na chwilę Merton zrobiła się bezwładna.

Chaos w stodole ucichł.

– Och – starsza kobieta odsunęła się od Elsie.

Na chwilę oświetlił je księżyc i Elsie zauważyła zaskoczenie na twarzy Merton. Dezorientację.

– O, moja droga... Kim jesteś? – cofnęła się i przyjrzała staremu gospodarstwu. – O rety, gdzie ja jestem? Ja... byłam w swoim gabinecie w Ateneum... – poklepała się po policzkach, być może chcąc się upewnić, że naprawdę tam jest. – O rany. Moja droga, jak się nazywasz?

– Elsie Amanda Kelsey – odpowiedziała Elsie, a każda jej cząstka była napięta jak sprężyna.

– Elsie. Piękne imię.

Elsie przełknęła ślinę. To mistrzowskie zakłęcie musiało zabrać Merton przynajmniej dziesięć lat wspomnień, skoro aspektorka jej nie pamiętała. Ale potrzeba było więcej, jeśli miała zapomnieć to, co miało dla niej największe znaczenie.

– Który mamy rok? – zapytała Elsie.

Merton zamrugała oczami.

– Cóż, jest rok 1880 oczywiście. Jutro Boże Narodzenie... – obróciła się wokół, chłonąc tę chłodną letnią noc. Podniosła dłoń do ust. – Ja... nie rozumiem. Czy to jakieś tymczasowe zakłęcie?

A potem odsunęła od siebie dłoń i przyjrzała jej się, jakby była zdziwiona zmarszczkami, które na niej zauważyła.

W stronę Elsie podążał ktoś ciężkimi krokami. Odwróciła się i zobaczyła, że podchodzi do niej ciemna postać. Ale bez kogoś, kto dalej podtrzymywałby zakłęcie kontrolujące, postać ta była całkowicie nieszkodliwa.

Elsie podniosła ręce w górę.

– Już w porządku. Jest bezpieczna.

Bachus zatrzymał się w pół kroku.

– Bezpieczna? Co masz na myśli?

– Mistrzu Kelsey – powiedziała Elsie ostrożnie – to jest Mistrzyni Lily Merton, której od dawna szuka Ateneum. Miał pan rację, że należy poszukać tutaj, jednak obawiam się, że ona nic nie pamięta.

Bachus zmrzążył oczy. Za nim ze stodoły wyszedł Ogden, trzymając lampkę nad głową.

Kiedy się zbliżył, Elsie chwyciła Merton za rękę, żeby pokazać, że Mistrzynie jest nieszkodliwa.

- Nie wyrzuciłam wszystkich zakłęb do Tamizy - wyznała.

Bachus jeszcze bardziej zmarszczył czoło, ale Ogden zrozumiał, nawet bez czytania w jej myślach. Jego oczy przeskakiwały z Elsie na Merton i z powrotem, a potem powiedział:

- Które zatrzymałaś?

- Zakłębcie zapomnienia. Ona sądzi, że jest grudzień 1880 roku.

Merton spięła się.

- Co... Kim jesteście? - patrzyła na nowe twarze. - Co ja tutaj robię? - przyłożyła dłoń do czoła.

Elsie wypuściła nierówny oddech.

- Już dobrze. Wszyscy są bezpieczni.

- To za mało.

Elsie odwróciła się, niemal nie rozpoznając cienia Mistrza Ravena.

- Minęło piętnaście lat - powiedziała - a ona niczego sobie nie przypomina. Nie pamięta pana.

- Kogo? - w głosie Merton slychać było nutkę niepokoju. Więc Elsie ścisnęła jej dłoń.

Jednak Raven pokręcił głową.

- To ta sama osoba z tymi samymi motywami. Wymazanie jej pamięci to za mało. Pani małe zakłęb nie naprawi jej zbrodni. Nie wróci mi przyjaciół.

Teraz Merton już płakała.

- Jakich zbrodni?

Elsie wysunęła brodę.

- Cuthbercie, zajmij ją czymś, proszę.

Poczuła lekkie poruszenie powietrza pomiędzy Ogdenem, który stał sztywno, jak drzewo, a Merton, której oddech nagle się uspokoił. Odwróciła od nich wzrok, jakby zobaczyła coś, czego tak naprawdę nie było, i uśmiechnęła się. Cuthubert musiał pokazać jej coś pięknego.

Elsie znowu skoncentrowała się na Ravenie.

- Ona nie pamięta.

- To nie ma znaczenia - upierał się.

- Ale ona myśli, że jest niewinna...

- Elsie - odezwał się cicho Ogden, koncentrując się na zakłębciu. Patrzył na Merton, ale powiedział:

- Ona nie jest niewinna. Ja... - głos mu się napiął i przełknął ślinę - ja nigdy nie odzyskam tych wszystkich lat. Nigdy nie zdołam zapomnieć.

Ból przeszył jej serce. Zamrugala, żeby odpędzić kolejną łzę.

- Oczywiście - przyznała. Ponieważ nie można zapomnieć najgłębszych cierpień. Można jedynie nauczyć się lepiej sobie z nimi radzić.

Bachus szepnął:

- Moglibyśmy przekazać ją władzom. Ale ona nie będzie w stanie złożyć zeznań.

- Będzie, jeśli zadadzą jej odpowiednie pytania - Raven podszedł do światła, a suche patyki trzeszczały mu pod butami. Zbliżył się do Merton od tyłu i położył jej dłoń na ramieniu, a potem z zaklęcia, które rzucił, popłynęły wyraźne, miłe dźwięki. Silne i wysokie - to było zaklęcie mistrzowskie.

- Co pan zrobił? - szepnęła Elsie.

- Przekląłem ją - powiedział, a Elsie poczuła ucisk w żołądku.

- Od teraz może mówić tylko prawdę.

Elsie zastanowiła się chwilę. To zaklęcie było podobne do zaklęcia prawdy, które rzucił na nią w Juniper Down.

- Chce pan ją zabrać na policję - domyślił się Bachus - z listem, najpewniej zawierającym obciążające pytania. Anonimowym, jak zakładam.

Raven kiwnął głową z poważną miną.

Elsie wzięła głęboki oddech i od razu go wypuściła.

- Sądzę, że to jedyne rozsądne wyjście. Może pan by go napisał, Mistrzu Ravenie? Pana charakter pisma będzie najmniej łatwy do rozpoznania.

- Sama go napisze - wtrącił Cuthbert, prostując się. - Pokieruję jej dłonią.

Elsie spojrzała na niego, a potem przeniosła wzrok na oczy Bachusa. Miał stanowczą minę, ale jego oczy były smutne. Elsie też nie było do śmiechu, chociaż rzeczywiście trzeba było to zrobić. Jednak nie wszystko, co powiedziała Merton, było kłamstwem. Naprawdę wiele je łączyło. W innym świecie może mogłyby być rodziną.

- Dobrze - powiedziała, pocierając niespokojnie ramiona - ale upewnijcie się, że przyzna się do wszystkiego. W tym do kontrolowania Mistrza Phillipsa. Musimy to naprawić - popatrzyła na nich wszystkich i nagle oblał ją chłód. - O Boże, Irene. Gdzie jest Irene?

Ogden nagle przerwał zaklęcie, co wystraszyło Merton.

- Gdzie ja jestem?

- Pomóż mi przenieść pannę Prescott do powozu - Cuthbert skinął na Bachusa. - Potrzebny jej lekarz.

Kiedy ci dwaj pobiegli z powrotem do stodoły, Merton wyciągnęła dłoń z uścisku Elsie; Elsie zapomniała, że ją trzyma.

- Moja droga - powiedziała. - Nie wiem, co się dzieje. Możesz mi pomóc?

Elsie posłała jej najbardziej uspokajający uśmiech, na jaki było ją stać.

- Oczywiście - spojrzała na Ravena. - Odwieziemy panią, gdzie trzeba.

Rozdział 24

Elsie nie została, żeby posłuchać zeznań Merton. Zresztą żadne z nich tego nie zrobiło.

Odwieźli Irene do szpitala, zabrali po drodze Emmeline i Reggiego, a z samego rana zawieźli Merton do domu naczelnika lokalnej policji. Miała ze sobą list zapieczętowany woskiem.

Jej historia ukazała się w gazetach po dwóch dniach.

Tytuł artykułu brzmiał: *Powstała z martwych aspektorka bez pamięci przyznała się do morderstw*. To była najważniejsza historia tego dnia. A trzy dni później zastąpił ją inny tytuł: *Mistrz Enoch Phillips uniewinniony*. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Elsie trudno było uwierzyć, że już po wszystkim, ale tak było. Merton została zabrana do Więzienia Jej Królewskiej Mości w Oksfordzie. Stan jej umysłu zapewne uchroni ją przed karą śmierci. Nie mogła kłamać, więc kiedy mówiła, że nie pamięta, to tak było.

Lecz mimo że nie pamiętała, iż nałożyła zakłęcie kontrolujące na Bachusa, to jego pieśń pozostała, a Elsie zdjęła je, jak tylko wrócił po udzieleniu pomocy Irene.

I tak po prostu było po wszystkim, jakby się w ogóle nic nie wydarzyło. Reszta skradzionych opusów na razie nie została odnaleziona, ponieważ Mistrzynie Merton nie pamiętała, gdzie je ukryła, ale ze śledztwa Ogdena wynikało, że władze były już na tropie. Przeszukiwano dokładnie posiadłość Merton i inne okoliczne miejsca. Przez brakujące zakłęcia Elsie czuła się nieswojo, jakby czytała powieść, w której brakowało ostatniej strony. Miała wrażenie, jakby to nie było jeszcze prawdziwe zakończenie.

Mistrz Quinn Raven zniknął, zanim opowieść o Merton rozprzestrzeniła się niczym pożar po całej Anglii. Nie pożegnał się nawet – ale czego można było oczekiwać po takim odludku, który od lat stronił od bliźnich. Jednak kilka tygodni później Ogden znalazł interesujący artykuł na pierwszej stronie lokalnej gazety. Jego tytuł brzmiał: *Amerykański artysta z wdzięcznością oddaje honory brytyjskim kompanom*. Artykuł był krótki i słabo napisany, stale przeskakujący pomiędzy amerykańskim i brytyjskim angielskim. Nie było przy nim nawet zdjęć „sztuki”, o której była mowa w treści. Jego autor podpisał się jako Czarny Ptak. Nie wiadomo było, czy Raven zdecydował się opuścić swoją norę.

Ogden od pewnego czasu miał zaległości w zleceniach, także kiedy wreszcie zaczął pracować, Elsie pomagała mu trzy dni w tygodniu przez miesiąc, żeby mógł zdążyć z robotą. Cuthbert o tym nie mówił, ale Elsie podejrzewała, że kamieniarz nadal potrzebuje czasu, żeby całkowicie dojść do siebie, mimo że jego prześladowczyni siedziała już za kratkami. Ale jeśli ktośkolwiek znał się na umysłach, to był to właśnie Cuthbert Ogden. Ostatnim razem, kiedy Elsie wpadła do nich z wizytą, znowu się uśmiechał i wreszcie zatrudnił kogoś na jej miejsce – miłą młodą kobietę z Aylesbury, która wydawała się całkowicie oczarowana jego niemagicznymi talentami i sama uczyła się szkicować.

Irene Prescott spędziła sześć tygodni, leżąc w domu ze złamaną nogą – takie rzeczy się zdarzają, kiedy ktoś biegnie w jedną stronę, a nagle uniesienie podłogi sprawia, że noga wykręca

się w innym kierunku. Elsie słyszała wtedy jej krzyk, a świadomość, co go spowodowało, bardzo jej doskwierała. Chociaż nie tak bardzo, jak Bachusowi, który, przybity poczuciem winy, nie był w stanie odwiedzić biedaczki przez całe dwa tygodnie. Musiały obie z Irene wielokrotnie zapewniać go, że nie był rzeczywistym sprawcą niefortunnego złamania, zanim dał się wyciągnąć do jej londyńskiego domu, w którym naprawiane były przyjaźnie i kontynuowane „szkolenia”, i gdzie otrzymali rekomendacje pokojówki.

Nawiązując do poczucia winy, a właściwie do uwalniania się od niego, Bachus udał się jednak na pogrzeb księcia Kentu, z Elsie u jego boku. Stał obok księżnej i ich córek, a nawet powiedział na cmentarzu kilka słów i ani jedno z nich nie było przepełnione goryczą. Książę otrzymał rozgrzeszenie.

Natomiast Bachus miał problem z rozgrzeszeniem samego siebie, chociaż został nim ochoczo obdarzony. Oczywiście obserwował całe to zdarzenie, bo zakłęcie Merton wpływało na ducha, a nie na umysł. Wiedział, że zaatakował żonę i przyjaciół, i przez tydzień nie chciał nawet dotknąć Elsie, która cały czas nosiła na nodze ślady oparzenia. Aż wreszcie Elsie straciła cierpliwość i pokłócili się po raz drugi – bo Elsie do kłótni zaliczała także ich pierwsze spotkanie. Wykrzyczała wtedy, że powinien przyjąć jej miłość i przebaczenie, przestać zachowywać się jak uparty osioł i wreszcie zacząć znowu z nią sypiać.

Wracając do sprawy Mistrza Enocha Phillipsa, to został zwolniony z więzienia i oczyszczony ze wszystkich zarzutów, jednak nie udało się niestety nigdy całkowicie wywabić plamy na jego reputacji. Dlatego nikt się nie dziwił, kiedy odszedł z Londyńskiego Ateneum Fizycznego. Według plotek przyniesionych im przez Irene sprzedał swoją posiadłość i wyprowadził się z rodziną do Paryża. Ku radości Elsie i Bachusa na stanowisku głowy Rady zastąpiła go Mistrzynie Ruth Hill, która niezwłocznie zaproponowała Bachusowi zakłęcie poruszania, po które przybył z Barbadosu do Anglii.

Najwyższy czas, żeby Elsie udała się wreszcie w prawdziwą podróż poślubną. A gdzie można lepiej spędzić jesień niż pod słonecznym barbadoskim niebem?

Spakowała do kufra ostatnią półhalkę, trzaskając jego wiekiem, ryzykując przy tym pogniecenie całej jej garderoby. Uparła się, że zdoła zmieścić wszystko w jednym kufrze, żeby ułatwić im podróż, i wcale nie kłamała. Jednak wieko nie chciało się zamknąć, więc odwróciła się i usiadła na tym iście diabelskim pudle, podskakując, żeby wszystko się upchnęło. Jeszcze nigdy nie wyjeżdżała z Anglii, więc skąd miała wiedzieć, które sukienki powinna zabrać na tropikalną wyspę? Oczywiście lepiej było spakować je wszystkie.

Właśnie zdołała zapiąć zamki, kiedy Bachus wrócił z powozu, który czekał na nich na dole. Uniósł jedną brew, zdziwiony.

– Jeśli go podniosę, to nie eksploduje? – zapytał z czystym barbadoskim akcentem.

Elsie uśmiechnęła się krzywo.

– Jeśli zdołasz go podnieść, to będę pod wrażeniem.

Zaraz miał się u nich pojawić Reggie, żeby pomóc znieść na dół bagaże.

– Tak? – Bachus przeszedł przez pokój i pochylił się nad nią, kładąc ręce na jej biodrach. Nosem musnął jej nos. – Pod jak dużym wrażeniem?

Zaczęła się śmiać i pocałowała go, a jego broda połaskotała jej usta.

– Daleka jest droga na Barbados – szepnął. – To może być dla nas ostatnia okazja do...

Na schodach wybrzmiały kroki. Bachus jęknął, odsunął się od niej i wyprostował dokładnie w chwili, w której Reggie zajął do pokoju, zdejmując kapelusz i wachlując się nim. Spojrzał na kufer.

– To jest olbrzymie! Zabijesz mnie, Els.

Elsie uśmiechnęła się.

– Mam tam tylko dwie książki, jeśli to ma wam pomóc. Dziękuję za wsparcie.

Reggie wzruszył ramionami i nałożył kapelusz na głowę.

– Od czego ma się rodzinę?

Elsie zeszła z kufra. Będzie tęskniła za bratem. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy często się widywali, odbudowując kontakty, których zostali tak okrutnie pozbawieni.

– Ale przyjdziesz na Boże Narodzenie? – zapytała. Razem z Bachusem zamierzali wrócić przed świętami do Londynu.

– Oczywiście – zerknął na Bachusa. – Widziałem powóz, chciałem poczekać, aż wszystko zapakujemy, ale równie dobrze możemy to zrobić teraz.

– Co zrobić? – spytał Bachus.

Reggie sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej wycinek z gazety.

Elsie zacisnęła się żołądek; stała się przewrażliwiona na punkcie niespodziewanych artykułów prasowych. *Co tym razem? Przecież zamknęli już sprawę Merton.*

Reggie podał jej wycinek, a jego uśmiech zbił ją z tropu.

– Popatrz.

Elsie odwróciła artykuł i trzymała go tak, żeby Bachus mógł czytać jej przez ramię. Fragment został niestarannie wyrwany, na rogach były fragmenty innych artykułów. Na środku widniał tytuł: *Nowi uczniowie w Tymczasowym Ateneum w Newcastle upon Tyne*. A pod nim była lista nazwisk.

– I? – Elsie przebiegła po nich wzrokiem.

– Drugie od dołu – powiedział Reggie.

Od razu skierowała tam wzrok, wstrzymując oddech.

Zobaczyła wyraźnie wydrukowane imię i nazwisko: Alice Camden.

Według Reggiego ich siostra miała na imię Alice.

– Nie rób sobie wielkich nadziei – brat ostrożnie wyciągnął artykuł z jej dłoni – to dość popularne imię. Ale może...

Elsie pokręciła głową, usiłując ignorować wewnętrzne mrowienie.

– Ja... Alice była jeszcze dzieckiem. Nie mogła znać swojego nazwiska.

Bachus położył jej dłoń na ramieniu na pocieszenie.

– Być może nie została oddana jako niemowlę – zasugerował nieśmiało.

Reggie przytaknął.

– Może zostawili ją u kogoś, kto wiedział, jak się nazywa. A może w ogóle jej nie porzucili.

Nie porzucili. Mogło tak być. Wtedy Alice będzie wiedziała, gdzie są ich rodzice. Elsie nie była pewna, czy jest gotowa ich poznać. Ani ją. Jeśli to w ogóle była ona!

Za bardzo się rozpedziła. Biorąc kilka głębokich oddechów, usiadła znowu na kufrze.

– Widzisz, dlatego właśnie chciałem poczekać.

– My... – Elsie spojrzała Bachusowi w oczy, usiłując uporządkować natłok myśli w swojej głowie.

– Możemy to przełożyć – zapewnił ją Bachus. – Znajdziemy inny statek.

– A zwrócą nam pieniądze? – zapytała.

Bachus zbył jej obawy machnięciem dłoni.

– To nie ma znaczenia. To jest dla ciebie ważne. Powinniśmy to sprawdzić, i to teraz.

– Nie zadręczaj się tym – powiedział Reggie, składając artykuł, który następnie schował do kieszeni marynarki. – Już wcześniej sprawdzałem prowadzące do niej tropy i za każdym razem okazywały się mylące. Nie przekładajcie planów. Jeśli coś z tego wyjdzie, to natychmiast się z wami skontaktuję. Nawet linią duchową. Obiecuję. A poza tym... – uśmiechnął się – ...jestem dzisiaj umówiony i byłbym niepocieszony, gdybym się spóźnił.

Elsie zmarszczyła brwi.

– Co masz na myśli, mówiąc, że jesteś umówiony?

Reggie wyszczerzył się i wetknął kciuki pod szelki.

– Bo wiesz. Poznałem w Brookley dziewczynę. Zapytałem, czy się ze mną spotka, a ona się zgodziła.

Elsie roześmiała się wbrew samej sobie.

– Ty szelmo!

Emmeline wspominała, że spodobał jej się pewien młodzieniec, ale nie była zbyt wylewna w tej sprawie. Z kolei Elsie żywiła pewne nadzieje, ale nie chciała niczego zakładać z góry.

Reggie niezobowiązująco wzruszył ramionami, ale Elsie wiedziała, że ma rację. Wstała, a jej dobry humor nagle gdzieś się rozplynął. Przytuliła się do Bachusa.

– Ale Alice...

– W ten weekend wybieram się z jednym przyjacielem, żeby to zbadać. Naprawdę, Els. Nie zadręczaj się tym. Wyruszajcie na swój miesiąc miodowy. Czuję się podle, gdybym wam go popsuł.

Bachus pogładził ją po plecach.

Elsie wyprostowała się, kiwnęła głową i wyjęła z torebki kilka monet.

– To na linię duchową – włożyła pieniądze Reggiemu do ręki.

Reggie zagwizdał.

– Dobrze, psze pani. Czuję się źle, biorąc od ciebie pieniądze, gdyby nie to, że z ciebie taka wytworna dama.

Bachus parsknął śmiechem.

Na dole otworzyły się drzwi wejściowe i Elsie usłyszała głos Mariah, która się z kimś witała. To była ich nowa służąca, która miała zająć się domem pod ich nieobecność.

Elsie odłożyła torebkę i uściskała brata.

- Dziękuję za pomoc. Daj mi znać, jak się czegoś dowiesz, natychmiast.

- Nie zdążycie nawet dopłynąć do Barbadosu...

- Natychmiast – powtórzyła, uwalniając go. Spojrzała w jego niebieskie oczy, tak podobne do jej własnych. – Obiecuj.

- Obiecuję.

Elsie odsunęła się od niego. Nawet jeśli miałyby okazać się nie „jej” Alice Camden, rozmyślanie o tym doprowadziłoby ją do szaleństwa. Musiała się czymś zająć. Może Bachus coś wymyśli w zaciszu powozu. Na tę myśl uśmiechnęła się szeroko, psotnie.

- Wygląda na to, że nie powinniśmy się spóźnić na statek. Jeśli więc bylibyście tak mili... – wskazała na piekielny kufer.

Reggie pokłonił się.

- Tak, proszę pani. – A potem, kiedy razem z Bachusem chwycili za rączki kufra, dodał: – Nie mogłabyś jakoś tego zaczarować, żeby było lżejsze?

- Żadnych czarów na moich ubraniach – zażartowała Elsie, na co obaj mężczyźni zareagowali śmiechem.

Mimo przywiezionych przez brata rewelacji, Elsie cieszyła się na podróż, chociaż nie miała pojęcia, jak znieśie rejs statkiem. Wreszcie będzie mogła spędzić błogo czas ze swoim mężem i poznać jego drugą naturę – tę, która marzyła o pomarańczach i kochała ocean. Nie mogła się doczekać obiecanych jej spacerów po plaży i pikników pod palmami. Nie mogła się doczekać bycia z nim, tak po prostu, bez żadnych wątpliwości, lęków, obaw albo tajemniczych morderców deptających im po piętach. A potem wrócą do domu na Boże Narodzenie i będą gościć Cuthberta, Emmeline i Reggiego... i może otrzymają już jakieś wieści o pewnych zaręczynach... i spędzą Nowy Rok w Siedmiu Dębach z księżną, i wszystko będzie tak, jak być powinno.

Na Barbadosie umówili się już z pewnym nauczycielem, który zaświadczy o jej niesamowitych postępach w nauce łamania zaklęć, co przyspieszy jej edukację po powrocie do Anglii. Wtedy zostanie jej jeszcze tylko rok. I nie będzie się już musiała ukrywać. Będzie robiła to, co zawsze chciała robić.

Będzie łamaczką zaklęć.

Podziękowania

I tak kończy się moja pierwsza dylogia. Jestem bardzo wdzięczna tym, którzy trwają przy mnie na dobre i na złe, wspierają tę moją „fantastyczną” karierę, pomagają mi dopracowywać i doskonalić kolejne powieści. Jestem na zawsze waszą dłużniczką.

Wielkie dzięki dla Jordana, który jest moją opoką. Miałam z tą książką pewien kłopot w 2019 roku, a on był przy mnie i trzymał za rękę przez cały ten czas, dokładając starań, abym miała wszystko, co trzeba, żeby stanąć na nogi. Bez niego nie zdołałabym zrealizować nawet połowy swoich planów.

Dziękuję Tricii, Rebecce i Leah za czytanie moich szkiców i pomoc w przejściu przez etap pierwszych poprawek. Wasz wkład jest złotem i jestem wam bardzo wdzięczna za czas, jaki spędzacie nad moimi projektami!

Wielkie dzięki mojej wydawczyni, Adrienne, która przyjęła mnie, zaadoptowała i przyjęła pod swoje skrzydła tę serię. I dziękuję Angeli, która z wielką finezją i dalekowzrocznością redagowała niemal każdą z moich książek. Dziękuję Marlene, mojej agentce, za znajdowanie okazji oraz obronę na polu walki. Trzeba było czternastu książek, żebym cię wreszcie umieściła w podziękowaniach!

I znowu dziękuję mojemu Ojcu w Niebiosach, który prowadzi mnie przez literaturę oraz w codziennym życiu. Zdaję sobie sprawę, że mam wielkie szczęście, mogąc robić to, co robię, i mając czytelników, którzy czytają to, co napiszę, a to błogosławieństwo pochodzi prosto od Niego.